

CZARNA SERIA

KRYMINAL



Joanna
OPIAT-BOJARSKA
KONESER

DZIEWCZYNA BIEGŁA W GŁĄB LASU, BY UCIEC PRZED SPOJRZENIAMI
KIEROWCÓW SAMOCHODÓW PRZEJEZDZAJĄCYCH DROGĄ...



Joanna
OPIAT-BOJARSKA
KONESER

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

JOANNA OPIAT-BOJARSKA

KONESER

Czarna seria

Wydawnictwo
CZARNA OWCA

Akt 1

Dziewczyna biegła w głąb lasu, by uciec przed spojrzeniami kierowców samochodów przejeżdżających drogą wojewódzką numer 431. Gdy straciła z oczu asfaltową wstążkę, podciągnęła spódnicę i opuściła majtki. Silny strumień moczu rozlał się po leśnym runie. Poczowała ulgę. W końcu mogła zapomnieć o nieprzyjemnym ucisku na pęcherz. Chwilę wcześniej myślała, że prędzej oszaleje, niż się go pozbędzie.

Podciągnęła majtki i odwróciła się. Nagle świat wydał jej się piękniejszy. Kilka sekund temu widziała tylko samochody i ciemne pnie drzew. Teraz zieleń w wielu odcieniach oddziaływała na zmysły. Zauroczone widokiem zbliżała się do drogi, gdy jej uwagę przykuło coś, co burzyło idealną harmonię kolorów. Zamiast wracać prosto do auta, skręciła w lewo i zaciekawiona podeszła bliżej biało-żółtej plamy.

– O kurwa!

Sebastian Kaźmierczak opierał się o maskę stojącego na poboczu samochodu i wystawiał twarz do słońca. Mijający go kierowcy przyglądali mu się uważnie lub rzucali nostalgiczne spojrzenia. Gdy kolejny jadący z naprzeciwka samochód zatrąbił, a jego kierowca wykonał niewybredny ruch ręką, Sebastian uświadomił sobie, że sytuację, w której się znalazł, można było interpretować całkiem opacznie. Oto stał na skraju lasu, przy źródelku płatnej miłości, a przejeżdżający mężczyźni zwyczajnie mu zazdrościli.

– Aaaaaa! – Krzyk dotarł do niego wcześniej niż biegnąca dziewczyna. – Aaaaaa!

Niestety, nie był to krzyk rozkoszy. Błada i spocona Barbara Chabrzyk dotarła do auta i szarpnęła drzwiami. Nie mogła jednak wejść do środka. Samochód był zamknięty.

– Seba... – Oddychała szybko.

– Przestraszyłaś się pająka?

Gdy wybrzmiewała ostatnia część pytania, nie miał już wątpliwości. Dziewczyna nie żartowała. Wpatrywała się w niego nieprzytomnie, jednocześnie szarpiąc klamkę. Była śmiertelnie przestraszona.

– Trup... tam jest trup... – szepnęła i zakryła usta rękoma.

* * *

– Opowiedz mi o swojej żądzy – ciepły głos wyartykułował żądanie.

– O żądzy?

– Tak.

– Chodzi ci o... – prowokował i uważnie obserwował reakcję kobiety.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. O źródło twojej przyjemności.

– Aha. – Usatysfakcjonowany mężczyzna kiwnął głową.

– W takim razie zacznijmy od początku: opowiedz mi o swojej żądzy.

– Żądza... dobre słowo. Ale osobiście wolę określenie „nadaktywność”.

– Nadaktywność?

– Tak. Widzę świat zupełnie inaczej niż ty. Dociera do mnie zniekształcony. Wszystko jest szare, a na pierwszy plan wysuwa się właśnie TO. TO mnie motywuje i pobudza. Widzę TO wszędzie. Gdy widzę, rośnie we mnie napięcie i czuję potrzebę aktywności, więc działam. Często działam, stąd to określenie: nadaktywność.

– Działasz, bo chcesz, czy dlatego, że musisz?

– Chcę. Chcę pozbyć się wkurwiającego napięcia. Wiem, jak to zrobić, więc po co mam się ograniczać?

– Czyli jednak czujesz wewnętrzny przymus...

– Czyli jednak masz ochotę mnie wkurwiać! Chęć, przymus... o co ci, kurwa, chodzi? Mam ochotę, więc TO robię. Nie mam, to nie robię. Nikt mi do skroni lufy nie przykłada! Nie czuję przymusu! Chociaż faktycznie, rzadko zdarza się, żebym nie miał ochoty...

– Potrafisz nad sobą panować? – dopytywała kobieta, nie przejmując się, że dolewa oliwy do ognia. Zachowywała się tak, jakby była piromanką. Chciała, by niewielkie ognisko zmieniło się w pożar. – Nad tą chęcią?

– A po... – Zamilkł na chwilę, spojrzał prosto w kamerę i dodał, uważniej dobierając słowa: – A po co? Potrafię się w niej zatracać. To jest o wiele przyjemniejsze.

Akt 2

Ptaki wydawały się nie zauważać poruszenia wokół znaleziska. Ćwierkały w oddali przyjemnie i głośno, jakby chciały zademonstrować przyjezdnym, że ptasie trele na żywo są o wiele lepsze niż jakiegokolwiek relaksujące „odgłosy lasu” nagrane na płytach i sprzedawane mieszczuchom.

Przyjemny cień drzew zachęcał do położenia się na ziemi i zaczerpnięcia energii z naturalnego źródła. Gdzieniegdzie przez korony drzew przedzierały się ostre promienie słoneczne.

Miejscowy policjant Jerzy Franek, który dotarł na miejsce oględzin z komisariatu w Kórniku, szturchnął kolegę po fachu:

- Patrz, kryminalni już są.
- Podarować sobie nie mogli, co?
- No. – Funkcjonariusz splunął przed siebie. – Jakbyśmy sami sobie nie poradzili... Pieprzona Jedynka.

Energicznym krokiem zbliżał się do nich policjant z Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej. Franek udał serdeczność:

- Witamy Poznań!
- Witam, podkomisarz Burzyński. – Przemysław przywitał się z lokalnymi funkcjonariuszami krótkim uściskiem dłoni. – Witam. A to jest posterunkowy...

Odwrócił się, żeby przedstawić Michała Majewskiego, ale ten tkwił jeszcze przy samochodzie, odwrócony do reszty towarzystwa plecami, więc dalsza prezentacja nie miała sensu. Burzyński przeszedł do konkretów.

- Co tu mamy? – Rozejrzał się.

– Przyszło zgłoszenie telefoniczne, podjechaliśmy na miejsce zdarzenia – referował Franek. – Potwierdziliśmy zgłoszenie i zabezpieczyliśmy miejsce do waszego przyjazdu.

Mężczyźni stali nad znaleziskiem. Na mchu leżał szkielet człowieka. Postać miała rozpostarte ręce i nogi. Już na pierwszy rzut oka widać było, że kościec jest niepełny. Brakowało dużej części dłoni i fragmentów stóp.

– Trochę już sobie leży. – Radosny głos Majewskiego zakomunikował jego przybycie. – Ale ładnie tu jest. Jaki spokój!

Burzyński upomniał partnera wzrokiem. Jak zwykle, zamiast najpierw skoncentrować się na czynnościach związanych z pracą, chłopak delectował się widokiem.

– Młody, skup się! – Na wszelki wypadek do mrożącego spojrzenia dodał komunikat werbalny. Oczywiście ściszym głosem, by dotarł tylko do adresata.

Michał Majewski pojawił się w komendzie pierwszego dnia kwietnia i bez skrępowania przedstawił się jako chrześniak szefa szefów. Ówczesny partner Burzyńskiego, Ryszard Milczek, zegnał się właśnie ze służbą i zmęczony walką z rakiem udawał się na zasłużony, prawdopodobnie wieczny odpoczynek. Opuszczone biurko Milczka zajął ten młody, irytujący mężczyzna.

Burzyński postanowił bronić się przed tym kukułczym jajem, jawnym dowodem nepotyzmu komendanta głównego. Bronić się, a jednocześnie nie wbijać gwoździ do swojej trumny. Początkowo współpraca z Młodym, jego ogromnym ego i jeszcze większymi wyobrażeniami o pracy w policji w niczym nie przypominała kooperacji. Dopiero po pierwszej wspólnej sprawie – poszukiwaniu zaginionej Leny Pietrzak – Burzyński zaczął oceniać partnera przez pryzmat jego umiejętności, zamiast zastanawiać się nad jego koneksjami rodzinnymi. Nie wiadomo kiedy zrodziła się między nimi nić sympatii.

– Kto to zgłosił? – Burzyński kontynuował przepytywanie policjanta z Kórnika i rozglądał się uważnie.

Spokój i odgłosy lasu co jakiś czas przerywane były warkotem przejeżdżających samochodów. Na drodze między Kórnikiem a Mieczewem panował zwiększony ruch, zwłaszcza samochodów ciężarowych.

– Zadzwoił facet, ale szczątki znalazła paniena. – Franek wskazał na siedzącą na ziemi parę.

– Paniena? Pracująca nieopodal? – szeroko uśmiechnął się Młody.

Dobrze znał profil biznesowy okolicznych lasów. Przed remontem tak zwanej trasy katowickiej przydrożne prostytutki stały na skraju lasu bliżej Poznania, na wysokości Borówca. Po remoncie, wybudowaniu ronda i zjazdów oraz zamknięciu leśnej uliczki, lokalnej alei czerwonych latarni, biznes przydrożnych, zazwyczaj ukraińskich punktów uciechy musiał przenieść się trochę dalej. Idealnym miejscem stał się oddalony o kilka kilometrów las przy drodze wojewódzkiej między Kórnikiem a Mieczewem.

– Podobno nie jest dziwką. – Franek poczuł się w obowiązku stanąć w obronie młodej dziewczyny. – Nie sądzę, by... Nie. Ona mówi, że przejeżdżała tędy z chłopakiem, wyszła z samochodu za potrzebą i natknęła się na czaszkę.

Takie tłumaczenie nie przekonało Majewskiego. Wzruszył tylko ramionami i zanim podążył za Burzyńskim, dodał:

– A co miała powiedzieć? Że była się odlać przed stosunkiem, za który bierze pięć dych?

* * *

– Kuźwa, nie wygląda to dobrze. – Młody, jak zwykle w chwilach skupienia, obracał się na swoim krześle. Co jakiś czas zerkał na leżące na biurku zdjęcia ludzkich szczątków.

Niewielką przestrzeń pokoju śledczych szczelnie wypełniały meble dalekie od funkcjonalności, bliższe raczej eksponatom muzealnym: dwa ogromne biurka, obdrapana szafa pancerna i wysłużone, obrotowe krzesła.

– Trup nigdy nie wygląda dobrze.

– Jaki trup? Przecież tu nawet grama mięsa nie znajdziesz. – Majewski nie mógł się uspokoić. – To jest taki... karykaturalny obraz. Jak pozostałości po gigantycznym indyku w Święto Dziękczynienia.

– Taa, faktycznie – przytaknął Burzyński. – Niektórzy mieszkańcy lasu mieli niezłą ucztę! Nie można temu zaprzeczyć.

Mężczyźni pracowali wspólnie od ponad czterech miesięcy, spędzili ze sobą siedemset godzin, rozmawiali niemalże codziennie. Żyli wspólnymi sprawami i uczyli się siebie nawzajem. Burzyński zobaczył w końcu w młodszym koledze siebie sprzed lat – policjanta pełnego zapału, marzeń, chcącego zmieniać świat.

Z kolei Michał Majewski powoli oswajał się z przerażającym poczuciem odpowiedzialności Burzyńskiego. Z jego brakiem ekscytacji i emocji w patrzeniu w przyszłość. Nadal bał się, że najdalej za kilkanaście lat będzie wiódł podobnie nudne i schematyczne życie. Zrobiłby wszystko, by tego uniknąć. Uważnie obserwował kolegę i starał się na bieżąco analizować jego zachowanie. Wnioski zostawiał dla siebie, licząc po cichu, że w ten sposób odnajdzie receptę na szczęśliwe życie.

– Dobra, Młody, przestań kręcić się w kółko. Zajmę się dziewczyną i chłopakiem, zobaczę, co mi powiedzą. – Burzyński wstał energicznie i spojrzał na zegarek.

– Chętnie ci pomogę.

– No myślę...

– To co, gadamy razem czy solo? Chętnie wezmę tę pannę w obroty.

– Taa, w to nie wątpię. Dzielimy się. Ja przesłuchuję oboje, a ty jedziesz do ZMS-u. Musisz ustalić, co wiedzą o ofierze.

– Ja?

– A co?

– Nic... Burza, ale ja jeszcze nigdy tego nie robiłem. Może poczekam i pojedziemy razem?

– Przecież kręcą cię pierwsze razy. Sam dasz radę. Ja po przesłuchaniach – spojrzął na zegarek – uciekam prosto do domu.

Za godzinę mieli skończyć pracę. Mijało właśnie siedem godzin, do których Burzyński doliczył sześćdziesiąt minut – czas niezbędny na dokładne przepytanie dwóch osób. Nowa sprawa spowodowała dopływ adrenaliny do jego krwi. Miał ochotę, niczym pies gończy, zerwać się ze smyczy i biec w nieznane, dopóki nie zgubi tropu albo nie złapie zębami nogawki złoczyńcy. Sam mógłby podjechać do Zakładu Medycyny Sądowej, ale instynkt samozachowawczy przypominał mu bezustannie o zasadzie numer trzy.

Dziesięć zasad mających na celu ratowanie małżeństwa Burzyńskich powstało w wyniku długich i ciężkich negocjacji. Ograniczenie numer trzy mówiło o wyraźnym i z góry ustalonym rozdziale czasu pracy i czasu dla rodziny. Gdy obiecywał przestrzegać tego punktu, doskonale wiedział, że nie da rady dotrzymać słowa. Już samą zgodę na jego wstawienie uznał za wielkie poświęcenie i ogromny dowód miłości. Niestety, jak się później okazało, Izie Burzyńskiej nie wystarczyły puste deklaracje. Pilnowała przestrzegania zasad jak lew upolowanej antylopy.

– Czemu ty nie pojedziesz, kuźwa, tylko mnie wysyłasz? – Młody nie odpuszczał. – Ja załatwię przesłuchania, a ty ZMS.

Majewski wielokrotnie brał udział w przesłuchaniach świadków i podejrzanych. Rozkoszował się obserwowaniem ludzi przebywających w małych pomieszczeniach, branych w krzyżowy ogień pytań. Widział i czuł dużo więcej niż przeciętny człowiek. Obawiał się jednak rozmowy ze specjalistą od kości. Tu nie mógł sobie pozwolić na improwizację. Musiał wiedzieć, o co pytać, a później zapamiętać odpowiedzi, by nie zostać wyśmianym przez Burzyńskiego.

– A ty co? Spotkałeś już wcześniej jakiegoś antropologa, że masz takiego cykora?

- Ja cykora? Chyba żartujesz, kuźwa. Powinienem się bać?
- No wiesz, mówi się, że to krwiożercze bestie... – Burza nie mógł powstrzymać się od żartów. – Podobno antropologami zostają ci, dla których na medycynie zabrakło miejsc.
- Tak trzeba było od razu ze mną rozmawiać. – Chłopak skapitulował, bo czuł, że nic nie wskóra. – Czyli wysyłasz mnie do jakiegoś frustrata, co czyta z kości, żebym dowiedział się, kim był ten kościotrup, zanim został pozbawiony mięśni i tłuszczu. Od razu brzmi dużo ciekawiej. Kogo mam tam szukać?
- Już ci zapisuję nazwisko.

* * *

Michał Majewski z impetem trzasnął drzwiami czerwonej alfy romeo. Stał przy prawie stuletnim, monumentalnym budynku, zwanym kiedyś Pałacem Sztuki. Gdy wpisywał w nawigację dane adresowe Zakładu Medycyny Sądowej, spodziewał się dojechać do obskurnego budynku z lat osiemdziesiątych, wepchniętego bez ładu i składu między kamienice. Tymczasem, skręcając zaraz za terenem Międzynarodowych Targów Poznańskich z ulicy Grunwaldzkiej w lewo, w wąską ulicę Święcickiego, zorientował się, że numer sześć, do którego zmierza, znajduje się w Collegium Anatomicum.

Szybko minął bramę z napisem „Nie zastawiać” oraz podwórze użytkowane jako parking dla pracowników instytucji i stanął na schodach, odrobinę zaniepokojony czekającą go rozmową ze specjalistą. Wziął głęboki wdech, jakby za chwilę miał zniknąć pod powierzchnią wody, i popchnął drzwi.

Przeszedł koło portierni i stanął na środku ogromnego korytarza. Ku jego zdziwieniu nie przywitały go sterty kości, zapach trupów, szaleni antropolodzy i patolodzy ze zwichrzonymi włosami. Korytarz wypełniał studencki gwar. Gdzie nie odwrócił głowy, tam widział atrakcyjne dziewczyny.

„Jestem w raj” – ta myśl pojawiła się i sprawiła, że krew zaczęła mu krążyć szybciej niż zwykle. Na chwilę się przyczaił i

wytypował dziewczynę. Nie byłby sobą, gdyby nie wybrał najładniejszej. Długowłosa właścicielka seksownego biustu siedziała na schodach i przeglądała notatki.

Podszedł na tyle blisko, by zauważyła go kątem oka. Odczekał chwilę i usiadł. Dokładnie na tym samym schodku co ona, blokując tym samym przejście. Zgodnie z jego planem dwie minuty później osoba wchodząca na piętro rzuciła pełne wyrzutów:

– Przepraszam!

Michał przesunął się w stronę atrakcyjnego biustu, by zrobić przejście. Oczywiście udawał, że robi to pod przymusem. Dziewczyna poczuła krępującą bliskość obcego ciała i przesunęła się w stronę balustrady, żeby zwiększyć dystans. Nie miała jednak zbyt dużego pola manewru.

– Cześć! – Michał podarował jej uśmiech numer cztery.

Wielokrotnie sprawdzał jego skuteczność. Wiedział, jak działa na kobiety. Pełne usta odsłaniające zęby i tańczące chochliki w niebieskich oczach.

– Cześć.

Dziewczyna spojrzała na niego. Ich twarze dzieliła suma długości ich ramion. Maksymalnie pięćdziesiąt centymetrów.

– Co robisz?

Uśmiech nie schodził z jego twarzy, zwłaszcza że był już pewien, jak spędzi dzisiejszy wieczór.

– Ja, yyy – dziewczyna starała się zapanować nad zaskoczeniem – przeglądam notatki.

– Wiesz – symulował wahanie, by tym skuteczniej uwieść ją mieszanką pewności siebie i nieśmiałości – nie o to pytałem. Co robisz? No wiesz, po zajęciach? Wieczorem? Co będziesz robić przez całe swoje życie?

– A co?

Na osobistą listę podbojów mógł wpisać kolejną zdobycz, jeszcze bezimienną, ale z rozmiarem, na oko, 75 E. Wbił już w nią swoje kły, leżała sparalizowana. Wystarczyło zanieść jej ciało do

jaskini.

– Bo jeśli nie spędzisz tego wieczoru ze mną, uczynisz mnie najbardziej nieszczęśliwym facetem na świecie. Wybacz, że tak prosto z mostu, ale... zaczarowałaś mnie.

Oblizywała usta, nie wiedząc, co powiedzieć.

– O której kończysz? – spytał. Czuł, że jego podniecenie rośnie.

– Mam jeszcze ćwiczenia, będę wolna za godzinę.

– Świetnie, więc zapraszam cię na najlepsze włoskie spaghetti w mieście. – Przemilczał fakt, że sam zaserwuje jej makaron z sosem pomidorowym, w prywatnym mieszkaniu, po porcji włoskich ćwiczeń fizycznych. – Jak masz na imię?

– Ewka, a ty?

– Michał. Będę tu na ciebie czekał. Powiedz mi jeszcze, gdzie znajdę Zakład Medycyny Sądowej?

– Tam, na parterze. Te szklane drzwi po prawej stronie.

* * *

Tuż obok wejścia do Zakładu Medycyny Sądowej Majewski zauważył łacińską sentencję na ścianie: *Hic mors gaudet succurrere vitae et iustitiae*. Tu śmierć cieszy się, że pomaga życiu i sprawiedliwości.

Śmierć cieszy się. Ta antyteza rozbawiła go i przeraziła jednocześnie. Ktoś przyjął założenie, że śmierć może odczuwać radość. Przecież śmierć nie czuje... Jest jak urzędnik państwowy, obojętna na stany poruszenia umysłu, prośby, groźby i obietnice. Przychodzi w najmniej oczekiwanym momencie, zabiera to, na czym zależy ludziom najbardziej. Ma w dupie to, czy komuś pomaga, czy też go pogrąża.

Gdy szklane drzwi zamknęły się za Majewskim, poczuł się nieswojo. Tak jakby właśnie przeprowił się przez Styks. Jakby uciekło z niego życie. Wszelkie oznaki istnienia – śmiech, krzyki i ruch – pozostały za drzwiami. Korytarz, którym podążał, był pusty. Lodowato pusty. Niby podobny do miejsca, w którym przed chwilą poderwał dziewczynę na dzisiejszy wieczór, a

jednak zupełnie inny.

Zbliżał się do końca korytarza. Kolejne szklane drzwi broniły wstępu do części, w której znajdowały się zamknięte w szklanych gablotach muzealne eksponaty – kości, czaszki i zmumifikowane ciało.

Nagle na korytarzu pojawiła się kobieta w średnim wieku. Szła w kierunku drzwi. Myśliwy Majewski po raz kolejny tego dnia poczuł zwierzynę łowną. Węch nie mógł go mylić. Kobieta musiała być przed czterdziestką lub nieznacznie po niej. Smakowicie kołysała biodrami, układając stopy niemalże w linii prostej. Jej nogi zakrywała przydługa (jak na gust Michała) spódnica. Nie potrzebował wiele, by wyobrazić ją sobie w obcisłej mini. Tak, taka kobieta powinna pokazywać nie tylko łydki i kolana, ale i uda.

Kobieta podchwyciła jego łakomy wzrok. Jej lodowate spojrzenie zmroziło go. Momentalnie wrócił do rzeczywistości. Mini wydłużyło się, a biodra, zamiast siedzieć na nim, właśnie go mijały. Odwrócił się, by jeszcze przez chwilę cieszyć oczy tym zmysłowym zjawiskiem. Kobieta zniknęła jednak tak szybko, jak się pojawiła. Zamknęła za sobą drzwi, a Majewskiemu przemknęło przez myśl, że powinna zapomnieć czegoś i znów wyjść na wybieg między ludzkimi szczątkami. Mógłby podziwiać drugi akt przedstawienia. Niestety, korytarz pozostał pusty. Policjant złapał więc za najbliższą klamkę.

– Dzień dobry, posterunkowy Majewski – przedstawił się.

Mężczyzna w białym fartuchu odwrócił wzrok od mikroskopu.

– Pan do mnie?

– Być może. Szukam – spojrzał na kartkę od Burzyńskiego – Brolla.

– Brolla? – zdziwił się mężczyzna. – Aaa! – Dopiero po chwili skojarzył nazwisko. – To musi pan iść do pracowni antropologii i odontologii, pokój numer siedem. Jeśli tam nikogo nie będzie, to niech pan zajrzy pod piątkę.

– Pokój siedem lub pięć, dzięki.

Chwilę później klamka do pokoju numer pięć ustąpiła pod naciskiem dłoni Majewskiego. Pracownia antropologii była zamknięta na cztery spusty, dlatego bez pukania zajrzał do piątki.

– Dzień dobry... – Miał zamiar przywitać się służbowo, ale zobaczył kobietę w spódnicy, która według jego wcześniejszej oceny powinna być zdecydowanie krótsza. – No, no, no. Nie wiedziałem, że w takim miejscu można spotkać anioła.

Kobieta stała przy metalowym stole. Odwróciła głowę i wrogo spojrzała na przybysza.

– Nie umie pan pukać?

– Pani wygląda jak anioł, zwłaszcza w tym świetle. Jestem oślepiiony... – Do wyznania dodał uśmiech numer trzy.

– Nieupoważnionym wstęp wzbroniony! – Ostry ton i spojrzenie kobiety były jednoznaczne.

Oto stała przed nim kobieta – wyzwanie. Kobieta – Mount Everest. Kobieta – królowa lodu. Nie działał na nią jego urok. Nie miała ochoty na flirt.

– Niech się pani nie denerwuje. – Majewski nie zamierzał się poddać. – Złość piękności szkodzi. Jestem z policji. Lepiej powiedz mi, aniele, gdzie znajdę antropologa?

– Raczej antropolog – poprawiła go.

– A jakie to ma znaczenie?

– Ogromne.

Policjant nie wytrzymał pełnego pretensji spojrzenia kobiety. Na stole, przy którym stała, zauważył kości ułożone na kształt ludzkiego szkieletu. Chciał podejść bliżej, ale dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że jego węch odbiera dziwne bodźce. Coś podobnego do zapachu szkolnej stołówki, zaschniętego brudu, przypalonego mięsa i wiecznie czarnej ścierki, którą kucharka przeciera tace. Nie był w stanie ocenić, czy zapach go drażni, czy się mu podoba. Budził jednak nieprzyjemne wspomnienia.

– Dokładnie kogo pan szuka? – Kobieta przyglądała mu się

lodowato.

– A. Broll – odczytał z kartki. – Korzystając z wrodzonej inteligencji – do wypowiedzi dołączył kolejny uśmiech, zazwyczaj działający na kobiety – strzelę w Aleksandra. Szukam antropologa Aleksandra Brolla.

– Nie wróżę panu długiej kariery w policji, zwłaszcza jeśli będzie pan musiał strzelać. O swojej inteligencji może pan zapomnieć. Radziłabym raczej popracować nad sobą i kulturą osobistą! Proszę przyjść do mnie dopiero, jak uzupełni pan braki. Proszę też sobie zapamiętać moje nazwisko: Anita Broll.

– Przepraszam bardzo. Burza mnie nie uprzedził, że idę do babeczki.

– A to trzeba uprzedzać?! – Jeśli chwilę wcześniej Majewski myślał, że zdenerwował kobietę, dopiero teraz widział, że się mylił. Ostatnie zdanie wprowadziło ją w prawdziwą wściekłość. – Burza nie uprzedził?! Pan sobie chyba żartuje! Czy płęć ma znaczenie podczas wykonywania czynności zawodowych?!

– Nie, oczywiście, że nie. Proszę się uspokoić. Nie chciałem pani urazić...

– Tylko mnie zaliczyć? Upokorzyć? Zapomniałam o czymś?

Stał w ciszy, czekając, aż Anita Broll się uspokoi. Dość szybko opanowała się i zamilkła. Odwróciła się do niego plecami. Chciała, by opuścił pokój, uznała jednak, że najszybciej się go pozbędzie, jeśli szybko odpowie na jego pytania.

– Przysłali pana w sprawie wczorajszych szczątków?

– Tak.

– To wasze znalezisko. – Pokazała kości na stole. – Szczątki należą do jednej osoby. Najprawdopodobniej kobiety.

– Kobiety? – Majewski przyglądał się uważnie temu, co leżało na stole. Czaszka, żebra, miednica, kończyny. Nie mógł powiedzieć nic więcej poza tym, że kości są kośćmi. Określanie na ich podstawie płci osobnika było dla niego równie wiarygodne jak wróżenie z fusów. – Kościotręp mógł być rodzaju żeńskiego?

– Tak. – Lakoniczna odpowiedź Broll nie zawierała żadnego ładunku emocjonalnego. Zaczęła zachowywać się tak, jakby wyłączyła odczuwanie.

– No nie wiem, ale... nie wygląda to – wskazał na czaszkę – na kobietę.

– Wygląda – zapewniła obojętnie.

– Dobrze, zatem kobieta. – Zaczął notować, by nie uronić ani jednego słowa. Nie zamierzał wracać z dodatkowymi pytaniami do lodowatej antropolożki. – Czy można określić jej wiek i to, jak długo leżała w lesie?

– Jeśli wziąć pod uwagę, że przez ostatnie dwa tygodnie panowała iście egipska pogoda... Nie wiem, ile dni po zgonie trafiła do miejsca, w którym ją odnaleziono. Ale jeśli założyć, że umarła w lesie albo znalazła się tam zaraz po śmierci, to jej ciało musiało leżeć minimum trzy tygodnie. A może nawet i pięć. Owady i zwierzęta zrobiły swoje. Na kościach widać pozostałości po ich żerowaniu. Brakuje kilku drobniejszych kości... – Broll przerwała; uznała, że młody policjant i tak niewiele zrozumie z jej wypowiedzi. Powinna odpowiadać krótko i rzeczowo.

– Drobniejszych? – powtórzył.

– Tak.

– Czyli?

– Chociażby kości dłoni.

– Aha.

– Nie miała więcej niż trzydzieści lat, nie mniej niż dwadzieścia pięć – uprzedziła jego pytanie.

Od lat współpracowała z policją. Wiedziała, jakich informacji powinna dostarczać.

– Między dwa pięć a dwa dziewięć – notował. – Wiadomo, jak zginęła? Może to pani odczytać z tych szczątków?

– Niestety, nie ma żadnego urazu, który mógłby prowadzić do śmierci. Jedyne uszkodzenie to złamana kość przedramienia, ale złamanie jest zrośnięte. Kość gnykowa jest nienaruszona.

– Gnykowa?

- Mówię, że ofiara nie została uduszona.
- Aha. O co jeszcze powinienem zapytać?
- Była niewysoka, miała metr sześćdziesiąt dwa. To wszystko.

Przynajmniej na tę chwilę.

- Może jakieś ślady udało się znaleźć?
- Mówię, że nie wiem nic więcej. Ofiara musiała być naga, nie znalazłam na szkielecie śladów materiałów.

- Dziękuję. Jakby coś jeszcze wyszło, gdyby pojawiły się nowe informacje, to proszę o info.

Majewski z tylnej kieszeni spodni wyjął wizytówkę i podał ją antropolożce.

- Dobrze - odpowiedziała i nie czekając, aż bezczelny mężczyzna opuści jej terytorium, wróciła do pracy.

Michał Majewski stał jeszcze chwilę, obserwując ją, aż w końcu zdecydował się zaatakować po raz kolejny.

- Niesamowite... - rzucił od niechcienia.

Kobieta wyczuła zmianę w jego głosie. Brzmiał zupełnie inaczej, gdy rozmawiali o sprawach zawodowych.

- Niesamowite, że taka piękna kobieta chce obcować ze śmiercią...

Anita Broll postanowiła nie dać się po raz kolejny sprowokować. Czuła jego wzrok na sobie, opanowała więc rosnące w niej oburzenie i odwróciła się.

- Żegnam pana.
- Do zobaczenia, pani Anito.

* * *

Przemysław Burzyński wysłuchał opowieści Barbary Chabrzyk i zamierzał przejść do kolejnego punktu: pytań i odpowiedzi. Wcześniej przesłuchiwał Sebastiana Kaźmierczaka i miał parę wątpliwości, które dziewczyna mogła rozwiać lub potwierdzić.

- Mówiłaś, że znasz Sebastiana Kaźmierczaka. Jak długo?
- Dość długo, poznaliśmy się jakieś dwa miesiące temu, na imprezie.

– Kto podjął decyzję o zatrzymaniu samochodu?

– Tłumaczyłam przecież policjantom, opowiadałam też panu. Muszę wszystko powtarzać?

Barbara Chabrzyk wyglądała na zmęczoną. Przez kilka ostatnich dni żyła na wyższych obrotach, niewiele spała. W tej chwili marzyła o spokoju i wygodnym łóżku. Irytowały ją pytania łysiejącego policjanta. Gdy opowiadała mu o znalezisku, wydawał się skupiony. Myślała, że gdy tylko do końca opowieści, policjant da jej coś do podpisania i wypuści do domu.

– Rany, siku mi się okropnie chciało. Już pół godziny wcześniej. Co prawda myślałam, że jakoś wytrzymam do Poznania, nie zrobię sobie siary, no ale nie wyszło. Zatrzymaliśmy się, żebym nie posikała mu samochodu.

– Nie uważasz, że to zabawny zbieg okoliczności?

– Nie rozumiem. Pan coś insynuuje? – Otworzyła szeroko oczy i zmarszczyła czoło.

Czujny wzrok Burzyńskiego odnalazł w końcu coś, na czym mógł się skupić. Jego cierpliwość została wynagrodzona. Dziewczyna zaczęła się denerwować. Miał pewność, że zdziwienie, które przed chwilą wyraziła, było nieszczerze. Jej czoło nie zmarszczyło się błyskawicznie. Delikatne opóźnienie trwało jeden moment, potrzebny, by wydane przez jej mózg polecenie dotarło do mięśni twarzy.

– Las ciągnie się przecież wzdłuż drogi przez kilka kilometrów, a on wysadził cię akurat tam?

– Tak wyszło. Najpierw starałam się o tym nie myśleć. Później nacisk na pęcherz był tak duży, że mu powiedziałam... Nie miał się gdzie zatrzymać. Albo droga nie miała pobocza, albo gdy zbliżało się coś szerszego, to nie można było się tam zatrzymać.

– Z jakiego powodu?

– Nie wiem. Nie ja byłam kierowcą. Całą uwagę skupiałam na sobie.

– Na pewno widziałaś zjazd i parking leśny kilkaset metrów wcześniej, mogliście tam się zatrzymać.

Burzyński miał swoją teorię. Kaźmierczak i Chabrzyk zatrzymali się w lesie, by uprawiać seks. Tego był pewien. Podczas przesłuchania Kaźmierczak chwalił się wręcz swoim olbrzymim popędem seksualnym. Uważał go za oznakę prawdziwej męskości. Przy drodze, którą jechał, stały tirówki. Nie mógł oprzeć się takiej pokusie. To jakby głodnemu kazać stanąć w długiej kolejce do kasy w markecie, gdzie z półki krzyczą batony: „Weź mnie, weź mnie”.

Musiał ustalić, czy miejsce, w którym zatrzymała się para, było przypadkowe, czy znane Kaźmierczakowi. Być może miał w tym lesie swój rozkoszny zakątek, w którym regularnie oddawał się zmysłowym przyjemnościom.

– Widziałam, ale Sebastian nie chciał się tam zatrzymać. Przy drodze stały dziwki.

– Widziałaś je?

– Sebastian powiedział, że to dziwki. W sumie tak, widziałam jedną kobietę, może nawet dwie. Nie skojarzyłam, czemu stoją same w lesie. Siku mi się chciało. Myślałam, że zaraz eksploduję.

– Czyli twój chłopak ci powiedział.. – Policjant położył akcent na słowo „twój”.

– Powiedział, że stoją tu panienki. – Dziewczyna ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła, że jest związana z Kaźmierczakiem. – Pytałam, skąd wie, że to właśnie jagodzianki. Powiedział, że wie. Podobno z kolegami czasem jeżdżą pooglądać je sobie, więc wie, jak wyglądają. Nie dopytywałam, bo poczułam, że już nie wytrzymam ani minuty dłużej. Jęknęłam, a on zatrzymał się kilkanaście sekund później, kawałek za zakrętem. Wystrzeliłam jak strzała i biegłam prosto przed siebie, by stracić z oczu samochód.

– Nie uważasz, że to było niebezpieczne, skoro – jak sama mówisz – w kilku miejscach stały tirówki? Mogłaś się natknąć na jedną z nich podczas pracy...

– Nie myślałam o tym. – Barbara kręciła głową. – Chciałam tylko opróżnić pęcherz.

– Nie mogłaś zrobić tego przy samochodzie?

– Nie.

– Dlaczego? To byłoby przecież bezpieczniejsze.

– Być może, ale też nieestetyczne. Jak to panu wyjaśnić? Nie wiem, czy pan zrozumie, nie jest pan, hm... najmłodszy. My z Sebastianem... To znaczy on i ja nie jesteśmy małżeństwem, nie znamy się tak długo, by bez skrępowania sikać przy sobie. Znamy się raczej krótko.

Burzyński nie mógł nie zauważyć rosnącego zdenerwowania dziewczyny. Wychwycił też rozbieżność w jej wypowiedziach. Jej ocena czasu znajomości z Kaźmierczakiem zmieniała się w zależności od sytuacji.

– Jak długo się znacie? – zapytał, by sprawdzić jej reakcję. Mogła albo potwierdzić jedną z dwóch wykluczających się odpowiedzi, których udzieliła wcześniej, albo wymyślić trzecią, zupełnie nową.

– Znamy się od dwóch miesięcy, ale dopiero na chwilę przed wyjazdem nad morze, że tak powiem, poznaliśmy się bliżej. – Speszona Barbara spuściła głowę.

– Współżyjesz z Kaźmierczakiem? – Postanowił wykorzystać jej chwilowe zakłopotanie i rozpoczął pytania na najbardziej krępujący temat.

– Słucham?

Zareagowała dokładnie tak, jak się spodziewał. Rumieniec zalał jej policzki. Nie wiedziała, gdzie spojrzeć. Kręciła się na krześle, jakby wzrok policjanta sprawiał jej ból.

– Uprawialiście seks? – powtórzył.

– Tak – wyznała w taki sposób, jakby przyznawała się do morderstwa. – Pierwszy raz tydzień temu...

Burzyński odwrócił głowę, by dać dziewczynie odpocząć od swojego spojrzenia. W swojej pracy poznał wielu dziwnych ludzi, wiele trudnych związków, niezrozumiałych motywacji. Nauczył się przyglądać i nie oceniać. Często milczenie było jedyną reakcją, na jaką mógł sobie pozwolić.

- A wtedy w lesie zatrzymaliście się na seks?
- Nie. Robiliśmy to tuż przed wyjazdem. W lesie zatrzymaliśmy się na siku, mówiłam już.
- Dobrze. – Burzyński uśmiechnął się. Wiedział już wszystko. Kaźmierczak podczas przesłuchania zapierał się, że nie musi płacić za seks, a miejsce, w którym się zatrzymał, było przypadkowe. Chabrzyk to potwierdzała. – To czas na ostatnie pytanie: kiedy zauważyłaś zwłoki?
- Wracałam do samochodu, zrobiłam kilka kroków i zauważyłam coś dziwnego. Nie wiem, dlaczego akurat spojrzałam w tamtą stronę, ale ta czaszka była okropna i tak wyraźnie odznaczała się na ziemi.
- Dziękuję, na dziś to wszystko. – Policjant spojrzał na zegarek. Powinien już opuszczać firmę.
- Proszę pana? To chyba dobrze, że musiałam za potrzebą biec do lasu, dobrze, że wpadłam na te zwłoki, przynajmniej teraz możecie złapać tego, co zabił, prawda?

* * *

- Każdą potrzebę trzeba zaspokoić. Jak ty zaspokajałeś swoje?
- Pytanie kobiety wybrzmiało w pokoju, a później zapadła złowroga cisza. Jakby mężczyzna rozważał, czy zabić kobietę przed udzieleniem odpowiedzi, czy zaraz po jej udzieleniu. Powietrze stało się gęste, a temperatura wzrastała z minuty na minutę za sprawą dwóch lamp na statywach.
- Najlepiej, jak umiałem – odezwał się w końcu, a jego rubaszny śmiech obijał się przez chwilę o ściany. – Przecież nie można stale żyć w napięciu. Poczucie niespełnienia zamienia się we frustrację, a ona potrafi zniszczyć nawet najtwardszego człowieka. Moje potrzeby były proste. Bodźce docierały z każdej strony. Kobieta mijająca mnie na ulicy, dziewczyna z teledysku... Cóż, mam umiejętność nadawania seksualnego znaczenia ludziom i sytuacjom w zupełnie zwyczajnych okolicznościach.
- Rozumiem. – Kobieta nawet przez chwilę nie pomyślała, że

igra z ogniem. – Myślisz, że stać cię na bardziej konkretne odpowiedzi?

– Chcesz konkretów? Proszę bardzo. – Wypuścił z siebie powietrze tak mocno, że uniosły się leżące na stole kartki z pytaniami. – Zaczynałem jak każdy seksoholik. Najpierw był seks z przypadkowymi dziewczynami. Uprzedzę twoje pytanie. Chętne cipki znajdziesz wszędzie. Na dyskotece, w barze, w pubie. Takich to nawet do hotelu nie musisz zabierać. Zamykasz się w kiblu, chwila moment i idziesz dalej.

Jeśli masz więcej czasu albo jesteś nieśmiały, używasz sobie w internecie. Wchodzisz na czat z dobrym nickiem i laski lecą do ciebie jak muchy do gówna. Mniej więcej dziewięćdziesiąt procent z nich umówi się na randkę, a później da się namówić na seks. Zrobią wszystko, by kupić sobie odrobinę uczucia.

Mężczyzna nawet nie ukrywał swojego przedmiotowego stosunku do kobiet. Przerwał na chwilę, a potem ciągnął dalej:

– Wiem, co zrobić, by laska poczuła się pożądana i chciała się rozebrać. Jestem koneserem kobiecego ciała. No dobra, nie będę się chwalił. W końcu okazało się, że przy moich potrzebach zbyt dużo czasu zajmuje mi poszukiwanie lasek do zaliczenia. W każdą trzeba zainwestować nie tylko czas, ale też kasę. Wiesz, po jednym piwie za pięć złotych laska nie pójdzie się z tobą pierdolić, nawet ci nie obciągnie. Potrzeba kilku wypasionych drinków, odpowiedniej gadki, uśmiechów.

Dziennikarka słuchała opowieści swojego gościa ze spokojem. Przygotowała się do tej rozmowy i dobrze wiedziała, czego może się spodziewać. Obserwowała jednak uważnie twarz rozmówcy. Twarz, na której malowała się obojętność.

– Po jakimś czasie przestało mnie to bawić – kontynuował mężczyzna. – Stwierdziłem, że skoro i tak muszę wydać na seks trochę kasy, to po co narażać się na ryzyko, że stracę czas i kasę na laskę, która w ostatnim momencie przypomni sobie o narzeczonym, moralności i innych pierdołach. Poza tym jestem konkretnym facetem. Wiem, czego chcę. Skoro seks i tak mnie

kosztuje, to lepiej wiedzieć od początku, jaka jest stawka i za co.

Najpierw zapłaciłem tirówce. Zatrzymałem się przy drodze, zagadałem pierwszą lepszą i już. Zrobiliśmy to. Było zajebicie. Bez problemów, udawanych uśmiechów. Napięcie zeszło. Żądza została zaspokojona. Szkoda, że na krótko. Szybko doszedłem do wniosku, że tirówki, jagodziany, nieważne, jak je nazwiesz... są jak łyk wódki, a przecież chciałoby się wypić przynajmniej cały kieliszek. Nie tak w przelocie, tylko usiąść przy barze i wypić.

Kolejny etap to dziewczyny z ogłoszeń prasowych. Idziesz do mieszkania i chlup. Niby to większy komfort, masz łazienkę, łóżko i nikt znajomy nie zauważy twojego samochodu przy trasie, ale jakość cichodajek była dla mnie zbyt kiepska. Wkurwiały mnie te proste laski. Większość z nich myślała, że ich praca polega tylko na użyczeniu na chwilę cipki. W końcu poszedłem do agencji z prawdziwego zdarzenia. Bezpieczeństwo, anonimowość, kultura i czysty ręcznik.

– A z żoną? Próbowalesz z nią?

– Uwierzysz, że te same czynności z żoną nie rozładowały napięcia?

– Okej. A sam fakt płacenia za seks ci nie przeszkadzał? – Kobieta nie rozumiała motywacji rozmówcy. – A może pomagał, co?

– Rozśmiesza mnie twoja naiwność. To tak, jakbyś zapytała mnie, czy nie przeszkadza mi to, że podczas pierdolenia spuszczam spodnie. Kobieto! Każdy facet płaci za seks. Jeden żonie, inny kochance, jeszcze inny kurwie. Tylko ten ostatni ma czysty układ. Mnie to odpowiadało.

– Do czasu, prawda? W końcu przestało ci wystarczać?

– Tak. Musiałem poczuć coś więcej, to było silniejsze ode mnie...

Akt 3

Auto Majewskiego mknęło lewym pasem trasy katowickiej z takim impetem, że inni kierowcy bez zwłoki zjeżdżali na prawy pas. Michał nie oszczędzał ani benzyny, ani silnika. Ciężką stopą cisnął pedał gazu. Sprawiało mu to ogromną przyjemność. Cieszył się przy tym jak pies spuszczonej ze smyczy. Jeżdżąc po mieście, nie miał wielu okazji, by delektować się sportowym duchem swojego samochodu. Gdy tylko się rozpędził, musiał hamować. Ograniczały go skrzyżowania i czerwone światła, drażnili niedzielni kierowcy.

Na dwupasmowej trasie czuł się sprawczą i moc wyrafinowanej technologii, która według producenta miała łączyć się z funkcjonalnością. Przynajmniej kilka razy dziennie, siadając za kierownicą, napawał się esencją włoskiego smaku i dbałością o każdy detal wnętrza. Giuletta była równie perfekcyjna jak on. Bez wątpienia była przedłużeniem jego męskości. Musiał ją mieć.

Chwilę po tym, jak minął Cinema City Kinopolis na obrzeżach miasta, dojeżdżał już do Kórnika. Zahamował, by bezpiecznie skrócić w prawo, a następnie, w chwili gdy pojawiło się czerwone światło, nacisnął gwałtownie gaz i pokonał skrzyżowanie. Zwolnił dopiero wtedy, gdy zbliżył się do miejsca, w którym odnaleziono denatkę.

– No, pokażcie się! – Otworzył okno od strony kierowcy i wystawił łokieć.

Wychodząc z Zakładu Medycyny Sądowej, pomyślał, że skoro w miejscu znanym z przydrożnej prostytutcji znaleziono kości

kobiety, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że należą one do jednej z przedstawicielek najstarszego zawodu świata. Chciał przepytąć pozostałe dziewczyny urzędujące w tej części lasu, by potwierdzić hipotezę śledczą. Nie mógł tego zrobić wcześniej, bo zniknęły z trasy, zanim na miejsce zdarzenia dojechał radiowóz.

Liczył na to, że tirówki szybko wrócą do pracy, by nadrobić straty finansowe. Nie mylił się. Zauważył przy drodze trzy kobiety. Chuda stała tyłem, dwie pozostałe, widocznie zmęczone życiem, ożywiły się nieznacznie na widok zwalniającego auta i zaczęły zachęcać potencjalnego klienta.

Zawahał się, zwolnił do dziesięciu na godzinę, ale nie zatrzymał samochodu. Zlustrował tirówki uważnie i uznał, że są zbyt zniszczone. Nie kierował się względami estetycznymi, lecz policyjnym doświadczeniem. Zniszczenie w ich zawodzie zwiastowało duże doświadczenie, a to z kolei oznaczało problemy. Nie będą chciały rozmawiać z policjantem. Nie przestraszą się policyjnej odznaki. Nie chciał ich przepłoszyć – wiedział, że ma tylko jedno podejście. Jeśli źle zacznie rozmowę, panny nabiorą wody w usta i znikną z drogi na dłuższy czas.

Rozłożył ręce, by pokazać, że stracił zainteresowanie, i odjechał. Chuda kobieta krzyknęła za nim:

– Ciota!

Kilkaset metrów dalej, po drugiej stronie drogi dziewczyna w minispódniczce siedziała na kamieniu. Sama. Zawrócił i zaparkował na poboczu. Podeszła do jego samochodu.

– Na co masz ochotę, kochanie? – spytała.

Nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Nie była zbyt atrakcyjna. Wałek tłuszczu wylewał się nad paskiem spódniczki. Duży dekolot odkrywał jej największy atut. Majewski rozejrzał się uważnie.

– A ile bierzesz?

– To zależy, czego chcesz.

– Nie wiem... – Seksownie zawiesił głos. Chciał informacji. Gdyby przyznał się do tego w tej chwili, dziewczyna przestałaby z nim rozmawiać. – A co masz?

– Za loda biorę cztery dychy.

– Jak masz na imię?

– Wera.

– Ładnie.

– Masz cztery dychy, kochanie? – Dziewczyna znała się na swoim fachu. – Bo jeśli nie, to... – Pokazała mu, że odejdzie. Widać nie miała zamiaru tracić czasu. Czas to pieniądz, także (a może zwłaszcza) w przydrożnym punkcie usług seksualnych. Przedłużanie bezpłatnej rozmowy oznacza przecież stratę przejeżdżających potencjalnych klientów.

– Siadaj! – Pokazał jej swój portfel i zaprosił do samochodu.

Obeszła auto, patrząc na Majewskiego spod przymrużonych powiek. Dawno nie widział tak kiepsko udawanej zmysłowości. Chwilę później usadowiła się bokiem na siedzeniu pasażera i oblizując usta, wpatrywała się w jego rozporek. Nad włoską esencją wyrafinowanej tapicerki uniósł się zapach przetrawionego alkoholu. Dziewczyna była spocona.

– Słuchaj, Wera... – Zablokował drzwi, by nie uciekła z samochodu. – Jestem z policji. Potrzebuję twojej pomocy. Spokojnie, nic ci nie grozi. Pewnie wiesz, że znaleźliśmy tu... hm, ciało. – Uznał, że nie będzie zapoznawał jej ze szczegółami prowadzonej sprawy.

– A powinnam wiedzieć? – Z jej twarzy zniknął uśmiech. Straciła zainteresowanie rozporkiem Majewskiego. Patrzyła przed siebie, udając obojętność.

– Dobrze by było, gdybyś wiedziała. Słuchaj, czy przypadkiem w ostatnich dniach, może tygodniach nie zaginęła któraś z twoich koleżanek? Albo może kręcił się tu jakiś podejrzany klient? Bardziej agresywny na przykład?

– Nie chcę z tobą gadać.

Dziewczyna złapała klamkę, ale nie mogła otworzyć drzwi. Majewski sam chętnie by je otworzył i wpuścił choć trochę świeżego powietrza. Bał się, że zapach dziwki wsiąknie w tapicerkę i zostanie w niej na dłużej.

– Wera! O ile w ogóle masz tak na imię. Posłuchaj mnie przez chwilę i sama oceń sytuację. Nie jestem twoim wrogiem. Nie zabieram cię do komendy. Nie wypytyuję o alfonsa. W tym lesie jest niebezpiecznie. Najprawdopodobniej grasuje morderca. Twoje życie jest zagrożone. Możesz być następna.

– Nie żartuj. – Dziewczyna roześmiała się. – Moje życie będzie zagrożone, jeśli będę gadać z psami. Na bank. Gdyby alf dowiedział się o naszej rozmowie... Nawet boję się myśleć, co by mi zrobił.

– Nikt, kuźwa, nie musi wiedzieć, że gadasz z gliną. Przyjeżdżam do ciebie się spuszczać. Proste, prawda? – Młody uniósł głos, by zapanować nad histeryczną reakcją dziwki. – Zerknij, proszę, chociaż na to zdjęcie. Widzę, że jesteś bystra. Wiem, że możesz mi pomóc. Nie zaszkodzę ci. A może kiedyś pomogę? Co ty na to? Zobacz. – Majewski znalazł w telefonie fotkę, którą zrobił Kaźmierczakowi. – Widziałaś go tu kiedyś?

Dziewczyna przez dłuższą chwilę biła się z myślami, aż w końcu odezwała się zupełnie innym niż wcześniej, całkiem słabym głosem:

– Myślisz, że to on może być mordercą? – Nie odrywała oczu od wyświetlacza telefonu. Jakby chciała zapamiętać możliwie najwięcej szczegółów.

– Sprawdzamy wszystkie tropy. Być może.

– Słyszałam o trupie w lesie. Gdy tylko pojawił się pierwszy radiowóz, alf nas stąd zabrał. Każda z nas ma swój teren, nie wchodzimy sobie w paradę. Nie widziałam nigdy tego faceta. Boję się. – Słaby głos przeszedł w płacz.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Znasz wszystkie dziewczyny z okolicy? Może któraś zaginęła?

– Nie wiem, nie słyszałam o zaginięciu. W tej branży dziewczyny odchodzą, przychodzą.

– Dobrze, podpytaj inne dziewczyny i opiekuna.

- Boję się.
- Spróbuj! Miej oczy i uszy otwarte. Ktoś coś widział. Jestem pewien. Przecież stoicie tu codziennie. Ktoś te zwłoki musiał przywieźć.
- Tak, prawie codziennie. Spróbuję, ale nie obiecuję. Jeśli ktoś się dowie, że...
- Nie dowie się. - Dotknął jej ręki. - Nie wciągnę cię na oficjalną listę ucholi. Zawsze mogę przyjechać do ciebie niby na loda, jestem facetem, nie widać?
- No tak... ale musi mi się zgadzać w finansach.
- Dobra, dam ci dziś trzydzieści złotych, na konto przyszłej współpracy. Zastanów się.
- Pomyślę, ale... jeśli alf się dowie, to połamię mi nogi i zmasakruje twarz.

* * *

- Jesteśmy już na antenie, Rafale, podobno chcesz powiedzieć coś swojej partnerce. - Tubalny męski głos rozbrzmiewał w głośnikach.

Był to głos niski, jak zwykle się mówi: radiowy. Łagodnie pieścił zmysły. Nieważne, co mówił, brzmiał tak, jakby wydobywał się z ust niezwykle przystojnego mężczyzny.

- Już mogę mówić? Aniu, chciałem cię przeprosić. Jestem palantem, ale pamiętaj, że cię kocham.

Wypowiedź słuchacza nie brzmiała zbyt atrakcyjnie. Brakowało mu odpowiedniej dykcji.

- Nie będę wyduszać z ciebie, Rafale, tłumaczenia, co takiego zmalowałeś. Mam nadzieję, że Ania ci wybaczy. Wybrałeś dla niej muzyczny prezent. Co to będzie?

- *Take my breath away.*

- Piękna piosenka. W takim razie posłuchajmy razem...

- Przepraszam, mogę jeszcze coś dodać?

- Dodawaj, jeśli musisz!

- Aniu, pamiętasz tę piosenkę, prawda? Chciałbym się cofnąć

w czasie. Wrócić do tamtych chwil...

– Rafał cofa się w czasie! – Tubalny głos bezczelnie przerwał chłopakowi. Prowadzący audycję nie zastanawiał się nad wagą problemów miłosnych, które słuchacz próbował rozwiązać. Liczył się czas antenowy. – Ania mu wybacz, a wy posłuchajcie zespołu Berlin.

W salonie panował półmrok. Tylko podłogowa, odrobinę skrzywiona lampa z Ikei rzucała romantyczne światło. Łagodna muzyka rozlewała się po pokoju, odbijała się od regału z książkami, muskała komodę, telewizor i trafiała na skórzaną sofę.

Przemysław i Izabela Burzyńscy dawno nie siedzieli tak blisko siebie, na jednej kanapie, zaledwie na wyciągnięcie ręki. Na ławie stała butelka czerwonego wina i jeden kieliszek. Drugi znajdował się w rękach Izy. Palcem wskazującym przesuwiała po krawędzi, jakby dotykiem chciała poznać jego kształt.

– Facet musiał nieźle nawywijać. – Burza westchnął i skupił się na hipnotycznych kółkach, które wykonywał palec jego żony. „Zawsze ma pomalowane paznokcie” – pomyślał.

– Noooo, pewnie to ich piosenka. Pamiętasz naszą?

– Naszą?

Świadomość Burzyńskiego poderwała się nagle z błogiego uśpienia i zaczęła nerwowo poszukiwać odpowiedzi. Ze zbioru kilkunastu piosenek ważnych dla nich w różnych okresach życia musiał wybrać jedną, dokładnie tę, o której myślała żona. W przeciwnym razie narażał się na ryzyko kolejnych zarzutów z jej strony.

– Masz na myśli... – Próbował złapać koło ratunkowe.

– Naszą pierwszą piosenkę.

– Pierwszą? – Uspokoił się. – Oczywiście. Nie mógłbym jej zapomnieć. Kylie Minogue wyśpiewywała w dwa tysiące drugim roku moje myśli. *Love at the first time*.

– Pamiętasz? Jak miło. – Odłożyła kieliszek i przytuliła się do niego. – Gdy cię wtedy zobaczyłam, wiedziałam, że będzie

między nami coś ważnego.

Przemysław odwzajemnił uścisk. Berlin przestał śpiewać, a on nie mógł otrząsnąć się z melancholijnego nastroju. Tyle lat minęło od chwili, gdy koleżanka, której imienia już nie pamiętał, przedstawiła mu Izę. Flirtowali, zaczęli się spotykać, wkrótce zdobył jej serce. Potem wszystko potoczyło się szybko: ślub, dzieci.

– Przem, co się z nami stało?

Pytanie Izy zawisło w powietrzu jak nieproszony gość.

Faktycznie, chcieli żyć długo i szczęśliwie.

– Nie wiem, kochanie.

W rzece codzienności utopili plany i marzenia. Zagubili siebie. Jego chorobliwy pracoholizm sprawił, że przestał ją zauważać. Liczyła się tylko praca. Wszystko inne było na szarym końcu. Nawet nie na drugim miejscu. Bycie policjantem angażowało Burzyńskiego w całości. Wielokrotnie obiecywał poprawę. Tyle samo razy musiał przeproszać i tłumaczyć, dlaczego tym razem nie dotrzymał obietnicy.

Początkowo Iza przyjmowała przeprosiny, a nawet sama go usprawiedliwiała. Z czasem jednak jego słowa straciły znaczenie, zamieniły się w pusty, nic nieznaczący bełkot. Przestała traktować go poważnie. Została sama ze wszystkim. Zajmowała się bliźniaczkami, pracą, domem, zakupami. Nie mogła liczyć na pomoc męża. Nie podobało jej się to. Nie powstrzymywała się od wyrażania swojego niezadowolenia.

Przemysław słuchał jej wyrzutów i nie mógł pozbyć się myśli, że powodem jej niezadowolenia jest jego własna nieudolność. Gdyby miał na swoim koncie spektakularne sukcesy, gdyby był sławny albo przynosił do domu dużo pieniędzy, Iza nie narzekałaby na jego pracoholizm. Pracował więc coraz więcej, z myślą, że w końcu wypracuje sukces i udowodni kobiecie swojego życia, że jednak jest prawdziwym mężczyzną.

– Myślisz, że mamy jeszcze szansę poczuć to, co kiedyś? – Głos Izy brzmiał jak szept nieśmiałej dziewczynki.

Miesiąc temu, gdy Burzyński pełen ekscytacji i pasji wrócił z pracy do domu, żona stanęła w korytarzu i zapytała o przyziemną sprawę, urodzinowe prezenty dla córek. W jednej chwili z jego twarzy zniknęły wszelkie pozytywne emocje. Ich miejsce zajęły przygnębienie, znudzenie i niechęć. Iza nie mogła tego zlekceważyć. Nie chciała dłużej go unieszczęśliwiać. Zdecydowała, że nie będzie dla niego ciężarem. Ani ona, ani dziewczynki.

– Ty mi powiedz. – Przemek spojrzał Izie prosto w oczy.

– Ja?

– Nie czułaś tego na Majorce?

– Przemo, na wakacjach było cudownie. Wyjaśniliśmy sobie wiele spraw. Przez dwa tygodnie byliśmy tylko my. Ty, ja i dziewczynki. Brakowało mi tego. Dawno nie było tak miło.

– Wiem, że wielu obietnic nie dotrzymałem, ale wtedy, gdy zdecydowałaś się odejść, obiecałem, że się zmienię. Miałem skończyć sprawę i wyjechać z wami na dwutygodniowy urlop. Tak zrobiłem.

– Zgadza się. Było wspaniale, przyznaj!

– Tak.

Było miło, ale bez dzieci byłoby lepiej. Takiej odpowiedzi chciał udzielić. Powstrzymał się jednak. Chodził po świecie już ponad trzydzieści osiem lat i wiedział, że w życiu nie zawsze prawda jest najważniejsza. Czasem cenniejszy jest spokój.

– To były bardzo miłe dwa tygodnie. Starąłem się dzielić ten czas między wszystkie moje kobiety.

– Dziewczynki były zachwycone twoją uwagą. Ja zresztą też.

– Starąłem się, jak mogłem. Nadal się staram.

– Widziałam, widzę i doceniam to. Wiesz, powoli zaczynam czuć, że mam szansę wygrać konkurencję z twoją pracą.

– Cieszę się.

Przemysław po raz kolejny chciał powiedzieć coś więcej. Pragnął wytłumaczyć Izie, ile kosztuje go stosowanie się do jej zasad. Chciał zapytać, dlaczego ona dopiero „powoli zaczyna

czuć”, skoro on tak bardzo się stara.

– Widzisz, plan zasad nam pomógł. – Iza wyglądała na zadowoloną. – Dobrze, że wpadłam na ten pomysł. Bałam się, że bez psychologa sobie nie poradzimy.

– Tak, zasady pomagają. Jesteś cudowna.

Przemysław pocałował żonę. Nie mógł po raz kolejny stracić kobiety i dzieci. Uznałby to za swoją największą porażkę. Gdyby stracił ją, straciłby też siebie. I sens życia. Dlatego zgodził się na te pieprzone zasady współżycia rodzinnego, które wisały na lodówce.

* * *

– Ta skrzynka będzie hitem! – Tomek Kolanowski nie posiadał się z radości. – Lepsza od innych.

– Nawet sobie nie zdajesz sprawy jakim – burknął od niechcienia Major.

Marcin Gryczyński czuł się znudzony, jakby siedział w kinie i czekał na zakończenie kiepskiego filmu. Zdziwiony obserwował kolegów. Nie miał wątpliwości, że są bardzo podnieceni. Widział ich emocje, ale ich nie rozumiał. Ubolewał nad tym, że musi wytrwać do końca. Najchętniej poszedłby już do domu.

Major tyle razy opowiadał mu o przyjemności płynącej z czegoś, co nazywał okeszowywaniem niedostępnych miejsc, że postanowił spróbować. Przyłączył się do wyprawy, ale już po kwadransie wiedział, że to nie jest rozrywka dla niego. Nie odczuwał żadnej satysfakcji, gdy przedzierał się przez zarośnięty kawałek lasu w środku miasta i oglądał zrujnowane fortyfikacje obronne. Nie mógł udawać obojętności wobec wszechobecnego smrodu.

– Dobra, czyli najpierw w opisie wrzucę trochę rysu historycznego fortu, a potem nasze wskazówki.

– Dopisz też, że to trudny teren.

Major i Kolanowski cieszyli się jak mali chłopcy. Przeciskali się przez krzaki, podziwiali ruiny, wygłupiali się, jakby nagle

ubyło im przynajmniej dwadzieścia lat. Wydawało się, że na terenie fortu są sami. Była to zapewne zasługa pory dnia. Bezdomni sypiający w zakamarkach obiektu już dawno się wynieśli, a młodzi amatorzy napojów wyskokowych z pobliskich osiedli schodzili się na mniej lub bardziej spontaniczne imprezy nieco później.

– To gdzie to schowamy?

– A jakie to ma znaczenie? – spytał Marcin. – Skrytka to skrytka.

– Miki – oburzył się Major – nie skrytka, tylko kesz. Zapamiętaj. Kesz. Nie kesz w znaczeniu kasy. Kesz od *geocache*, czyli taki wodoodporny pojemnik, w którym chowamy prezenty i dziennik. Każdy, kto odnajdzie kesza, może wpisać się na listę odkrywców, by zostawić po sobie ślad. Może coś z kesza wyjąć, coś do niego wrzucić. Dlatego miejsce, w którym jest kesz, ma ogromne znaczenie. Zobaczcie – chłopak odłożył na ziemię czarny pojemnik przypominający bidon, a z kieszeni dżinsowych spodenek wyjął zapisany kawałek papieru – to będą współrzędne kesza, a to dodatkowa wskazówka.

– Czyli że od tego znaku na ścianie trzeba zrobić trzy kroki w lewo, skrócić o czterdzieści pięć stopni i pod pierwszym drzewem znaleźć kesza. – Tomek odczytał kartkę, oddał ją Marcinowi i zaczął iść przed siebie.

Major zapalił papierosa. Marcin nie chciał wyjść na nieprzystosowanego do otoczenia, więc rzucił okiem na kartkę z udawanym zainteresowaniem.

– Zaraz, chłopaki, to przecież nie tak – zaprotestował.

– Co nie tak? – Major i Tomek zareagowali jednocześnie.

– Ta wskazówka nie jest jednoznaczna. Skrócić o czterdzieści pięć stopni można w dwie strony. Ty poszedłeś w lewo, a ja pójdę w prawo aż do pierwszego drzewa...

Jak powiedział, tak zrobił.

– Miki, skrzynka ma być tu, nie tam! – Major zaprotestował.

Marcin miał już na oku pierwsze drzewo. Musiał jeszcze

pokonać niskie zarośla, by stanąć bezpośrednio przed nim i pokazać, o jaką dużą różnicę w interpretacji zapisów chodzi. Ale jedyne, co był w stanie powiedzieć po wejściu w krzaki, to krótkie, acz dosadne:

– Oooo! Kurwa!

– Co? Wdepnąłeś w gówno?

– Ja, kurwa, już za geocaching, kurwa, dziękuję. Ale wam, kurwa, znalazłem kesza... Kurwa, Major, powiedz, kurwa, że to jakiś popierdolony żart.

Gryczyński nie mógł opanować słowotoku ani odpowiedzieć na pytanie kolegi. Powtarzał w kółko „kurwa” i „kurwa”, mimo że wcześniej wcale nie kłął. Major i Kolanowski podeszli do niego.

– Co to jest?

– Ty mi, kurwa, powiedz, Major!

Mężczyźni stali nad nadpsutym ludzkim ciałem. Nagim, sinym i opuchniętym. Wszystkie ich zmysły odpierały zmasowany atak.

– To jest obrzydliwe.

– Kurwa, trzeba zadzwonić na jebaną policję...

* * *

Przemysław Burza Burzyński nie potrafił wyobrazić sobie, jak to miejsce mogło wyglądać w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, w nocy z trzynastego na czternastego lutego, kiedy podczas bitwy o Poznań oddziały radzieckiego pułku piechoty wraz z bateriami haubic szturmowały fortyfikacje obronne. Fort V poddał się po dziesięciu godzinach walki.

Jedno było pewne. Około trzystu rannych pozostawionych wtedy w obiekcie robiło na napastnikach tak samo małe wrażenie jak znalezione dziś zwłoki mężczyzny na policjantach. Zwycięzcy w czterdziestym piątym pozwolili pokonanym poruszającym się o własnych siłach opuścić fort. Resztę spalili żywcem. Policjanci machinalnie wykonywali swoje zadania. Kolejne zwłoki. Kolejne miejsce zdarzenia, które trzeba

zabezpieczyć. Nikt nie rozpatrywał ciała zabitego mężczyzny w kategoriach ludzkiej tragedii.

Michał Majewski odczekał w samochodzie, aż wybrzmia ostatnie dźwięki utworu *Impossible*. Dopiero gdy zamilkła gitara, a słowo *impossible* poszybowało ku górze, wyłączył radio. Zastanawiał się nad tym, co jest silną stroną Jamesa Arthura. Jak można tak publicznie obnażać swój ból? Jak można tak otwarcie mówić o złamanym sercu? I jeszcze odnosić sukces. No chyba że to wszystko jest udawane? Ból, emocje i nawet szczerłość w głosie. Przecież też tak potrafił. Mógłby rozmiękczać dziewczyny opowieściami o nieszczęśliwej miłości. Oczywiście wymyślonej, bo prawdziwej nie miał szansy przeżyć. Nigdy nie angażował się w związek. Zawsze był silnym samcem pokazującym samicom to, co chciały zobaczyć – prawdziwego mężczyznę. Macho z wysokim poziomem testosteronu.

– Ale miejsce... – Młody podszedł do zwłok i omiół spojrzeniem najbliższą okolicę.

– Dobre jak każde inne – filozoficznie odpowiedział skupiony podkomisarz.

Charakterystyczne „klik” rozlegało się z taką częstotliwością, jakby wycieczka Japończyków przejeżdżała właśnie obok Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie i uwalniała migawki aparatów fotograficznych.

– Dla kogo dobre, dla tego dobre. Dla mordercy na pewno. Zalesiony i opuszczony teren w środku miasta. – Majewski nie odpuszczał. – Dla miasta to wstyd, żeby przy Lechickiej, jak by, kuźwa, nie było, tranzycie, głównej arterii komunikacyjnej miasta, był taki bajzel.

Policyjny technik o twarzy wypranej z kolorów obchodził wokół miejsce zdarzenia i metodycznie przygotowywał dokumentację fotograficzną. Efekt jego pracy, sarta zdjęć, miał trafić do akt sprawy. Dbał więc o każdy szczegół. Wiedział, że tylko jego aparat może zapamiętać dokładne ułożenie źdźbeł trawy, ciała czy odcisk butów. Dzięki jego zdjęciom w każdej

chwili, na każdym etapie śledztwa będzie można cofnąć się w czasie i wrócić na miejsce zdarzenia, by odkryć rzeczy dotychczas niezauważone.

– Wiesz co, Młody? Ty już lepiej nic nie mów. – Podenerwowanie chłopaka drażniło Burzyńskiego. – To miejsce było najlepiej zachowanym obiektem pruskiego pierścienia umocnień. Oczywiście do czasu. Na początku lat sześćdziesiątych przyszedł taki mądry jak ty i uznał, że fort przeszkadza mu w budowie planowanej północnej obwodnicy Poznania. Wysadził wszystko w powietrze. I teraz, proszę bardzo, masz ruiny, bo droga nie powstała.

– Mam ruiny i nagiego denata.

Dźwięk migawki aparatu fotograficznego rozległ się tuż za policjantami. Odwrócili się jednocześnie w stronę technika kryminalistycznego. Majewski dopiero teraz zauważył, że mężczyzna jest bardzo brzydki. Nie dość, że ma rude włosy, to jeszcze jest przezroczyście blady.

– Staszek, co masz? – Burzyński uściśnął dłoń kolegi.

– Oprócz setek petów, zużytych prezerwatyw, fekaliów, śmieci? – Bładzioch wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Burzy. – Niewiele konkretów.

Gdy jego spojrzenie padło na Młodego, uśmiech momentalnie zszedł mu z twarzy, a białe rzęsy skryły niebieską tęczę.

– No tak. Dobra, Młody, koniec dyskusji. Zabieramy się do roboty.

– Tak jest. Przystępuję do badania miejsca zdarzenia o charakterze kryminalnym. – Młody nie byłby sobą, gdyby nie popisał się wiedzą teoretyczną. – Proces składający się z operacji cząstkowych o charakterze taktycznym i technicznym – zacytował paragraf pierwszy artykułu 308 kodeksu postępowania karnego – wychodzących poza potoczne rozumienie oglądania uważam za rozpoczęty. Uruchamiam wszelkie zmysły.

– Młody! – Burza zganił kolegę. – Zamknij mordę!

Chwilami zastanawiał się, jak wytrzyma z tak zarozumiałym partnerem. Szczerze nienawidził pozerów. Bajerancki samochód Michała, jego ciuchy i uśmiech pojawiający się zawsze, gdy na horyzoncie zauważał kobietę przed menopauzą – wszystko to go wkurzało. Chłopak wychowywał się pod parasolem ochronnym rodziców i chrzestnego. Niewiele wiedział o trudach życia codziennego. Ledwo o czymś pomyślał, wyciągał rękę i dostawał to, bez starań, bez oczekiwania, bez cienia pokory.

Burzyński potrzebował kilku chwil w samotności, by się uspokoić. Przyjrzał się denatowi oraz okolicy. Po kwadransie podszedł do skupionego Młodego.

– I jakie wnioski, Sherlocku?

– Brak krwi na ciele i w okolicy może oznaczać, że ten facet został tu przetransportowany już po śmierci.

– Ofiara – skorygował Burzyński. Mimo kilku miesięcy w policji Młody nie potrafił zachować dystansu do pracy. Nadal mówiąc o poszkodowanych czy ofiarach, używał ich nazwisk. Burzyński wielokrotnie tłumaczył mu, że ofiara musi być ofiarą, bez imienia i nazwiska, chociażby dla higieny psychicznej policjanta. – A gdzie go zabito?

– Tego jeszcze nie wiem. Ktoś podrzucił tu ciało. Nagie. Kuźwa, facet nie jest mały. Znaczący się denat. Było co dźwigać. Sprawca musiał przyjechać samochodem. Nie niósłby nagusa, bo ktoś by go zauważył i zapamiętał.

– Zgadza się. Jeśli odpowiemy na pytanie, po co ktoś tu podrzucił zwłoki, będziemy bliżej zabójcy. Poznamy jego motywację. Dlaczego akurat tu zostawił denata?

– Burza, wiadomo, że pytania można mnożyć w nieskończoność. Po co? Kto? Kiedy? Jak? Dlaczego tu?

Przemysław nie musiał wymyślać pytań. Lata doświadczeń sprawiały, że na początkowym etapie śledztwa raczej bronił się przed automatycznymi, sztampowymi odpowiedziami. Bronił się, by nie ulegać stereotypom. Na opuszczonym terenie starego

fortu wojskowego znaleziono martwego mężczyznę. Ktoś zadał sobie dużo trudu, by przetransportować bezwładne osiemdziesiąt kilo człowieka. Motyw seksualny, na który wskazywała nagość, Burzyński wykluczył w pierwszej minucie oględzin. Denat miał na brzuchu dwa ogromne ukośne nacięcia, układające się w rozplaszczoną literę X. Nacięcia były zszyte byle jak. Burzyński sam lepiej fastrygował brzegi rozdartych skarpetek. Denat ewidentnie musiał mieć pecha. Znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie i wpadł w ręce jakiegoś psychologa.

– Młody, co robisz? – Niecodzienny widok oderwał Burzę od osobistych przemyśleń.

Michał Majewski kucał przy trupie i z zamkniętymi oczami poruszał głową to w prawo, to w lewo.

– Analizuję.

– Z zamkniętymi oczami?

– Używam wszystkich zmysłów. Pomyśl, dlaczego zabójca położył ciało właśnie w tym miejscu? Miejsce zbrodni ma ogromne znaczenie.

– Zbrodni, a nie znalezienia zwłok. Ustaliliśmy przecież, że ten facet nie został zabity tutaj.

– No tak, ale zabójca tu stał. Coś czuł? Coś widział? Chciał zostawić ciało w tych krzakach? A może szedł w inne miejsce, ale ktoś go przestraszył i porzucił je tu? Może miał inny plan?

Młody oczyma wyobraźni widział tę scenę. Noc. Ulubiona pora złodziei i innych ludzi o czarnych myślach. Godzina trzecia. Mężczyzna większy od leżącego przed nim zrzuca zwłoki z ramienia. Odchodzi, nawet nie oglądając się za siebie. Jest zadowolony. Staje w bezpiecznej odległości i paląc papierosa, spogląda na swoje dzieło. Naciął ofierze brzuch. Męczył się przy tym, ale wysiłek się opłacił. Chciał przecież przekazać wiadomość. A skoro chciał ją przekazać, musiał umieścić zwłoki w takim miejscu, by zostały szybko zauważone.

– Czuję, że morderca chce coś nam powiedzieć.

– Czujesz?

– Czuję.

– Taaa, faktycznie. A ja czuję, że jestem w pierdolonym przedszkolu policyjnym. Młody! Mówiłem ci niejeden raz. Chcesz? Powtórzę po raz kolejny. Przestań oglądać amerykańskie filmy kryminalne. W mentalistę się bawisz? Pieprzoną wróżką jesteś? Masz połączenie z mózgiem zabójcy? – Ton Burzyńskiego dawno przeszedł z zawodowego w prywatny. Dokładnie w taki sam sposób beształ córki. – Pracujesz w polskiej policji. Realia są takie, a nie inne. Praca operacyjna. Czynności procesowe.

– Ale... – Chłopak nie miał nawet szans, by przebić się przez słowotok starszego kolegi.

– Nawet jeśli raz ci wyszło to twoje penerskie, intuicyjne podejście, to nie znaczy, że powinieneś robić to ciągle. Miałeś przecucie w sprawie Leny Pietrzak. Okej. Świetnie. Możesz się cieszyć.

Michał Majewski stał ze spuszczoną głową, wpatrując się w swoje kolorowe all starsy. Kolekcjonował conversy. Te, które miał dziś na sobie, z flagą USA, przywiózł ze Stanów. Przyglądał się tenisówkom, by umilić sobie oczekiwanie. Nie zamierzał wdawać się w niepotrzebne dyskusje. Był przekonany, że wie lepiej, ale nie zamierzał teraz o tym mówić. W tej chwili musiał jedynie przeczekać napad złości partnera.

– Ale jeśli myślisz, że dostosujemy śledztwo do twoich przecuć, to się mylisz. Czujesz coś? Czuj to po godzinach. W ramach zabawy, nie pracy. Nie za to nam płacą. Nie rozliczają z widzimię, przecuć, odczuć i babskiej intuicji. Czego cię uczyli w szkole policyjnej? Mamy zabezpieczyć ślady i dowody.

– Burza – odezwał się w końcu delikatnie i słodko – nie wkurzaj się. Mówię tylko na głos to, co czuję. Wiesz dobrze, że nie sztuką jest wskazać oczywiste ślady, sztuką jest znaleźć te niewidoczne.

– Niewidoczne, a nie wymyślone!

Podkomisarz chętnie kontynuowałby wykład dotyczący pracy

w policji, ale zauważył, że na miejscu zdarzenia pojawił się patolog, Krystian Romanowski. Wysiadł z samochodu i podążył w ich stronę, z daleka krzycząc:

– Witam serdecznie!

– Dobra, Młody – szepnął Burzyński. – Czekał na prokuratora, ja zmykam, muszę coś jeszcze załatwić. Widzimy się w komendzie.

* * *

– Sam powiedziałeś, że musiałeś zrobić coś więcej. Jak się czułeś, gdy robiłeś właśnie TO?

Dziennikarka zadała kolejne pytanie. Nie miała ochoty usłyszeć odpowiedzi, jednak telewizja rządzi się swoimi prawami, a ona starała się zachowywać profesjonalnie. Wiedziała, że jeśli zgrabnie pokieruje rozmówcą, telewidzowie będą słuchali jego opowieści z otwartymi ustami. Nie odejdą sprzed telewizora ani na chwilę. Nie wyjdą nawet do kuchni, by zrobić sobie drugą herbatę. Będą słuchali uważnie, by nie uronić ani słowa. Dopiero po zakończeniu wywiadu zaczną prowadzić burzliwe dyskusje o mężczyźnie i o niej samej przez długie tygodnie.

– Jak pan świata... Kurwa, to był szczyt spełnienia, wymieszany z zadowoleniem i dumą. Niebezpiecznie uzależniająca mieszanka. Dużo bardziej niż alkohol, prochy czy orgazmy. Czułem się jak drapieżnik. Jak człowiek, który odnajduje w sobie siłę. Wiesz, żyje sobie w pieprzonym komercyjnym świecie, gdzie wszystko można kupić, i nagle odkrywa, że sam, swoimi rękami może zrobić... wszystko. Odkrywa w sobie człowieka pierwotnego. Przecież nasi przodkowie żyli inaczej. Mężczyzna polował. Zasadzał się na zwierzę. Cekał na odpowiedni moment i dawał z siebie wszystko. Zużywał cały testosteron. Umazany krwią wracał do domu z upolowaną zdobyczą. Budził podziw. Nie tylko otoczenia, ale przede wszystkim swój własny. Przecież każdy inteligentny

facet porywający się na coś dużego potrafi ocenić ryzyko. Tchórz zrezygnuje. Odważny jest w stanie je podjąć. Gdy wygra, gdy osiągnie to, co sobie zamierzył, gdy może olać ryzyko ciepłym moczem... dopiero wtedy czuje się facetem. Takim, wiesz, stuprocentowym samcem. A samiec musi spuszczać z siebie napięcie. Musi kopulować. Taki stuprocentowy musi mocniej, więcej i bardziej... by w ogóle coś poczuć. Robiłem TO. Nie wiem, czemu akcentujesz TO. Uczucie satysfakcji po wszystkim było tak ogromnych rozmiarów, że bez problemu usuwało niewielki dyskomfort związany z tym, że robię coś nie do końca zgodnego z normami współżycia społecznego. Współżycia. – Mężczyzna zawiesił głos i przesłał dziennikarce uśmiech pełen zadowolenia.

– Nie miałeś poczucia winy, że zostawiasz TO za sobą i wychodzisz?

– Nie wiem, o czym mówisz. Zrozum! Ludzie zabijają krowy. Potrzebują ich mięsa, ale nie dlatego, by przeżyć. Przecież mogliby wpieprzać zieleninę. Chcą mięsa, bo takie jedzenie sprawia im przyjemność. Kto pogardzi krwistym stekiem? Jakos nikt nie zastanawia się nad tym, czy krowa coś czuje, czy za matką krową nie będą tęsknić jej krowie dzieci. Nasze społeczeństwo jest obłudne. Zabija, by zaspokoić żądzę jedzenia. Ja miałem inną żądzę. Dlaczego nie miałbym jej zaspokajać?

– A twoja żona?

– Dziękuję, ma się dobrze. Żyje. – Perlisty śmiech rozluźnił wszystkie mięśnie na jego twarzy. – Pytałaś już o nią.

– Tak, bo nie daje mi to spokoju. Żona nie wiedziała, że dzieje się coś... niepokojącego? Nie podejrzewała, że jest coś, co kręci cię dużo bardziej niż ona?

– Nie wiem. Moja żona jest piękna, zadbana i wykształcona, podobnie jak ja. Nie jest głupia. Nigdy jednak nie rozmawialiśmy na ten temat. Nie pytała. Nie dzieliła się podejrzeniami. Nie czuła się zaniedbywana. Może właśnie o to chodzi. Nie czepiała się. Nie miała na to czasu. Nie pracowała, ale i tak była ciągle zajęta.

Na pewno mogłaby coś zauważyć. Ale prawdopodobnie nie chciała. Codziennie zostawiałem jej kilka stówek na stole na bieżące wydatki. Chodziła do kosmetyczki, fryzjerki, na zakupy. Dawałem jej finansową wolność, ona odwdzięczała się tym samym... nieograniczoną wolnością... bez pytań i tłumaczeń. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie wiem, może nie chciała niczego zauważyć, bo tak było wygodniej? Może nie chciała, by dopadła ją dołująca rzeczywistość? Ona wyznaje zasadę, że pieniądze nie śmierdzą. Niewykluczone, że nie pytała, bo wiedziała, że się nie przyznam. Nie chciała słuchać kłamstw. Pieprzyłem ją od czasu do czasu. Zachowywałem pozory dobrego męża. Małżeństwo ma na szczęście to do siebie, że w miarę upływu lat częstotliwość seksu spada. Oczywiście nie można też wykluczyć, że moja żona wiedziała o wszystkim, ale zwyczajnie miała mnie w dupie. Dostawała wszystko, by zaspokajać własne potrzeby, i cieszyła się, że ja swoje zaspokajam bez zawracania jej głowy.

– Pieniądze zapewniały spokój. Pieniądze zamiast miłości.

– A co w tym dziwnego? W dzisiejszym świecie to powszechne zjawisko. Chyba nie jesteś aż tak naiwna, żeby wierzyć w miłość? Człowiek szybko się nudzi gadżetami i żonami... Potrzebuje odrobiny nowości, braku bezpieczeństwa, smaku przygody, spontaniczności i braku kontroli. Nie tylko ja lubię jazdę bez trzymanki.

Akt 4

Czekanie nie było ulubionym zajęciem Michała Majewskiego. Zdecydowanie bardziej lubił działanie. Gdy skończył lustrować najbliższą okolicę, ruszył w kierunku ulicy Lechickiej. Nie mógł siedzieć beczynnie. Burzyński kazał mu czekać na prokuratora, więc czekał... idąc. Miał na oku wjazd do Fortu V i policjantów zabezpieczających miejsce znalezienia zwłok. W ten sposób nie mógł przegapić samochodu z prokuratury.

Zbliżało się południe. Drzewa dawały przyjemny cień. Lechicka tętniła życiem. Gdyby Michał chciał przejść na drugą stronę ulicy, miałby z tym problem. Tiry mknęły jeden za drugim, z impetem rozdzierając powietrze. Czuł na sobie powiew spalin. Stał zbyt nisko, by obserwować kierowców ciężarówek siedzących w wysokich szoferkach. Przyglądał się za to wnętrzom samochodów osobowych.

Para w mijającej go właśnie czarnej fabii kłóciła się. Kobieta krzyczała z wykrzywioną twarzą. Kierowca białego saaba dłubał w nosie. Mężczyzna kierujący srebrnym passatem, wyprzedzający na podwójnej ciągłej, nagle zwolnił i Młody mógł zobaczyć, jak śmieje się, szeroko otwierając usta.

– *Life goes on* – podsumował.

Dziesiątki ludzi miało schowane między drzewami pozostałości fortyfikacji obronnych, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tragedii, jaka wydarzyła się obok nich. Byli zbyt zajęci swoim życiem. Kłótniami. Rozmowami telefonicznymi. Udrażnianiem przewodów nosowych. Słuchaniem radia.

Planowaniem tego, co zrobią, gdy dojadą na miejsce. Nie interesował ich nawet policyjny radiowóz stojący przy zjeździe do Fortu V.

Ludzkie ciało, w niezmienionej pozycji, czekało na oględziny, których mieli dokonać kolejni policyjni eksperci. Czekąco na ustalenie tożsamości. Na odnalezienie najbliższych osób, którym będzie mogło się zaprezentować w celu identyfikacji. Dokładnie w tej samej chwili w nieodgadnionym jeszcze miejscu ktoś mógł zacząć się zastanawiać: „Gdzie jest mój mąż? Syn? Partner? Pracownik?”.

Srebrny passat bez sygnalizowania manewru kierunkowskazem skręcił w utwardzoną, wąską uliczkę i minął Majewskiego.

– No i mamy prokuratora. Koniec czekania. – Michał ucieszył się i podbiegł do samochodu.

– Dzień dobry – odezwał się grzecznie, hamując cisnące się na usta komentarze dotyczące stylu jazdy kierowcy.

Mężczyzna wylewający obszerne ciało z luksusowego samochodu był potężny i stary. Z takim człowiekiem Michał nie zamierzał zadzierać. Nie przeraził się jego tuszy, ale wieku. Z młodym mógłby dyskutować i stroszyć piórka, jednak prokurator w mocno dojrzałym wieku miał na pewno więcej kontaktów niż ojciec chrzestny młodego posterunkowego. Michał nie mógł więc liczyć na rodzinny parasol ochronny.

– Mhm. – Pomruk najwyraźniej miał być odpowiedzią.

– Michał Majewski – przedstawił się. – Tam są zwłoki.

– Wiszniewski. – Prokurator rzucił swoje nazwisko od niechcienia i rozejrzał się wokół nieprzytomnym wzrokiem. – Lechicka ciągle się korkuje. Czas przeznaczony na oględziny spędziłem w aucie. Dobrze, że klimatyzowanym. Macie jakieś ślady?

– Jeszcze nie.

– A tożsamość ofiary?

– Nieustalona. Jak pan widzi, denat jest nagi. – Młody wcale

nie miał pewności, czy prokurator widzi ciało. Oddalił się od samochodu jedynie o kilka kroków. – Nie miał przy sobie dokumentów. – Nie mógł darować sobie tej odrobiny ironii.

– W takim razie zabezpieczcie zwłoki. Macie wolną rękę, ale zawiadamiajcie mnie o postępach. I tak mam wystarczająco dużo pracy. Ciągłe tonę w papierach. – Prokurator pokręcił głową; udawał, że się rozgląda. Głośno kaszlnął, jakby chciał, żeby wszyscy zapamiętali, że pojawił się na miejscu zdarzenia. – Pójdę już.

– Już? Nie spojrzysz pan na denata?

– Jeszcze się na niego napatrzę. Na zdjęciach – dodał na widok zdziwionej miny młodego policjanta – i podczas sekcji. Poza tym za trzydzieści dni będę mógł w końcu zająć się swoimi sprawami, a nie jeździć po takich miejscach i oglądać śmierdzące zwłoki.

Tadeusz Wiszniewski trzasnął drzwiami, nie czekając na reakcję policjanta. Kombinacja cyfr wyświetlanych na zegarze informowała, że nie ma czasu na tłumaczenia. Za kwadrans na polu golfowym Stefan Iwanowicz zacznie się za nim rozglądać. Nie powinien pozwolić czekać swojemu najlepszemu przyjacielowi, sędziemu w stanie spoczynku.

* * *

– Chcesz też? – Burzyński wsypał do kubka łyżeczkę liściastej herbaty i zalał wrzątkiem.

– Nie. Dzięki! W takim upale? Mam zimną colę, kupiłem po drodze.

Michał odkręcił butelkę. W pokoju rozległ się kuszący dźwięk. Syk dwutlenku węgla uwalniającego się z zamkniętej butelki. Po chwili lodowaty napój, zawdzięczający swój smak mieszance cukru oraz ekstraktów z wanilii, pomarańczy i cytryny, ochłodził jego przełyk.

Przemysław spojrział na Młodego, który wyglądał, jakby występował w reklamie coca-coli. Atrakcyjny i modnie ubrany, łakomie przełykał kolejne porcje napoju. Nawet szara,

obdrapana szafa pancerna stojąca w niewielkim pokoju w komendzie podkreślała atrakcyjność mężczyzny. Obrazowi towarzyszyły dźwięki. Najpierw dwutlenek węgla uciekał z butelki, a później z żołądka zadowolonego aktora.

Burza uśmiechnął się i posłodził herbatę. Dwie czubate łyżeczki cukru trafiły do kubka. Uwielbiał smak herbaty. Koniecznie gorącej, parzącej podniebienie. Taką zwykł pić wupały. Nie mógłby zagrać w reklamie. Nie miał niczego, co byłoby trendy. Ciuchów, zegarka, samochodu, hobby.

– Jak spotkanie z prokuratorem? Kto przyjechał?

– Bajkowo. Wiśniewski. Przyjechał i odjechał. Dał nam wolną rękę.

– Wiszniewski? Tadeusz Wiszniewski? Jakoś mnie to nie dziwi. Pewnie i tak nie zdąży skończyć sprawy i robota spadnie na kogoś innego. Na emeryturę się wybiera, jakoś tak na dniach.

– Popieprzona jest ta praca.

– Dlaczego?

– Bo powinniśmy skupić wszystkie siły na określonej sprawie. No wiesz, kuźwa, koncentracja!

– A co ci przeszkadza?

– To, że mamy też inne sprawy? Obowiązki? Sprawy w toku, papierologię? Wykrycie sprawcy nie jest ważne. Liczy się tylko znalezienie niepodważalnych dowodów, takich, które przekonają sędziego.

Zapowiadało się na kolejną rozmowę na ten sam temat. Przeprowadzili ich już kilkanaście. Młody powoli pozbywał się swoich hollywoodzkich wyobrażeń o policyjnej pracy. Nie bez bólu i złości.

– Młody, nie jęcz jak panienka. Ideały można mieć, marzenia też, nawet wizje... ale one nie zmienią twojego życia. Nie wygrasz z systemem. Mamy na głowie wiele spraw, dlatego te, które są proste, zamykamy bez zbędnego rozwodzenia się nad alternatywnymi rozwiązaniami. Co jest najważniejsze dla policjantów?

– Wiem, kuźwa, wiem. Statystyki. Liczby. Wykrywalność. Zakończone sprawy.

– Statystyki. One zapewniają premie, spokój i uznanie. Statystyki rządzą na każdym szczeblu.

Burzyński westchnął głęboko i rozpakował drugie śniadanie. W pokoju nastąpiła cisza. Michał musiał opanować emocje. Przemysław zjadł kanapkę, dopił herbatę i zabrał się do pracy.

– Dobra, Młody, jak z identyfikacją denata z fortu?

– Mamy już odciski, właśnie przeszukuję bazę.

– Wiemy, jaki był powód zgonu?

– Jeszcze nie. Sekcja będzie – Młody spojrzął na zegarek – niedługo.

– Super, pojedziesz do ZMS-u.

– Sam?

– Co, boisz się? Będzie prokurator Wiszniewski.

– No nie. Myślałem... Chciałem skoncentrować się na sprawie kościotrupki.

– To się koncentruj i przy okazji załatw sekcję. Zobacz, co mam w sprawie denatki z lasu.

Podkomisarz w wolnej chwili przejrzał bazę osób zaginionych w całej Polsce, eliminując zbyt stare i zbyt świeże zaginięcia. Ludzie ginęli każdego dnia. Starał się więc w miarę precyzyjnie określić przedział czasowy, w którym denatka mogła zniknąć.

– Według antropolożki dziewczyna, znaczy denatka – Młody zmienił terminologię na widok grymasu, który pojawił się na twarzy Burzy po słowie „dziewczyna” – mogła leżeć na łonie przyrody przynajmniej trzy tygodnie.

– Wziąłem to pod uwagę. Dodałem jeszcze miesiąc, tak na zapas, bo przecież nie od razu po zaginięciu musiała zostać zabita. Oznacza to, że mogła zniknąć dwa, a nawet trzy miesiące temu. Błąkała się gdzieś albo ktoś ją przetrzymywał, albo się zamelinowała i dopiero po jakimś czasie została zamordowana.

– Dobrze kombinujesz. I co ci wyszło?

– Dwanaście zaginionych młodych kobiet w interesującym

nas terminie.

– Dużo. Od razu widać, że są wakacje i wzmożony ruch wśród młodzieży. Słońce zwiększa popyt na wolną miłość i brak ograniczeń.

– Po dołożeniu kryterium wieku odpowiadającego denatce wynik zmniejszył się do pięciu. Teraz mam już tylko dwie. Wyeliminowałem zbyt wysokie i zbyt niskie. Denatka miała metr sześćdziesiąt dwa.

– Kto ci został? – Zainteresowany Majewski podszedł do biurka Burzyńskiego.

Czuł dreszcz podniecenia. Możliwe, że za chwilę bezimienna dziewczyna z lasu zyska ciało, twarz, nazwisko i rodzinę. Tym samym przybliży ich do swojego zabójcy. To tak, jakby odkryła wszystkie karty. Gdy będą wiedzieć, jak się nazywała, ustalą, czym się zajmowała, gdzie bywała, sprawdzą jej znajomych. Michał pamiętał liczby z podręcznika. W siedemdziesięciu siedmiu procentach przypadków ofiara i sprawca się znają.

– Poznajcie się. To jest Renata Madej, lat dwadzieścia trzy, metr sześćdziesiąt. Inne wymiary też chcesz znać?

– Ładna dziewczyna. Nie pogardziłbym.

– Taaa, w to nie wątpię. Panna Renata jest z Krzyża Wielkopolskiego. Celowałbym w nią. Ta druga – Burzyński wskazał zdjęcie drobnej blondynki – to Magdalena Kubińska z jakiejś wiochy w podlaskim.

– Niby mogła pojawić się w Poznaniu. Przyjechać stopem na przykład...

– Niby. Dobra, czyli mamy dwie. Skoro już jedziesz do trupa, podrzuć pani Broll fotki wybranych zaginionych. Niech nałoży je na czaszkę ofiary. Może będzie zgodność. Chociaż według mnie równie prawdopodobne jest to, że odnaleźliśmy menelkę, alkoholiczkę, prostytutkę, narkomankę. Kogoś, kogo nikt nie szuka.

Burzyński był pewien, że nikt nie zgłosił zaginięcia denatki. Miejsce odnalezienia zwłok mówiło samo za siebie.

Zamordowana kobieta musiała być prostytutką. Niezewidencjonowaną duszą, żyjącą z dnia na dzień. Bez zobowiązań, bez rodziny, bez miłości. Taką, na którą nikt nie czekał. Której nieobecności nikt nie zauważył.

* * *

Wzory na linoleum, mające imitować płytki, były krzykiem mody lat osiemdziesiątych. Przez ostatnie trzydzieści pięć lat zmieniło się prawie wszystko. Ludzie biegali po ulicach na smyczy telefonów komórkowych. Liczba samochodów przekraczała liczbę odbiorników telewizyjnych. Grubość telewizorów była odwrotnie proporcjonalna do tuszy ich właścicieli. Zmieniły się mentalność ludzi, zagospodarowanie przestrzeni miasta oraz trendy w kwestii urządzania wnętrz. Te ostatnie przynajmniej kilkanaście razy. Jedno pozostało niezmiennie. Linoleum w komendzie.

– Izuniu, kochanie, tak, oczywiście, masz rację, tak.

Podkomisarz stał na korytarzu twarzą do okna i ściszym głosem prowadził prywatną rozmowę. Ograniczał się do uspokajającego przytakiwania żonie. Starał się, by jego głos był balsamem na jej duszę. Chciał pokazać, że myśli o Izie również w pracy. Udowodnić, że czasy, w których postawienie stopy na zużytych linoleum skutkowało całkowitą utratą kontaktu z domową rzeczywistością, minęły bezpowrotnie. Kiedyś odklejał się od prywatnego życia tak jak wykładzina podłogowa w firmie.

– Ja też tęsknię. Dobrze, pamiętam. Oczywiście.

Krępowoło go prowadzenie takich rozmów w pracy. Stał przy oknie i obserwował to, co działo się za szybą. Nie mógł jednak zapomnieć o kolegach, policyjnych twardzielach, którzy plątali się po korytarzu. Nie widział ich. Nie wiedział, czy podsłuchują. Czuł jednak ich zapach.

„Ostry pot zmieszany z fajkami – pomyślał – tak pachnie prawdziwy mężczyzna. Powinno się opatentować tę mieszankę zapachów i sprzedawać tym wszystkim metroseksualnym

gogusiom”.

– Tak, widzimy się w domu. Całuję. – Z ulgą wyłączył telefon i schował do kieszeni dzinsów.

Odwrócił się i zauważył Młodego, który stał w bezpiecznej odległości i czekał, aż Burza skończy rozmowę.

– Czego chcesz? – Ton podkomisarza zmienił się diametralnie.

– Będziesz jeszcze przesłuchiwał tych z fortu?

– Tak.

– Pomogę ci.

– Nie.

Odpowiedź nie była automatyczna. Nie stanowiła też wstępu do negocjacji. Zabrzmiała jak ostatni ostrzegawczy ryk lwa. Po nim nastąpić mógł tylko atak. Młody nie przeraził się jednak.

– Ale – postanowił zaryzykować, przybierając minę smutnego dziecka – ja też chcę wypróbować techniki przesłuchiwania. W praktyce! Nie po to uczyłem się teorii, żeby teraz zamiast gadać z ludźmi, oglądać trupy na stole sekcyjnym.

– Nie tym razem, Młody. – Głos Burzy złagodniał. – To prosta sprawa, faceci są jedynie świadkami. Ja zbieram info od świadków. Ty załatwiasz sekcję, sprawdzasz ślady z ciała i zajmujesz się ofiarą z lasu. Superprojekcja, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Naprawdę chcesz, żebyśmy wszystko robili razem? Oczywiście mogę nadal prowadzić cię za rączkę. Uznałem jednak, że jesteś już wystarczająco obyty, by działać samodzielnie...

Mężczyzna dobrze wiedział, co powiedzieć, by sprowokować odpowiednią reakcję partnera. Zawiesił głos w takim momencie, by chłopak nie mógł protestować. Dobrze wiedział, że Majewski na każdym kroku stara się udowodniać sobie i otoczeniu swoją męskość, a prawdziwy mężczyzna działa sam. Nie kryje się za plecami starszego kolegi, nie trzyma go za rękę.

Burzyński posunął się do delikatnej manipulacji uczuciami Majewskiego, by zrzucić na niego kwestię drugorzędną. Uznał, że

taki obrót spraw wszystkim wyjdzie na dobre. Policjanci wykonają swoje obowiązki, a jednocześnie oszczędzą czas. Burzyński zbierze dokładne zeznania mężczyzn, którzy znaleźli denata na terenie Fortu V. Młody bez szkody dla śledztwa nauczy się nowych rzeczy. Obejrzy sobie sekcję zwłok i porozmawia z antropolożką.

Przemek nie chciał z nią rozmawiać. Mógł się założyć, że szkielet dziewczyny odnaleziony w lesie na zawsze pozostanie NN. Szkoda czasu na czynności mające na celu ustalenie tożsamości ofiary. Jego czasu. Młody mógł poświęcić tych kilka chwil na naukę procedur.

– Nie chcę. Dobra, ale znowu mam jechać do truposzy? Ty unikasz tego miejsca? A może boisz się pani Broll, królowej lodu? Coś mi tu śmierdzi.

Młody przypomniał sobie, że podczas ostatniej wizyty w budynku Akademii Medycznej, zaraz po tym, jak umówił się z dziewczyną, z którą później spędził upojną noc, rzeczywiście zaatakował go dziwny zapach.

– Śmierdzi? – Burzyński wzruszył ramionami i uznał rozmowę za skończoną.

Nie miał najmniejszego zamiaru tłumaczyć się ze swoich lęków, antypatii i motywacji. Izabela była jedyną osobą, przed którą musiał się usprawiedliwiać. Mimo że ją kochał, nie znosił tego zbyt dobrze. Nie miał nic do dodania, więc ruszył przed siebie.

– Kuźwa, nie mów – Młody pobiegł za nim – że nie czujesz tamtego zapachu. Nie tu, ale w ZMS-ie.

– Zapachu? Nazwałeś to zapachem?

– Noo, woń zaschniętego brudu i przypalonego mięcha. Trochę słodka, ale wnikająca głęboko do nosa.

– Ta, faktycznie. Większość nazywa ją smrodem. Ty zapachem. Tak pachnie śmierć.

– Dobra, to się odmeldowuję. Lecę wciągnąć nosem trochę śmierci. Może to lepsze niż koka? Aha, zapomniałbym, już wiem,

kim jest nasz denat z fortu. Gość figuruje w naszej bazie, masz pełne info, położyłem wydruk na twoim biurku.

* * *

Podkomisarz Burzyński uważnie przyglądał się twarzy Marcina Gryczyńskiego. Chłopak wydawał się przejęty tym, co działo się wokół niego. Nigdy wcześniej nie był w komendzie. Nie miał kontaktu z policją.

– Dlaczego spędzałeś dzisiejsze przedpołudnie na terenie Fortu V?

W pokojach obok na przesłuchanie czekali pozostali członkowie geocachingowej wyprawy. Kolejność rozmów nie była przypadkowa. Policjant działał zgodnie z regułami sztuki. Dwudziestodwuletni Marcin Gryczyński był tym, który odkrył zwłoki. Poza tym po pierwszych odpowiedziach, których świadkowie udzielili jeszcze na miejscu zdarzenia, podkomisarz uznał, że budzącego wątpliwości Majora zostawi sobie na koniec.

– Tak jak mówiłem, pojechaliśmy na fort rowerami. Major w końcu przekonał mnie, że powinienem spróbować geocachingu. Gadał o tym ciągle, że to emocje, przygoda, coś dla prawdziwych mężczyzn. Zgodziłem się dla świętego spokoju. Gdybym wiedział, że tak to się skończy... odmówiłbym.

– Pojechaliście i co?

– Oni świetnie się bawili. Chcieli ukryć skrzynkę. Już po pierwszym kwadransie wiedziałem, że to nie dla mnie. Wolę siedzieć przed kompem i grać w Fifę. Takie szlajanie się po krzakach mnie nie jara. Chłopaki się cieszyli, zupełnie nie wiem z czego. Myślałem: kurwa, co ja tu robię? Nie chciałem wyjść na ciotę. Starąłem się wnieść coś od siebie. Skupiłem się na tej informacji, którą Major miał ze sobą, no wie pan, tej mówiącej, co trzeba zrobić, by znaleźć skarb, i wychwyciłem nielogiczność. Pokazałem, że te kilka słów można zrozumieć zupełnie inaczej. Poszedłem we wskazanym kierunku i... zobaczyłem tego martwego, nagiego faceta.

Gryczyński zakrywał twarz rękoma, jakby chciał pozbyć się okropnego widoku. Nie był zniecierpliwiony tym, że po raz kolejny tego dnia powtarza swoją opowieść. Rozpamiętywanie zdarzenia przynosiło mu ulgę. Miał nadzieję, że za którymś razem pozbędzie się chociaż części emocji.

Burzyński nie miał wątpliwości. Reakcje przesłuchiwanego były szczere. Wzburzony i zdenerwowany chłopak starał się udzielać wyczerpujących odpowiedzi. Starał się być pomocny.

– Chciałbym zrozumieć, dlaczego bawiliście się akurat w tym miejscu?

– Chyba... chyba nie myśli pan, że... przecież ja... ja... – Chłopak zaczął się jękać, a na jego twarzy malowało się przerażenie. Napięcie mięśni bardzo szybko objęło całe ciało. Zastygł w bezruchu, jakby zdał sobie sprawę z tego, że pojawienie się w złym miejscu, o złej porze może pociągnąć za sobą skutki o wiele poważniejsze od nieprzyjemnego widoku. – Ja tylko pojechałem tam, gdzie mi kazano.

– Kto zaplanował to spotkanie?

– Nie wiem. Nie wiem nic o planowaniu. Spotkałem Majora w spożywczaku. Powiedział, że jada i to świetna okazja dla mnie, by się przyłączyć. Tyle razy go zlewałem, że w końcu postanowiłem spróbować. Zwłaszcza że akurat miałem wolne. Myśli pan – chłopak skulił się, jakby bał się wypowiedzianych słów – że oni mogli to zrobić? Major i jego kolega?

– A ty? Co myślisz?

– Nie wydaje mi się. To znaczy Majora znam. Mogę za niego ręczyć. Tak myślę. Tego drugiego poznałem dopiero dziś.

– Jaka była reakcja kolegów, gdy poszedłeś w te krzaki?

Gryczyński próbował sobie przypomnieć. Bardzo się starał. Zamknął oczy i zaczął odtwarzać tamtą chwilę. Niestety, między obrazem zadowolonych chłopaków przeciskających się przez krzaki a opuchniętym nagim ciałem nie pamiętał nic. Czarna dziura. Zero fonii. Zero obrazów. Im bardziej skupiał się na tym, co mu się przydarzyło, tym mocniej czuł smród nadpsutych

zwłok.

– Ja przepraszam, tyle razy wałkujemy ten temat. Już wszystko mi się płące. Byłem tam, a potem znalazłem tego trupa. Chyba zanim zobaczyłem... usłyszałem krzyk. Ktoś krzyczał, żebym tam nie szedł.

– Kto?

– Nie wiem. Może mi się wydawało? Nie wiem. Major chyba...

Po chwili zastanowienia dodał:

– Albo ten drugi. Bardzo przepraszam. Nie potrafię powiedzieć dokładnie. Wszystko mi się zatrzymało. Jak na filmie.

– Rozumiem. – Podkomisarz wiedział już wszystko, nie musiał dłużej naciskać. Pozostało mu jeszcze upewnić się, czy świadek orientuje się, kim jest ofiara. – Czy znasz Józefa Ciemałę?

* * *

Mimo że podkomisarz opuścił pomieszczenie, w którym przesłuchiwał Gryczyńskiego, i wszedł do pokoju obok, miał wrażenie, że nie zmieniło się nic poza twarzą siedzącego przed nim chłopaka. Otoczenie wyglądało dokładnie tak samo. Kolor ścian, drewniany stół, linoleum na podłodze.

Tym razem obserwował Tomasza Kolanowskiego, łobuziaka emanującego pewnością siebie. Podczas porannej rozmowy na miejscu zdarzenia poddał go analizie osobowości. Ton głosu, gestykulacja, mimika i słowa, wszystko to odkrywa człowieka. Pozwala wytrawnemu obserwatorowi przewidzieć reakcję rozmówcy.

Jako że Kolanowski był bardzo oszczędny w słowach, faza zeznań spontanicznych zakończyła się wyjątkowo szybko. Burzyński posiedział chwilę w ciszy, obserwując nerwowe ruchy przesłuchiwanego.

– Dlaczego spędzałeś dzisiejsze przedpołudnie na terenie Fortu V?

– Mówiłem już.

– Powtórz.

– Po co ja się produkuję, skoro nikt mnie nie słucha? – oburzył się chłopak. – W kółko pytacie o to samo.

Burzyński wzruszył ramionami. Czekał na odpowiedź, by porównać ją z usłyszaną wcześniej. Nie wiedział jeszcze, czy chłopak mija się z prawdą. Odpowiedzi idealnie zbieżne ze sobą i całkowicie rozbieżne w takim samym stopniu mogły świadczyć o kłamstwie. Musiał sam ocenić. Dojrzeć prawie niewidoczne sygnały i poczuć zapach fałszu.

Mężczyźni obserwowali się wzajemnie. Chłopak starał się wyczytać z twarzy policjanta, czy jego zeznania są wystarczająco przekonujące. Nie zamierzał mówić o zajściu nic więcej ponadto, co było konieczne. Wiedział, że jego obecność na terenie fortu może wydawać się podejrzana.

Policjant w skupieniu przyglądał się Kolanowskiemu. Delektował się chwilą. Lubił te momenty, w których na chłodno mógł analizować człowieka. Rozkładać na czynniki pierwsze. Lubił badać przesłuchiwanego za pomocą tylko jednego zmysłu. Wnioski, do jakich dochodził, sprawdzał później, z użyciem reszty zmysłów. Rzadko się mylił. Wiedział, że nie zawsze słowa idą w parze z reakcją organizmu. Że podczas mijania się z prawdą mózg musi przetworzyć o wiele więcej informacji, co wpływa na czas reakcji. Że podczas wypowiedzania kłamstw kłamie również ciało. Kłamca więcej gestykuje i częściej się uśmiecha. Podczas zmyślania niejednokrotnie chcemy przekonać siebie, że to, co mówimy, brzmi wiarygodnie.

– Dlaczego spędzałeś... – Wzrok Burzy wierceł dziurę w twarzy przesłuchiwanego.

– Dlaczego, dlaczego? Pan jak moja matka. – Chłopak wyszczerzył zęby w czymś, co miało imitować uśmiech. – Chcieliśmy zamontować tam kesza.

– Dlaczego akurat tam?

– A dlaczego nie?

– Dlaczego Fort V? Dlaczego dzisiaj?

– Wie pan, co to jest geocaching?

Burzyński miał na tyle duże doświadczenie w pracy zawodowej, żeby nie wdawać się w dyskusje z osobami, z których miał wydobyć informacje. To on miał prawo pytać i oczekiwać odpowiedzi. Sam nie udzielał ich nikomu. Odczekał więc chwilę, aż przesłuchiwany odpowie na zadane przez siebie pytanie.

– Geocaching to prawdziwe szukanie skarbów. To nie jest zabawa. Owszem, wiem, że niektórzy się w to bawią. Na przykład nażelowani weekendowi gogusie, którzy w niedzielę wyskakują z biznesowego garnituru i lecą w las szukać kolejnej skrzynki. Ale dla mnie to sposób na życie. Dla Majora zresztą też. Po odkryciu kesza trzeba o tym zameldować na stronie internetowej. Ludzie komentują i oceniają lokalizację kesza, prześcigają się w tworzeniu nowych. Jest taki jeden chłopak ze Śląska. Robi świetne kesze. Ale to Wielkopolska ma wygrać, rozumie pan? Ścigamy się z nim, wynajdujemy coraz ciekawsze miejsca. Takie, w których czuć dreszcz przygody i zapach przeszłości.

– Dreszcz przygody? Nie rozumiem, jeśli masz podane współrzędne, to jaka to przygoda?

– Właśnie o to chodzi. Chowanie keszy po to, by ktoś mógł znaleźć je na podstawie współrzędnych, byłoby nudne, dlatego prześcigamy się w pomysłach, jak je urozmaić i zachęcić poszukiwaczy do odwiedzenia właśnie naszych skrzynek. Miejsce to podstawa. Musi mieć historię. Zazwyczaj wybieramy miejscówkę z duszą albo jakąś atrakcją turystyczną. Coś, co ludzie kojarzą. Druga ważna sprawa to zamaskowanie kesza. To nie jest tak, że w punkcie o danych współrzędnych stoi tabliczka z napisem „skrzynka”. Trzeba czuć dreszcz emocji. Stoisz już w dobrym miejscu, czujesz, że jesteś blisko, i nadal nie widzisz kesza. Nie znajdziesz go, dopóki nie ruszysz głową.

– Czyli Fort V wybrałeś z uwagi na jego atrakcyjność?

– Od dawna rozmawialiśmy z Majorem o Forcie V. Mieszkamy niedaleko. Dopiero niedawno wpadliśmy na pomysł atrakcyjnego okeszenia.

– Atrakcyjnego, czyli?

– Opis kesza, opis miejsca, zawartość kesza. Znalazłem w piwnicy u mojej matki ołowiane żołnierzyki. Idealny fant do kesza zamontowanego w forcie, prawda?

– Czy stojąc w dobrym miejscu, można nie zauważyć skrzynki?

– Można, oczywiście. To zabawa dla spostrzegawczych. Dla tych mniej bystrych albo tych, którym nie chce się szukać po omacku, przy każdym opisie kesza podawane są wskazówki. Kesz może być wielkości napałka albo wielkiej skrzyni. Czasem odnalezienie go musi być poprzedzone wykonaniem określonych czynności. Na przykład trzeba z kimś pogadać, o coś zapytać albo znaleźć tablicę, która wskaże kierunek. Im bardziej wymyślna zagadka, tym większy szum, większa rozpoznawalność okeszowanego miejsca. Większa sława dla jej twórców.

– A twórcą tego kesza był...

– Mówiłem już.

– Był?

– Lokalizację wymyślił Major. Skrzynkę wypełniłem ja. A kim był ten truposz?

– A kim miałyby być?

– Myślałem, że już to wiecie.

Uśmiech był standardową reakcją Burzyńskiego na zdania, które same w sobie nie stanowiły pytania, ale ich sens lub forma wypowiedzi nie pozostawiała złudzeń. Ktoś chciał wyciągnąć informacje.

– Dziwny zbieg okoliczności, że chcieliście ukryć kesza – zamiast spełniać oczekiwania przesłuchiwanego, podkomisarz trzymał się wcześniej obranej strategii – dokładnie w tym samym miejscu, w którym odnaleziono zwłoki.

– Dziwne? – Nerwowy śmiech Kolanowskiego mówił więcej niż jego słowa. Zdawał sobie sprawę z nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. – Świadczy to jedynie o tym, że wybraliśmy idealne miejsce na kryjówkę.

– Albo że myślicie dokładnie tak jak zabójca. Idealne miejsce

na kryjówkę? Dla kogo? Dla zabitego przez was mężczyzny?

– Niech mnie pan nie wkurwia! Mówiłem już, nie mam nic wspólnego z tym śmierdzącym trupem. Ja tylko montowałem kesza.

– Dlaczego akurat w tych krzakach?

– Dlaczego, dlaczego? To ten chłopak, co go Major przyprowadził, wlaź w krzaki. My chcieliśmy wrzucić kesza w innym miejscu.

– A może chcieliście, żeby kolega wszedł właśnie w te krzaki? Naprowadziliście go.

– Mówiłem już, że nie.

– Czy znasz Józefa Ciemałę?

– Kogo?

* * *

– Czy znasz Józefa Ciemałę?

– Nie.

Trzeci przesłuchiwany, Remigiusz Lisiecki, pseudonim Major, był tak oszczędny w słowach i gestach, jakby przestawił się na tryb samokontrola. Nie zadawał pytań. Nie okazywał emocji. Nie drażniły go powtarzające się pytania, insynuacje i głupkowate uśmiechy policjanta.

Takie zachowanie budziło w podkomisarzu podwójną czujność. Lisiecki w obliczu zagrożenia skalkulował swoje szanse i dostosował sposób działania tak, by zminimalizować straty. A to mogło oznaczać, że wiedział o sprawie dużo więcej, niż chciał powiedzieć.

– Kto wymyślił, żeby na terenie Fortu V montować kesza?

– Ja.

– Dlaczego akurat tam?

– Bo forty są idealne.

– A dlaczego akurat ten fort?

– Bo to atrakcyjne miejsce i nieokeszowane. Fort Va już niestety ma swojego kesza.

- Atrakcyjne?
- Tak.
- Pod jakim względem?
- Właściwie każdym.
- Atrakcyjne, by ukryć zwłoki?
- Atrakcyjne, by ukryć kesza.
- I jeszcze niezbyt daleko od twojego domu.
- Dokładnie.
- Kto przygotowywał tekst podpowiedzi?
- Ja.
- Dlaczego brzmiała ona dwuznacznie?
- Dla mnie nie brzmiała.
- Dlaczego zabrałeś ze sobą Gryczyńskiego?
- Zaproponowałem tylko, on się zgodził. A może to on zaproponował. Nie pamiętam.

Lisiecki umniejszał swoje zasługi. Z wcześniejszych zeznań Gryczyńskiego i Kolanowskiego wynikało, że Major jest osobowością dominującą. To on dowodził, narzucał swoje pomysły i był lokomotywą ich geocachingowej wyprawy. Nie bez przyczyny nosił pseudonim wskazujący na wysoką rangę w hierarchii wojskowej.

- Czy Józef Ciemała zajmował się geocachingiem?
- Nie wiem.
- Gdy wchodziłeś dziś na teren fortu, dokładnie wiedziałeś, w którym miejscu chcesz umieścić kesza?
- Tak.
- Kiedy poprzednio byłeś na terenie fortu?
- Nie pamiętam. Kilka dni temu.
- Ile razy bywałeś tam, zanim znalazłeś najlepsze miejsce do ukrycia zwłok?
- Nie ukrywałem zwłok.
- Czy zabiłeś Józefa Ciemałę?
- Nie.
- Ile razy przebywałeś na terenie fortu, zanim znalazłeś

najlepsze miejsce na kesza?

– Milion. Chodzę tam od dziecka.

Burzyński uznał, że ponowne zadawanie tych samych pytań nie ma sensu. Chłopak nie powie mu nic nowego. Pozostało jedynie sprawdzić jego alibi.

– To wszystko. Możesz odejść.

– Żegnam. – Major wstał od stołu tak szybko, jakby bał się, że policjant się rozmyśli. Podszedł do drzwi, złapał klamkę i zatrzymał się. – Niech mi pan jeszcze powie, czy możemy już zamontować kesza na stronie WWW?

* * *

– Zwłoki mężczyzny w średnim wieku, średniego wzrostu, średniej budowy ciała i odżywienia prawidłowego. Skóra barwy żółtawej, ciemnozielone żyły dobrze widoczne pod skórą, mięśnie szkieletowe dobrze rozwinięte. – Lekarz medycyny sądowej przeprowadzający sekcję zwłok wyglądał na zmęczonego i znudzonego. Głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji dyktował dane, które powinny znaleźć się w protokole sekcyjnym.

Michał Majewski starał się opanować drżenie rąk. Nie znał miejsca, w którym pracowaliby ludzie bardziej oswojeni z tematem śmierci. Śmierć nie budziła tu lęku, przerażenia ani poczucia niesprawiedliwości. Była tym, czym cyfry dla księgowego, nuty dla piosenkarza czy cegły dla budowlańca. Elementem składowym codziennej pracy. Tak małym, że wręcz niezauważalnym.

– Gałki oczne prawidłowo osadzone. Nozdrza, usta i otwory uszne z niewielką ilością wydzieliny. Międzyżebra niezapadnięte. Jama brzuszna zapadnięta. Powłoki brzuszne rozcięte dwukrotnie, poprzecznie od lewej nerki do prawego boku i od prawej nerki do lewego boku. Zszyte przez osobę niemającą nic wspólnego z medycyną, stylem „na okrętkę”.

Prokurator sapnął, żeby podkreślić swoje zniecierpliwienie.

Jak zwykle spieszył się i uznawał wszystkie proceduralne czynności za zbędne. Po tylu latach pracy mógłby wyręczyć obducenta, rzucić okiem na zwłoki i wyjść.

– Kończyny górne i dolne bez zniekształceń, obrysy stawów niepowiększone – mężczyzna kontynuował dyktowanie. Nie zwracał uwagi na zachowanie Wiszniewskiego.

Młody czekał w napięciu na ciąg dalszy. Atmosfera miejsca sprzyjała ambiwalentnym doznaniom. Do prosektorium wchodził w ogromnym napięciu. Za drzwiami z napisem „Pracownia Tanatologii” znajdował się czysty, niezwykle słoneczny, przytulny żółty pokój.

Takie otoczenie uspiło obawy Majewskiego. Po chwili jednak zorientował się, że w pomieszczeniu znajdują się jedynie biurko i szafy. Nie było tu miejsca na stół sekcyjny. Po lewej stronie zauważył kolejne drzwi. Przeszedł przez nie i znalazł się w zupełnie innym świecie. Jakby cofnął się w czasie. Przeskoczył przez magiczne lustro i w mgnieniu oka przemieścił się z nowoczesnego pokoju biurowego do lodowatego laboratorium doktora Frankensteina.

Stał pośrodku dużego pomieszczenia, wyłożonego płytkami aż po sufit. Mężczyzna w fartuchu nie wyglądał jednak groźnie. W przeciwieństwie do narzędzi, nad którymi trzymał swoje zabezpieczone lateksem ręce.

– W jamie brzusznej – obducent rozciął niechlujnie założone szwy i rozchylił powłoki skórne – widoczny brak narządów wewnętrznych: żołądka, jelit, nerek, wątroby, trzustki, dwunastnicy, dróg żółciowych i pęcherzyka. – Uniósł głowę i spojrzał na monitor wiszący nad kamiennym stołem sekcyjnym. – I pęcherzyka – powtórzył.

Upewniwszy się, że wszystkie dyktowane słowa znalazły się w protokole, którego treść wyświetlana była na ekranie, lekarz medycyny sądowej sięgnął do wnętrza jamy brzusznej i wyjął z niej węza.

– Co to, kurwa, ma być? – Prokurator ożywił się i podszedł do

stołu, a w jego głosie zabrzmiały pretensje. Gdyby miał w tej chwili możliwość rozmowy z mordercą, zbeształby go za komplikowanie standardowego śledztwa. – Wąż?

Michał Majewski czułby się bezpieczniej, gdyby miał przy sobie Burzyńskiego. Bał się pytań, na które nie będzie potrafił udzielić odpowiedzi. Tak jakby właśnie podczas najtrudniejszego w sesji egzaminu ustnego oczy egzaminatora zwróciły się na niego, postanowił nie czekać na pytania.

– Żywy? – sam je zadał.

– Nie. – Niewzruszony obducent odłożył węża i kontynuował sekcję.

Prokurator wzruszył ramionami i stracił zainteresowanie sprawą. Spojrzał na zegarek i westchnął głośno. Majewski skupił się na leżących na stole zwłokach.

Wyglądały zupełnie inaczej niż w chwili znalezienia na terenie Fortu V. Niby był to ten sam człowiek, ale wśród cegieł i krzaków w oczy rzucały się inne jego cechy. Wtedy był bezbronny, zimny, a jego ciało stanowiło zagadkę. Dzisiaj leżał na lodowatym stole, a jego ciało stanowiło przedmiot badań, czynności mających na celu ustalenie przyczyny śmierci, odbywających się zgodnie z regulaminem i z należyтым szacunkiem dla zwłok. Jednak dla Młodego cała otoczka sekcji, pozbawione emocji podejście lekarzy, znudzenie prokuratora, sprzęty i prysznic zamontowane w kamiennych stołach sekcyjnych, ułatwiające sprzątanie miejsca po zakończonej pracy, wszystko to stanowiło kwintesencję wyrażenia „odrzec z człowieczeństwa”.

* * *

Gdy tylko sekcja zwłok została zakończona, prokurator Wiszniewski niczym ferrari wyminął wszystkich w drzwiach prosektorium, by za chwilę przyspieszyć jeszcze bardziej. Sześćdziesięcioletni mężczyzna zachowaniem przeczył wszelkim wyobrażeniom o wieku emerytalnym. Miał mnóstwo

energii. Dobiegł do drzwi broniących wstępu do Zakładu Medycyny Sądowej, wpatrzony w ekran telefonu komórkowego, i nieomal wpadł na wchodzącą właśnie do środka antropolog Anitę Broll.

– Dzień dobry, pani Anitko. – Młody nie mógł nie wykorzystać szansy, jaką podsunęło mu życie. – Nic się pani nie stało?

– Dzień dobry – odpowiedziała chłodno kobieta, unikając wzroku policjanta. – Nic. Żyję.

Chciała minąć go i schować się w swoim biurze. Nie dość, że nie miała ochoty z nikim rozmawiać, to na dodatek, uderzona w ramię przez prokuratora, czuła się dość niezręcznie.

– Miło panią znowu spotkać. Co za zbieg okoliczności! Może nawet przeznaczenie? – Michał bez zastanowienia zastosował wyuczone sztuczki. Uśmiech numer pięć i gadkę o opatrności. – Nie sądzi pani?

– Pamięta pan, że ja tu pracuję? – Zrobiła krótką przerwę. – Nie sądzę.

– No tak, rzeczywiście możemy wykluczyć zbieg okoliczności, ale co do przeznaczenia... tu bym dyskutował.

– Pan wybaczy, analizowanie przeznaczenia nie wchodzi w zakres moich kompetencji. Jestem antropologiem. Pójdę już, chyba że ma pan sprawę związaną z wykonywaniem obowiązków zawodowych.

Nie podobała jej się ta rozmowa. Tani podrywacz. Tak podsumowała chłopaka. Jeśli ktoś daje się nabrać na jego teksty, to jedynie dziewczuszki o mózgu wielkości orzeszka ziemnego.

– Obowiązków zawodowych... – Próbował wymyślić coś na poczekaniu. – Właśnie skończyliśmy sekcję mężczyzny znalezionej w Forcie V. W opróżnionej jamie brzusznej miał zamiast wnętrzości zaszytego węża. Widziała pani już coś takiego?

– Hm, to wiele wyjaśnia. Morderca mógł zrobić rozcięcie w kształcie X, by wyciąć wszystkie narządy.

– Facet miał węża w brzuchu. Niesamowite, prawda?

– Raczej banalne.

– Jak to?

– Wąż jest potężnym symbolem. Tak potężnym, że nie wiadomo, czy morderca użył go z pełną świadomością. Gdyby dokładnie prześledzić znaczenie węża na przestrzeni lat i w różnych kulturach, moglibyśmy stworzyć ogromny katalog, z którego nie sposób wybrać jednego znaczenia. Na przykład w mitologii greckiej mamy wiele węży związanych z niebezpiecznymi postaciami, takimi jak Meduza, ale jest także taki związany z Eskulapem. Wąż strzeże też – według legendy – źródła, z którego mieszkańcy nowo założonych Teb pobierali wodę. Grecy i Rzymianie uważali, że węże są duchami opiekuńczymi świątyń. W Egipcie wąż był czczony jako jedno z bóstw, kobra nilowa zdobiła koronę faraona.

W Indiach podobnie. Ale! W Egipcie używano węży do zabijania przeciwnika albo do samobójstwa rytualnego. Węże były obecne w kulturze średniowiecza, a później renesansu. Na przykład Dante w *Boskiej komedii* spotkał złodziei z Florencji – ich karą jest ciągła przemiana z ludzi w węże. Motyw węża wykorzystywany był także w romantyzmie. W Starym Testamencie wąż jest symbolem zła, a nawet utożsamia się go z Szatanem. Dziś można go znaleźć w logo wielu firm. Jest popularnym motywem tatuaży. Węże hoduje się też jako zwierzątka domowe.

Sam pan widzi, że można się w tym pogubić. Wąż może oznaczać chaos, pierwotne kosmiczne siły lub boskie oddziaływanie, zarówno śmierć, jak i nieśmiertelność. Może morderca wpakował węża w denata, bo chciał zwrócić uwagę na odrodzenie, zdrowie lub duszę zmarłego. A może chodziło mu o sekrety życia, zwłaszcza związane z seksem, zazdrością, przyjemnością, perwersją. Jeśli nie, to pozostaje zło, grzech, podstęp, trucizna, pokusa, niewola, głupota. Możliwości można mnożyć. Może to jakaś grupa czcząca węża? W wielu kulturach węże były przedmiotem kultu.

Kobieta zamilkła, bo zauważyła, że policjant nie słucha jej przydługiego wykładu i ogląda swoje buty. Majewski przekręcał stopę to w lewo, to w prawo.

– Przepraszam, wiem, że nie przepadacie za tak rozbudowanymi wypowiedziami.

– My? – Przeniósł wzrok na nią.

– Wy, policjanci.

– Aaa, czyli stawia pani granicę między nami, a ja myślałem, że jesteśmy w jednej drużynie. My. Pani i ja. I reszta wymiaru sprawiedliwości.

Anitę bolały nogi, miała ochotę usiąść, jednak z jakiegoś powodu nadal tkwiła na korytarzu. Młody policjant denerwował ją, a jednocześnie intrygował.

– Granice istnieją, nie muszę ich stawiać.

„Granice są po to, by je przekraczać” – chciał dodać Majewski, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Zdał sobie sprawę z tego, że powinien nad sobą panować. W końcu był w pracy, a nie w barze. Nie mógł podrywać kobiety w tak jawny sposób. Była od niego starsza. Nie znał jej, nie wiedział, z kim się przyjaźni. Miał jednak pewność, że jest konkretna i nie zawaha się, jeśli nadeptnie jej na odcisk. Nie miał ochoty wysłuchiwać później pretensji komendanta, któremu ktoś doniesie, że wziął się na biedną panią antropolog.

– Pani Anito, chciałem tylko powiedzieć – starał się, by jego głos zabrzmiał poważnie – że pani wypowiedź na temat symboliki węża była niezwykle interesująca.

Nie kłamał. Kobieta zaimponowała mu wiedzą. Nie zdarzało się to zbyt często. Zazwyczaj skupiał się jedynie na fizycznych aspektach płci pięknej. Nie miał czasu zauważać wnętrza. On czarował, a one chłoneły jego cudowne ego. Tym razem został zmuszony do wysłuchania wykładu, wygłoszonego z niebywałą lekkością i zaraźliwą pasją. Anita Broll wzbudziła w nim podziw. Wcześniej zwrócił uwagę na jej nogi i linię ciała. Dopiero teraz ujrzał blask oczu. Ogromną łunę, poświatę ognia pasji, który

płonął w tej kobiecie.

– Myśli pani, że gdyby udało się ustalić, co to był za wąż, zbliżyłoby to nas do odszyfrowania wiadomości? – W obserwowaniu ognia było coś niesamowitego. Nie miał zamiaru przerywać rozmowy.

– Być może. Wasz denat siedział w więzieniu, prawda?

– Skąd pani wie?

Zaskoczyła go.

– Panie Michale. – Spojrzała na niego jak matka, przed którą próbuje się ukryć fakt wagarów. Matka, która wie wszystko.

– Ma pani rację. – Pokiwał głową.

– Za przestępstwa na tle seksualnym?

– Skąd pani... – Kolejne pytanie potęgowało zdziwienie Majewskiego. Przecież ta kobieta nie mogła mieć takich informacji o denacie. Nie w tej chwili.

– Nie trzeba mi wiele. Widziałam, że na podbrzuszu ma tatuaż więzienny.

– Więzyenny? – Owszem, zauważył malunek na podbrzuszu zabitego, jednak w jego ocenie nie różnił się od innych tatuaży. – Skąd pani wie?

– Jakość wykonania, niebieski kolor, czyli tusz z długopisów, no i ten wzór. Pięciolinia. Wie pan, co oznacza w więziennym slangu?

– Uwielbiał muzykę klasyczną? Miał muzyczne wykształcenie? Nie wiem dokładnie, ale zapewne pani mi powie.

– Żeby nutki dobrze znała i w puzon klawo dmuchała. – Roześmiała się zadowolona, że może utrzyć mu nosa. Chłopak zachowywał się, jakby zjadł wszystkie rozumy.

– Kojarzy się seksualnie, jeśli spojrzeć na miejsce, w którym został wykonany tatuaż. Imponuje mi pani wiedza.

– Tatuaże dużo mówią o ludziach, którzy je noszą. Nie chodzi mi tylko o współczesne tatuaże artystyczne. – Anita Broll, tym razem bez zahamowań, postanowiła zafascynować rozmówcę. – W zeszłym tygodniu na zajęciach ze studentami opowiadałam o

tatuażach.

– Oooo?

– Tak. To ciekawa materia. Tatuaze przestępcze często towarzyszą tatużom więziennym. Jeśli wy, policjanci, jesteście skuteczni, przestępca prędzej czy później trafia do paki.

– Tak, słyszałem o tym, że kropka między palcem wskazującym a kciukiem oznacza złodzieja.

– Zgadza się. A wytatuowany księżyc złodzieja nocnego. Kropka na czole, najczęściej między brwiami, oznacza człowieka, który wie, jak symulować objawy choroby psychicznej. Przepraszam, nie będę pana zanudzać, pójdę już. – Kobieta spojrzała na zegarek. – Spieszę się.

– Nie, wręcz przeciwnie, to, co pani mówiła, było niezwykle interesujące. Dziękuję za zastrzyk wiedzy. Proszę mi jeszcze tylko powiedzieć... na ciele tego trupa z fortu nie znaleziono żadnych śladów sprawcy? – próbował przedłużyć rozmowę.

Rzeczywiście niekomfortowo rozmawiało się na korytarzu Zakładu Medycyny Sądowej. Gdyby znajdowali się w komendzie, zaprosiłby ją do pokoju na herbatę, z zaznaczeniem, że to zaproszenie bez podtekstów, w pełni zawodowe.

– Na razie nic nie mamy.

– Żadnych mikrowłókien?

– Jeśli coś się pojawi, poinformuję pana. – Anita Broll stała się boleśnie zasadnicza. Dokuczał jej w tej chwili nie tylko ból nóg, ale i pleców. Chciała jak najszybciej usiąść przy swoim biurku.

– Aaaa, zapomniałbym. – Sięgnął do notesu, w którym trzymał zdjęcia zaginionych i wyselekcjonowanych wcześniej dziewczyn. – Prosilibyśmy o sprawdzenie, czy któraś z tych dziewczyn nie jest naszą kościotrupką z lasu.

– Oczywiście. – Spojrzała na zdjęcia. – Sprawdzę. Do widzenia.

– Kiedy mogę się do pani odezwać w sprawie dopasowania twarzy zaginionych?

Ledwo zadał pytanie, a już ugryzł się w język. Z jednej strony chciał wiedzieć, kiedy uzyska informacje niezbędne do

prowadzenia śledztwa, zwłaszcza że o konkrety będzie dopytywał Burzyński, a z drugiej chciał mieć pretekst, by dzwonić do kobiety co kilka godzin. Widział, że w tej chwili jej cierpliwość jest na wyczerpaniu. Czuł jednak niedosyt. Wolałby prowadzić z Broll niekończącą się rozmowę. Chciał oswoić tę lodowatą kobietę. Zaprosić na kawę. Zdobyć. Posiąść. Zasnąć w poczuciu dobrze wypełnionego zadania.

– To ja się do pana odezwę – zabrzmiała jak głównodowodząca wojskiem. Oschle. Urzędowo. Odpychająco.

Takiej odpowiedzi obawiał się najbardziej. Próbował jeszcze ratować sytuację; wrócił do wyuczonej i najbardziej skutecznej postawy pewnego siebie flirciarza.

– Proszę mówić mi po imieniu. Może tak będzie nam łatwiej współpracować, a wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazują, że ta współpraca może trochę potrwać. – Wyciągnął rękę w jej stronę – Michał jestem.

Kobieta zlekceważyła gest. Ani drgnęła. Mroziła go wzrokiem. Gdy z jego twarzy zszedł uśmiech, wymownie spojrzała na drzwi, którymi wybiegł kilkanaście minut wcześniej prokurator Wiszniewski.

* * *

Michał Majewski kręcił się na krześle obrotowym. Co jakiś czas odpychał się od biurka, by nabrać zadowalającej prędkości. Błądźnik wariował, ale Młody w ten sposób najefektywniej skupiał myśli.

Dopiero wtargnięcie do pokoju Burzyńskiego sprawiło, że Michał się zatrzymał. Przez chwilę próbował zawiesić wzrok na partnerze, ignorując wrażenie, że wszystko wokół się kręci.

– Młody, już jesteś?

– Tak. Kuźwa, zafundowałeś mi rozbudowaną gamę emocji. Popierdzieleni ludzie w tych ZMS-ach. No i ten zapach. Prosektorium nie będzie moim ulubionym miejscem pracy. Prokurator Wiszniewski był mocno niezainteresowany całym

zdarzeniem. Wzdychał jak primadonna. Już myślałem, że może coś go zapycha, może ma problemy z oddychaniem. Może zaraz padnie na zawał, w końcu ma swoje lata. Ale, kuźwa, po wszystkim uciekł z taką prędkością... Mówię ci, jak sprinter. Dwudziestoletni sprinter.

Przemysław rozsiadł się na swoim krześle i położył nogi na biurku. Majewski trajkotał jak katarynka, nie zważając na to, czy partner go słucha. Jak wyposzczony rzuca się na suchy chleb, tak Michał wypełniał pokój słowami. Cisza ostatniego kwadransa była dla niego bolesna. Wyrzucał z siebie myśli, emocje i słuchał własnych słów.

Zmęczony Burzyński zamknął oczy. Miał dość rozmów. Przeprowadził trzy przesłuchania i sprawdził alibi przesłuchiwanym. Pragnął ciszy. Odprężającego braku bodźców. Krótkiej chwili relaksującego dystansu. Przemysław uwielbiał spokój. W takich chwilach jak ta, gdy jego wyciszenie torpedowane było przez bezsensowne gadki Młodego, tęsknił za poprzednim partnerem.

Ryszard, zwany przez Burzę Milczkiem, odzywał się tylko wtedy, kiedy musiał. Zadawał lakoniczne pytania. Przy nim to Burzyński wychodził na gadułę. Ryszard milczał przez większość czasu. Jeżeli już wydawał z siebie jakieś dźwięki, były to lapidarne odpowiedzi na pytania, których nie dało się zignorować. Cisza była ważnym elementem ich partnerstwa. Tworzyli wybitnie zgrany duet, rozumiejący się bez słów i rozwiązujący większość trudnych spraw. Jak stare, dobre małżeństwo. Do czasu. Niestety wszystko, co dobre, kiedyś się kończy.

– I jak przesłuchania? – Młody wpatrywał się w Burzyńskiego. Opierał się przy tym łokciami o biurko. Dokładnie tak samo łokcie układał Ryszard. – Mamy jakieś tropy? Winnych? – Michał wyczerpał najwyraźniej poboczne tematy, bo wrócił do tych związanych z meritum spraw prowadzonych przez policyjny duet.

- E tam, niewiele wniosły. Wygląda na to, że żaden z przesłuchiwanym nie znał denata. Przyjrę się z bliska jednemu z tych facetów, Majorowi. To on był pomysłodawcą ustawienia skrzynki geocachingowej w tym miejscu, to on zaproponował kolegom dzisiejszy dzień i godzinę na wyprawę. Sprawdziłem alibi pozostałych. Zgadza się.

- Czyli dwóch z trzech możemy już wykreślić? Ale przyznaj, wygląda to dość podejrzanie.

- Wygląda. Oczywiście może to być niesamowity zbieg okoliczności, może geocachingowcy znaleźli się tam po prostu przez przypadek. Nie wiem tego na pewno. Muszę sprawdzić hipotezę, że Major miał coś wspólnego ze śmiercią Ciemały. Nawet jeśli go nie znał, nie wyklucza to zabójstwa. Mógł przecież zabić nieznanego.

- No tak, czyli jak zwykle, kuźwa, uginamy się pod sporą liczbą hipotez śledczych.

- Powiedziałbym, że już się ugięliśmy. Leżymy jak nasz denat.

- To czego się napijesz? - Młody odsłonił białe zęby i wyszedł zza biurka. Intonacja nie pozostawiała wątpliwości interpretacyjnych. - Bo na sucho chyba tego nie rozgryziemy.

- A co? Idziesz do baru?

- Kawa? Herbata? Woda?

Michał stanął przy parapecie i potrząsnął czajnikiem, by sprawdzić, czy wystarczy wody na dwa kubki.

- Woda czy wóda, bo nie dosłyszałem? - Głupi żart zrelaksował Burzyńskiego. W kontaktach z Młodym uczył się, że pozwolenie sobie na odrobinę luzu nie jest niczym złym. Zwłaszcza w bezpiecznym, zamkniętym gronie zaufanych ludzi.

- Chciałbym zaproponować wódę, ale przecież nie mamy zakąski.

- Młody, co ty wiesz o policji? W czasach kiedy robiłeś w pieluchy, w komendzie nikt nie przejmował się brakiem zakąski czy odpowiedniego szkła. Trudno było przejmować się wtedy tak nieistotnymi brakami, bo brakowało wszystkiego, a radość życia

była niewspółmiernie większa.

Woda w czajniku szumiała, a mężczyźni przypominali sobie filmowe sceny z polskimi milicjantami i alkoholem w roli głównej. Za oknami komendy toczyło się życie, którego odgłosy docierały przez otwarte okno. Jakaś kobieta wołała psa. Z oddali słychać było krzyki rozbawionych dzieci.

Po chwili popijali już gorącą kawę, a Majewski skręcał się ze śmiechu i pokładał na blacie biurka. Jego twarz dotykała akt sprawy Józefa Ciemały, oznaczonych dla porządku numerem. Cyfry niosły ze sobą bezpieczną anonimowość, wygodny statystyczny parawan przysłaniający ludzką tragedię.

– Burza, a jak twoja żona? – Ni stąd, ni zowąd Młody zdecydował się dopytać o sprawy prywatne partnera.

Miał szósty zmysł i z docierających do niego skąpych sygnałów wnioskował, że w małżeństwie Burzy nie dzieje się zbyt dobrze. Rano był świadkiem rozmowy telefonicznej. Niewiele słyszał, ale widział napiętą twarz kolegi. Nie komentował wcześniej, bo nie chciał narażać się na atak.

– Hm? – Pytanie zdziwiło Przemysława.

– Zadowolona, że spędziłeś z nią cały urlop, czy ma cię dość?

– Ymh – burknął Burza, zupełnie zmieniając wyraz twarzy.

Nie chciał rozmawiać na ten temat ani z młodym, nierozumiejącym małżeńskich zawłości chłopakiem, ani z nikim innym. Wspomnienie z wakacji powinno być dobre. Tego się trzymał. Gdy rozpakowywał walizki zaraz po przyjeździe do hotelu, wiedział, że to muszą być dobre dwa tygodnie. Muszą. Powtarzał to sobie, gdy dziewczynki kłóciły się, czy iść na animacje, czy na basen. Powtarzał, gdy żona zerkała na niego z leżaka i sugerowała, że to on, głowa rodziny, powinien wydać wyrok w tej sprawie.

– Czyli zadowolona? – Młody usiłował dowiedzieć się, co znaczyło to „ymh”.

Burzyński nie zamierzał tłumaczyć koledze, że dla pracoholika czternaście dni spędzonych w kurorcie, w którym

wszystko jest pod nosem, wszystko oprócz trupów i zagadek kryminalnych, nie jest szczytem marzeń. Dusił się. Nie miał czym oddychać. Śniadanie, plaża, obiad, plaża, kolacja, bar. Każdy dzień wyglądał tak samo. Dla Izy wakacje trwały stanowczo za krótko. Dla niego bezwzględnie za długo. On przyjechał do słonecznego kurortu wyluzowany. Następnego dnia mógłby już wracać do domu. Znaczy do pracy. Iza przyjechała spięta. Dopiero po pięciu dniach poczuła odrobinę spokoju i zrelaksowała się.

– Młody, co ty wiesz o kobietach... – westchnął Burzyński.

– Burza, gadasz jak baba.

– Dobra, wróćmy do pracy. – Najlepszą obroną była zmiana tematu. – Mamy prowadzić dwie równoległe sprawy zabójstw.

– Ruch się zrobił w interesie, że ho, ho. Kościotrup i pocięty nagus czekają na rozwiązanie tajemnicy ich śmierci.

– Jeśli pani antropolog nie potwierdzi, że znalezione kości mogły należeć do którejś z dwóch zaginionych, zostaje nam już tylko najgorsza wersja wydarzeń. To była kobieta z marginesu społecznego. Nikt się o nią nigdy nie upomni.

– Rozmawiałem z jedną panną, to znaczy z moim informatorem. Ma się dowiedzieć, czy w tamtym rewirze nie zginęła w ostatnim czasie żadna jagodzianka.

– Dobra, ja też uruchomiłem ucho. Podeślemy chłopaków, niech przepytają wszystkie panny stojące w promieniu sześćdziesięciu kilometrów od miejsca znalezienia kości. Może któraś wsiadła do auta klienta i wyrzucił ją właśnie w lesie.

– Tak, niech podpytają też mieszkańców wioski, która jest za lasem. Wiesz, oni mijają te panny dwa razy dziennie, w drodze do pracy i do domu. Może rzucił im się w oczy jakiś podejrzany samochód, jakieś dziwne zachowanie?

– Dobrze kombinujesz, Młody. Wiesz, gdy się tu pojawiłeś, myślałem, że tracisz czas. Mój, swój i jeszcze państwowe pieniądze. Ale teraz widzę, że to szczęście. Nie zmarnujesz się w tej robocie. Tylko pamiętaj, żeby nie wchodzić w bliższe

STOSUNKI z ucholami, zwłaszcza z tej branży. – Tu wykonał niewybredny gest.

– Się wie. Nie gustuję w leśnych ssakach ani innych formach płatnej miłości. A jeśli nie uda nam się z nich niczego wyciągnąć?

– Ty lepiej niczego przy nich nie wyciągaj. – Śmiech Burzyńskiego odbił się od pancерnej szafy, stojącej w rogu pokoju. – Wracajmy na ziemię. Jeśli nie uzyskamy nowych informacji, to ofiara zostanie NN. I tyle.

Burzyńskiemu przyszła na myśl jeszcze jedna hipoteza. Skoro antropolog nie znalazła widocznych śladów śmiertelnego uderzenia czy duszenia, mogło to oznaczać, że dziewczyna została otruta. Otruta i wyrzucona w lesie. W notesie na końcu kolumny zatytułowanej „Czynności do zrobienia” dopisał: „Dopytać policję w Kórniku”. Postanowił sprawdzić, czy na trasie w okolicy miejsca znalezienia ofiary w ciągu ostatniego miesiąca policja nie zatrzymała nikogo podejrzanego. Sprawca mógł przygotowywać się do morderstwa, obserwować otoczenie i szukać dogodnego miejsca. Myśl ta pociągnęła za sobą następną. Czy przypadkiem na wolność nie wyszedł morderca o zbliżonym sposobie działania? Dopisał w notesie: „Sprawdzić wg modus operandi”.

– *Nomen Nominandum*. Nie brzmi to dobrze. – Młody westchnął głośno. – Wolę amerykańskie określenie John Doe. Daje iluzoryczne wrażenie, że taki człowiek nosi jednak jakieś imię i nazwisko. Bezimienni są obojętni społeczeństwu. Niepotrzebni. Nieistniejący. To przykre, że człowiek może zginąć jak igła w stogu siana, zgubić swoje nazwisko.

W tej chwili stóg siana skojarzył mu się z tym, że nie wiadomo, gdzie szukać. A to z kolei z lasem, w którym jest podobnie. Drzewa jak źdźbła siana podobne są jedne do drugich. Zapisał więc na samoprzylepnej karteczce: „Pogadać z leśniczym, czy jest ktoś, kto zna ten las i wiedziałby, gdzie ukryć skarb”.

Odłożył długopis i wrócił do kręcenia się na krześle

obrotowym. Był dumny z siebie. Wpadł na niesamowity pomysł. Czuł, że dokonał rewolucyjnego odkrycia. W jego dotychczasowej – owszem, krótkiej, ale rozwijającej się – karierze policyjnej nie było spraw nierozwiązanych. I nie powinno być. Był młody. Miał wystarczająco dużo siły i entuzjazmu, by nie godzić się na NN. Postanowił zawalczyć o identyfikację zabitej kobiety.

Myślał o sobie, a jego duma rosła przy kolejnych obrotach. Gdyby wszyscy działali tak jak on, to statystyki policyjne byłyby bardziej wymuskane. Piękne liczby, wysoka skuteczność, pochwały przełożonych.

W subiektywnym odczuciu Młodego wszystko wirowało. Łącznie z siedzącym przy biurku i uzupełniającym akta Burzyńskim. Michał zamknął oczy i zatrzymał krzesło, stawiając obie nogi twardo na ziemi. Wyobrażał sobie minę podkomisarza Burzy Burzyńskiego, gdy podzieli się z nim najnowszym odkryciem. Powie mu: „Kuźwa, Burza, wiem, jak nazywa się nasza ofiara z lasu”.

* * *

– Wróćmy do początków. Kiedy zmieniłeś się z klienta w szefa?

Kobieta zadała pytanie i obserwowała reakcję mężczyzny. Wkraczali w coraz bardziej niebezpieczne rejony. Zbliżali się do tematów, których w telewizji nikt wcześniej nie poruszał.

– Kiedy? Nie mam pamięci do dat. Wiesz, jak to jest. Jeśli stajesz się uzależniona – zawiesił głos i szybko ją ocenił – od kawy latte z syropem migdałowym, twoje nogi bezwiednie prowadzą cię do kafejki kilka razy dziennie... Nie celebrujesz już kolejnych łyków, nie zwracasz uwagi na wygodne fotele czy przyjemne otoczenie. Bierzesz największy kubek kawy na wynos. Oszukujesz się i argumentujesz, że wystarczy ci na cały dzień, ale po skończonej pracy znów stajesz przed ladą i prosisz o migdałowe latte. Prędzej czy później zaczynasz się zastanawiać, ile wydajesz kasy. Ile mogłabyś zaoszczędzić, gdybyś miała w domu ekspres ciśnieniowy i butelkę syropu migdałowego.

Ja też zacząłem się zastanawiać, co zrobić, by obniżyć koszty moich przyjemności, a jednocześnie podwyższyć ich jakość. Nie pamiętam, kiedy to było, ale po prostu któregoś dnia uznałem, że o tym kurewskim interesie wiem tak dużo, że spokojnie mogę w niego zainwestować. Odnowiłem kontakty z „miastem”.

– Z „miastem”? Co masz na myśli?

– Nieoficjalny związek zawodowy kryminalistów. Tyle musi ci wystarczyć. Nie licz na szczegóły. Po prostu wykorzystałem znajomości, by ktoś odpowiedni przedstawił mnie komu trzeba. Polecił mnie, zaświadczył, że jestem okej. W ten sposób załatwiłem polisę ubezpieczeniową i ochronę w jednym.

– Ochronę? Czyli musiałeś komuś zapłacić.

– Tak, w tym biznesie musisz działać pod odpowiednimi skrzydłami. W przeciwnym razie masz nalot za nalotem. Ja płaciłem mojemu ochroniarzowi, on płacił temu, kto był nad nim, a tamten też komuś płacił. Później znalazłem lokal. Małą kawalerkę w centrum miasta. W niskiej cenie. To było mieszkanie idealne. Dwadzieścia pięć metrów. Ładna łazienka i ciemny pokój. W metrowym przedpokoju było miejsce na kuchnię. Podobno przez cztery miesiące nie mogło znaleźć najemcy. Wymalowałem ściany na ciemny brąz. Kupiłem na Allegro dwa fotele. Używane, ale w całkiem dobrym stanie. Łóżko w dyskoncie. Pościel, taką śliską, zasłony w kurewskim kolorze. Stworzyłem idealnie zmysłowe wnętrze, pobudzające libido i relaksujące jednocześnie. Na ścianie zamontowałem lustro, aby w trakcie klient mógł spojrzeć na siebie lub pannę z każdej strony. To był majstersztyk. Wiedziałem dokładnie, jakich wrażeń poszukują klienci, którzy w niedalekiej przyszłości mają wyskakiwać u mnie z kasy. Wiedziałem, czego nie ma konkurencja. W pełni świadomy zmierzałem w określonym kierunku, kształtowałem wizerunek firmy.

– A skąd wzięłeś dziewczyny?

– Z castingu. Dałem ogłoszenie w necie. Praca dla pięknych dziewczyn.

- Przyszło dużo odpowiedzi?
- Bardzo dużo. Miałem z czego wybierać. Oceniałem je pod kątem wyglądu, zachowania i otwartości na seks.
- Mówiłeś im, że będzie chodziło o seks?
- Robisz ze mnie pieprzonego potwora? Uważam, że tylko świadoma dziewczyna może wyciągnąć w tej branży prawdziwą kasę. Moje pracownice musiały wiedzieć, co robią i dlaczego.
- Nie pomyślałeś nigdy, że je wykorzystujesz? Sprzedajesz?
- Kurwa, wykorzystywałem je tak samo, jak każdy pracodawca wykorzystuje pracowników. Owszem, były produktem. Oferowały usługę. Ale beze mnie mogłyby jedynie robić lody tirowcom przy trasie. Wkurwiłaś mnie teraz. Dlaczego miałbym je wykorzystywać? Same tego chciały. Nie ukrywałem, w jakim celu potrzebne mi pracownice.
- Nazywasz je pracownicami. Odprowadzałeś składki do ZUS-u?
- Odprowadzałem inne składki, te na ochronę. Gwarantuję ci, że dużo ważniejsze niż te do molocha, złodzieja. Dziewczyny pracowały dla mnie. Ode mnie dostały ciuchy, wskazówki, jak się malować, ubierać, jak postępować z facetami, by zostawili im więcej kasy. Niektóre musiałem uczyć od podstaw. Gównu wiedziały o seksie. Głupie pindy. Dostały ode mnie know-how!
- A czego według ciebie oczekują mężczyźni od prostytutek?
- Zasadniczo zaspokojenia pragnienia, ale też odrodzenia utraconej męskości. Seks musi być taki, by facet czuł się w stu procentach spełniony jako mężczyzna. Idealna prostytutka to gejsza... Wiesz, taka, co robi masaż, pogada, sprowokuje i zapewni upojne, zmysłowe doznania. Gejsza, a nie śnięta królewna. Tym różni się kurwa od żony. Moje dziewczyny o tym wiedziały i dlatego miały mnóstwo klientów. Każdy do nich wracał. To dzięki mnie miały kasę na te wszystkie babskie fanaberie. Pracowały, bo to dawało im swobodę finansową. Taką podjęły decyzję, to był ich wybór. Jakoś żadna nie narzekała. Byłem dobrym szefem. Nawet kupiłem im używanego laptopa,

żeby nie nudziły się, gdy będą czekać na kolejnego klienta.

– Uważasz, że sprzedawały ciało odpowiednio drogo, więc twoje działania są okej?

– Takie są prawa rynku. Jest popyt, jest podaż. Jeśli ktoś chce płacić za umycie i wysuszenie włosów fryzjerowi, to jego sprawa. Oczywiście mógłby to zrobić w domu, ale z różnych względów nie robi. Nie jestem Bogiem, by wypytywać klientów o motywy i ich rozgrzeszać. Masz ochotę zamoczyć poza domem? Świetnie. Stworzony przeze mnie raj pozwalał robić to bezpiecznie i na odpowiednio wysokim poziomie. Klient doceniał jakość usług i płacił. Kasą dzieliłem się z dziewczynami. Dostawały dobry procent. Bez moich szkoleń mogłyby pomarzyć o takich stawkach za godzinę. Każda, każda jedna, którą zatrudniałem, była beznadziejna w łóżku. Wszystkim im się wydaje, że jak mają cipki, to mogą być kurwami. Ale jeśli klient ma do cipki wrócić, to musi dostać coś więcej...

– Spałeś z nimi?

– Twoja pruderyjność mnie bawi. Śpię tylko z żoną. Z dziewczyną się pieprzę, pierdolę, przelatuję ją. – Chciał ją speszyć. – Musiałem wypróbować towar, zanim wprowadziłem go na rynek, prawda?

– Opowiadasz mi tu o kilku dziewczynach i jednym mieszkaniu... a przecież nazywają cię Burdel Kingiem.

Akt 5

Znalezienie wolnego miejsca parkingowego na Osiedlu Przyjaźni graniczyło z cudem. Parę minut temu minęła siedemnasta i mieszkańcy okolicznych mrówkowców zdążyli zapełnić parkingi samochodami, obciążyć windy własnymi ciałami i siatkami pełnymi produktów spożywczych. Marzyli tylko o tym, by szybko zamknąć za sobą drzwi wejściowe i paść na kanapy w swoich domach.

Burza Burzyński spotkał się z Młodym przed wejściem do bloku numer osiemnaście. Nie skorzystali z domofonu. Złapali drzwi puszczone przez wychodzącego nastolatka. Pokonali kilka schodów i stanęli przed windami. Zanim przyjechała jedna z nich, przybyło oczekujących. Policjanci, mężczyzna z owczarkiem niemieckim i kobieta z dzieckiem nieokreślonej płci wykazali się refleksem i wpakowali się do windy pierwsi. Reszcie pozostało oczekiwanie lub spacer schodami.

Gdy znaleźli się na czwartym piętrze, Burzyński przyspieszył i szybko znalazł się przed drzwiami numer 42.

– To tu – powiedział ściszym głosem. – Szybciej, Młody, chodź. Ty gadasz, ja staram się tylko przyglądać.

Majewski nie słyszał partnera. Pokonywał właśnie depresyjnie długi i ciemny korytarz. Gdyby nie jechał windą w górę, skłonny byłby stwierdzić, że ta ponura kiszka prowadzi do piwnic lokatorów. Na piętrze znajdowało się ponad dwadzieścia mieszkań rozlokowanych po obu stronach korytarza. Światło dochodziło z dwóch małych okien na obu jego końcach. Uwagę zwracały niczym nieosłonięte rury pod sufitem.

– Mówiłeś coś? – odezwał się w końcu. – Kuźwa, co to jest? Miałbym dolinę, gdybym codziennie musiał przechodzić takim korytarzem. W więzieniu jest przyjemniej.

– Taa. Młody, skup się. Masz się wykazać – powtórzył Burzyński i zapukał, by nie tracić czasu.

Drzwi otworzyła zaokrąglona kura domowa.

– Dzień dobry, Komenda Wojewódzka Policji, posterunkowy Michał Majewski i podkomisarz Przemysław Burzyński, czy pani Irena Ciemała?

– Tak. – Kobieta zbladła. – Panowie do mnie czy do męża?

– Do pani. Możemy wejść? – Majewski delikatnie popchnął drzwi i znalazł się w mieszkaniu.

– Proszę do pokoju, mam zupę na gazie, tylko naleję synowi i już idę. – Kobieta pokazała im pomieszczenie na prawo.

Policjanci weszli do pokoju, zwanego zapewne salonem. W jego centralnym punkcie znajdował się telewizor. Duży. Stanowczo za duży jak na to wnętrze. Przy stole niewiele większym od plazmy siedział młody mężczyzna. Irena Ciemała postawiła przed nim głęboki talerz i wskazała policjantom kanapę, na której powinni usiąść. Sama położyła otłuszczone pośladki na krześle.

– Mamuśka, o co chodzi? – Syn musiał przegapić lekcje savoir vivre'u i dopytywał z buzią pełną zupy.

– Pan jest synem Józefa Ciemały?

– Tak.

– Mamy dla państwa złą informację. – Burzyński postanowił pomóc partnerowi. Co prawda obiecał się nie wtrącać, ale zauważył, że Młody bezskutecznie poszukuje słów, którymi mógłby zakomunikować złą nowinę. – Pani mąż, Józef Ciemała, został dziś znaleziony martwy. Został zamordowany.

– Jak to martwy? Nie żyje?

– Tak. Został zabity. – Młody początkowo czuł się zobowiązany odpowiedzieć na wszystkie pytania. Ręka Burzyńskiego trafiła jednak na jego ramię i zrozumiał, że nie powinien. Są pytania, na

które nie ma odpowiedzi. Są chwile, w których żadna odpowiedź nie dotrze do świadomości pytającego.

– Mój Józef? Niemożliwe. Ale jak? Jak to możliwe?

Policjanci wysłuchali niekończących się pytań i płaczu kobiety. Gdy lament ustał, a kobieta wytarła twarz i po raz kolejny spojrzała na przybyłych, Burzyński wypowiedział lodowatym głosem formułę, którą w swojej pracy powtarzał niejedyn raz:

– Zdaję sobie sprawę z tego, że to dla państwa bardzo trudna chwila. Szczerze współczuję. Ale musimy zadać kilka pytań.

– Wiecie, kto go zamordował? – Syn ofiary domagał się konkretów.

– Jeszcze za wcześnie na takie pytania. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ustalić sprawcę. – Młody wrócił do gry. Znów był pewny siebie. – Kiedy widziała pani męża po raz ostatni?

– Kiedy? Chyba wczoraj rano.

– A pan? – Spojrzał na syna.

– Przedwczoraj, późnym popołudniem.

– Nie wrócił na noc?

– Nie.

– I nie była pani zaniepokojona?

– Nie. – Po twarzy kobiety płynęły łzy. – On służbowo wyjechał, miał wrócić za trzy dni.

– Służbowo? Dokąd?

– Nie pamiętam, po prostu służbowo. Z pracy mu kazali, to pojechał.

– A gdzie pracował?

– W hipermarkecie Paweł i Gaweł, tu zaraz, obok.

– A na jakim stanowisku?

– Jest magazynierem.

Burzyński nie mógł pozbyć się natrętnej myśli, że magazynierzy nie wyjeżdżają służbowo. Nie odzywał się jednak. Wstał i podszedł do okna, dając partnerowi pole do działania. Jednocześnie obserwował zachowanie Młodego. W myślach

notował sobie kwestie budzące wątpliwości i stawiał przy nich znak zapytania. Mógł je poruszyć na końcu spotkania, jeśli Michał ich nie wychwyci.

– A dokąd wyjechał i kiedy miał wrócić? – dopytywał młodszy policjant.

– Nie wiem, mąż chyba podawał jakąś nazwę miasta. Krzysiu, pamiętasz?

– Nie wiem. – Syn nie wyglądał na wstrząśniętego informacją o śmierci ojca.

– Pan zapyta u niego w pracy. Oni wiedzą, mnie to tylko w głowie zostało, że – żona zaczęła opowiadać wszystko, co zapamiętała – gdzieś na szkolenie, do ośrodka jakiegoś. Z wyżywieniem tam mieli mieć pobyt. Ze szwedzkim stołem czy jak. – Nagle przypomniała sobie, jaki jest cel wizyty policjantów, i znowu zaczęła płakać. – Ale jak to Józek nie żyje? Ktoś go zabił na tym szkoleniu? Mówiłam mu, żeby nie jechał. Ale on tłumaczył, że szefowi odmówić nie może. Wcale nie chciał tam jechać. Tak mówił.

– W jakich państwo byliście stosunkach?

Burzyński z zainteresowaniem przyglądał się pracy Majewskiego. Po raz kolejny chłopak mu imponował. Nadawał się do tej roboty. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Jak to w jakich? Jesteśmy małżeństwem od prawie dwudziestu czterech lat.

– Rozumiem, a czy mąż miał wrogów?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Przyjaciół też nie miał – wtrącił chłopak, ale matka zganiła go wzrokiem.

– A czy wie pani coś na temat jego problemów z prawem?

– Józka? Nie, broń mnie Panie Boże. Józek był dobrym człowiekiem.

– No tak, o zmarłych nie mówi się źle – chłopak znowu wtrącił swoje trzy grosze i wyszedł z pokoju. Wyraźnie sugerował, że jest coś, co matka chciałaby ukryć.

– Czy mógł mieć kontakty w świecie przestępczym? – Młody nie przerywał przesłuchania żony ofiary. Odnotował tylko w pamięci, że musi na osobności porozmawiać też z synem.

– Nie. Na pewno nie.

– Nikt podejrzany u państwa nie był? – Burzyński nie wytrzymał i odezwał się, co rozbawiło Młodego.

Mężczyzna wiedział, że podkomisarz nie wytrzyma. Nie był w stanie zbyt długo trzymać się z boku. Zawsze angażował się w prowadzone sprawy, nawet jeśli próbował to ukryć.

– Podejrzany? Nie. Bywają u nas moje koleżanki. Józek nie utrzymywał bliższych kontaktów z nikim, nawet z kolegami z pracy.

– Proszę pomyśleć, może jednak miał jakiegoś kolegę z przestępczego świata. Ktoś mu coś załatwiał?

– Nie, nie, stanowczo nie. – Kobieta nie chciała słuchać Młodego. – Nie zrobicie z mojego męża, zaraz po śmierci, przestępcy. Gdzie on niby miałby poznać przestępczy świat? W pracy czy w spożywczaku, do którego chodził po piwo?

– Chociażby w więzieniu. – Majewski zarzucił haczyk i czekał, co się na niego złapie.

– Mój mąż? Co pan?! W więzieniu? Niby skąd miałby się tam wziąć? Co też pan wymyślił...

– Mamy inne informacje.

– To musi być pomyłka. Może to jakiś inny Ciemała?

– Józef Ciemała, lat czterdzieści pięć, oczy zielone, z wytatuowaną pięciolinia...

– Zgadza się.

Kobieta znowu zaczęła lamentować. Jakby przed chwilą uwierzyła w możliwość istnienia dwóch mężczyzn o tym samym nazwisku. Przez kilka sekund była przekonana, że akurat jej mąż, Józef Ciemała, żyje. Niestety. Po raz kolejny otrzymała bolesny cios i musiała uwolnić nagromadzone emocje.

Do pokoju wrócił syn. Podeszedł do matki i przytulił ją.

– Panowie mówią – kobieta skarżyła się chłopakowi – że ojciec

siedział w więzieniu. To przecież niemożliwe! Jesteśmy ze sobą, byliśmy raczej, tyle lat. Wiedziałabym. Wiedziałabym? – Szukała potwierdzenia w oczach syna. – Wiedziałabym, prawda?

– Niekoniecznie. Od kiedy jesteście państwo małżeństwem? – Głos Burzyńskiego brzmiał niespotykane łagodnie.

– Braliśmy ślub w grudniu dziewięćdziesiątego pierwszego roku, po czterech miesiącach znajomości.

– Taa, faktycznie. – Bogatszy w doświadczenie policjant kiwnął głową. Zdawał sobie sprawę, że kobiecie po raz kolejny w ciągu godziny na głowę wali się cały świat. – To wiele wyjaśnia. Pani mąż wyszedł z więzienia latem tamtego roku, po dwóch latach kary.

– Kary za...? – Syn był wyraźnie wzburzony. Obejmował matkę coraz mocniej.

– Za gwałt.

Nastąpił kolejny emocjonalny wybuch. Złość, zdziwienie i ból tworzyły niebezpieczną mieszankę. Michał Majewski obserwował rodzinę Ciemałów i powoli zaczynał rozumieć rady starszego kolegi. Wielokrotnie słyszał, że w ich zawodzie ważne są dystans i wyłączenie emocji. Nie chciał zmienić się w bezdusznego potwora, jednak gdy obserwował po raz trzeci tego samego dnia histerię kobiety, żałował, że nie może przewinąć filmu, który ogląda. Wyciąć z niego niepotrzebnych emocji. Przyspieszyłoby to znacznie ich pracę. Musieli zapytać jeszcze o alibi na czas morderstwa – i żonę, i syna.

* * *

– Wyrazy współczucia – powiedział w końcu Młody. – Proszę nie opuszczać Poznania, zaprosimy państwa jeszcze do komendy.

Drzwi numer 42 zamknęły się za policjantami, a oni poczuli ulgę. Mogli skupić się na kolejnych zadaniach. Nawet korytarz nie wydawał się Młodemu tak przygnębiający jak wcześniej. Gdy podeszli do windy, Burzyński chciał głośno pochwalić partnera, ale nie zdążył.

– Przepraszam...

Zza rogu wyłonił się syn Ciemały. Trzymał w ręce ciemny worek, do połowy wypełniony śmieciami. Podszedł do zsypu, wrzucił worek i z odrazą puścił klapę. Głuchy dźwięk rozległ się na korytarzu. Towarzyszył mu odpychający smród śmieci.

– Ja chciałem coś powiedzieć, coś ważnego – zawahał się – ale nie chciałem tak przy matce. Ona nie powinna tego słyszeć.

Instynkt samozachowawczy człowieka, wyrażający się między innymi w umiejętności przystosowania się do warunków otoczenia, w tym miejscu musiał ulec pełnej atrofii. W ogromnym skupisku ludzi człowiek nauczył się nie zauważać tego, co niewygodne. Sąsiadów. Zwłaszcza tych potrzebujących pomocy. Brzydkiego korytarza. Syfu wrzucanego do zsypów na śmieci. Żadne inne ssaki nie pozwoliłyby sobie na zrzucanie śmieci tak blisko swojego bezpiecznego gniazda. Żadne, oprócz człowieka. Człowiek nauczył się współistnieć ze szczurami, pluskwami i tajemnicami.

– Tak? – Młody trzymał już w ręku notes.

– Ojciec siedział za gwałt?

Policjanci pokiwali głowami.

– Wcale mnie to nie dziwi. Domyślałem się, że ma problem z tymi sprawami. No, w sensie z seksem. Od lat korzystał z dziwek. Mówił, że nie zdradza matki, tylko chodzi na seks. Tak jak do fryzjera. Płaci za możliwość spuszczenia się. Z tego powodu często awanturowali się z matką. Zamiast oddawać jej swoją wypłatę, zużywał ją na dziwki. Czasem nawet zapożyczał się u kolegów czy sąsiadów, byle tylko podupczyć. Brał jakieś prace dodatkowe. Mało bywał w domu. Wszystko po to, by wsadzić sobie fiuta...

– A skąd pan wie?

– Bo on TO uważał za oznakę supermęskości.

– To? – Burzyński chciał uściślić zeznania chłopaka.

– No, seks z dziewczyną. Chwalił się tym, dawał mi siebie za wzór. Miałem szesnaście lat, gdy zabrał mnie do dziwki, żebym miał

TO już za sobą. Profesjonalnie i bez skrępowania, tak to wtedy ujął. A potem wyśmiewał moją nieśmiałość i zawsze powtarzał, że prosta kurwa ma tę przewagę nad żoną, że nigdy nie przestanie dawać.

– Ooo... – Burzyński pokiwał głową. Wiele mądrości życiowych już słyszał, tę jednak chciał zapamiętać. – Wie pan może, czy chodził w jedno konkretne miejsce?

– Niestety nie. Wiem tylko, gdzie mnie zaprowadził wtedy, na ten pierwszy raz.

* * *

Na klatce schodowej zamknęły się kolejne drzwi, ale w uszach policjantów brzmiały jeszcze słowa wypowiedziane przez sąsiada:

– Mam wystarczająco dużo własnych spraw, nie zaglądam innym w okna.

Wypytywali sąsiadów o rodzinę Ciemałów, ale nie uzyskali żadnych konkretnych informacji. Nikt niczego nie widział. Może nawet nie chciał zauważać. Wygodniej było żyć, gdy człowiek skupiał się tylko na sobie. Niektórzy ludzie nawet nie kojarzyli, że pod czterdziestkądwójką mieszka małżeństwo z ponaddwudziestoletnim stażem.

Większości nic nie mówiło nazwisko. Taka jest właśnie wątpliwa korzyść ustawy o ochronie danych osobowych. Brak nazwiska na domofonie. Sąsiadka w najlepszym razie jest panią Jadwigą, Helenką czy Beatką. Nazwisko nieznane. Setki ludzi NN żyjących obok siebie. Kiedyś to było nie do pomyślenia. Wiedziało się wszystko o wszystkich.

– To może sprawdźmy jeszcze tę wścibską sąsiadkę, facet spod numeru trzydzieści osiem mówił, że pod nim mieszka wszechwiedząca baba.

W tym momencie w komórce Burzy odezwał się dzwonek. Automatyczny przypomniacz wygrywał denerwującą melodię, oznajmiającą, że czas wracać do domu, w którym czeka na niego

żona i życie prywatne.

– Pogadasz z babą sam? – Przemysław spojrział na Młodego tak, że tamten nie śmiał odmówić. – Zwłaszcza że przed południem domagałeś się prowadzenia przesłuchania?

– No pewnie, kuźwa, załatwię to sam, a co z tobą?

– Lecę do domu. Czas na mnie.

– Żona wzywa. – Młody nie zdążył pomyśleć, zanim się odezwał. Chciał ugryźć się w język, ale było za późno.

– Nie żartuj. – Burzyński był jedną nogą w domu, dlatego zdobył się na szczerość. – Żona w ciągu najbliższego stulecia nie zechce przypomnieć mi o swoim istnieniu. Wzięła to sobie za punkt honoru. Dlatego nastawiłem automatyczne przypomnienie o moim życiu. Prywatnym, które boleśnie konkuruje z zawodowym...

– Dobra, idź udzielać się jako małżonek, a ja zrobię trochę nadgodzin.

Przemysław odszedł, mimo że bardzo chciał zostać. Michał został, bo nie miał do czego się spieszyć. Mieszkał sam. Nie miał kobiety, która mogłaby mu marudzić, ustawiać go, wymagać. Płeć przeciwną traktował jak wyzwanie. Zauważał atrakcyjny egzemplarz, czarował i zdobywał. Reszta go nie interesowała.

Obserwując twardego Burzyńskiego, zaczął zastanawiać się, jaką kobietę musiałby spotkać na swojej drodze, by oszaleć na jej punkcie i być gotowym na takie poświęcenia. Rezygnację ze swoich pasji. Robienie z siebie głupka. Ciągłe staranie się. Ciągłe?

Starac się można przez chwilę – po to, by kogoś zdobyć. To była filozofia jego życia. Był urodzonym zdobywcą. Pragnął i spełniał swoje pragnienia. Spełnianie ich dawało mu najwięcej przyjemności. Nie interesowało go utrzymanie czegokolwiek. Wybierał krótszą drogę. Prosta, bez wzniesień. To dużo łatwiejsze niż staranie się w stałym związku, gdy nie chodzi już tylko o seks. Gdy każdy ma jakieś ale, multum wymagań i oczekiwań. Gdy pewne sprawy bolą, a o innych nie chcesz rozmawiasz. Gdy

musisz o czymś zapomnieć. Gdy wiatr wieje ci prosto w oczy, a zwyczajne życie dołącza. Wtedy walka o utrzymanie miłości drugiego człowieka jest najtrudniejsza.

Michał Majewski kochał życie, jakie prowadził. Cenił swoją wolność. Mógł pracować przez czterdzieści osiem godzin bez przerwy. Jeśli chciał spać, to spał. Był panem swojego losu. Gdy coś go denerwowało w związku z kobietą, mówił jej „do widzenia” i zapominał o problemie. Bez wspólnych kredytów, dzieci i planów wakacyjnych.

„Czy Burza był kiedyś takim indywidualistą jak ja? – To pytanie niepokoiło Młodego. – Może sam zmienię się kiedyś, będę nudny i spętany jak podkomisarz? Nie wykluczam, chociaż wydaje się to w tej chwili zupełnie nieprawdopodobne – uspokajał swoje obawy. – Być może spotkam kobietę, dla której warto będzie podejmować heroiczny wysiłek przeżywania każdego dnia razem. Kochania mimo wszystko. Czy tą kobietą mogłaby być pani antropolog? Nie, jest chyba zbyt uporządkowana, zbyt lodowata i za stara”.

* * *

Nieostrożny ruch ręką spowodował, że stracił nieznanego z pola widzenia. Teleobiektyw nieoczekiwanie pokazał zieloną plamę. Musiał szybko zmienić ogniskową. Odnalazł blok, wejście do klatki i opartego o ławkę mężczyznę, który rozmawiał przez komórkę. Ponownie powiększył obraz. Chciał przyjrzeć się twarzy tego człowieka.

Obserwował blok numer osiemnaście od dłuższego czasu. Nie liczył dni. Zlały mu się w jedną bezkształtną masę. Obiekt jego obserwacji wiódł monotonne życie. Codziennie mniej więcej o tej samej godzinie wychodził do pracy, o tej samej wracał do domu. Czasami w czwartki wracał dwie godziny później. W środy, piątki i poniedziałki wystawał pod sklepem spożywczym, gdzie popijał piwo. W niedzielę nie wychylał nosa z domu.

Dla urozmaicenia zaczął więc przyglądać się innym

lokatorom z tej klatki. Pamiętał już wszystkie twarze, zarówno mieszkańców, jak i stałych bywalców. Do mieszkania na pierwszym piętrze dwa razy w tygodniu przychodziła kobieta z wielką torbą, mieszczącą w sobie łóżko do masażu. Nastolatek wyglądający na syna pary z ósmego piętra codziennie rano zaraz po wyjściu z bloku przypalał skręta.

Był jak Anioł, ten z serialu *Alternatywy 4*. Dozorca idealny. Wiedział o mieszkańcach na tyle dużo, że powinni czuć respekt wobec niego. Powinni, gdyby wiedzieli, że są obserwowani. Właśnie rozmyślał o przyjemności płynącej z anonimowego podglądania życia innych, gdy obserwowany nieznajomy schował telefon do kieszeni i udał się w kierunku pobliskiego sklepu spożywczego.

Ustawił aparat fotograficzny tak, by przyjrzeć się ludziom stojącym przed sklepem. Znał wszystkie twarze z widzenia, wszystkie – oprócz gęby nieznajomego. „Stały zestaw – skwitował. – Brakuje jedynie Ciemały”.

* * *

Anita Broll siedziała na fotelu i malowała paznokcie u stóp. Miała ochotę na ognistą czerwień. W wiklinowej skrzyneczce z kosmetykami córki znalazła odpowiedni odcień lakieru.

– *I came in like a wrecking ball. I never hit so hard in love.* – Zza ściany dochodził do niej pełen pretensji głos wokalistki, która z grzecznej Hannah Montany zmieniała się w nagiego wampa z ogoloną głową.

– *All you ever did was wreck me.* – Muzyce towarzyszyły krzyki zbuntowanej osiemnastolatki.

Anita nie wiedziała, kiedy jej słodka mała dziewczynka zmieniała się w krzyczącą pannicę. Piosenka skończyła się, ale córka włączyła ją po raz kolejny. Od kilku tygodni wielbiła ten utwór. Słuchała i oglądała go w kółko. Z dwojga złego Anita wolała słuchać. Oglądanie młodej wokalistki wyginającej nagie ciało na ogromnej kuli budziło niesmak. Z nagimi ciałami miała

wciąż do czynienia w pracy zawodowej. Pomagała identyfikować wiek „aktorów” występujących w amatorskich filmach pornograficznych. Być może dlatego tak bardzo razila ją wulgarność.

Drzwi dzielące salon i pokój córki otworzyły się, a muzyka niczym woda wlała się do pomieszczenia z ogromną siłą. Miley Cyrus śpiewała jeszcze głośniej:

– *All you ever did was wreck me. Yeah you! You wrecked me.*

– Mamo – dziewczyna próbowała przekrzyczeć wokalistkę – mogę pożyczyć torebkę?

– Ścisz to, nic nie słyszę!

– Co?

– Ścisz to!

– Dobra. – Zniknęła w swoim pokoju, by po chwili stanąć przed matką. – Mogę twoją torebkę? Tę różową? Idę na imprezę i zajebiście by mi podbijała kolor sukienki.

– Paula – jęknęła Anita – masz tyle swoich torebek.

Stojąca przed nią osiemnastolatka ubrana była w wąską, asymetryczną sukienkę, odsłaniającą seksowne nogi i plecy. Anita nie widziała metki, ale znała się na ciuchach. To nie była zwykła sukienka z sieciówki za dwieście czy trzysta złotych. Materiał, krój i kolor wskazywały na kreatywnego projektanta. Kogoś, kto się ceni.

– Masz nową kieckę? – starała się zapytać najbardziej obojętnie, jak potrafiła, by nie rozpętać kolejnej awantury.

– Tak. Kupiłam sobie. Kumpela ma wejścia w takim jednym sklepie, załatwiła spory rabat. Też byś mogła sprawić sobie coś nowego, mamo. Żeby podkreślić swoją kobiecość.

O podkreślaniu kobiecości młodszy klon Anity Broll wiedział dużo. Rodzicielka zastanawiała się, czy nie za dużo. Czerwone usta, długie rzęsy, mocno pomalowane oczy – jednym słowem, pełny profesjonalny makijaż sceniczny. Ten makijaż był powodem wielu kłótni. Jednak w pewnym momencie Broll postanowiła odpuścić i pogodzić się z tłumaczeniami córki, że

czasy się zmieniły.

– Mogę?

– Dobra, weź. Dokąd idziesz?

– Mamo?! Nie mam już piętnastu lat. Nie musisz mnie kontrolować.

„Nie masz już piętnastu lat – w myślach powtórzyła kobieta. – Masz trzy lata więcej. Niewiele ponad tysiąc dni – dni, które tyle zmieniają. Cholera, w tym make-upie wyglądasz na dwadzieścia pięć”.

Drzwi trzasnęły, a Anita została sama w domu. Towarzystwa dotrzymywała jej tylko nieszczęśliwa i wyrośnięta Hannah Montana, podśpiewująca w drugim pokoju. Nagle muzyka przycichła. Słysząc było tylko subtelny głos zranionej i bezbronnej wokalistki:

– *Don't you ever say I just walked away. I will always want you.*

I nagle bezsilność przeszła w niepohamowany wybuch agresji:

– *I came in like a wrecking ball.*

Anita słyszała to już tyle razy, że zdążyła zapamiętać słowa. Postanowiła wykrzyczeć swoje pretensje razem z piosenkarką. Kiedyś tak robiła. Przynosiło jej to ulgę.

Powinna zjeść kolację, ale nie chciało jej się przygotowywać kanapek tylko dla siebie. Świadomość posiadania dorosłej córki przygnębiała ją. Córka wychodziła na imprezy, a ona zostawała w domu. Sama. Mogła oglądać telewizję lub podziwiać świeżo pomalowane paznokcie.

Miley Cyrus skończyła śpiewać dokładnie w chwili, gdy rozległ się dźwięk komórki. Anita sięgnęła po nią. Nie spojrzała nawet na ekran, przekonana, że dzwoni Paula.

– Już tęsknisz? – spytała rozbawiona.

– Dobry wieczór, tu Michał Majewski, przepraszam za porę. – Zazwyczaj pewny siebie właściciel męskiego głosu wyraźnie stracił animusz. – Chciałem dopytać, czy wiadomo coś na temat superwizji?

– Superwizji? – Anita poczuła się wybita z rytmu. – Chyba superprojekcji.

– O tak, przepraszam. Zupełnie nieświadomie przekręciłem nazwę. Wybacz mi pani?

– Tak – odpowiedziała chłodno. Chciała jak najszybciej skończyć rozmowę. Przecież powiedziała chłopakowi, że do niego zadzwoni, gdy będzie wiedziała coś więcej. To, że nie dzwoniła, oznaczało ni mniej, ni więcej tyle, że nie zajęła się jeszcze superprojekcją.

W słuchawce zapanowała cisza. Dokładnie taka sama jak w mieszkaniu Anity. Głucha i przerażająca. Kobieta zapragnęła ją wypełnić, chociaż na chwilę.

– To znaczy nie. – Normalnie zbyłaby go milczeniem, ale nie widziała jego twarzy, siedziała na fotelu i czuła się bezpieczna. Dodała więc łagodniejszym tonem: – Jeszcze nie ma, mówiłam, że zadzwonię, jak tylko będę miała wyniki.

– Wiem, wiem i przepraszam. Nie śmiałbym pani pospieszać, ale pomyślałem, że może te zdjęcia umknęły pani z pamięci w nawale zajęć. W dwa dni dostarczyliśmy wam dwa trupy, a przecież współpracujecie... nie tylko z nami.

– Rzeczywiście, na brak pracy nie narzekam. Panie Michale – nieśmiało użyła jego imienia – obiecuję, że zajmę się tym jutro zaraz po przyjściu do pracy. Jeśli się panu tak spieszy, proszę do mnie zadzwonić koło jedenastej.

– Tak jest. – Młody ucieszył się. Ton kobiety był nadal dość oficjalny, ale jakby stopniało odrobinę lodu. – Będę dzwonił przed południem. I jeszcze raz przepraszam, że niepokoiłem i przeszkadzałem.

– Nie szkodzi, jeśli tylko to nie będzie się powtarzało – pozwoliła sobie na żart. – Skąd właściwie ma pan mój numer?

– Hm, jako policjant nie mogę zdradzać operacyjnych źródeł informacji...

Majewski idealnie wyczuł zmieniający się nastrój rozmówczyni. Podążał za nim niczym myśliwy. Obserwował i

przystosowywał się w imponującym tempie.

– No tak. – Zaśmiała się po raz pierwszy.

Nie spodziewał się tego. Nogi się pod nim ugięły. Czyżby zrobił dziś krok w stronę dzikiej lwicy? Zrobił, a ona nie uciekła? Nie połknęła go, nie odgryzła ręki? Pozwoliła mu być.

– W takim razie nie przeszkadzam już i życzę miłego wieczoru – szybko skończył rozmowę, bo poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Zależało mu na tym, żeby ta kobieta dobrze o nim myślała.

* * *

Z samego rana milcząca przyroda wyraźnie przegrywała z głośną cywilizacją. Drzewa rosnące na terenie Fortu V, prawdopodobnie jedyni świadkowie podrzucenia ciała Józefa Ciemały, nie chciały podzielić się z policjantami posiadaną wiedzą. Podkomisarz Burzyński i posterunkowy Majewski rozpoczęli dzień od ponownej wizyty w miejscu znalezienia zwłok. Mieli nadzieję, że uda im się zauważyć coś, co wczoraj przeoczyli.

– W takim miejscu trudno liczyć na czujność obywatelską. Opuszczona posesja przy ruchliwej drodze. Zabójca idealnie wybrał miejsce.

Fortyfikacje rozciągające się kiedyś wokół Poznania stanowiły jeden z największych tego typu systemów w Europie. Twierdza poligonalna oraz twierdza fortowa składały się z osiemnastu fortów i obiektów wspomagających.

– Gdyby mieli tu monitoring... – jęknął Majewski. – Wiedzielibyśmy, kto wchodził na teren, kto wychodził, o której godzinie.

Większość z obronnego pierścienia o średnicy dziewięciu i pół kilometra oraz obwodzie trzydziestu kilometrów zachowała się do dnia dzisiejszego. Część była własnością miasta, część zajęły prywatne firmy lub stowarzyszenia.

– Młody, nie rozśmieszaj mnie. Wiem, że chciałbyś zmienić

swoje życie w telewizyjny serial kryminalny, ale mnie w to nie wciągaj.

Burzyński od początku współpracy z chłopakiem walczył z jego wyobrażeniami o pracy w wydziale kryminalnym. Różniły się one od rzeczywistości tak mocno jak auto Majewskiego od pozostałych samochodów stojących na parkingu przed komendą.

– Gdyby to miejsce było monitorowane, to nikt nie podrzuciłby tu ciała. Zabójca nie był debilem.

W większości zachowanych poznańskich fortów powstały magazyny. W jednym – krematorium. W innych zamieszkały nietoperze. Niektórymi zaczęli opiekować się ludzie z pasją. Podziemia zostały zabezpieczone przed dewastacją i wejściem osób nieuprawnionych. Oczyszczono korytarze i udostępniono je zwiedzającym. Jednak wśród fortów były i takie jak ten, na którego terenie znaleziono zwłoki. Mieszkańcy okolicznych domów uważali je za miejsca niebezpieczne, znane tak zwanemu elementowi i bezdomnym. Forty traciły swoją historyczną tożsamość i zamiast być zadbanym świadectwem przeszłości, straszyły górami śmieci, zużytych prezerwatyw i strzykawek.

– Zaplanował to?

– Mogę dać głowę!

– Zabity siedział za gwałt. – Młody puścił wodze wyobraźni. – Korzystał z prostytutek także po wyjściu na wolność. Musiał mieć problemy z seksem. Może przeszarżował z jakąś dziwką? Pobił ją? Zadarł z alfonsiem i ten chciał dać mu nauczkę.

– To by mu ryj obił, a nie zabijał.

– Kuźwa, to tak mu obił, że też przeszarżował.

– Po pierwsze – wyliczał podkomisarz – na ciele nie ma śladów pobicia, a po drugie facet został wypatroszony. Myślisz, że wkurzony alfons rozcinałby bebechy ofiary i wkładał jej w środek węża?

– No nie... – Młody nie przejął się tym, że upadła jego hipoteza. Zaczął poszukiwać innej. – Żona mówiła, że wyjechał... niby na szkolenie. Może to był tylko bluff? Magazynier jechał na

szkolenie? Z czego? Z przestawiania pakunków? Może okłamał żonę, a wyjechał z kurwą? Na kilka dni ostrego seksu. Albo na zawsze, bo się zakochał... Wczoraj rozmawiałem jeszcze z piwkującymi facetami spod sklepu spożywczego. Znali Ciemałę. Jeden z nich wspominał, że Józek prosił go kilka dni wcześniej o pożyczkę.

– Pożyczkę? Wiadomo na co? Dostał ją w ogóle?

– Nie. Kumpel nie pytał na co, ale też mu nie pożyczył. Nie miał. Ja to widzę tak. Potrzebował kasy, bo chciał wykupić dziewczynę z burdelu.

– O rany, młodość jest taka naiwna! – Burzyński roześmiał się.

– Dobra, chodź już. Wracamy do firmy.

– Co chcesz od mojej hipotezy śledczej?

– Facet korzystający przez całe życie z płatnego seksu nagle w wieku czterdziestu pięciu lat zakochał się w dupie, którą pieprzył? Głupota. Bardzo to naciągane. Prędzej zwyczajnie kasy potrzebował na dziwki, przechodził kryzys wieku średniego, chciał udowodnić sobie, że nadal może często i długo.

– Ale zobacz, chciał jakiemuś alfonsowi odebrać dziewczynę, alfons nie pozwolił jej odejść, więc Ciemała próbował za nią zapłacić. Może nie zebrał wystarczającej ilości kasy. Alfons się wkurwił. Działał w stanie wzburzenia, może złapał ofiarę i prostytutkę na gorącym uczynku, jak uciekali. Nie pohamował emocji. Zabił. Na dowód zemsty wypatroszył i włożył węża. Wiesz, mieć węża w kieszeni to znaczy...

– Lepiej w kieszeni niż w brzuchu. – Śmiech Burzyńskiego zagłuszały przejeżdżające obok samochody.

Dotarli już do miejsca, w którym zostawili swoje auta.

– Śmieję się, ile chcesz. Czuję, że sprawa ma związek z burdelami. A wiesz, że zazwyczaj czuję dobrze.

– Ta, faktycznie. Gadasz głupio, ale miewasz przecucia. Ja potrzebuję faktów. Kto pożyczył naszemu denatowi pieniądze? Jaką kwotę? Kiedy? No i musimy znaleźć tę pannę, do której chodził, o ile rzeczywiście, tak jak mówisz, chodził do jednej.

– Nie mówię, że całe życie chodził do jednej. Taki facet potrzebuje odmiany. Ale ostatnia mogła być dla niego kimś ważniejszym niż tylko dziwką.

– Nie wiem, ale w jednym masz rację. Mógł mówić jej więcej niż komukolwiek. Musimy znaleźć tę, z którą się bzykał, i wziąć ją w krzyżowy ogień pytań.

– Ją i jej alfonsa.

– Upierasz się przy tym właścicielu burdelu jak jakiś osioł.

– Chcę z nim pogadać i tyle.

Burzyński nie zamierzał kontynuować dyskusji. Kiwnął Młodemu na pożegnanie i wsiadł do swojego samochodu. Wiedział, że gdy dotrze do firmy, będą musieli usiąść wspólnie i spisać wszystkie prawdopodobne wersje przebiegu zdarzeń. Każda kolejna wersja zwiększała liczbę czynności do wykonania. Zajmowała nie tylko miejsce na kartce papieru, ale także w ich głowach, marnowała czas. Musieli zapisać prawdopodobne wersje, bez rozciągania prawdopodobieństwa do granic możliwości. I musieli zebrać zeznania od bezdomnych, którzy spali w tej okolicy.

* * *

– Wierzysz w coś?

– Wierzę w siebie.

– A poza tym?

Mężczyzna sięgnął po stojącą na blacie szklankę wody. Miał ochotę na krótką przerwę. Niestety, transmisja na żywo rządzi się swoimi prawami. Widzowie mieli czuć jego zmęczenie, widzieć, jak ociera pot z czoła.

– Poza tym długo... długo w nic – odpowiedział w końcu.

– Czyli nie wierzysz w Boga?

– W którego? Bogów jest kilku. Bożków jeszcze więcej. Według mnie wiarę mają tylko ludzie słabi. Tacy, którzy nie wiedzą, dokąd pójść. Jak owce potrzebują pasterza, który będzie mówił im: „Teraz idźcie w prawo, omińcie ten strumień, idźcie dalej

prosto”. Ja alergicznie nie lubię tłumów. W otoczeniu setek ludzi człowiek traci instynkt samozachowawczy. Podąża za instynktem stadnym. Robi to, co inni, nie dlatego, że chce... robi coś tylko dlatego, że robią to inni, a on nie chce się wyróżniać. Cenię swoją indywidualność. Rozumiem siebie. Potrafię w sobie odnaleźć siłę, nadzieję i miłość. Może sam jestem swoim bogiem?

– Nie interesują mnie spory dotyczące religii. Ciekawa jestem, czy żyjesz bez zasad, czy może jednak jest coś, co wyznacza granice twojego postępowania?

– Sam określam zasady. Wystarczy świadomość, że dobro powraca. Wierzę w dobrą karmę. Pracujesz na nią przez całe swoje życie. Ona decyduje o tym, w jakim wcieleniu pojawisz się na ziemi po śmierci. Jeśli masz na swoim koncie wystarczająco dużo dobrych uczynków, wcielisz się po śmierci w lepszy byt. I tak w kółko, aż osiągniesz byt idealny i zjednoczysz się z Jednością.

– Z Jednością, czyli Bogiem?

– Czepiasz się słówek, ciągle nadinterpretujesz, jesteś upierdliwa. Gdybym o tym wiedział, nie zgodziłbym się na ten telewizyjny cyrk. – Spojrzał wymownie na sztab ludzi przysłuchujących się ich rozmowie. Dźwiękowcy, operator kamery, stylistka, makijażystka. Wszyscy przyjechali do niego, by na dwa kwadransy zmienić pokój, w którym przebywał, w studio telewizyjne. – Jedno jest pewne. Mężczyzna jest bliżej Jedności niż kobieta, a to oznacza, że będziesz musiała przejść przez cykl reinkarnacji więcej razy niż ja.

– A jeśli, jak to ująłeś, na twoim koncie pojawią się złe uczynki?

– Teoretyzuję oczywiście, bo nie mam na sumieniu złych uczynków. Jednak gdybym je miał, w następnym wcieleniu dostałbym gorszy byt. Tym gorszy, im gorsze byłyby uczynki. Mógłbym urodzić się kobietą, gdyby zło za bardzo się nie skumulowało... Albo – przy nadmiernym stężeniu zła w złu – straciłbym formę osobową i pojawiłbym się na ziemi jako

obślizgły, pełzający wąż.

Akt 6

Duża wskazówka zegara minęła małą, wskazującą dziesiątkę. Anita Broll siedziała w pokoju ze sprzętem do superprojekcji. Lubiła to zajęcie. Zawsze zastanawiała ją wynik. Nie rozpatrywała go jednak w kategoriach życia czy śmierci. Miała przed sobą czaszkę znalezioną w lesie oraz zdjęcia dwóch zaginionych dziewczyn. Jej zadaniem było nałożenie zdjęć na czaszkę w celu sprawdzenia, czy kości należą do którejś z tych dziewczyn.

Robiła to już setki razy. Rocznie w poznańskim Zakładzie Medycyny Sądowej wykonuje się mnóstwo takich superprojekcji lub rekonstrukcji twarzy. Tą samą techniką można na czaszkę nieznanego pochodzenia nałożyć mięśnie oraz skórę i w ten sposób niejako odbudować twarz, stworzyć jej komputerowy wizerunek.

– No dalej! – Gałka, którą chciała poruszyć, zacięła się.

Z tego sprzętu korzystała od dawna. Model z lat osiemdziesiątych zajmował połowę pokoju. Przyszedł czas, by zamienić go na komputer. Niejeden raz wspominała szefowi o konieczności zakupu nowego. Wiedziała, że kiedyś się doczeka.

Tymczasem jeden obiektyw skierowała na czaszkę, a drugi na zdjęcie. Powstałe w ten sposób obrazy można będzie nakładać na siebie tak, by się wzajemnie przenikały. Na ekranie pojawiło się wyseparowane zdjęcie czaszki, na które nałożyła fotografię pierwszej zaginionej. Zawsze zamiast imion używała liczebników porządkowych.

Teraz musiała tylko porównać zdjęcia antropometrycznie.

Pracowała w skupieniu, automatycznie wykonując czynności. Analizowała całość obrazu, a następnie odpowiednie cechy czaszki i głowy dziewczyny wskazanej przez policję. Czuła na sobie ciężar odpowiedzialności. Jeśli główne punkty by się pokrywały, mogłaby z dużą pewnością stwierdzić, że to czaszka osoby ze zdjęcia. Z plątaniny linii widocznych na ekranie musiała wydobyć coś więcej niż duże prawdopodobieństwo.

– Przykro mi.

Tym razem nie miała wątpliwości. To nie osobę ze zdjęcia znaleziono w lesie pod Poznaniem. Wymieniła więc fotografie i zaczęła powtarzać czynności powoli i dokładnie. Musiała sprawdzić, czy wizerunek drugiej dziewczyny pasuje do czaszki ofiary.

Fascynowały ją ludzkie kości. Stanowiły dla niej bardzo ważną część człowieka. Zawsze z uwagą oglądała zdjęcia osób, którym przywracała tożsamość. Zawsze wyraźnie zaznaczała wątpliwości, jeśli je miała. Zawsze gotowa była poszerzać wiedzę. Nawet podczas jazdy tramwajem wpatrywała się w czaszki, szczęki i potylice. W pracy na podstawie czaszki odtwarzała portrety ludzi, poza budynkiem Zakładu Medycyny Sądowej przyglądała się ludziom i odgadywała, jak wyglądają ich czaszki.

Od superprojekcji oderwała ją dzwoniąca komórka.

– Paula?

– Cześć, mamo.

– No, nareszcie! – Uszło z niej napięcie kumulujące się przez całą noc i poranek.

– Dzwoniłaś. – Głos córki zawierał sporą dawkę pretensji.

– Z tysiąc razy!

– Widziałam, stało się coś?

– Nie wróciłaś do domu na noc! – krzyknęła matka, ale po chwili ściszyła głos. Nie chciała, by koledzy z pracy usłyszeli o jej problemach wychowawczych.

– Nie. Spałam u Grażyny.

– Dlaczego?

Antropolog Anita Broll pomyślała, że jest specjalistką od kości. Lodowate trupy i twarde kości to była materia, nad którą panowała, z której czytała jak nikt inny. Gdy do kości dochodziło ciało, a razem z nim emocje, zaczynała się gubić. Poruszała się jak dziecko we mgle, po omacku poszukiwała dobrych rozwiązań. Czuła się jak samotna dziewczynka w lesie tropikalnym. Strach ją paraliżował.

– Mamo, jestem pełnoletnia, nie muszę odpowiadać na tak głupie pytania.

– Paula, mogłaś chociaż uprzedzić, nie denerwowałam się.

– Stanowczym tonem próbowałam przekonać chociaż samą siebie.

– Nie chciałam cię budzić. Poza tym nie szukaj wymówek, nawet gdybyś wiedziała, gdzie jestem, i tak byś się denerwowała. Zawsze tworzysz te swoje popieprzone czarne scenariusze!

* * *

– Józef Ciemała poinformował żonę, że wyjeżdża na kilkudniowe szkolenie. Szkolenie, którego nie było. To znaczy, że chciał mieć kilka dni spokoju. Tylko po co?

Policjanci wrócili do komendy, usiedli przy biurkach i zaczęli wymieniać się myślami. Wykorzystali ten czas także na pochłonięcie kanapek.

– Albo miał kochankę, albo nagrany robotę z kumplami.

– Właśnie, siedział przed laty, mógł mieć kontakty ze środowiskiem. Trzeba sprawdzić, z kim siedział. Może jego starzy kumple są na wolności i organizują nowe źródła dochodów? Może razem szli na jakąś robotę?

– Gwałciciel na robotę w sensie kradzieży? No nie wiem, ale można to sprawdzić. Tak jak mówiłem – Burzyński wpatrywał się w zdjęcie przedstawiające pocięty i zszyty brzuch zabitego – wykreśliłbym kochankę. Trzeba przesłuchać wszystkich bezdomnych, którzy poprzednie noce spędzali na terenie fortu. Może coś zwróciło ich uwagę. Stawiałbym na to, że zabity załazł komuś mocno za skórę. Nie umarł od jednego, spontanicznego

uderzenia, no wiesz, przez przypadek... Ktoś go zabił i wypatroszył. Musiał mieć dobry powód.

Sygnal wibrującego telefonu zmusił Majewskiego do sięgnięcia do kieszeni spodni.

– Majewski, słucham.

– Dzień dobry, antropolog Anita Broll, Zakład Medycyny Sądowej. – Kobieta wypuszczała z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. – Dzwonię w sprawie superprojekcji.

Burzyński zamilkł, a Młody spojrział na zegarek. Nie było jeszcze jedenastej. To on miał dzwonić do antropolożki. Odezwała się sama, i to jeszcze przed czasem. Widocznie nie mogła się doczekać tej rozmowy. Uznał to za dobry znak.

– Nie udało się zidentyfikować ofiary z lasu – kontynuowała. – Superprojekcja wykluczyła dziewczyny ze zdjęć, które mi pan przekazał. Nie ma nawet sensu przeprowadzać analizy odontologicznej, zwłaszcza że prokurator zaznaczał wielokrotnie, że są mocne ograniczenia finansowe. Nie mam wątpliwości.

Gdyby czaszka pasowała do jednego ze zdjęć, Anita chciałaby upewnić się przed wydaniem jednoznacznego orzeczenia. Idealnym sposobem byłoby porównanie uzębienia czaszki z kartoteką ortodontyczną osoby, która widniała na zdjęciu.

– Rozumiem, bardzo dziękuję za informację. – Głos Michała brzmiał bardzo oficjalnie. Obecność starszego kolegi peszyła go.

– Proszę bardzo. – Kobieta rozłączyła się, nie czekając na reakcję policjanta.

Majewski odłożył telefon na biurko i westchnął zrezygowany. Przez chwilę przyglądał się swojemu iPhone'owi. W końcu oznajmił:

– Antropolożka wykluczyła zaginione, tożsamość kościotrupki nadal jest niewiadomą.

– Okej. – Przemysław na widok miny partnera powstrzymał komentarze w stylu: „A nie mówiłem?”. – Czyli jedną sprawę mamy z głowy. Ofiara z lasu zostaje NN. Skupmy się na zwłokach

z fortu. Kto zabił?

Nie mieli czasu roztrząsać nieudanej próby identyfikacji dziewczyny znalezionej w lesie. Burzyński z łatwością przeszedł z jednych zwłok do drugich. Majewski chciał zaprotestować, zastanowić się, szukać innych możliwości. Wiedział jednak, że w policji najważniejsze są procedury i statystyki. Na pewno można jakoś ustalić tożsamość tej dziewczyny, przekonywał sam siebie, ale może mi to zająć kilka miesięcy, nawet rok. Nie mam na to czasu. Starał się zapomnieć o urażonej ambicji, schować emocje do kieszeni i zainteresować się kolejnym śledztwem.

– Jakiś świr, na bank. – Podczas poszukiwań zdjęcia denata Młody przełożył teczkę z aktami sprawy dotyczącej znalezionych w lesie kości tak, że w całości zakryła telefon. – Zobacz, takie rozcięcie ma w sobie dużo energii i emocji, złych emocji, prawda? I jeszcze ten wąż w środku. To wszystko wręcz krzyczy symboliką, chociaż nie do końca wiem jaką.

– Taa, faktycznie, zabójcy o coś chodzi. Widzę symbolikę. Nie mogłem dziś spać, więc wygooglowałem sobie tego węża. Wiesz, nie znam się na płazach i gadach, ale pomyślałem, że może sam wąż jest wiadomością od mordercy.

– Gdyby rzeczywistość była filmem, to za chwilę znaleźlibyśmy kolejnego trupa z wężem w środku. – Chrześniak komendanta nie mógł powstrzymać się od porównywania rzeczywistości ze swoimi wyobrażeniami.

– Gdybym ja cię tak nie lubił, to już dawno skopałbym ci tyłek. Wkurwiasz mnie. Czasami zbyt mocno.

– Dobra, Burza, nie denerwuj się. Co z tym wężem? Masz coś?

Podkomisarz spędził część poprzedniej nocy, dokładnie długie dziewięćdziesiąt minut, na niewygodnym plastikowym krześle w przedpokoju. Sam wymyślił, że komputer powinien stać w miejscu ogólnodostępnym dla całej rodziny. Takim, żeby móc łatwo kontrolować internetowe wędrówki córek. Iza dostawiła do małego stolika niewygodne krzesło. Wszystko po to, by naturalnie i nieinwazyjnie zmniejszyć przyjemność płynącą z

obcowania z siecią.

W nocy Burzyński przeklinał krzesło, miejsce i stół. Marzył, by z komputerem rozsiąść się wygodnie, chociażby w salonie. Nie mógł spać. Zasnął szybko, ale po trzydziestu minutach poczuł, że jego organizm się zregenerował i oficjalnie protestuje przeciwko przymusowi leżenia. Poszedł więc do przedpokoju i poszukał informacji o wężu. Mimo niewygód wpadł w czarną dziurę. Zassała go wyszukiwarka Google. Cudowna machina zastępująca wszystkie encyklopedie, słowniki, albumy i czasem źle wpływająca na zdolność logicznego myślenia.

Dzięki niej, siedząc w piżamie, mógł przetrząsnąć skatalogowane światowe zasoby informacji, które dzięki amerykańskiemu przedsiębiorstwu stały się powszechnie użyteczne i dostępne. Kiedyś, gdyby chciał ustalić pochodzenie węża, musiałby znaleźć amatora tych ohydnych gadów. Pojechać do ogrodu zoologicznego. Oczywiście nie w piżamie. Musiałby poczekać, aż nastanie dzień. W zoo okazałoby się, że opiekun gadów jest właśnie na urlopie. Będzie za tydzień. Takie miał kiedyś szczęście.

Dlatego Burzyński uwielbiał nowe czasy, wirtualną rzeczywistość i Google'a. Ewidentnie oszczędzał czas, energię i pieniądze. Ta sytuacja miała jeszcze jedną ważną zaletę. Komputer z dostępem do netu pozwalał mu pracować bez oddalania się na krok od rodziny. To dzięki wyszukiwarce i stałemu połączeniu internetowemu siedział tuż przed pierwszą w nocy przy komputerze i wpatrywał się w zdjęcia węży.

– To wąż zbożowy. – Dzięki nocnemu researchowi mógł zabłysnąć przed partnerem. – Tak zwana zbożówka. Osiąga niewielkie rozmiary, zazwyczaj około stu trzydziestu centymetrów. Żyje jakieś kilkanaście lat. – W opowiadaniu pomagały mu notatki. – Jej naturalnym środowiskiem są pola uprawne, zadrzewienia i nieużytki środkowej i południowo-wschodniej Ameryki Północnej. Niestety dla nas, policjantów, to bardzo popularny rodzaj węża, hodowany w polskich domach.

Jest prosty w obsłudze, że się tak wyrażę, idealny wybór dla początkujących terrarystów.

– Terrorystów? – ząartował Młody. Męczyło go siedzenie i słuchanie.

– Terra... od terrarium. Nie jest objęty ochroną ani ewidencjonowany. Takiego kupisz w każdym sklepie zoologicznym. Gdybyśmy nawet mieli możliwość sprawdzenia każdego posiadacza takiego węża, sprawdzalibyśmy z pięć lat. Nie sądzę, żebyśmy po wężu doszli do sprawcy. Zwróć uwagę na jego umaszczenie. – Burzyński rzucił na biurko Młodego zdjęcie węża leżącego na stole sekcyjnym.

Na łuskowatej skórze w kolorze jasnopomarańczowym widać było nieregularne ciemniejsze plamy.

– To jedna z najpopularniejszych odmian zbożówki. *Amelanistic*, czyli czerwony albinos. W ogóle nie ma na sobie czerni.

– Ale myślisz, że ten konkretny wąż coś oznacza? – Majewski rzucił okiem na zdjęcie i odwrócił głowę. Przed oczami pojawił mu się obraz z sekcji zwłok, gdy zakrwawiony wąż na kilka sekund zawisł nad rozciętym ciałem.

– Wątpię. Dobra, Młody, bierz tyłek, jedziemy!

– Dokąd? – Chłopak ucieszył się. Miał dość siedzenia w jednym miejscu.

– Przepytać taksówkarzy, kierowców autobusów, baby pracujące w okolicznych sklepach, wszystkich. Facet nie pozbył się wnętrzości w tym miejscu. Sam sobie węża nie wpakował do brzucha. Nie ma śladu krwi. A denat bez bebeczków nie poszedłby na spacer.

– Fakt, podrzucili go.

– Podrzucili lub podrzucił. On. Liczba pojedyncza.

– Tak, raczej nie ona, bo jedna kobieta nie uniosłaby – Michał zerknął na akta w poszukiwaniu informacji o wadze denata – osiemdziesięciu kilo cielska.

– Jedna nie, ale dwie lub trzy... dlaczego nie?

* * *

Burzyński od dawna nie czuł się tak zmęczony. Dzień pracy dobiegał końca, a on nie miał nawet siły na rozmowy. Przed południem wraz z Młodym wyszli z firmy i przez cztery godziny uwijali się jak w ukropie. Dosłownie. Z nieba lał się żar, a oni spieszyli się, by odwiedzić wszystkie wytypowane wcześniej miejsca.

– Szkoda, że nie mamy atrakcyjnej sekretarki, która podawałaby nam wódkę z lodem, kręcąc przy tym seksownie tyłkiem. – Młody wyglądał na zmęczonego upałem, jednak testosteron drażnił jego libido.

Poza firmą łakomie pożerał wzrokiem roznegliżowane kobiece ciała. Lato musiało być dla niego inspirującą porą roku.

– Nie pogardziłbym nawet najbrzydszym asystentem. Jakimś zasmarkanym oseskiem, który dopiero się uczy. Wypełniałby raporty i pilnował porządku w papierach.

– Zgadzam się. To żmudna robota. Siedzimy przy biurku jak debile i zamiast działać operacyjnie, bawimy się w sekretarki. Przewalamy akta i fabrykujemy papiery.

Na chwilę rozmarzyli się, wspólnie snując wizję, w której w firmie pojawia się nowy, młody wilczek. Ubawili się, wymyślając zadania dla niego. Wrobiliby go w papierologię, a jego biurko postawiliby w archiwum, by nie zajmował przestrzeni i nie psuł klimatu w ich pokoju.

– Miło jest pomarzyć.

Pełen rezygnacji głos podkomisarza sprawił, że mężczyźni wrócili na ziemię. Musieli odbębnić kilka obowiązków, których szczerze nienawidzili. Obaj. Jednocyli się w bólu, ale przecież byli twardzielami. Nie mogli poddać się bez walki.

Pracowali w skupieniu i ciszy. Na kartach zaczęły pojawiać się wnioski z wykonywanych czynności operacyjnych. Majewski starał się uzupełnić raporty dotyczące znaleziska w lesie nieopodal Kórnika. „Rozmowy z tirówkami nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Mieszkańcy okolicznych wiosek nie

widzieli niczego podejrzanego. Wykonano dwie superprojekcje. Bez rezultatu”.

Burzyński opisywał czynności związane z ofiarą znaną na terenie Fortu V, lecz myślami był już w drodze do domu. Musiał spisać wszystkie wnioski w kwadrans. Inaczej nie zdąży odebrać dziewczynkę ze szkoły, w której organizowano półkolonie. Stawiał litery niechlujnie, próbując przyspieszyć pisanie.

„Przesłuchano trzech bezdomnych. Zeznania nic nie wniosły do sprawy. Sprawdzono korporacje taksówkarskie. Do tego momentu bez informacji. Podobnie w osiedlowych sklepach w promieniu dwustu metrów od fortu. Wizyty bez rezultatu. Potwierdzono alibi żony i syna zamordowanego. Potwierdzono miejsce pracy ofiary. Market Paweł i Gaweł. Pracował na czarno. Nie organizowali szkoleń. Alibi Majora potwierdzają cztery osoby. Pozostali dwaj geocachingowcy są poza podejrzeniami. Mają alibi”.

Burzyński spojrział na zegar wiszący na ścianie. Miał wycucie. Zegar właśnie wybijałby szesnastą. Wybijałby, gdyby był tradycyjnym zegarem z wahadłem. Jednak tu nowoczesna okrągła plansza była tylko tłem dla pędzących wskazówek. Zaczął zbierać akta, gdy usłyszał dźwięk przychodzącego SMS-a. Przestraszył się, że to Iza, która jak Wielki Brat widzi wszystko. Wie, że zamiast opuszczać firmę, jeszcze w niej siedzi. Poczł się jak Truman Burbank. Spojrział na wyświetlacz telefonu. Na szczęście nadawcą nie była żona, tylko inna kobieta, o kryptonimie U-6.

– Młody, pamiętasz, jak się nazywał ten klub, do którego ofiara z fortu zaprowadziła syna na rozprawienie? – zapytał, nawet nie unosząc głowy.

– Malibu, a co?

– Mój uchol właśnie potwierdził, że ofiarę widziano w Malibu.

– Kiedy?

– Podobno tego samego dnia, kiedy rzekomo miał wyjechać

na szkolenie.

– Czyli facet trzymał się przyzwyczajęń. Malibu to klub z tradycjami.

– Był tam! Tylko czy wyszedł o własnych siłach? Powoli wszystko zaczyna układać się w całość. Mężczyzna powiedział żonie, że wyjeżdża. Poszedł do burdelu. Może rzeczywiście w burdelu stało się coś, co sprawiło, że został zabity.

– W takim razie trzeba przydusić kogo trzeba.

– Trzeba. I to ostro.

– Może nawet poszukać śladów krwi? Tylko jak? Jeśli pójdziemy tam we dwóch, to nie przelkną się facetów z odznakami. Malibu istnieje na rynku zbyt długo, by ktoś tam bał się policjantów.

– Patrz i ucz się. – Burza złapał telefon i wybrał numer przełożonego. – Witam, Burzyński z tej strony. Potrzebny będzie nam nakaz...

* * *

– Nie mogłeś się lepiej ustawić, prawda?

– O co ci chodzi?

– Dziewczyna szefowi nie odmówi, prawda?

– Kto ci to powiedział?

– Zaprzeczasz?

Gdy rozważał propozycję wywiadu na żywo, zastanawiał się, czy powinien rozmawiać z kobietą. Nie zamierzał się wybielać, nie chciał zobaczyć zrozumienia w oczach dziennikarza. Zwyczajnie przewidywał wybujałą reakcję emocjonalną. Nie pomylił się. Młoda dziennikarka nie mogła pogodzić się ze sposobem, w jaki wyrażał się o tych kobietach. Prowokowała go. On walczył jej bronią. Miał przewagę. Takie sztuki mięsa pożerał na śniadanie.

– Chyba rozkojarzyłaś się na myśl o tym, czego mógłbym cię nauczyć. Zadaj konkretne pytanie, spróbuję na nie odpowiedzieć.

– Mówiłeś, że szef zawsze sprawdza towar? – Dziewczyna

czekała na przerwę. Czuła, że się poci. Potrzebowała makijażystki.

– Oczywiście. Muszę ocenić poziom usług, które oferuje dziewczyna. To taki rodzaj castingu czy rozmowy kwalifikacyjnej. Nazywaj to, jak chcesz. – Zauważył, że dziennikarka jest zdekoncentrowana, postanowił więc zaatakować ją i sprawić, by poczuła się zagrożona. – Wiesz, gdybyś chciała u mnie pracować, musiałbym ocenić wszystkie twoje możliwości. To, że masz cycki i cipkę, nie gwarantuje, że potrafisz się dobrze pierdolić. Jesteś dobra w gębie. Gadasz logicznie. Ale moje dziewczyny nie zarabiają gadaniem. Ustami i owszem. Gdyby moja ocena była pozytywna, to przepuściłbym cię do drugiego etapu i dałbym ci zadanie.

– Zadanie?

– Musiałabyś mnie podniecić, a potem zrobić loda.

– Za darmo?

– A dlaczego miałbym za to płacić?

– A dlaczego nie?

– Dlatego, że to pannie zależy na pracy. Ja oferuję superwarunki zatrudnienia, daję lokal, strategię, usługę, bazę klientów, reklamę. Muszę wiedzieć, kogo zatrudniam. Co z tego, że panna wydaje się otwarta, że ma ostry makijaż i czerwone paznokcie? Muszę wiedzieć, czy potrafi jęczeć, ruszać się i sprawiać, że facet czuje się facetem. Laska musi być użyteczna.

– Dobrze, uznajmy, że ten seks to jest fragment specyficznej rozmowy kwalifikacyjnej. Interesuje mnie, czy szefowie w tej branży sypiają z dziewczynami również po ich zatrudnieniu?

– Chcesz wiedzieć, czy ruchają pracownice? Przyjęło się, że szef nie może wykorzystywać swojej pozycji i brać dziewczyny za darmo. Taka jest zasada. Ale wiadomo, że zasady są po to, by je łamać, a od każdej reguły jest wyjątek. – Jego rubaszny śmiech sam w sobie stanowił wymowną odpowiedź. – No bo jeśli jakaś dupa zakocha się w szefie i bardzo jej zależy, żeby mu sprawiać przyjemność, to czemu miałyby odmawiać? Wtedy może się

poświęcić. Ja korzystałem z usług moich dziewczyn jak każdy klient, czyli płaciłem za nie.

– Płaciłeś za seks z pracownicami? Trudno mi w to uwierzyć.

– Płaciłem. Oczywiście według preferencyjnego taryfikatora. Nie rozumiem, skąd oburzenie w twoich oczach. Gdy chciałem seksu, to miałem iść do konkurencji? Tam zostawiać kasę? To byłaby głupota. Dziewczyny mnie znały, wiedziały, co i jak lubię. Ja znałem je, wiedziałem, że dbają o czystość i potrafią robić to i owo.

– Płaciłeś im przed czy po?

– Rozliczenia odbywały się bezgotówkowo. Dziewczyny wiedziały, jaką kasę mają sobie doliczyć do przyszłych zarobków.

– Aaa, czyli pieprzyłeś się na kredyt – podsumowała dziennikarka. Z ulgą przyjęła do wiadomości znaki dawane przez członka ekipy realizacyjnej. Za chwilę miała rozpocząć się czterominutowa przerwa na reklamy. – I nadal twierdzisz, że ich nie wykorzystywałeś.

– Nie wykorzystywałem.

Akt 7

Anita Broll przyglądała się zdjęciom, zaintrygowana węzłem znalezionym w zwłokach. Rozcięcie na brzuchu ofiary, zbożówka, brak narządów wewnętrznych. To wszystko wyglądało na celowe działanie. Poszukiwała w zasobach własnego mózgu informacji na temat podobnych spraw lub symboliki, którą mógł kierować się morderca.

Siedziała przy biurku, które przypominało wysypisko śmieci. Twoje miejsce pracy wiele mówi o twoim życiu. Takie zdanie przeczytała kiedyś w którejś z gazet kobiecych i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że miało w sobie wiele prawdy. Gdyby chciała zjeść śniadanie, nie znalazłaby wolnego fragmentu blatu, by położyć talerz z kanapkami. Nawet kubek z kawą stał na kartonie. Nad biurkiem wisiał regał, który zamontowała samodzielnie, gdy próbowała rok temu uporządkować swoje życie i biurko. Odkopała blat spod ton papierów, na regale ustawiła pudełko, do którego miały trafiać niepotrzebne wydruki. Obok niego ułożyła w równym rzędzie czaszki. Stały jak bibeloty i rzucały się w oczy wszystkim wchodzącym do pokoju zajmowanego przez pracowników Katedry Antropologii i Odontologii.

- Nie, to ja tobie zrobię kawę.
- Nie, siedź, teraz moja kolej. Dziś już piliśmy dwie.
- Ale ja już wstałam. Zrobię.

Anita dzieliła biuro z dwójką sympatycznych współpracowników. Byli nieznacznie od niej młodszy i lubili się przekomarzać. Nauczyła się wyłączać i mimo hałasu towarzyszącego ich dziecięcym podrywom skupiała się na swojej

pracy.

– Anita, może tobie też coś zrobić? – spytała dziewczyna.

– Nie, dzięki, ja mam.

Wskazała na kubek, w którego wnętrzu straszyla gruba warstwa osadu. Postanowiła odłożyć sprawę mężczyzny z fortu i zająć się pilniejszymi zadaniami. Przez chwilę wahała się, na którą stronę biurka przełożyć dokumenty.

– Cholera, nie ma cukru! Bastek, zużyłeś ostatnie kryształki i nikomu nie powiedziałeś?!

– Nie, jak słodziłem kawę rano, cukier był. Może to ty zużyłaś?

– No pewnie, ulotnił się sam.

Oskarżali się wzajemnie, ale Anita nie zamierzała wnikać, czy kłóć się naprawdę, czy tylko flirtują w specyficzny sposób. Postanowiła sprawdzić e-maile.

Na klawiaturze leżała czaszka wydrukowana w 3D. Wstała, by przełożyć ją na regał, ale okazało się, że nie jest w stanie jej tam wepchnąć. Usiadła zrezygnowana przy biurku i nogą zaczepiła o duży karton, tkwiący pod spodem.

– Wrrr – warknęła pod nosem. Dawno temu powinna wynieść karton z kośćmi. Jakoś nigdy nie było jej po drodze.

Zrezygnowana i zmęczona bałaganem schowała czaszkę do kartonu, by choć na chwilę się jej pozbyć. Otworzyła program pocztowy i kliknęła ikonkę „Odbierz”. Dawno nie sprawdzała e-maili. Jakoś zawsze miała coś ważniejszego do zrobienia.

Tym razem było podobnie. Zanim na ekranie wyświetliły się wszystkie odebrane wiadomości, zauważyła, że na stercie dokumentów leży zaklejona koperta z Prokuratury Okręgowej w Poznaniu.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział, że to już przyszło? – Na pytanie wypuszczone we wspólną przestrzeń nie uzyskała żadnej odpowiedzi.

Na przesyłkę czekała od wczoraj. Wiedziała, że w liście znajdzie CD ze zdjęciami kobiety, która przed śmiercią została dotkliwie pobita i pogryziona.

Włożyła płytę do komputera i dotarła do zdjęcia, które ją interesowało. Na piersiach widniały ślady ugryzień. Niewątpliwie ludzkich. Musiała tylko ustalić, który z przedstawicieli ssaków naczelnych pozostawił takie ślady po swojej zabawie.

* * *

Burzyński z Majewskim siedzieli przy barze i sączyli sok pomarańczowy. Pomarańczowy był przynajmniej kolor cieczy w ich szklankach. Smakiem sok w ogóle nie przypominał cytrusów, ale w tym miejscu mało kogo to obchodziło. Tutaj liczyły się zupełnie inne zmysły.

Mężczyźni w różnym wieku siedzieli przy barze i stolikach. Dookoła nich kręciły się kobiety. W lokalu panował przyjemny półmrok. Okna były zasłonięte czarnymi, zaciemniającymi roletami. Nawet w południe można było czuć się tu bezpiecznie, ukrywać emocje w ciemności. Światło z lamp punktowych odbijało się od podłogi i rozproszone trafiało na kłęby papierosowego dymu.

Majewski lustrował mężczyzn. Twarze niektórych zdradzały błogie zadowolenie. Dwóch klientów rozglądało się nerwowo. Burzyński uważnie obserwował zachowanie obsługi. Barman bez pośpiechu wydawał napoje podchodzącym do baru.

Do policjantów podeszła dziewczyna, obejrzała ich z każdej strony, aż w końcu stanęła przy Młodym i spytała:

– Podobam ci się?

Michał nie zdążył odpowiedzieć. Zmierzył dziewczynę wzrokiem. Miała na sobie czerwone stringi i stanik w takim samym kolorze. Rękę trzymała na biodrze. Widział jej wypięte pośladki. Wystarczyło, żeby wyciągnął rękę i dotknął.

– Masz na mnie ochotę? – Dziewczyna uśmiechała się, czekając na reakcję.

– Nie. Nie jestem zainteresowany. – Pokręcił głową, nie odrywając oczu od jej ciała. Nie po raz pierwszy dziewczyna mu

się narzucała, nie po raz pierwszy odmawiał. – Nie w tym momencie – dodał szybko, żeby nie pomyślała, że jest fajtłapą.

– Kochanie, na pewno? – dopytywała, bawiąc się swoimi piersiami. Ścisnęła je, zbliżając jedną do drugiej.

– Na pewno. – Burzyński wkroczył do akcji.

– Dobra, gdyby kolega jednak się ośmielił, to kręcę się w pobliżu.

Dziewczyna posłała mężczyznom buziaka. Oddaliła się od nich na dwa kroki i udała, że coś jej spadło. Nachyliła się, by podnieść niewidoczną zgubę, w ogóle nie uginając przy tym nóg.

– Kuźwa, ja pierdolę. Widziałeś, jakie miała pośladki? – Młody odczekał chwilę, aż kobieta odejdzie. – Ufff, gorąco mi. Kuźwa. Nie wyglądała na dziwkę. To znaczy nie wyglądałaby, gdyby była ubrana.

– Co chcesz? Malibu to renomowane miejsce uciech. O tej godzinie możesz wybierać wśród najlepszych. – Burza czasem bywał w tym miejscu. Oczywiście w sprawach zawodowych.

– Wiem, wiem, ale jestem zaskoczony. Myślałem, że tu będzie zupełnie inaczej.

– To znaczy?

– No wiesz, że panny będą paradować między nami. Byłem przekonany, że wejdziemy, usiądziemy na kanapie, a one wszystkie zejdą z góry i zaprezentują swoje wdzięki, jak na wybiegu modelek.

Burzyński z uśmiechem przyjął kolejne wyobrażenia Młodego. Przyzwyczał się do tego, że w ocenie Michała życie zawsze znacznie odbiega od tego, czego się spodziewał.

Teoretycznie klub Malibu był dostępny dla wszystkich. Oczywiście ceny odstraszały klientów z cienkimi portfelami, ale każdy, kto miał odpowiednio duży budżet, mógł się tu zabawić. Wypić kilka głębszych, wybrać sobie dziewczynę i pójść z nią na piętro. Mógł, ale nie musiał. Malibu było miejscem często odwiedzanym przez prezesów, którzy chcieli zapewnić swoim gościom rozrywkę na wysokim poziomie.

– To takie filmowe, prawda? – Podkomisarz poklepał Młodego po plecach. – Wiesz, gdybyś chciał coś naprawdę ekstra: Luksusowej Czekoladki, Chinki lub Celebrytki, to musiałbyś pójść w inne miejsce. Tam siadasz na kanapie i oglądasz katalog z luksusowymi kurwami. Ale zanim obejrzysz, musi zostać sprawdzona twoja wiarygodność jako klienta. No i zasobność twojego portfela. To działa jak sprzedaż wysyłkowa. A tu masz targ. Podoba ci się jakaś, to bierzesz ją na piętro, płacisz za pokój i tyle. Dostajesz ręcznik, by panna mogła się umyć, zanim zaczniecie...

– No, nie wiem, kuźwa, czy to może być ekscytujące doświadczenie. Bo z jednej strony ta nagość i bezpośredniość kuszą, ośmielają, pozwalają uwolnić w sobie drapieżnika. Ale z drugiej strony ta oczywistość... Wybierasz produkt, sprawdzasz jego parametry i cenę.

– A jeśli produkt właśnie idzie na piętro z kimś innym, możesz poczekać, aż wróci.

– To nie dla mnie. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Chociaż na bank kiedyś spróbuję. – Młody nie potrafił skupić wzroku na jednej dziewczynie. Przeskakiwał z pośladków jednej do piersi drugiej, a z nich do ud trzeciej.

Dziewczyny kręciły się wokół mężczyzn i uśmiechały się do Majewskiego. Widziały go w tym miejscu po raz pierwszy. Stanowił łakomy kąsek. Był młody, dobrze zbudowany, modnie ubrany i sprawiał wrażenie pewnego siebie.

– Miałbyś na którąś ochotę? – Słowa wypowiedziane przez Młodego zdziwiły nawet jego samego, dodał więc szybko: – Pytam teoretycznie.

– Teoretycznie? – W rozglądaniu się po sali przeszkodziła Burzyńskiemu dzwoniąca komórka. Spojrzał na wyświetlacz. Iza. Nie mógł odebrać. Po pracy wpadł do domu, zjadł obiad, powiedział, że znika na dwie, maksymalnie trzy godziny, i wyszedł. Powinna to uszanować i nie trzymać go na krótkiej smyczy. Chciał mieć trzy godziny tylko dla siebie, bez jej głosu,

pytań i konieczności składania wyjaśnień.

– Ta, która siedzi po drugiej stronie baru, od dawna jest już w interesie. Widzisz, jaka jest zużyta? Ta klejąca się do tłustego faceta w rogu – dyskretnie wskazał kierunek, w którym Młody miał spojrzeć – ledwo jarzy rzeczywistość, zbyt dużo dragów. Ale ta, która do ciebie podeszła, była niezła, choć nie w moim guście. Ale nie pogardziłbym. Ooo, zobacz. – Pokazał na dziewczynę, która siedziała sama przy stoliku i rozglądała się niepewnie. – Tamta jest nowa w biznesie. Widzisz? Jest przestraszona, przytłoczona, nienachalna. Dopiero się uczy. Obserwuje, jak to robią starsze koleżanki.

* * *

Ekran komórki leżącej na barze rozjaśnił się, dyskretnie informując o nadchodzącym SMS-ie. Burzyński wyłączył dzwonek i wibracje telefonu, gdy dzwoniła jego żona. Znał ją dobrze i wiedział, że jest uparta. Nie odebrał, więc mogła znów do niego dzwonić. Raz za razem, z częstotliwością co trzy minuty, byleby tylko w końcu odebrał.

Spojrzał na wyświetlacz. Spodziewał się wiadomości od Izy, o treści: „To koniec. Już nawet nie odbierasz moich telefonów”. Zamiast tego odczytał wiadomość od Irka z komendy: „Zaczynamy”.

Burzyński szturchnął Młodego, pokazał mu SMS-a, a następnie włożył rękę z telefonem do kieszeni spodni. Jedno słowo przypomniało partnerom, że pomimo późnej godziny nie przyszli do Malibu na drinka po pracy. Nadal byli na służbie, a ich wsparcie właśnie zebrało się do kupy i zamierzało wejść do lokalu.

– Przyprowadź na dół swojego szefa. – Burzyński zaczepił barmana i pokazał mu odznakę policyjną. – Musi poświęcić nam trochę uwagi. Przekaż mu, że mamy nakaz.

Chłopak krzątający się za barem uśmiechnął się bezczelnie, jakby ktoś groził mu zabawkowym pistoletem. Dopiero chwilę

później zauważył, że do lokalu wtargnęli uzbrojeni i umundurowani policjanci. Ochroniarz pilnujący zazwyczaj wejścia stał teraz z twarzą przyklejoną do ściany, z rozstawionymi nogami i grzecznie czekał na przeszukanie. Barman zrozumiał, że żaden z policjantów obecnych w Malibu nie ma ochoty na żarty, pobiegł więc szybko na piętro.

– Niech każdy zostanie na swoim miejscu – zarządził Burzyński. – Proszę stosować się do poleceń.

* * *

Na twarzach prostytutek malowało się znudzenie. To nie był ani pierwszy, ani ostatni nalot policyjny. Wiedziały, że w ich interesie jest szybkie przeprowadzenie akcji. Nie zamierzały jej utrudniać. Chciały jak najszybciej pozbyć się policji i wrócić do pracy.

Zupełnie inaczej zachowywali się klienci. Większość z nich nade wszystko ceniła swoją prywatność, a w tej chwili ona właśnie była zagrożona. Siedzący przy jednym ze stolików Jan Kowalski wlał w siebie resztę whisky, odstawił pustą szklankę i nawet nie próbował ukryć zdenerwowania.

– Wiedziałem, że tak będzie. – Zasłonił twarz rękoma. Na chwilę zniknęły stoliki, rozneśliżowane dziewczyny i policjanci. – Wiedziałem!

Najchętniej zapadłby się pod ziemię. Kilka razy wstawał od stolika, wyrażał chęć opuszczenia lokalu, a następnie siadał, by skupić myśli.

– Spokojnie. – Towarzysząca mu pracownica klubu próbowała załagodzić sytuację, jednak mężczyzna nie był w stanie się opanować. Wypity wcześniej alkohol wzmacniał uczucie paniki, a jednocześnie utrudniał powściągnięcie emocji i podjęcie decyzji.

Zachowanie Kowalskiego zwróciło uwagę Młodego. Podszedł do klienta i poprosił go o dowód osobisty.

– Panie władzo, muszę?

– Nie ma pan wyjścia.

– Może być prawo jazdy?

– Dowód proszę!

Nagle Młody poczuł odór alkoholu, i strawionego, i świeżo wypitego. Tak pachną ci, którzy piją ciągiem. Popychają klin klinem, a kaca leczą piwem. Mężczyzna wstał i przez chwilę toczyli bitwę na spojrzenia. Spojrzenie policjanta było bezwzględne, a Kowalskiego błagające. Wygrały siła i pewność siebie. Kowalski, z trudem utrzymując równowagę, sięgnął do kieszeni spodni i wyjął portfel. Przez dłuższą chwilę poszukiwał w przegródkach odpowiedniego dokumentu.

Uwagę Młodego zwróciły dłonie, które w ogóle nie pasowały do stojącej przed nim postaci. Były idealnie zadbane. Paznokcie czyste, krótko przycięte i opiłowane, bez zadziorów czy odstających skórek. Skóra rąk wyglądała na aksamitną, regularnie nawilżaną odpowiednimi kremami.

– Jan Kowalski? – odczytał dane z dowodu i przyjrzał się uważnie twarzy.

Kilkudniowy zarost, przekrwione oczy, popękane naczynka krwionośne na policzkach i nosie. „Alkoholik z dłońmi profesjonalisty – pomyślał. – Zegarmistrz? Pianista?”

– Tak, to ja. Dłużej nie będę tego robić... Obiecuję. Nie będę. Proszę mnie nie potępiać.

Stwierdzenie rozbawiło Majewskiego i kilku policjantów przysłuchujących się rozmowie. Nikt nie miał wątpliwości: poziom stresu u tego mężczyzny oraz stopień upojenia alkoholowego mówiły same za siebie. Przyszedł do agencji po raz pierwszy. Wypił sporo dla nabrania pewności siebie. Zagadał dziewczynę. Zanim jednak dotarł na piętro, do lokalu wpadła policja. Nie musiał obiecywać... Po takich doświadczeniach już pewnie nigdy nie odważy się wejść do burdelu.

* * *

Młody usłyszał kroki na schodach. Odwrócił się i zobaczył Gerarda Becka, znanego mu dotychczas jedynie z policyjnych

zdjęć. Przed przyjściem do Malibu przejrzał kartotekę właściciela klubu. Lubił wiedzieć, z kim ma do czynienia.

– Co się tu dzieje, do kurwy nędzy!?! – Owłosiona klatka mężczyzny uniosła się, jakby w proteście. – Chcę zobaczyć nakaz, w tej chwili. – Kolejny guzik kwiecistej koszuli odpiął się i odsłonił jeszcze więcej torsu.

– Siadaj tu! – zaryczał Burzyński, by jednoznacznie dać do zrozumienia, kto dowodzi policyjną akcją i w czyich rękach znajdować się będzie los Gerarda w ciągu najbliższych godzin. Wskazał mu najbliższy stołek barowy. – Dostaniesz nakaz. Możesz się go, kurwa, nawet nauczyć na pamięć. Jeśli nie masz za małego mózgu.

– Nie będziesz mi tu rozkazywał, psie jebany! Jestem u siebie. – Właściciel klubu gotów był walczyć, by utrzymać dominującą pozycję.

– Dobra, kurwa. – Burzyński podszedł do niego bardzo blisko i warknął ostrzegawczo: – Pokazałeś, że nie jesteś ciotą, a teraz się wyluzuj. Kalkuluj, Gerard, kalkuluj. Albo siądziesz na dupie i dasz mi spokojnie wykonywać czynności, albo pożałujesz. Zwinę wszystkie dziewczyny i wszystkich gości na cztery osiem. To ci zepsuje opinię. A ja uprzykrzę ci życie. Będę wracał z nakazami i urozmaicę je wszystkimi możliwymi kontrolami. Rozumiesz, kurwa? Klienci przestaną do ciebie przychodzić, bo zanim zdążą się spuścić, będziemy wpadać: ja, straż pożarna albo behapowcy. Nerwica i brak anonimowości nie sprzyjają twojemu biznesowi.

Gerard Beck położył tyłek na stołku i dostał do ręki nakaz. Funkcjonariusz policji przeszukał w tym czasie piętro domu i sprowadził na dół dwie prostytutki oraz ich klientów. Mężczyźni wyglądali jak dojrzałe purchawki, wystarczyłby niewielki dotyk, by nastąpiła eksplozja niepohamowanej złości. Kilkanaście minut temu udali się na piętro w określonym celu. Zapłacili za usługę. Owszem, usługodawca podjął działanie, ale potrzeby klientów nie zostały zaspokojone. Zamiast oddawać się przyjemnościom, maszerowali teraz po schodach w dół.

– Miras – Burzyński zwrócił się do policjanta, który zszedł na dół – przypilnuj tego faceta. Nie spuszczaaj z niego oczu.

Policjant bez słowa stanął przy właścicielu klubu Malibu. Burzyński uwielbiał w takich momentach swoją pracę i doceniał posłuszeństwo zespołu. Rozejrzał się wokoło. Zebrane towarzystwo zostało podzielone na grupy. Pod oknem w rzędzie stały prostytutki. Po drugiej stronie klienci, do których dołączyli mężczyźni sprowadzeni z miłosnego piętra na parter. Przy barze na kolejne czynności policyjne czekała załoga obsługująca Malibu – ochroniarz, barman i kobieta wydająca ręczniki.

Przy stoliku, przy którym wcześniej siedziała najmłodsza stażem prostytutka, zasiadł policjant, który zajął się spisywaniem danych klientów. Prosił ich pojedynczo i pytał o imię, nazwisko, dowód tożsamości oraz częstotliwość korzystania z usług prostitutek. Dla ogromnej części przepytanych były to najtrudniejsze pytania w życiu.

Klienci za wszelką cenę chcieli zachować anonimowość i wymyślali coraz bardziej fantastyczne powody, dla których nie mają przy sobie dokumentu tożsamości. Tymczasem policjanci mieli niepowtarzalną możliwość utworzenia ewidencji mężczyzn stanowiących źródło utrzymania Malibu. Gdy ich nazwiska znajdą się już w aktach i policyjnych notesach, będą stanowili potencjalne źródło informacji, które może przydać się w najbardziej nieoczekiwanym momencie. W klubie spotykali się nie tylko zwyczajni mężczyźni zaspokajający potrzeby seksualne. W takim miejscu bywało też tak zwane miasto – gangsterzy mniejszego i większego kalibru.

Burzyński podszedł do rozneglizowanych kobiet stojących pod oknem. Młody nie opuszczał go ani na krok. Szedł za nim i lustrował kobiece ciała. Przy zapalonych światłach wszystkie wyglądały jak potrawy w barze samoobsługowym pod koniec dnia, z daleka nawet apetycznie, ale z bliska... apetyt mijał.

– Dobra. – Podkomisarz wskazał na drobną prostytutkę stojącą przy jego informatorce. – Ty pójdziesz z nim. – Odwrócił

głowę w stronę Młodego. – Majewski, przesłuchasz ją.

– Tak jest, panie podkomisarzu. – Chłopak nie krył ekscytacji.

Entuzjazm Majewskiego posłużył w tym przypadku do stworzenia zasłony dymnej. Burzyński uśmiechnął się. Jak zwykle piekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wcześniejsza rozmowa z informatorką dostarczyła mu wiedzy, którą musiał tylko oficjalnie potwierdzić. Wiedział więc, z kim rozmawiać. Zeznania dwóch osób mogły być kluczowe. Resztę załogi trzeba było przepytąć jedynie dla niepoznaki, by nikt nie zorientował się, od kogo pochodzą informacje.

* * *

– Ruda, rozszerzyłaś zakres działalności? – zaczął ostro, nie tracąc czasu na zbędną grę wstępną.

To nie było miejsce, w którym ktokolwiek kiedykolwiek przykładał się do gry wstępnej.

W pokoju, do którego weszli, panował półmrok. Grube zasłony chroniły wnętrze przed promieniami słońca lub księżyca. Kilka sekund spędził przy poczwórnym przełączniku, by zapewnić odpowiednie oświetlenie. Najpierw punktowe lampy wypuściły słupki ciepłego światła w kierunku czerwonych zasłon, później zgasły, a rozbłysły kinkiety zamontowane przy wezgiłowi łóżka. Kolejne ustawienie włączyło światła w maleńkiej łazience. Jej rozmiar był dokładnie taki sam jak rozmiar ręcznika, który otrzymywała każda dziewczyna idąca z klientem do pokoju. Mikroskopijne wrażenie czystości. W końcu Burzyński uruchomił jarzeniówkę, która dokładnie wypełniła całe wnętrze mocnym i chamskim światłem, odzierającym seksualny zakątek z resztek erotycznego klimatu. Nie miał wątpliwości, że z tego światła korzysta jedynie osoba sprzątająca pokoje.

– Co? – Dziewczyna nie wiedziała, jak powinna się zachować.

– Żyjesz z nierządu. Możemy zgarnąć cię na dołek na cztery osiem. A może nawet i dłużej.

– Dłużej? – Ruda była szczerze zdziwiona. Nieraz spędzała w areście dwie zupełnie bezproduktywne doby. Ryzyko zawodowe, co zrobić. Dwie, ale nigdy dłużej. – Za co?

– Za morderstwo. – Atakował i przyglądał się reakcji. – Wiesz, jaki wyrok dostaniesz za umyślne morderstwo? Jedyne współpraca mogłaby cię uratować, odrobinę złagodzić wyrok. No nic, jedno jest pewne. Twój bachor o tobie zapomni, zanim wyjdiesz na wolność.

– Ja? Ale przecież... – Oczy kobiety powiększyły się, a twarz gwałtownie zbladła.

– Milcz! – Nie pozwolił jej kontynuować. – Ruda, zastanów się. Masz tylko jedną szansę. Albo powiesz mi wszystko, co wiesz... albo pójdziesz siedzieć. Wiesz, że nie znoszę kłamstw, a prawdę docenię. Wybór należy do ciebie. Możesz fikać na wolności albo zostać udupiona za lojalność i głupotę. Zastanów się. Masz czas. Pięć minut.

Podkomisarz podszedł do łóżka stojącego w centralnym punkcie pokoju. Oprócz małej szafki nocnej był to jedyny mebel w pomieszczeniu. Zielonkawa pościel z kory wyglądała na względnie czystą. Nie była to jednak zasługa obsługi Malibu, tylko samej tkaniny. Bawełniany materiał miał wklęsło-wypukłą fakturę. Dzięki temu nie było na nim widać zagnieceń, a padające światło odbijało się od niejednolitej powierzchni i sprytnie ukrywało niewielkie zabrudzenia. Miarodajnym testem świeżości byłoby powąchanie pościeli. Burzyński nie miał jednak ochoty tego sprawdzać. Na szczęście nie musiał szukać dowodów na brak czystości. Brud nie był przestępstwem.

Usiadł na łóżku i spojrzał na dziwkę. Nie wytrzymała jego wzroku. Odezwała się:

– Co chce pan wiedzieć?

Miała nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Widział, że jest przestraszona. Słyszał jej przyspieszony oddech. Co chwilę odgarniała rude loki z twarzy i rozglądała się, jakby w pomieszczeniu, w którym była wcześniej setki razy, szukała

tajemnej drogi ucieczki.

Burzyński poklepał łóżko po swojej prawej stronie, jakby chciał zachęcić psa do wskoczenia na kołdrę. Dziewczyna podeszła i posłusznie przysiadła na wskazanym miejscu.

– Znasz tego faceta? – Pokazał zdjęcie Ciemały.

– Wygląda znajomo. Kiedyś przychodził tu ktoś podobny – odpowiedziała, unikając jego wzroku.

– Kiedy ostatnio?

– Nie wiem. Kilka tygodni temu? – spytała, zamiast oznajmić.

– Kilka tygodni? Jesteś pewna?

Pozostawił jej otwartą furtkę. Jeszcze mogła wycofać się z kłamstw. Wiedział, że kłamie. Rozmawiał wcześniej z informatorką pracującą w Malibu. To ona zdradziła mu, że Ciemała bywał w klubie i korzystał z usług Rudej. Widziała ich razem w noc poprzedzającą znalezienie ciała. Ciemała wypił w barze sok pomarańczowy, podszedł do Rudej i zaprowadził ją na piętro. Oznaczało to, że Ruda mogła być ostatnią osobą, która widziała go przed śmiercią. To czyniło ją najbardziej podejrzaną i na tę chwilę jedną z dwóch osób dysponujących informacjami niezbędnymi do rozwiązania zagadki.

Informatorka nie widziała, czy Ciemała opuścił Malibu. Sama chwilę później oddała się wykonywaniu obowiązków zawodowych. Półtorej godziny później zeszła na dół, ale tamtej nocy nie spotkała już ani Ciemały, ani Rudej. Dlatego teraz Burzyński przygotowany był na kilka ewentualności. Ściągnął nawet człowieka, który miałby sprawdzić pokoje pod kątem obecności krwi ofiary.

– Ten facet, jeśli to jest ten, o którym myślę – zaznaczyła – przychodził kiedyś regularnie do Belli. Ona odeszła, a ja przejęłam jej klientów. Do mnie wpadał rzadko. Nie wiem, może nie byłam w jego typie. On ją chyba lubił. Był z nią blisko. Wspominał. W ogóle lubił gadać. Najpierw się spuszczał, a potem opowiadał. Wykorzystywał opłacony czas co do minuty. Nigdy go nie tracił, nigdy nie przedłużał. Jeśli mijał czas, a on był w

środku opowieści, zwyczajnie ją przerywał i wychodził. Mówił pan o morderstwie. Czy Józek nie żyje?

Sięgnęła ręką do szafki nocnej. Pociągnęła za uchwyt i wysunęła niewielką szufladę. Było w niej kilkanaście prezerwatyw. Ich nazwa skojarzyła się Burzyńskiemu z wirusem komputerowym. Niejeden raz usuwał trojany z domowego komputera.

– Mówiłaś, że dużo opowiadał. – Obserwował ją uważnie, ale nie przestawał pytać. – O czym?

– O niczym szczególnym. – Z szuflady wygrzebała chusteczkę higieniczną. – Nie słuchałam go – dodała, gdy jej oczy spotkały się ze skupionym spojrzeniem podkomisarza. – Wydaje mi się, że pierdolił o młodości, przechwalał się, jakich to numerów nie robił, jakich lasek nie zaliczał. Taka samcza, nudna gadka o podkolorowanej przeszłości.

– Kiedy obsługiwałaś go po raz ostatni? – ponowił pytanie.

– Nie wiem, kilka miesięcy temu.

Prostytutka unikała wzroku policjanta. Wpatrywała się w swoje stopy. Czerwień paznokci kontrastowała z zieloną podłogą. Podłoga była dla niej jedyną niezbadaną płaszczyzną tego pokoju. Znała wszystkie plamy na suficie. Zagłębienia w ścianach. Odległości między lustrem a oknem, oknem a łóżkiem. Fakturę pościeli.

– Uznajmy, że nie dosłyszałem tej odpowiedzi. Zastanów się.

– Dobra, powiem – skapitulowała, uznając wyznanie prawdy za porażkę. – Ale niech pan nie mówi nikomu. – Jej oczy zaszczyły łzami.

– No więc?

– Józek był tu przedwczoraj. Wczesnym wieczorem. Poszliśmy na górę.

– Mówił coś?

– No właśnie raczej niewiele. Milczący był jak nigdy.

Pociągała nosem i ocierała łzy, które płynęły po policzkach. Burzyński milczał, czekał na dalszy ciąg. Spojrzała na niego i po

raz pierwszy tego wieczoru poczuła się niezręcznie. On był ubrany, stanowczy i zainteresowany wyciągnięciem z niej jak największej ilości informacji. Ona miała na sobie skąpą bieliznę i nie była przygotowana na taką rozmowę.

– Wiedziałam, że coś się dzieje. Wiedziałam, że coś chce powiedzieć. Był podekscytowany. Ale milczał. Ja nie pytałam. Poszłam do łazienki. Potem zużyliśmy dwie gumki.

– Skończyliście i co? – przerwał jej.

– Wyszliśmy z pokoju. Nawet się nie pożegnaliśmy. Na korytarzu stał Gepard.

Pseudonim Gepard nadały Beckowi pracujące dla niego dziewczyny. To one rozpowszechniły informację, że ich szef bije wszystkich w kategorii „tempo dochodzenia”. Potrzebował niewiele czasu, by jego rozkosz sięgnęła zenitu. Ledwo zaczynał biec, a już docierał do końca. Wymarzony klient. Szybki niczym gepard.

– I? – Burzyński słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

Był ciekawy, czy Gerard potwierdzi wersję Rudej. Chciał jak najszybciej zakończyć przesłuchanie prostytutki i zająć się szefem burdelu. Wyłuskać z nic nieznaczących informacji te, na które czekał, i przejść do kolejnej sprawy. Wiedział jednak, że pewnych rzeczy nie da się przyspieszyć, a nadmierne ponaglanie przesłuchiwanego może odnieść skutek zupełnie odwrotny do zamierzonego.

– Gepard stał na końcu korytarza i na nas patrzył. Józek kiwnął ręką na powitanie, ale Gepard nie zareagował. Józek popchnął mnie w stronę schodów, tak jakby chciał się mnie pozbyć. Sam nie mógł się zdecydować, iść czy zostać. Odeszłam bez słowa, na dole było kilku wolnych facetów. Czas klienta się skończył, a mnie za stanie na korytarzu nikt nie płaci – dodała z rozbrajającą szczerością.

– A Józek? Zszedł później?

Podkomisarz z zasady nie używał imion i nazwisk ofiar, jednak czasem mógł zrobić wyjątek. Zależało mu na tym, by

informacja o śmierci ofiary maksymalnie poruszyła Rudą. Musiał więc sprawić, by zobaczyła w kliencie człowieka, i obserwować reakcję.

– Nie. Został. Nie wiem, jak długo, ale nie widziałam, by schodził. Co prawda nie warowałam przy schodach, miałam jeszcze dwóch klientów. A czemu pan pyta?

– Dlaczego nie zszedł? – zignorował jej pytanie.

– Nie wiem. Chciał pogadać z Gepardem.

– O czym?

– Nie wiem. Naprawdę. Chciałabym pomóc. Nie może mnie pan oskarżyć o morderstwo. Gdy odchodziłam, żył. – Ruda zaczęła panikować. – Gepard na pewno da mi alibi.

– Ruda, wyluzuj. Czy Gepard rozmawia z klientami? Z Józkiem?

– Gepard nie ma ochoty gadać z wiarą. Do byle kogo pyska nie otwiera. Z Józkiem czasem gadał, to znaczy Józek gadał do Geparda, a ten nie reagował. Jak król i żebrak. Kiedyś widziałam, jak Gepard wyciągniętą ręką wskazywał Józkowi drzwi. Wkurzony był ostro.

– Dobra. – Burzyński postanowił odrobinę zmienić temat. – Powiedz mi, co to za Bella była?

– Taka jedna, pracowała tu, ale jesienią zeszłego roku poszła dalej.

– Dalej?

Ruda schowała twarz w rękach, jak mała dziewczynka chcąc uciec przed światem. Świadomie wykonywała najstarszy zawód świata. Dumna była z tego, że dołączyła do załogi Malibu. Pracowała w prestiżowej firmie. Prawie w światowym koncernie. Miała bar, ochroniarza, czyste pokoje i szefa, który przyciągał do lokalu ludzi z branży.

Nie lubiła opowiadać o swojej pracy. Starła się nie zauważać tych wszystkich minusów, codziennych upodleń, prawidłowości i zasad, które narzucali inni. Zarabiała pieniądze, to liczyło się przede wszystkim. Przynosiło ukojenie. Ona zaspokajała

potrzeby innych – po to, by zarobić na zaspokojenie potrzeb swoich i dziecka.

– W tej branży liczy się efekt nowości. Klienci lubią nowe dupy. To jest oczywiste – mówiła spokojnie. Co jakiś czas głośno pociągała nosem. – Dziwki się nudzą. Mało jest klientów takich jak ten pana. – Wskazała na zdjęcie Ciemały. – Gdy w klubie pojawia się jakaś nowa dupa, to jest tak jak w lumpeksie w dzień dostawy nowego towaru. Zwiększa się ruch. Wszyscy chcą sprawdzić nową dziewczynę. Niektórzy nawet mają z Gepardem umówione pierwszeństwo dupczenia, za odpowiednią dopłatą oczywiście. Dziewczyna w nowym miejscu może zarobić bardzo dużo, nawet jeśli nie jest najlepsza. Stałe laski się nudzą. Bella pojechała dalej, nie wiem, do Krakowa czy Gdańska. Nie pamiętam.

– Po wyjeździe Belli Józek przychodził do ciebie, ale mówiłaś, że dużo rzadziej. Jak myślisz, dlaczego?

– Bo byłam inna niż Bella? Ona z nim gadała, ja nie lubię gadać. Albo się pieprzysz, albo spadasz.

– Ściemniasz. Wiadomo, ty mogłaś mu nie pasować, ale przecież mógł znaleźć u was inną pannę. Przecież jest w czym wybierać.

– Jest. Ale on mówił, że znalazł inne miejsce. Że tam jest taniej, a jakość usług wyższa. Nie ma tak wygórowanych stawek za rzeczy ekstra. No i szanują stałych klientów.

Świadomość Burzyńskiego błyskawicznie zogniskowała się na nowym tropie. Jeśli Gerard Beck na czas zabójstwa będzie miał alibi, to policjant będzie musiał sprawdzić właśnie to inne miejsce rozkoszy.

– Rzeczy ekstra?... – Chciał upewnić się, czy chodzi o burdel o profilu sado-maso.

– Józek lubił podduszać dziewczyny i na nie sikać.

– Jak myślisz, co miał na myśli, gdy mówił: szanują stałych klientów?

– Nie wiem, może jakieś karty, wie pan, co się pieczętki na

nich zbiera, jak w solarium? Dziesiąty raz gratis? Józek parę razy pytał mnie o rabaty albo o kredyt. Odsyłałam go wtedy do Geparda.

– I?

– I ten wybijał mu wszystko z głowy. Kiedyś tak mocno dostał w mordę, że przez trzy tygodnie go u nas nie było. To pewnie po tym zaczął rozglądać się za innym miejscem.

– A wiesz, dokąd się przeniósł?

– Do Burdel Kinga.

* * *

– Wiemy, że miałeś z nim zatarg.

– Ja? To raczej on ze mną, chciał mi dymać panienki na raty. A ja punktu kredytowego nie prowadzę.

Dymanie było motywem przewodnim pokoju, w którym się znaleźli. Komiksowo mikroskopijny Gerard Beck ginął w swoim fotelu prezesowskim. Zza biurka wystawały tylko głowa i drobne ramiona. Burzyński i Majewski siedzieli na ogromnej kanapie. Nie mogli jednak skupić się na liczącym metr pięćdziesiąt Becku, bo między nimi a biurkiem stała wyjątkowa szklana ława.

– Kiedy widziałeś Ciemałę po raz ostatni? – dopytywał podkomisarz.

Właściciel burdelu przyglądał się zdjęciu i kręcił głową, marszcząc przy tym czoło. Opuścił kąciki ust i wyeksponował dolną wargę tak, jakby sama mina miała zastąpić odpowiedź.

– Nie wiem. – Po chwili do gestów dodał słowa. – Facet nie ma ryja do zapamiętania.

Szklany blat przytrzymała naga kobieta, odważnie prezentująca swoje wdzięki. Młody wpatrywał się w jej piersi i kolana. Znajdowały się na tej samej wysokości. O nie opierało się idealnie czyste szkło. Na ziemi spoczywały pośladki, palce stóp, łokcie oraz część włosów. Kobieta wygięta była w spazmie rozkoszy. Tak przynajmniej jej pozę odczytywał Michał. Nie wiedział tylko, czy jego odbiór rzeczywistości nie został odrobinę

zafałszowany przez erotyczne skojarzenia. Widział tego dnia zbyt dużo skąpo ubranych ciał. Miał je na wyciągnięcie ręki... ręki, którą utrzymywał przy sobie resztkami silnej woli. Zaszalałby, gdyby tylko nie był na służbie.

– Widzę, że nawet prosty policjant potrafi docenić prawdziwą sztukę. – Beck wskazał na Majewskiego, by odwrócić uwagę od siebie. – Ten stolik to ręczna robota. Kobieta wyrzeźbiona została w klonie, a następnie wypolerowana... Ha... – pozwolił sobie na dygresję, poruszając zabawnie dłońmi – kto by jej nie chciał własnoręcznie wypolerować? Rzeźba wykończona jest woskiem. Na świecie jest tylko jeden egzemplarz. Wykonany na moje zamówienie. Za moje, niemałe zresztą pieniądze. Ale czego znawca nie robi dla sztuki. Piękna jest, prawda?

– Piękna – przytaknął Młody. Nie znał się co prawda na sztuce, ale dysponował wiedzą na temat kobiecego ciała. To podtrzymujące blat miało idealne proporcje.

– Modelka swego czasu była moją boginią. Dziś nawet nie pamiętam, jaką miała ksywkę.

Burzyński spojrział na zegarek. Wskazówki bezlitośnie wskazywały godzinę, o której powinien być już w domu. Dziewczynki czekały, aż przeczyta im bajkę. Zamiast czytać na głos opowieść o księżniczkach i zamkach, siedział w przerysowanej jaskini rozpusty, należącej do miniaturowego króla otaczającego się wielkimi rzeczami. Poczował się dziwnie, jakby nagle znalazł się w środku komiksu.

– Kiedy widziałeś Ciemałę po raz ostatni? – warknął ostro, by dać do zrozumienia, że nie ma ani czasu, ani ochoty na rozmowy o sztuce.

– Może jakieś dwa miesiące temu. – Beck wzruszył ramionami. Nie interesował się facetem ze zdjęcia. – Jeśli możesz wyskoczyć z czterdziestu tysięcy złotych, to podam ci namiary na rzeźbiarza, który potrafi tak pięknie wyciosać kobiece ciało – zwrócił się do Młodego.

Majewski zauważył, że jego rozkojarzenie utrudnia

przesłuchanie, więc odpalił:

– Czterdzieści tysięcy? Nie mam przy sobie drobnych, ale może kiedyś? Z Ciemałą też o sztuce rozprawialiście?

– Gdzie? On był prosty jak drut. W głowie miał tylko ruchanie.

– W ustach Becka zabrzmiało to dziwnie. Osoba zarządzająca to miejsce nie myślała przecież o niczym innym. – Biznesy chciał robić ze mną. Rabaty, kredyty, aż w końcu pojawił się wkurzony i dopytywał, czy nie mam jakichś haków na Burdel Kinga.

– Na kogo? – Młody po raz pierwszy usłyszał taki pseudonim.

Burzyński wstał i podszedł do telewizora, na którym dzięki kilku kamerom rozmieszczonym piętro niżej można było na żywo oglądać to, co działo się w innych częściach burdelu. Władzę w tej branży dawała mieszanka pieniędzy i posiadanej wiedzy. Wiedzy na temat tego, kto z kim, gdzie i co robi.

– Na Burdel Kinga – powtórzył Beck. Na widok zainteresowania Młodego uznał za stosowne uchylić rąbka tajemnicy. Prawą ręką przysłonił usta, jakby miał nadzieję, że wypowiedane przez niego słowa nie dotrą do podkomisarza. – To taki typek. Prowadzi burdele. Zaczynał od jednego mieszkania, ale się rozrósł, że hej.

– Aaa, rozumiem, czyli konkurencja? – Młodszy policjant naśladował gesty rozmówcy, by ten poczuł się lepiej w jego towarzystwie.

Od wielu lat wykorzystywał zasady komunikacji w praktyce, zwłaszcza gdy chciał szybko osiągnąć założony cel. Nie tylko w pracy, podczas przesłuchiwań, ale także w barze, na dyskotecce czy w restauracji. Pamiętał, że wszyscy swobodniej i bezpieczniej czują się w towarzystwie osób, które zachowują się podobnie do nich. Podczas rozmowy z nowo poznanymi ludźmi obserwował ich i starał się powielać ich zachowanie. Używał zbliżonej gestykulacji, mimiki, tonu głosu. Zachowywał się podobnie, ale nie tak samo. Nie chodziło mu przecież o kopiowanie lub parodiowanie dyskutanta, lecz o wyrażenie empatii.

– Dokładnie. Pizduś z wielkimi plecami. Taki, co ma tupet,

mózg i pomysł. Odbiera mi klientów, chce być najlepszy na mieście. Skurwiel jeden! Prawnik pieprzony, w kancelarii powinien siedzieć, a nie bawić się w kurewstwo!

– Burdel King, mówisz? – Młody zapisał. – A po co Ciemale były haki na tego Kinga?

– A co mnie to obchodzi? – Zdenerwowany Beck wstał z fotela i stanął przy drzwiach. Wydawał się jeszcze mniejszy niż wtedy, gdy siedział przy biurku. – Powiedziałem mu, żeby spierdalał, skoro gardzi moimi panienkami. Wpadał tu tylko od wielkiego dzwonu, bardziej jak miał interes. Na ruchanie chodził do Burdel Kinga, zachęcony niższą ceną. Jak trwoga, to do Boga? – Roześmiał się rubasznie. – Do Boga i do Becka. Niech sam się użera z Burdel Kingiem.

– Chcesz nam wmówić, że Ciemalę widziałeś dwa miesiące temu? – Burzyński włączył się do rozmowy. Stanął przed Beckiem i patrzył na niego z góry. Wiedział, że właściciel Malibu traci cierpliwość i za chwilę każe im wyjść. – Pierdolisz, Beck!

– Tak mniej więcej. – Beck pomachał ręką, jakby próbował znaleźć równowagę. – Panowie wybaczą, jestem zajęty. – Złapał klamkę i otworzył drzwi, pokazując niczym hrabia, czego oczekuje po policjantach.

– Taaa, faktycznie, tylko jednak trochę mniej niż więcej.

Młody podszedł do Burzyńskiego i stanął obok. Nie wtrącał się, tylko słuchał. Jakoś naturalnie podzielili się rolami. Burzyński był złym gliną, a Majewski nie zamierzał łagodzić jego wybuchu testosteronu.

– Wiemy, że widziałeś się z nim w tym tygodniu! – kontynuował podkomisarz.

– „Widziałeś” to trochę za dużo powiedziane. – Gerard zamknął drzwi i splótł ręce na klatce piersiowej. – Spotkałem go na korytarzu.

– I co?

– I nic. Podszedł do mnie i syknął, że sam znalazł haki na Burdel Kinga i ma mnie w dupie.

* * *

Anita stała przed lustrem i starała się wyregulować ostrość widzenia, by rozpoznać własne odbicie. Powieki zamykały jej się same, strajkując jak co dzień przeciwko pobudce. W tej chwili rozróżniała jedynie kształty. Odkręciła wodę pod prysznicem, przymknęła drzwi od kabiny i zaczęła się rozbierać. Nie zaprzętała sobie głowy oszczędzaniem wody i dbaniem o środowisko. Szum wody łagodził szok wywołany nagłym wyrwaniem ze snu. Potrzebowała go jak powietrza. Pozwalał świadomości wrócić do stanu jawy.

Jak zwykle w dzień powszedni o godzinie siódmej zero zero wredny dźwięk budzika wyrwał ją z marzeń sennych. Uniosła się automatycznie i z zamkniętymi oczami pomaszerowała do łazienki. W tygodniu spała dokładnie siedem i pół godziny, w weekendy pozwalała sobie na dziewięciogodzinny odpoczynek. Czas spędzony w łóżku zawsze był wielokrotnością dziewięćdziesięciu minut. Do niego doliczała jakieś dziesięć minut na zasypianie. Była przekonana, że snem rządzą proste reguły. Można podzielić go na fazy, określić czas ich trwania i narysować sinusoidę.

Najpierw pojawiają się oderwane od siebie i nielogiczne obrazy. Następnie powoli traci się kontakt z rzeczywistością, aż do momentu, w którym świadomość zostaje wyłączona, spada ciśnienie, a mięśnie ulegają rozluźnieniu. Po fazie snu głębokiego fale mózgowe zaczynają przyspieszać. Mniej więcej po dziewięćdziesięciu minutach od zaśnięcia każdy człowiek przechodzi w fazę snu płytkiego, by po chwili znowu wypłynąć na głębokie wody.

Anita metodą prób i błędów doszła do wniosku, że wybudzona z najgłębszego snu nie jest zdolna do działania, dlatego dbała o to, by budzik odzywał się w trakcie fazy REM.

Wyszła spod prysznica ożywiona i pełna energii. Po raz kolejny spojrzała w lustro. Ostrość widzenia wróciła. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. Zanim rozpocznie kolejny

dzień, trzeba jeszcze dodać twarzy odrobinę kolorów. Sięgnęła po puder, tusz do rzęs i pomadkę.

Na toaletce obok swoich perfum zauważyła elegancki flakon. Nie widziała go wcześniej. Prezentował się imponująco, zwłaszcza przy banalnej buteleczce z przeciętnym zapachem, którą wrzuciła do koszyka w popularnej sieciowej drogerii.

– Chanel? – przeczytała nazwę – Chanel Allure Sensuelle.

Nacisnęła pompkę, kierując pachnącą mgiełką na nadgarstek. Wyrafinowany zapach zawrócił jej w głowie. Był odrobinę orientalny i cholernie seksowny. Szybko zmyła go z siebie. Wstydziłaby się wyjść z domu w chmurze tych erotycznych cząsteczek.

Jej córka miała hopla na punkcie kosmetyków. Ciągle przynosiła do domu nowe produkty, a opakowania po nich zostawiała na pralce, zamiast wyrzucać do śmieci. Pudełko po Chanel też tam leżało. Spojrzała na nie ze złością.

– Czterysta osiemdziesiąt złotych? – Cena sama rzuciła jej się w oczy. – O Boże!

Sto mililitrów cieczy warte więcej niż miesięczne kieszonkowe. Anita była zaniepokojona. W tym miesiącu na toaletce pojawiły się już perfumy Kenzo i pomadka Chanel.

– Paula?

Musiała z nią porozmawiać. Natychmiast. Miarka się przebrała. W końcu była gotowa dowiedzieć się, skąd dziewczyna bierze pieniądze na drogie kosmetyki. Zbyt długo przymykała na to oczy.

Anita nie wiedziała, o której córka wróciła do domu. Sama zasnęła przed północą. Zdeterminowana otworzyła drzwi do pokoju. Paula jednak spała w najlepsze.

– Paula.

Dziewczyna nie reagowała na głos matki. Była potargana, a jej twarz specjał rozmazany makijaż.

– Paula!

– Mhm – zamruczała i przewróciła się na drugi bok.

Uznała, że jej nie dobudzi, a nawet jeśli sprawi, że córka usiądzie na łóżku, to i tak się nie dogadają. Nachyliła się nad Paulą i poczuła smród papierosowy.

– Pogadamy po południu – powiedziała. I dodała w myślach: „A mamy o czym, moja kochana”.

Dziewczyna nie zareagowała.

Anita spojrzała na porozrzucane na ziemi ubrania córki i ze smutkiem skonstatowała, że w jej życiu panuje bałagan, którego wygodniej jest nie zauważać.

* * *

Majewski minął dwie tirówki stojące przy drodze. Zbliżał się do miejsca, w którym umówił się z informatorką. Silnik domagał się zmiany biegu, ale Michał zwolnił, by nie przeoczyć dziewczyny. Zdziwił się, gdy przy zjeździe, który zapamiętał, nie zauważył ani jej, ani samochodu klienta. W pierwszej chwili pomyślał, że pomylił miejsce i pojechał za daleko. Zatrzymał się dopiero przy tablicy z napisem „Mieczewo”.

– Olała mnie, głupia kurwa, olała! – Uderzył w kierownicę, przekazując jej swoją złość. Wziął dwa łyki coli i postanowił wrócić do firmy.

Zawrócił i przycisnął gaz, by nadrobić czas stracony na bezproduktywne wycieczki za miasto. Mijając miejsce pracy tirówki, kątem oka zauważył stojącą przy drodze butelkę wody. Gwałtownie nacisnął hamulec, nie patrząc w lusterka. Na szczęście nic za nim nie jechało. Wrzucił wsteczny bieg i podjechał do butelki. Nie pomylił się. Stała przy drodze w połowie pełna lub w połowie pusta – zależy, jak na to spojrzeć. Przypomniawszy sobie, że taka butelka to znak dla klientów tirówek. Wiadomość: „Mam klienta, poczekaj”. Widoczne tylko dla wtajemniczonych „zaraz wracam”.

Zaparkował samochód przed butelką i otworzył okna. Do wnętrza wdarło się powietrze. Mieszanka zapachu lasu i gorącego asfaltu. Wyłączył radio, wziął kilka łyków coli, którą

zawsze woził w samochodzie, i zamknął oczy. Nagle dopadło go ogromne zmęczenie.

Po wieczornym nalocie na Malibu nie mógł się uspokoić. Sprawa zabójstwa Ciemały nabierała tempa. Zbliżał się do zabójcy, ale zamiast się tym cieszyć, wieczorem nie mógł zasnąć. Zamykał oczy i widział znalezione w lesie pozostałości po kobiecie, której nikt nie szukał. Nie zgadzał się na to, by pozostała NN. To dlatego odezwał się do ucholki.

W nocy przewracał się z boku na bok i próbował uciec przed myślami. Niestety, były szybsze. Wracały i atakowały jego świadomość tak mocno, że ta lekceważyła zmęczenie ciała. Fruwała nad odnalezionym kościotrupem i nad kolorowymi karteczkami memo, na których zapisywał ważne rzeczy. Zasnął dopiero chwilę przed piątą.

W tej chwili czekał na umówione w nocy spotkanie i czuł zmęczenie w każdej komórce ciała. Prawie odpływał w krainę Morfeusza, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Spojrzał kontrolnie w lusterko wsteczne. Z zaparkowanego za nim chevroleta wyszła ucholka. Kręcąc biodrami, przeszła przed maską auta i nachyliła się nad klientem, którego chwilę wcześniej obsługiwała.

Michał opuścił samochód.

„Tak zwany serwis posprzedażowy” – skwitował w myślach jej zachowanie.

– Hello, kochanieńki! – krzyknęła tirówka na widok Majewskiego. – Widzę, że się stęskniłeś! Na co masz dziś ochotę?! – krzyczała, mimo że szedł w jej stronę. Tak jakby chciała, by pół lasu wiedziało, że ma dziś dużo pracy. – Lodzik czy pełna obsługa? – zaserwowała mu śpiewkę przeznaczoną dla każdego klienta.

Młody nie bardzo wiedział, jak ma się zachować, by nie zdradzić prawdziwego powodu swojej wizyty. Z jednej strony miał ochotę spisać numery auta klienta, z drugiej chciał zasłużyć na zaufanie ucholki, zachować pełną anonimowość.

– Cipka Wery jest najlepsza! – z wnętrza samochodu odezwał się kierowca.

Wyglądał na amatora przydrożnego seksu. Obecność innego mężczyzny w ogóle go nie krępowała. Chętnie posiedziałyby sobie i przyjrzał się pracy tirówki z bliska.

– Się wie – rzucił Młody na odczepnego.

– Pa, kochanieńki! – Kobieta pomachała w stronę kierowcy. – Lecę, bo mam robotę.

– Pełne ręce roboty, ha ha ha. Pa!

Dopiero gdy samochód klienta zniknął za zakrętem, ucholka zaatakowała Majewskiego.

– Mówiłam, że masz się nie pokazywać innym. Jeszcze ktoś cię rozpozna!

– Wiem, wiem, ale miałaś być tu o dziesiątej.

– Przedłużyło mi się spotkanie...

– Dobra. – Machnął ręką. – Nieważne, co robiłaś przed chwilą. Ważne, czy się czegoś dowiedziałaś.

Dziewczyna wsiadła do samochodu Młodego i zaczęła snuć opowieść o tym, jak z narażeniem życia podpytywała koleżanki po fachu o kręcących się w okolicy podejrzanych mężczyzn. Koloryzowała, by podkreślić swoje zalety.

Policjant słuchał opowieści i przyglądał się kobiecie. Nie miał wątpliwości, że zajmowała najniższą półkę w branży. Musiała być w wieku dziewczyn, które przesłuchiwał wczoraj w Malibu. Wyglądała jednak na dużo starszą. Miała zniszczoną cerę. Zajeżdżało od niej papierosami. Rozpuszczone włosy opadały na ramiona, a opięte body podkreślało wylewające się nad minispódniczką warstwy tłuszczu.

– Konkrety, masz konkrety? – zdecydował się skrócić jej opowieść. Nie miał zamiaru wysłuchiwać, która tirówka z którym alfonsem miała na pieńku. Nie w tej chwili.

– Konkretnie to nic nie mam. Żadnych nowych zboczeńców. Ale jeszcze będę pytać.

Złość powoli wypychała z jego ciała zmęczenie. Był zły na

siebie. Zamiast liczyć na innych, powinien wytatuować na własnej ręce napis: „Chcesz coś zrobić dobrze, zrób to sam”. Jak mógł być tak naiwny? I sądzić, że jakaś zdegenerowana tirówka dostarczy mu konkretnych informacji?

– Dobra, to pytaj dalej. – Chciał się jej pozbyć. – Jakby co, to dzwoń.

Wychylił się, złapał za klamkę i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Zaraz, zaraz – zaprotestowała – a kasa dla mnie?

– Kasa? – Roześmiał się, bo uświadomił sobie, że był dla niej zbyt miły. Musiała wziąć go za początkującego policjanta, którego można wodzić za nos. – A ty co? Sekstelefon prowadzisz? Za gadanie kasę chcesz? Nie przyjechałem tu, by słuchać nieprzydatnych opowieści.

– Umawialiśmy się...

– Umawialiśmy się – przerwał jej – że jak będziesz wiedziała coś, co może mi pomóc w śledztwie, to mi powiesz. A jak mi to rzeczywiście pomoże, to będę zadowolony i wtedy mogę ci się odwdziaczyć.

– Ale...

– Ale jak coś będziesz wiedziała, to dzwoń, nie krępuj się. Potrafię docenić tych, którzy są pomocni.

Dziewczyna opuściła samochód, a Młody włączył się do ruchu. Mimo że droga prowadząca przez las była dość wąska, panował na niej spory ruch. Liczni kierowcy ciężarówek zwalniali, by obejrzeć tirówki. Nic dziwnego, że te ubierały się jaskrawo i wyzywająco. Były stojącą reklamą usług, które świadczyły, i musiały rzucać się w oczy jak wielkie, jaskrawe „M”, kuszące kierowców, by zboczyli z trasy i skonsumowali mckanapkę lub kawę z pianką.

* * *

– Uważasz, że to jest fair?

– Fair?

– Dostawałeś pieniądze za cudze ciało. Sprzedawałeś je!

– Oskarżasz mnie, i to publicznie. W jakim celu? Chcesz, żeby ludzie przed telewizorami odnaleźli we mnie ucieleśnienie całego zła panującego na świecie? Drodzy państwo... – Po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do kamery i uzmysłowił sobie, że mówi do setek tysięcy ludzi. – Drodzy państwo... ja wiem, że lubicie, hm, wszyscy lubimy sensacyjne historie. Na tym polega magia współczesnej telewizji. Wyszukuje prawie niewidoczny strupek na skórze. Rozdrapuje go i patrzy, jak z rany sączy się krew. Obserwujemy to także my, widzowie, słupki oglądalności lecą w górę, a telewizja zrobi wszystko, by utrzymać ten trend. Rzuca na krwawiącą ranę piasek, bakterie i zarodniki grzybów. Z radością transmituje postępy zakażenia i przygotowuje się do zrobienia sondy: czy człowiek powinien umrzeć, czy żyć?

– Odwracasz kota ogonem – interweniowała dziennikarka. Wywiad nadawany był na żywo, w porze najlepszej oglądalności. W milionach domów ludzie oglądali rozmowę z człowiekiem czerpiącym zyski z nierządu. – Rozmowa dotyczy ciebie, a nie sytuacji na polskim rynku mediów. Ciebie, właściciela największego burdelu w Poznaniu. To ty dorobiłeś się na sprzedaży ciał naiwnych kobiet.

– Jediną naiwną kobietą, którą znam, jesteś ty. Masz mylne wyobrażenie na temat handlu kobietami. Obejrzałaś pewnie parę filmów i wydaje ci się, że zjadłaś wszystkie rozumy. Zgadzam się, kiedyś było inaczej, baby skuszone atrakcyjnymi ogłoszeniami o pracę musiały zarabiać ciałem. Dziś kobiety nie są naiwne. Wiedzą, że dużych pieniędzy nie zarobi się na sprzątanii czy pracy za barem. Jakies dziewięćdziesiąt dziewięć procent kobiet, które przepytawałem na rozmowie kwalifikacyjnej, dokładnie wiedziało, że będzie zarabiać dupą. Co więcej, w dzisiejszych czasach wiele kobiet preferuje tę profesję, bo wiedzą, że w żadnej innej branży nie zarobią tyle, ile tu.

– Próbujesz wmówić mi, że kobiety robią to dobrowolnie. –

Świadomie utrudniała mu opowieść. Ustaliła z wydawcą, że niezależnie od osobistych przekonań czy rozwoju rozmowy ma solidaryzować się z wykorzystywanymi kobietami.

– Nie zamierzam ci tego wmawiać. Pogadaj z prostytutkami. Nie słyszałem, by ktoś w Polsce przetrzymywał Polki w burdelach na siłę. Nie więzi się ich. Wszystkie robią to dobrowolnie. W takim sensie, że w którymś momencie podejmują taką decyzję o sposobie zarobkowania. Mają kasę, a czasem nawet zdarza się im dobry klient.

– Nie wierzę. Lubią, gdy ktoś je upokarza, bije, oblewa moczem?

Telewizjowicze obserwowali ten ostry pojedynek. Dziennikarka utożsamiała się z biednymi, uciemienionymi przez mężczyzn istotami. Jak rozwścieczony ratlerek obszczekiwała swojego gościa. Prezentowała zęby, gotowa była nawet ugryźć. Za wszelką cenę chciała udowodnić, że ma rację.

Mężczyzna był jak dog niemiecki. Molos nieczuły na zaczepki. Z obojętnością i chłodem reagował na zarzuty dziennikarki. Czasem warknął, jakby od niechcenia odsłaniając wielkie zęby, w większości sytuacji jednak odwracał głowę i lekceważył napady złości pętającego się między nogami ratlerka.

– A ty nie lubisz seksu? – zapytał.

Obraz, który docierał do widzów, miał dodatkowo podsycać ich zainteresowanie. Kamera rejestrowała oświetloną dziennikarkę, jej twarz, gesty, uśmiechy. Mężczyzna znajdował się w ciemności, widać było jedynie, że siedzi tyłem do kamery i od czasu do czasu przeczesuje włosy ręką.

– Nie rozmawiamy o mnie – warknęła, z trudem panując nad emocjami – rozmawiamy o tobie i handlu kobietami.

– Nie używaj słów, których nie rozumiesz. Nie wrzucaj w wywiad swoich osobistych lęków. Seks jest dla ludzi. Nie tylko dla zбочeńców. Ty w ogóle uprawiasz seks? – Wyraźnie chciał wyprowadzić ją z równowagi. – Seks to sama natura. Dlaczego przyjęło się, że to temat tabu? Mam ochotę na piwo, idę do sklepu

i kupuję. Mam ochotę na seks, to go uprawiam. Nie chwytam pierwszej lepszej dziewczyny na przystanku tramwajowym, nie gwałcę jej. Uprawiam seks z żoną albo z kobietą, której płacę. Ja pozbywam się napięcia i kasy, ona ma kasę i może satysfakcję.

– Może ma, a może nie ma...

– Dziwka to praca jak każda inna. Dziwka jest jak dziennikarka, powiedziałbym. I tu, i tam jest obowiązek, który trzeba wypełnić. Bo praca jest obowiązkiem. Niezależnie od branży. Nie masz ochoty ze mną dłużej rozmawiać, prawda? Najchętniej wyszłabyś i trzasnęła drzwiami... albo trzasnęłabyś mnie w mordę, żeby upuścić sobie trochę napięcia. Ale tego nie zrobisz. Nie dlatego, że jesteś wybitnie inteligentna czy świetnie wychowana. Wiesz, że takie zachowanie nie jest akceptowane w twojej pracy. Gdybyś tak zrobiła, wyleciałabyś z roboty! A dziwka? Nie każdy klient jej się podoba, ale dla każdego, kto jej płaci, ma być miła. Jej celem jest najszybsze zadowolenie klienta, im szybciej się spuści, tym szybciej wyjdzie. W twojej robocie płaci się za informacje. W naszej za seks. W każdej robocie masz lepszy i gorszy dzień. Jednego klienta lubisz, innego nie. Ten jest upierdliwy i wymagający, tamten bierze, cokolwiek mu dasz. Tyle.

– Tyle – powtórzyła dziennikarka, poruszona obojętnością rozmówcy. – Tylko że moja praca nie niesie ryzyka. – Próbowwała opanować emocje, ale coraz gorzej jej to wychodziło. Potrzebowała kilku minut przerwy. – Ryzyka, że zostanę zamordowana...

– Jesteś tego pewna?

Mężczyzna spojrzał na nią w taki sposób, że na chwilę przestała oddychać.

* * *

– Gdzie jesteś?!

W iPhone Majewskiego rozbrzmiewał wkurzony głos podkomisarza.

– Jestem w lesie – odpowiedział zgodnie z prawdą.
– Zabieraj dupę. Za kwadrans masz być w firmie! – Burzyński nie wziął słów partnera na poważnie. Uznał je za popularny idiom.

– Stęskniłeś się czy jestem ci potrzebny?

– Zostaw ten las, mam tu urwanie głowy. – Podkomisarz też zaserwował Młodemu idiom. Idiom za idiom. Żart za żart.

– Nie mogę rzucić wszystkiego. Czekam na leśniczego.

– Coooo?

– O, jest! Przyjechał!

Młody zauważył, że na polanę, na którą trafił zgodnie z telefonicznym instruktażem leśniczego, z impetem wjechał fiat 126p.

– Kto przyjechał? – Burzyński nie wiedział, czy Młody żartuje, czy mówi prawdę.

– Leśniczy. Muszę kończyć.

– To kończ, nieważne, czy z leśniczym, ucholką czy dupą wyrwaną na wczorajszej dyskotecie. Jeśli za kwadrans nie będzie cię w firmie, to ci nogi z tyłka powyrywam. Dosłownie. Sprawa ofiary z fortu sama się nie rozwiąże.

– Dobra, będę za pół godziny. – Majewski trzasnął drzwiami swojego auta i skierował się do malucha.

Podczas bezsennej nocy przypomniał sobie o kolorowej karteczce memo, na której zapisał: „leśniczy”. Chciał porozmawiać z osobą sprawującą opiekę nad lasem, w którym znaleziono kości dziewczyny. Liczył na to, że leśniczy zapozna go ze specyfiką miejsca, opowie o zwyczajach panujących wśród mieszkańców okolicznych wiosek. O kłusownikach, myśliwych i grzybiarkach również.

– Dzień dobry! – krzyknął w kierunku przybyłego.

– Dobry – odpowiedział leśniczy i wystawił z samochodu dwie duże nogi. Później złapał drzwi i bok samochodu rękoma, by po chwili wyciągnąć doskonale upakowane w maluchu sto pięćdziesiąt kilogramów ciała.

- Majewski, Komenda Wojewódzka Policji w Poznaniu.
- Mirek.

Mężczyźni wymienili krótki uścisk dłoni. Michał dawno nie miał w ręce nic tak nieprzyjemnego. Dłoń dryblasą była czerwona, spuchnięta i spracowana. Skóra była tak zrogowaciała i popękana, jakby od dziewięćdziesięciu lat mieszkał na Syberii.

Akt 8

Burzyński naciskał pedał gazu. Obawiał się, że zbyt późno wyszedł z firmy. Na szczęście na miejscu pojawił się pięć minut przed czasem. Wyłączył silnik, by dać niebieskiemu kadettowi chwilę odpoczynku. Otworzył okno. Cisza w jego samochodzie idealnie harmonizowała z ciszą otoczenia. Boisko szkolne świeciło pustkami.

Nagle spokój został zmałowany przez narastający wrzask. Nastąpiła godzina zero. Z budynku, w którym organizowane były półkolonie, niczym tornado zaczął wylewać się tłum rozwrzeszczanych dzieciaków. Wraz z ich nadejściem uniósł się kurz, a wirujący zgiełk pochłaniał coraz większy fragment otoczenia.

W ciągu roku szkolnego grupa granatowych uczniów dopiero po wyjściu ze szkoły zaczynała nabierać barw. W plecakach ginęły nudne uniformy, a dzieciaki dumnie prezentowały swoją oryginalność. Podczas półkolonii obowiązywała całkowita dowolność stroju. Młodszy uczniowie starali się ubierać podobnie do siebie, w poszukiwaniu akceptacji i miejsca w grupie, a starsi prześcigali się w podkreślaniu swojej wyjątkowej indywidualności.

– Konkurs mody – skwitował Burzyński.

Chłopcy biegali w kółko i zaczepiali dziewczynki, a dziewczynki zaczepiały chłopców. Burzyński zastanawiał się, czy za jego czasów też tak było i o tym zapomniał, czy zwyczajnie świat oszalał.

– Cześć, tato.

Z obu stron jednocześnie padły takie same słowa. Bliźniaczki usiadły na swoich miejscach i w tym samym momencie trzasnęły drzwiami kadetta. Obie tak samo mocno. Zdecydowanie za mocno.

– Cześć. Mówiłem, żebyście nie trzaskały... – Chciał je zbesztać, ale powstrzymał się.

W końcu nie widzieli się przez cały dzień, mogli więc zamienić ze sobą chociaż kilka zdań w miłej atmosferze.

– Co słychać? – zapytał automatycznie, wyjeżdżając spod szkoły.

Odpowiedziała mu cisza. Włączył więc radio i skupił uwagę na prowadzeniu samochodu. Po kilku minutach zauważył, że córki rozmawiają między sobą konspiracyjnym szeptem. W końcu jednej z nich wyrwało się głośniejsze:

– No, spytaj.

– Dlaczego ja? – spytała zrezygnowanym tonem młodsza o dziesięć minut Kasia. Nie miała szans w słownych potyczkach z siostrą.

Na pierwszy rzut oka wydawały się identyczne. Ta sama fryzura, kolor oczu, sylwetka i uśmiech. Jednak rodzice rozróżniali je bez problemu. Twarz Kasi była łagodniejsza, tak jak jej usposobienie. Baśka zawsze poszukiwała granic i próbowała je przesuwać siłą perswazji, obrażonymi minami lub płaczem.

– Oj, no bo tak! – Basia zawsze stawiała na swoim.

– Tato?

– Tak, rybki? – Uśmiechnął się do lusterka wstecznego, w którym je obserwował. „Pewnie będą chciały wyciągnąć ze mnie pieniądze na niesamowicie niezbędne rzeczy” – pomyślał. Chciał je ośmielić. – O co chodzi?

– Czy to prawda... – siedząca po prawej stronie Kasia zawahała się, ale szturchnięta przez siostrę dokończyła: – Czy to prawda, że się rozwiedziecie?

– Słucham?!

Przemysław zahamował ostro i rozejrzał się na boki, by

zjechać z drogi. Pobocze było wąskie, więc wjechał na przystanek autobusowy. Włączył światła awaryjne i wyłączył radio. Optymistyczna muzyka płynąca z głośników nijak się miała do ciężkiej atmosfery w kadetce. Samochód nie był może najlepszym miejscem do prowadzenia takich rozmów, ale nie mógł udać, że nie usłyszał pytania. Nie chciał odkładać tego na później. Wiedział, że czas leczy rany, ale zaognia problemy.

– Czy to prawda, że zostawisz mamę i nas? – Głos Basi drżał, a po twarzy Kasi płynęły łzy.

– Kto tak powiedział?

Nie wiedział, co odrzec, więc zareagował instynktownie. Zadał pytanie, jak na policjanta przystało.

– Basia.

– Basia?

– Tak, słyszałam, jak mama mówiła babci.

Przemysław wziął głęboki oddech. Powstrzymał się od zadawania kolejnych pytań, które nagle przyszyły mu do głowy. Jak to? Dlaczego Iza rozmawiała o nim z matką? Kiedy? Przecież się stara utrzymać swoje małżeństwo. On się stara, a ona mówi matce o rozwodzie? Kto jeszcze o tym wie?

– Dziewczynki, kocham was nad życie... – rozpoczął delikatnie. Nie czuł się pewnie w subtelnych rozmowach. – Kocham was i nie chciałbym, żebyście płakały. Nie wiem, co mama mówiła babci. Może coś źle usłyszałyście? Tak to jest, jak ktoś podsłuchuje. Dwa słowa wpadną do ucha, reszta przeleci bokiem i wychodzą z tego farmazony.

– Tato, ale ja dobrze słyszałam.

– A ja mówię ci, że to nieprawda. Nigdy was nie zostawię.

Kasia odetchnęła z ulgą i odpowiedziała uśmiechem na uśmiech Przemysława. Basia przyglądała mu się uważnie. Jak na dziewięciolatkę była zbyt spostrzegawcza.

– Nas? A mamy też nie?

* * *

– Dzień dobry. – Anita nieśmiało pchnęła uchylone drzwi z napisem „Sekretariat”. – Dzień dobry – powtórzyła, gdy zauważyła obfitą kobietę przekładającą teczki w szafie pancерnej. – Nazywam się Anita Broll. Byłam umówiona z...

– Dzień dobry! – Sekretarka odłożyła dokumenty i powitała przybyłą wielkim uśmiechem. – Proszę, proszę, niech pani wchodzi, pan dyrektor już na panią czeka. Zapraszam.

Skinęła głową i podążyła do pokoju szumnie zwanego gabinetem dyrektora.

– Panie dyrektorze, pani z Poznania już jest! – oznajmiła obfita kobieta, anonsując gościa.

Mężczyzna siedzący za biurkiem nie uniósł się nawet. Skinął głową na powitanie.

– Świetnie. Pani Grażynko, niech pani przyniesie nam dwie kawy. Napije się pani kawy?

– Tak, poproszę.

Dopiero gdy sekretarka zamknęła za sobą drzwi, mężczyzna przypomniał sobie o elementarnych zasadach dobrego wychowania.

– Cieszę się, że pani już jest. Żeby uprzejmości stało się zadość, pozwoli pani, że się przedstawię. Stanisław Mroziak, jestem dyrektorem ośrodka.

Anita spędziła dwie i pół godziny w samochodzie, by dotrzeć do ośrodka dla uchodźców położonego niedaleko Zgierza. Z ulgą opuściła wielkie miasto. Przez kilkadziesiąt minut mknęła autostradą, a gdy dotarła do miejsca przeznaczenia, od razu poczuła wszechogarniającą atmosferę małego miasteczka. Nie musiała nawet wysiadać z samochodu, by zauważyć, że kierowcy nigdzie się nie spieszą. Stają na drodze z własnej, nieprzymuszonej woli, by przepuścić pieszych.

– Anita Broll. – Podała mu dłoń.

– Proszę, niech pani usiądzie. Co słyhać w Poznaniu? – zagadnął.

W mniejszych miastach nadal bawiono się sztuką

konwersacji. Wymieniano się mniej lub bardziej ważnymi informacjami, rozmawiano o pogodzie tylko po to, by wypełnić czymś czas. Anita przyzwyczajona była do szybkiego tempa życia. Spotkanie. Dzień dobry. Proszę o konkrety. Dziękuję. Do widzenia. W Poznaniu każdy za czymś gonił. Dokąds się spieszył. Każdemu brakowało czasu i ochoty na kurtuazyjne rozmowy.

– Dziękuję. Jak zwykle głośno. Na ulicach korki.

– Tak, ludzie tracą czas w samochodach. Też kiedyś tak żyłem, ale przeprowadzka tu sprawiła, że zrozumiałem, że to nie moja bajka.

– Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. – Uśmiechnęła się delikatnie, by osłodzić nawiązanie do brutalnej przyczyny ich dzisiejszego spotkania.

– Dziękuję. Wiem, że jest pani zabiegana.

Do pokoju bez pukania wtargnęła sekretarka. Dyrektor zdawał się jej nie zauważać.

– Pani Anito, najpierw pozwolę sobie wprowadzić panią w sytuację, a później przejdziemy do naszej podopiecznej, dobrze?

– Oczywiście.

– Tak więc... – Dyrektor zrobił przerwę na posmakowanie zawartości filiżanki, która pojawiła się na jego biurku. – Ta Azjatka została przywieziona do ośrodka pięć dni temu. Policja zatrzymała ją podczas nalotu w domu publicznym w Łodzi. Może być nieletnia.

– Rozumiem, a co mówi sama zainteresowana? Nie chce współpracować z policją?

– Sprawa jest dość delikatna. Dziewczyna jest mocno sponiewierana. Nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Jest wdzięczna policji za wyrwanie z burdelu. Chce pomóc, ale zdaje się, że niewiele wie. Mówi, że ma na imię Neo. Wygląda... – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Sama pani wie, że trudno rozpoznać wiek takiej dziewczyny. Może mieć szesnaście lat, może i dziewiętnaście. Najgorsze jest to, że utrzymuje, i wydaje mi się, że mówi prawdę, że sama nie wie, ile ma lat. Pamięta

tylko, że została sprzedana do burdelu jako mała dziewczynka.

– Rozumiem. Czyli nie mamy punktu wyjścia?

– Niestety. Przechodziła przez ręce kilku właścicieli. W branży tkwi od kilku lat.

Anita podeszła do zadania jak zwykle profesjonalnie. Wyłączyła emocje. Co z tego, że była matką i kobietą? Musiała ustalić wiek Azjatki, którą zaczęto wykorzystywać seksualnie, gdy była mała. Wpadanie w rozpacz i rwanie włosów z głowy na znak protestu nie pomogłoby nikomu, natomiast orzeczenie antropolożki w kwestii pełnoletności dziewczyny było kluczowe dla skazania stręczycieli.

– Dobrze, zrobię, co w mojej mocy.

– Świetnie. Powiem szczerze, że trafiają do nas różni cudzoziemcy. Ale ta dziewczyna, Neo, jest okrutnie smutna. Zarówno pani, jak i ja wiemy dużo o handlu kobietami. Jesteśmy, że tak powiem, obyci z tematem.

Kiwnęła głową.

– Ale zawsze gdy słyszę nową historię, jestem bezsilny. – Dyrektor rozłożył ręce. – Wiadomo, że Azjatki i Afrykanki są łakomymi kąskami, zwłaszcza w burdelach w całej Europie, a to sprawia, że uzyskują dobrą cenę. Ale żeby matki sprzedawały dzieci, to się nie mieści w głowie, prawda?

– Można jedynie cieszyć się, że czasem uda się je wyrwać ze szponów mafii i odesłać do domów.

– Kiepskie pocieszenie. Większość z nich nie ma gdzie wracać. Wie pani, że ostatnio mieliśmy tu dziewczynę z Nigerii? Musiała przejść przez Saharę, żeby przylecieć do Europy. We Włoszech miała opiekować się dzieckiem. Jej rodzina była dumna, że córka wyjedzie za granicę, że zarobi pieniądze. Na miejscu oczywiście okazało się, że nie ma dziecka... za to są klienci. Nigeryjka protestowała, nawet chciała iść na policję. I co zrobiła kobieta, która sponsorowała jej przylot do Włoch? Odprawiła wudu. Zabiła kurczaka, wyciągnęła wnętrzności, zmieszała z krwią dziewczyny i whisky, a potem kazała jej to zjeść. Nigeryjka

wszystko popiła wodą. Taką, co ma stać w organizmie przez sześć lat. Tak jej wmówiono. Wiara ma ogromną siłę. Kolumbijczycy, Rosjanie czy Chińczycy muszą być blisko swoich dziwek, by te nie poszły na policję. Bułgarzy udają miłość. Stręczyciele nigeryjscy mogą być oddaleni o tysiące kilometrów, a dziewczyny i tak grzecznie dla nich pracują. Jeszcze przed wyjazdem z kraju odprawiają wudu. Wyrywają włosy łonowe wszystkich członków rodziny, zakopują to z laleczką. To pakt na całe życie. Dla tych, które zaczynają wątpić, powtarzają wudu tu, na miejscu. Znowu krew, węże i inne przerażające symbole. Widziała pani kiedyś przerażenie w oczach opowiadających o tym dziewczyn?

– Cóż mogę powiedzieć – zawahała się. Zawodowo przekopywała się przez pornografię i najgorsze brudy świata. – Szamani to ludzie, którzy opanowali sztukę manipulacji. Im prostszy człowiek, tym łatwiej jest nim sterować. Poza tym bądźmy szczerzy. W handlu ludźmi nie ma słabych ogniwi. Pośrednik, szaman, stręczyciel.

– Tak, ma pani rację. Nawet jeśli się pojawiają, to szybko tracą życie.

* * *

Dochodziła dziewiętnasta, gdy Młody skręcił w Lechicką. Na prośbę Burzyńskiego miał sprawdzić, czy bezdomni nie wrócili na teren fortów. Do tej pory policjantom udało się przepytac tylko dwóch z nich, reszta zniknęła zaraz po pojawieniu się policji. A stróże prawa wiedzieli, że grupa koczujących tam ludzi liczy około dziesięciu osób.

Słońce powoli zmierzało ku linii horyzontu. Nadal było ciepło. Giuletta informowała o temperaturze: dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza na zewnątrz i dwadzieścia dwa wewnątrz. Michał dopił colę, a butelkę rzucił na tylne siedzenie. Myślami był już w zupełnie innym miejscu. Przeglądał listę znajomych rodzaju męskiego, z którymi mógłby wyskoczyć na wieczorną

tułaczkę po klubach. Miał ochotę na parę piw, głośną muzykę i tańczący tłum. Łaknął wyzwania. Chciał postać przy barze, wyłować wzrokiem najciekawszą przedstawicielkę płci przeciwnej i zaciągnąć ją do swojej jaskini, by pozbyć się napięcia bez zbędnych rozmów.

Majewski zaparkował samochód zaraz za zdezelowaną skodą. Nie zdążył otworzyć drzwi, gdy zauważył ludzi wracających z fortu. Ta czwórka nie wyglądała na bezdomnych. Dyskutowali o czymś, żywo gestykulując. Minął ich i skierował się w stronę pozostałości po budynku. Był w połowie drogi, gdy minęli go dwaj rowerzyści.

– Kuźwa, o co chodzi?

Zaintrygowany dotarł na miejsce zdarzenia i zatelefonował do Burzyńskiego.

– Sorry, że o tej godzinie, ale wiesz, to sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Co jest? – Burzyński ściszył telewizor, żeby dobrze słyszeć partnera, ale nadal śledził skrót wiadomości dnia.

– Jestem na terenie fortu.

– I co? Widzisz bezdomnych?

– Bezdomnych nie, ale...

– Czyli nadal nie wrócili?

– Burza, kuźwa, tu jest pełno ludzi. Ze dwadzieścia osób. Kręcą się wokół miejsca zdarzenia, jakby czegoś szukali.

– Kurwa!!! – Soczyste przekleństwo Przemysława obilo się o ściany domu rodzinnego. Na szczęście był sam. Iza zmieniała pościel w pokoju dziewczynek. – Geocachingowcy. Ale skąd? Nie ruszaj się, zaraz do ciebie oddzwonię!

Burzyński z twarzą niczym chmura gradowa przeniósł się do przedpokoju. Stanowisko komputerowe było zajęte. Basia zarządzała wirtualnym miastem. Hodowała zboże, dostarczała do domów jedzenie.

– Wpuść mnie – zażądał oficjalnym tonem.

– Ale tato! – próbowała protestować. – Mam misję, nie mogę

przerwać.

– Wpuść mnie – powtórzył i złapał krzesło, na którym siedziała.

– Ale przecież mogę grać do wpół do ósmej.

– Baśka, złaż w tej chwili! – Jego krzyk miał zastąpić tłumaczenia. – Idź pomóc matce.

Dziewczynka, widząc, że nie jest w stanie utrzymać się na pozycji, skapitulowała. Przemysław dopadł klawiatury i wpisał adres witryny geocachingowej.

Na stronie głównej w oczy rzucała się informacja o nowo założonej skrzynce.

„Poznań, Fort V. Miejsce pachnące historią i wypełnione trupami.

Najświeższego zabójstwa dokonano kilka dni temu. Uważajcie na policję. Czytaj więcej...”

– Do kurwy nędzy! – Nie miał ochoty klikać odnośnika „Czytaj więcej”. Chciał zamordować Majora.

– Przemek! – Iza stanęła w drzwiach pokoju. Mina żony miała postawić go do pionu.

W tej chwili jej nienawdził. Stała ubrana w rozciągnięty dres i trzymała w ręku poduszkę. Zerkąła na niego karcąco, jakby miał dziewięć lat i podobnie jak jego córki potrzebował codziennej dawki kindersztuby.

– Halo? – Wybrał numer Młodego. – Słuchaj, ten... – Powstrzymał się od wypowiedzenia niecenzuralnego określenia, które cisnęło mu się na usta, tylko dlatego, że Iza nadal stała w drzwiach. – Ten facet, Major, wrzucił informacje o skrzynce do internetu.

– Kuźwa, co za debil! Zero wyobraźni...

– O nie, wyobraźni odmówić mu nie można. Marketingowo wykorzystał fakt pojawienia się zwłok. Normalnie jakby działał z premedytacją. Mówiłem mu, że ma się powstrzymać. Musimy z nim pogadać.

– Dobra, kiedy?

Izabela była żoną policjanta od jedenastu lat. Dobrze wiedziała, co się święci. Stała w drzwiach i bez słowa obserwowała męża. Świeciły mu się oczy. Próbował ukryć ekscytację. Oto po raz kolejny w wolny i rodzinny wieczór musiała konkurować z niezwykle pilną, niecierpiącą zwłoki sprawą zawodową. Taką, o której oczywiście nie może opowiadać. Jej.

– Yyy... – Przemysław co prawda rozmawiał z Młodym, ale jednocześnie prowadził bezgłośny pojedynek z żoną. Kalkulował swoje szanse. Mógł wyjść teraz i rzucić wymówkę w stylu: „Praca nie poczeka, to wyjątkowa sprawa, zaraz wrócę”. Nie potrafił jednak ustalić, czy słuchająca takiego usprawiedliwienia kobieta jego życia będzie w ogóle zainteresowana jego powrotem. – Dobra, niech to poczeka do rana. Widzimy się o siódmej w mieszkaniu Majora.

* * *

W uchu dziennikarki rozbrzmiewał zdenerwowany głos realizatora programu:

– Konkrety, w tej chwili konkrety!

Wypełniła płuca nową porcją powietrza i przygotowała się do ataku. Patrząc w oczy rozmówcy, zażądała:

– Opowiedz teraz o Katarzynie Szafran.

Zanim weszli na wizję, zastanawiała się, jak zareaguje na to nazwisko.

– O kim?

Mężczyzna nie wykazał najmniejszego zainteresowania. Zupełnie jakby chwyciła książkę telefoniczną, otworzyła na pierwszej lepszej stronie i przeczytała byle jakie nazwisko. Wydawało się, że nic mu nie mówi.

– O dziewczynie, która pracowała w jednym z twoich dziesięciu mieszkań. – Nie dała się zbić z tropu. Solidnie przyłożyła się do researchu przed wywiadem. – O tej, od której wszystko się zaczęło...

Wiedziała, że udawał obojętność. Dobry był, musiała to przyznać. Bawił się z nią w kotka i myszkę. Badał granice jej wytrzymałości. Chciał ją sprowokować. Pokazać milionom widzów, że on – bezbronny gość – został zaatakowany przez stroniczą dziennikarkę. Ta myśl sprawiała, że powstrzymywała się od okazywania emocji i wypowiedania na głos przymiotników, które cisnęły się jej na usta.

– Mogłabyś jeszcze raz powtórzyć nazwisko?

– Katarzyna Szafran. – Obserwowała Burdel Kinga i starała się zachowywać jak on. Zero emocji. Pełna obojętność.

– Aaa, pytasz o Andżelę?

– Dokładnie! – Ucieszyło ją, że rozmówca odzyskał pamięć.

– Nie używała nazwiska, dlatego niewiele mi ono mówi. – Odwrócił kota ogonem. – Andżela była dobra w tym fachu. Bardzo dobra. Mimo że bliżej jej było do trzydziestki, wyglądała nadal na szesnastolatkę. Była taka drobna. Klienci ją uwielbiali.

Burdel King długo odrzucał propozycję wywiadu telewizyjnego na żywo. Wymyślał warunki, które początkowo wydawały się nie do spełnienia. Jednak po rozmowie w cztery oczy z dyrektorem stacji zgodził się udzielić odpowiedzi na pytania pod warunkiem zachowania pełnej anonimowości.

Dziennikarka żałowała, że widzowie nie mogli obserwować jego twarzy. W tej chwili była rozpromieniona. Obojętne oczy zaświeciły.

– Dość często zdarzają się klienci, którzy lubią takie lolitki jak Andżela. Była raczej drobna i niewysoka. Wiesz, to jak auto z przekreślonym licznikiem. Niby wiadomo, że coś jest nie tak, ale liczby mówią: jestem nówka nieśmigana. Chcesz w to wierzyć. Do Andżeli ustawiały się kolejki. Każdy mógł sobie pomarzyć, że robi to z dziewczynką. Oni zaspokajali żądze, a ja spałem spokojnie, bo miałem zadowolonych klientów bez zatrudniania niepełnoletnich. Andżela była produktywna, nie powiem.

– Produktywna?

– Nie marnowała czasu. Była zdeterminowana. Przez dwa lata

zapierdalała jak torpeda. Widziałem przed nią świetlaną przyszłość... ale potem trochę przygasła.

– Dlaczego?

– Jeden klient ją pobił. – Entuzjazm mężczyzny zniknął, wróciła obojętność. – Ale cóż, kurwa, takie ryzyko zawodowe. Właściwie nic jej się nie stało. Siniaki szybko zniknęły, coś się zszyło, coś zrosło. Tylko że jej odbiło. Zaczęła być ostrożna, niechętnie przyjmowała nowych klientów. Zaczęła wydziwiać, kurwa, unikać nawet stałych klientów. Przeprowadziłem z nią dwie rozmowy wychowawcze, ale to nic nie dało. Wybacz... – Rozłożył ręce. – Ja nie prowadzę ochronki dla dziewczyn skrzywdzonych przez życie, tylko burdel. Klienci zaczęli się skarżyć. Grozili, że pójda do konkurencji. Dla mnie liczyła się kasa. Andżela przestała dbać o siebie, zawiodła mnie. Wierzyłem w nią, a ona, kurwa, spierdoliła sprawę. Stoczyła się jak zwykła kurwa.

– Bo była zwykłą kurwą...

Dziennikarka zauważyła, że obojętność ustępuje pola wrogości. Na czole rozmówcy pojawiła się lwia zmarszczka. Musiała zadziałać szybko, rzucić trochę mięsa pachnącego świeżą krwią, by siedząca przed nią bestia straciła panowanie nad sobą. Oczekiwała reakcji, którą zobaczą wszyscy. Działania, które uchwyci kamera ustawiona za plecami rozmówcy.

– Była, a ja czasem traktowałem ją jak człowieka. – Opanował się i wzruszył ramionami. – Widzisz, jaki jestem dobry, traktuję je jak ludzi. Rozmawiam, tłumaczę, motywuję. Pomagam, gdy mają problemy.

– Ją też motywowałeś.

– Też, ale... nieważne. Głupia była, coraz bardziej działała mi na nerwy.

– Więc się jej pozbyłeś...

Akt 9

Policjanci stanęli przed niskim blokiem z lat dziewięćdziesiątych. Osiedle Władysława Jagiełły świeciło pustkami. Z otwartego okna na trzecim piętrze dochodziła głośna muzyka. Drażniła uszy Burzyńskiego, dlatego założył, że słuchaczem musi być jakiś młodziak, którego rodzice wyszli do pracy. Sam kiedyś czekał, aż wszyscy wyjdą, i puszczał na cały regulator ulubiony Marillion.

– Kuźwa, gdyby nie to, że ten pieprzony Major ma mocne alibi, mógłbym się założyć, że to on zamordował Ciemałę. Ale przecież tej nocy bawił się w klubie, widziało go z dziesięć osób, nie tylko znajomych.

– Młody, dajesz się ponieść emocjom.

– Jak mam się nie dać? Nosi mnie przecież. Ja pierdołę, facet zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co zrobił.

Michał nie mógł otrząsnąć się po krótkiej rozmowie, którą przeprowadzili właśnie w miejscu zamieszkania Remigiusza Lisieckiego. Wprost nie mógł ustać w miejscu. Przeszł pową z nogi na nogę, więc Burzyński ruszył w kierunku zaparkowanego samochodu.

– Myślę, że on sobie zdaje sprawę, ale patrzy na wszystko bardzo jednostronnie. Jest sfokusowany na sobie. Dba o swój interes i swoje akcje. Reszta go nie interesuje.

Burzyński nakreślił psychologiczny portret Majora już podczas pierwszego przesłuchania. Dzisiejsze spotkanie potwierdziło jego ocenę. Chłopak był typowym krnąbrnym lekkoduchem. Mimo swoich dwudziestu siedmiu lat nie plamił

rąk pracą. Żył z pieniędzy rodziców. Całe dni spędzał przed komputerem, a wieczorami wychodził na miasto i kipiał testosteronem. Gardził rozwiązaniami systemowymi, każdym rodzajem pracy i policjantami. Znajomi Majora określali go jako duszę towarzystwa o cechach mocno dominujących.

Policjanci zaskoczyli go dziś rano. Zadzwonili do drzwi jego mieszkania o godzinie siódmej. Otworzył im nieprzytomny, w bokserkach z Batmanem. Po jego twarzy widać było, że wyrwali go z głębokiego snu. Bez uprzedzenia weszli do środka i działając z zaskoczenia, osaczyli go pytaniami.

– Major to świr – podsumował Burzyński. – Komputer stał przy łóżku tak, by można go było włączać bez wychodzenia z wyra. Myszkę miał na materacu, a ekran skierowany tak, by widzieć wszystko na leżąco. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale po włączeniu systemu otworzyła mu się strona z geocachingiem. On żyje w swoim świecie: skrytek, współrzędnych i ocen. Ściga się sam ze sobą, chce być królem geocachingu. Oddycha i myśli tylko po to, by istnieć w wirtualu. Sprawdziłem wczoraj jego profil na Facebooku. Ludzie chwalą się wakacjami, ciuchami, fryzurami, samochodami. Major wrzuca zdjęcia skrzynek, opisy ich lokalizacji oraz opinie o skrzynkach. Cieszy się z każdej pozytywnej oceny swojego kesza. Ostro walczy z najmniejszymi objawami krytyki.

– Oczy mu się świeciły, jak mówił o skrzynce tygodnia, jakby to było wyróżnienie równe, nie wiem, Oscarom?

Majewskiemu nie mieściło się w głowie, że dorosły mężczyzna zachowuje się jak dziecko. Lisiecki miał klapki na oczach i nie bardzo wiedział, co zarzucają mu policjanci.

– Wykombinował sobie, że obróci tę zbrodnię na swoją korzyść. W końcu pewnie tylko raz w życiu zdarzyło mu się zainstalować kesza na miejscu przestępstwa. Rzucił się na to jak sęp. Nawet się z tym nie krył.

– Tak, to jego szansa na popularność, ale nie pomyślał, że twoje „nie” jest uzasadnione, że zwabieni tam ludzie zadepczą

ślady i przeszkodzą w pracy policji.

– Młody, co go interesuje jakaś policja? To zwykła hiena cmentarna... hodowana od lat. Rzekłbym, wypasiona.

Lata pracy w zawodzie uświadomiły podkomisarzowi, że hiena jest w każdym człowieku. W Kowalskim, Nowaku, Majorze... nawet w Młodym i w samym Burzyńskim, policjancie z doświadczeniem.

Gdy cokolwiek zdarzy się na ulicy, gapie zjawiają się jak sępy. Przybywa ich w zastraszającym tempie. Co się stało? Wypadek? Kierowca żyje? Pytają jeden drugiego, stają na palcach, by widzieć lepiej. Ale nawet nie krążą nad miejscem zdarzenia. Nie pchają się do pierwszego rzędu. Nie biegną pomóc. Nie udają też, że się nie interesują. Stają po prostu, gdzie popadnie, i nawet nie zastanowią się nad tym, czy przypadkiem nie blokują wjazdu karetce. Odbierają rannym tlen. Stoją i się gapią.

– Poczekaj, muszę się napić. – Młody stanął przed mikroskopijnych rozmiarów sklepem spożywczym. – Kupię colę. Chcesz też?

– Nie, dzięki. To kup, co musisz, a ja już jadę do firmy. Lisiecki to świr, ale niestety możemy wykreślić go z listy podejrzanych.

– *See you soon!* – Majewski machnął ręką i zniknął w sklepie.

Burzyński wsiadł do samochodu i trzasnął głośno drzwiami. Chciał pozbyć się natrętnej myśli, że współczesny świat zmierza ku zagładzie. W środku wakacji na osiedlu zamieszkiwanym przez setki rodzin place zabaw świeciły pustkami. Dzieci i młodzież dusili się w swoim sosie przed ekranami komputerów, zanurzeni w wirtualnej rzeczywistości.

* * *

Gdyby rzeczywistość nie mijała się z oczekiwaniami Majewskiego, każda minuta spędzona przez niego w pracy mogłaby zostać przeniesiona na plan serialu policyjnego w skali 1:1. Mógłby w tej chwili poprawiać grzywkę, seksownie zerkać w stronę kamery i uwodzić tysiące kobiet przed telewizorami.

Kobiet, które z zapartym tchem śledziłyby każdy ruch. Jednak jego praca składała się przede wszystkim z nudnych czynności, których nikt nie chciałby oglądać. Majewski nie miał ochoty nawet ich wykonywać.

– Gorąco dziś! – próbował zagadnąć partnera.

Burzyński siedział jednak przy swoim biurku skoncentrowany. Uzupełniał raporty, przekładał dokumenty, notował, popijał herbatę i nawet nie unosił głowy. Jakby zawiesił się w innym świecie, złożonym jedynie z obowiązków. W takim, w którym nie ma się do czego spieszyć. Chyba że do kolejnych obowiązków.

Michał wręcz przeciwnie, kręcił się na krześle. Najchętniej wyrzuciłby biurko przez okno, z całą zawartością, albo spaliłby je na stosie, tak jak kiedyś kobiety paliły staniki. Mierzyły go praca biurowa, systematyczność i policyjne statystyki.

Mężczyźni siedzieli po przeciwnych stronach pokoju. Wspólną przestrzeń podzielili na dwie części. Swoiste *yin* i *yang*. Skupiony Burzyński był księżycem. Uosabiał spokój, dystans i pewnego rodzaju bierność. Rozbiegany Majewski był jak słońce, chciał przemieszczać się i błyszczeć. Kipiał energią. Rozsadzało go od środka, postanowił więc posurfować.

Zatrzymał kręcące się krzesło i zaczął wpisywać w wyszukiwarce internetowej hasła związane z prostytutką. Liczba stron pasujących do zadanych kryteriów nie przeraziła go. Szukał coraz głębiej, wymyślał nowe, bardziej precyzyjne hasła. Nie interesowały go kluby nocne, tancerki go-go, agencje matrymonialne, portale, na których można wirtualnie uprawiać seks.

Metodą luźnych skojarzeń trafił na portal przeznaczony dla kierowców. Dzięki temu serwisowi kierowcy podróżujący po Polsce mogli na bieżąco wymieniać się informacjami na temat przydrożnych dziwek. Bywalcy forum używali różnych nazw na określenie interesującej ich profesji, jedni nazywali dziewczyny tirówkami, inni jagodziankami, ale wszyscy z zadziwiającą

ochotą przykładali się do uaktualniania bazy danych. Na stronie widniała mapa Polski z podziałem na województwa. W każdym województwie zaznaczone były miejsca, w których można skorzystać z przydrożnego seksu, był podany koszt takiej przyjemności i ocena jakości usług.

Majewski z ciekawości kliknął Wielkopolskę. Mapa była wypełniona czerwonymi balonami wskazującymi określone miejsca. Rzucił na nie okiem i poszperał na forum. Miał nadzieję znaleźć opinie o swojej informatorce. Chwilę później, bogatszy o wiedzę na temat umiejętności dziewczyny i miękkości jej biustu, przypomniał sobie, że podczas ostatniej rozmowy z kumplami słyszał o wielu dziewczynach w seksbiznesie działających na własną rękę. Ciekawy był, co oznacza „wiele”. To, co zobaczył, przeraziło go.

– Kuźwa! – nie wytrzymał i odezwał się po raz kolejny. Nudziły go cisza i skupienie partnera. – Wiedziałem, że rynek usług seksualnych jest ogromny, ale żeby aż tyle kobiet zarabiało w taki sposób na boku, bez nadzoru, bez opieki, bez wyobraźni?

– Masz na myśli dziwki niezrzeszone?

– No. Gdybym chciał się na jakąś zdecydować, nie wiem, którą miałbym wybrać. Kuźwa, a ile z nich nie ogłasza się w necie, tylko działa na zasadzie polecenia... znajomy znajomemu.

Młody mówił do siebie, a Burzyński wrócił myślami do dokumentów. Przeglądał właśnie akta sprawy Ciemały: „Z opinii psychologa więziennego wynika, że Józef Ciemała ma problemy z osiągnięciem satysfakcji ze stosunku. Potrzebuje dodatkowych bodźców. Jeśli znajdzie partnerkę otwartą seksualnie i będzie mógł realizować swoje fantazje, to nie powinien stanowić zagrożenia po wyjściu na wolność. Występująca u niego agresja jest efektem ubocznym narastającej frustracji seksualnej”.

– Faktycznie – odezwał się w końcu. – Jest w czym wybierać. Słuchaj, ustaliliśmy, że zamordowany z fortu po opuszczeniu więzienia nie miał zatargów z prawem. Nie utrzymywał też kontaktów ze współosadzonymi. Nie pielęgnował więziennych

przyjaźni, nie należał do żadnej grupy przestępczej.

– Tak.

– Ustaliliśmy, że regularnie korzystał z dziwki. Wiemy, że chodził do Burdel Kinga. Musimy z nim pogadać.

– Z nim i z panną, która obsługiwała naszego Józka. – Michał zatarł ręce.

Czuł, że nadchodzi czas działania. Coś, co wyrwie go z biurowego marazmu.

– Młody, ile razy mam powtarzać. Ofiara jest ofiarą!

– Tak jest, panie podkomisarzu. – Mężczyzna po raz setny przyjął na klatę tę samą uwagę. Nie zawsze rozumiał potrzebę zachowania dystansu, którą chciał mu wpoić starszy partner. – Tylko co zrobić, żeby zechciał z nami gadać? Gerard Beck wspominał, że Burdel King jest prawnikiem. Jeśli pójdziemy tam tak po prostu, zbędzie nas prawniczym bełkotem... Spalimy to przesłuchanie.

– Spokojnie, nie zaprzataj sobie głowy takimi głupstwami. Ja to załatwię. Musimy wziąć w obroty dziwkę, którą znał zamordowany. Ona powinna sypnąć informacjami. Może rozjaśni nam obraz.

Wzajemne oddziaływanie *yin* i *yang* zawsze przynosiło zmiany i było źródłem nowych odkryć. Synergia duetu Burzy i Młodego przejawiała się w szybkim znajdowaniu dowodów i wykrywaniu sprawców. Żaden z tych policjantów w pojedynkę nie byłby tak skuteczny.

– Czego nie powie ci syn ani żona, powie ci dziwka... – Młody odszedł od biurka i zaczął krążyć jak lew po niewielkich rozmiarów klatce.

– Żona jest czysta, ma alibi. Babski wieczór pod nieobecność męża. Czterech świadków. Syn podobnie, imprezował z dziewczyną. Facet na pewno nie zginął z rąk najbliższych.

Krąg podejrzanych o zabicie Józefa Ciemały zmniejszał się z godziny na godzinę. Policjanci krok po kroku eliminowali kolejne osoby. Poszukiwali motywu, sprawdzali alibi i wykreślali

potencjalnych morderców z listy.

– Wiem! – Młody krzyknął z taką ekspresją, jakby właśnie odkrył prawo Archimedes. Na szczęście nie wybiegł z biura. – Sprawdziłbym jeszcze tę jego ofiarę sprzed lat. Może babeczka zgwałcona przed laty odezwała się do niego, zaproponowała spotkanie. Pojechał napalony...

– Ty to masz wyobraźnię. – Podkomisarz wyglądał na rozbawionego. Spoglądał na partnera tak jak na córeczki, gdy opowiadały mu o wilkołaku czającym się w ich pokoju za różowym regałem. – Miałby pojechać do kobiety, która go oskarżyła? Przez którą siedział dwa lata w kiciu? To nieprawdopodobne.

– No co, chciał ją zaliczyć... kręciła go. Może wtedy nie skończył. Chciał to zrobić teraz.

– I co? Okazała się mściwą suką? Pielęgnowana latami uraza urosła do olbrzymich rozmiarów? Przez ostatnie kilkanaście lat trenowała boks i żyła chęcią zemsty!? Zwabiła go do siebie i zabiła? Młody, takie historie to tylko scenarzyści wymyślają. Dziewczyna, która w młodości została zgwałcona, o której gadała cała wieś... przeżyła ogromne upokorzenie. Takie zdarzenia zostają w psychice na całe życie, mimo że człowiek chce o nich zapomnieć. Nie, na pewno nie szukała z nim kontaktu.

– Dobra, a jeśli nie ona szukała kontaktu, tylko on? Wiesz, zemsta jest popularnym motywem. Facet powiedział żonie, że wyjeżdża na szkolenie, którego nie było. Może ta historyjka powstała dlatego, że Ciemała chciał usprawiedliwić swoją nieobecność w domu. Szykował się do zemsty. Wiedział, że nie wróci na noc.

– To brzmi odrobinę bardziej prawdopodobnie, ale... sam nie wiem. Ktoś wspominał, że denat spodziewał się przyływu gotówki. Masz rację, trzeba z nią pogadać. Wykluczyć babkę lub wpisać na listę podejrzanych. Jestem w stanie uwierzyć w to, że denat odnalazł swoją starą ofiarę, zobaczył, że wie dzie jej się nieźle, i postanowił wycisnąć z niej parę groszy.

– Znalazł i zaczął szantażować, że rozpowie o gwałcie sprzed lat. – Młody dał ponieść się silnemu nurtowi wyobraźni. Do sytuacji podchodził intuicyjnie, plastycznie wyobrażał sobie przebieg wypadków. – Zażądał kasy, ona nie miała wyjścia... zgodziła się.

Sytuacja wydawała się Burzyńskiemu hipotetycznie możliwa, aczkolwiek zbyt skomplikowana. Uznał jednak, że w tej chwili śledztwo stoi w miejscu i należy je ruszyć, nawet jeśli ruch miałyby zawdzięczać odrobinę zbyt wybujałej wyobraźni partnera.

– Taaa, ona się zgodziła, on pojechał odebrać kasę i wydarzyło się coś... Tu mamy lukę. Może ona poprosiła o pomoc, może miała ochronę, która zrobiła porządek z szantażystą. Dobra, Młody, jeśli ta babeczka mieszka poza Poznaniem, to jest duża szansa, że idziemy w dobrą stronę. Jeśli mieszka w Poznaniu, chyba możemy ją wykluczyć. Tu na miejscu denat obskoczyłby babeczkę, dziwkę i wróciłby na kolację do żonki.

* * *

– Dzwoniłam, znowu nie odbierałeś.

Słowa, które padły podczas rodzinnej kolacji, Przemysław puścił mimo uszu. Wpakował do ust ogromną porcję sałatki ziemniaczanej.

– Pyszna – dodał, łapiąc wypadający z ust zielony groszek.

Nie zrozumiał, że żona czeka na jego odpowiedź. Czuł narastające zmęczenie.

– Mamo, ja nie chcę tego jeść – bardziej rezolutna bliźniaczka głośno protestowała.

– Dlaczego?

– Bo nie lubię groszku.

– Dobra, to nie jedz. – Iza machnęła ręką. Zapomniała podać groszek w osobnej misce, tak by każdy mógł wymieszać go z sałatką dopiero na swoim talerzu. Uczyniłoby to z sałatki potrawę atrakcyjniejszą dla dziewczynek, które od miesiąca

wspólnie protestowały przeciwko jedzeniu zielonych produktów.

Basia odsunęła talerz i posłała triumfalny uśmiech siostrze. Kasia przez chwilę zastanawiała się, co zrobić, aż w końcu odsunęła od siebie talerz z rozdziubdzianą sałatką.

– Kasiu, a ty czemu nie jesz?

– Mamo, ja też nie lubię groszku.

– Wiem, kochanie. – Iza panowała nad emocjami. – Ale dobrze sobie radziłaś z wybieraniem go i odkładaniem na bok.

– No właśnie, jedz! – podpuszczała siostrę Basia.

– Nie będę.

– Mama ci kazała!

– Cicho bądź, głupia małpo!

– Mamo!

– Dziewczynki!

Iza próbowała łagodzić zachowanie córek, jednocześnie obserwując nieobecnego męża. Kolejne porcje sałatki znikwały w jego ustach. Zagryzał je skibką chleba posmarowaną masłem. Nie reagował na awanturę.

– Nie będę jadła. Baśce pozwoliłaś nie jeść, ja też nie będę.

Młodsza bliźniaczka nie była tak przebojowa jak siostra, ale nie można było jej odmówić determinacji. Nie zamierzała przegrać w konkurencji „kto może więcej, ja czy siostra”.

– Pewnie, nie jedzcie. Ja przygotowałam kolację, a wam się nie podoba. Jak wy będziecie przygotowywały posiłki, to my z tatą też będziemy marudzić, prawda, Przemek?

– Mhm – mruknął, siłą wciągnięty w rodzinną rozmowę.

Człowiek samotny zupełnie inaczej wyobraża sobie posiadanie rodziny. Widzi wspólne kolacje, delektowanie się jedzeniem oraz własnym towarzystwem. Grzeczne dzieci. Kochającą i wyrozumiałą żonę, siedzącą przy mężu zainteresowanym wspólnym stadem.

Burzyński uniósł się w myślach ponad stół i spojrzał na siebie z góry. Jego szczęśliwa rodzinka prezentowała się zupełnie inaczej. Bliźniaczki grymasiły, w żonie kipiały pretensje, a on nie

miał ani siły, ani ochoty na bliższe interakcje. Z chęcią zamieniłby się z wyposzczonym samotnikiem przynajmniej na kilka dni. Niech jakiś singiel podusi się w domowych pieleszach, a on, Burza Burzyński, pobędzie w spokoju sam ze sobą.

– Miałam dzisiaj ciężki dzień w pracy.

Gdy zmienił perspektywę, zauważył, że dziewczynki odeszły od stołu, a Iza opowiada o czymś, gestykulując żywo.

– Pamiętasz Patrycję? Opowiadałam o niej. Przyszła do nas jakieś dwa tygodnie temu. Ty wiesz, że ona sypia z ordynatorem? To on ją polecał na to stanowisko. I wiesz, że ona tego nie ukrywa? Weszła w dyskusję z Ewką, która ma o wiele większe doświadczenie, i groziła jej, że poskarży się ordynatorowi...

Przemysław czuł, że każdy miesiąc z osobna i wszystkie razem wrzeszczą i domagają się odpoczynku. Marzył o tym, by położyć się do łóżka i wyłączyć świadomość. Oddać się marzeniom sennym, w których wszystko wydaje się dużo prostsze, niż jest w rzeczywistości. Nie miał siły dłużej siedzieć przy stole i walczyć z tym uczuciem. Nie chciał słuchać opowieści żony. Co go obchodziły pielęgniarskie przepychanki?

„Dlaczego innych profesji nie obowiązuje tajemnica zawodowa?”. Na usta cisnęło mu się to pytanie, jednak zostawił je dla siebie. Zamiast niego rzucił zdawkowe: – Przepraszam. Padam na twarz. Położę się już.

Gdy odchodził od stołu, zdążył zarejestrować zdziwienie Izy. Nie chciał się jednak na tym skupiać. Nie teraz. Chciał zapomnieć o obrazie szczęśliwej rodziny pulsującym w jego głowie niczym zepsuty neon. Zapomnieć o pytaniach córek o rozwód. Nie myśleć o leżącej na drugiej szali samotności. Kolejnej porażce w związku. Pierwszą przeżył bez trwałych urazów. Swoje niepowodzenie tłumaczył młodym wiekiem.

– Bez wymówek. – Przykrył się kołdrą w ciemnym pokoju i uznał, że stać go na uczciwość wobec samego siebie. – Teraz byłaby to porażka na całej linii.

* * *

Gdy za Paulą zamknęły się drzwi, matka spojrzała na zegarek. Wskazówki pokazywały godzinę dwudziestą drugą zero pięć. Przez ponad godzinę dziewczyna przymierzała sukienki, nakładała na twarz kolejne warstwy makijażu, aż w końcu, gdy z dziewczęcej osiemnastolatki zmieniła się w dorosłą, karykaturalnie przerysowaną kobietę, pobiegła na imprezę. Oczywiście Anita nie została poinformowana, na jaką. Nie wiedziała też, w jakim towarzystwie obraca się córka.

– Kiedyś o dziesiątej wracało się z balangi do domu – powtarzała wielokrotnie, a w odpowiedzi słyszała, że czasy się zmieniły.

Myśl o konieczności kontrolowania latorośli pojawiała się coraz częściej. Od kilku dni poważnie zastanawiała się, czy nie powinna śledzić córki podczas wieczornych wyjść. Śledzić albo przynajmniej podrzucić jej GPS-a. Schować w jej torebce.

Oczywiście pomysł taki przyszedł jej do głowy nie dlatego, że chciała cokolwiek znaleźć. Raczej pragnęła uspokoić samą siebie. Z jej punktu widzenia zachowanie córki wyglądało dość dwuznacznie – te wszystkie nocne wyjścia i pojawiające się drogie kosmetyki – ale przecież Paula była jej małą dziewczynką... Nie mogłaby mieć sponsora. Nie uprawiałaaby seksu za pieniądze. Anita prędzej gotowa była uwierzyć w istnienie nieco starszego od córki wybranka jej serca. W mężczyznę, który rozpieszczał dziewczynę i wydawał na nią pieniądze.

Matka nie miała z kim porozmawiać na temat trapiących ją wątpliwości. Z ojcem Pauli zerwała kontakt, gdy ponownie wyszła za mąż. Córka była na tyle mała, że szybko zapomniała o jego istnieniu. Nowy mąż starał się być dobrym ojcem. Rozczulało to Anitę do tego stopnia, że zakazała kontaktów z córką mężczyźnie, który ją spłodził. Nie chciała komplikować życia. Sobie. Swojemu mężowi. I córce. Rozwiodła się z drugim mężem, gdy Paula miała jedenaście lat. I stanowczo stwierdziła, że nie nadaje się do małżeństwa. Miała za sobą dwa nieudane

związki i nie zamierzała angażować się po raz trzeci. Od lat sama wychowywała córkę i opierała się wyłącznie na swoich przeczuciach i wyborach.

– Halo? – Odebrała telefon po pierwszym dzwonku, jakby zapomniała, że jest w mieszkaniu sama. Nie musiała obawiać się, że hałas zburzy ciszę nocną.

– Zacznę od tego – usłyszała spokojny głos Majewskiego – że wiem, że miałem nie nadużywać tego numeru, zwłaszcza o takiej porze. Z góry bardzo za to przepraszam. Może mnie pani zbesztać jak psa. Ale pewna rzecz nie daje mi spokoju.

Zasady dobrego wychowania stanowią, że po dwudziestej drugiej nie należy telefonować do ludzi, szczególnie obcych czy znanych tylko z pracy. Najwyraźniej Michał Majewski albo nie odebrał lekcji dobrego wychowania, albo myślał, że wszystko mu wolno. Anita uznała, że nigdy nie jest zbyt późno na pstryczek w nos, zwłaszcza że poczuła się zaatakowana. Młody mężczyzna o uwodzącym spojrzeniu naruszał jej prywatność. Nie spotkała nigdy wcześniej nikogo, kto miałby czelność tak z nią postępować. Przebijać się kilofami przez lodowy mur. I to z taką wytrwałością!

– Godzina jest późna. Zbyt późna na jakiegokolwiek rozmowy! – Podeszła do lustra i zauważyła na twarzy grymas nauczycielski. Właśnie udzielała reprimendy młodemu funkcjonariuszowi policji i dobrze się z tym czuła. – Jeśli zamierzasz bawić się moim kosztem... Jeśli chcesz komuś coś udowodnić... albo mnie poderwać, to sobie daruj! – wykrzyczała, choć własna szczerść ją przeraziła. Przy każdym spotkaniu z Majewskim czuła, że chodzi mu o coś więcej niż o sprawy zawodowe. W powietrzu zawsze wisiało dziwne napięcie. – Za stara jestem na takie głupie zabawy. Tracisz czas. Swój i mój. Nie jestem zainteresowana!

Wyrzuciła z siebie emocje, które gromadziła od kilku tygodni. Nie wszystkie były związane z Michałem. Po prostu chłopak trafił na zły moment. W tej chwili miała na głowie poważniejsze problemy niż podchody damsko-męskie. Poza tym nie

zamierzała odkrywać swojej kobiecości przed mężczyzną, który był od niej znacznie młodszy. Mógł mieć dziesięć lat mniej. Przecież w najlepszym przypadku zamierzał zdobyć ją jak niedostępną twierdzę, w której miło jest spędzić jedną noc, by potem pojechać dalej, w poszukiwaniu kolejnych niezwykłych przygód. Błędny rycerzom, wiecznym chłopcom... i wszystkim mężczyznom mówiła: „Dość”.

– Pani Anito... – Głos w słuchawce zmienił się całkowicie. Wyczuła jego napięcie, a po chwili ciszy usłyszała kojące: – Przepraszam. Nie... Chyba źle mnie pani zrozumiała. Ja tylko... Czy przeszkadzam? Powinienem najpierw spytać, czy nie przeszkadzam, przepraszam, skupiłem się na sprawie i zupełnie olałem wszelkie normy społeczne.

Nie spodziewała się takiej reakcji. Myślała, że go wystraszy. On odpuści, przeprosi i wyłączy się. Jego spokój powoli udzielał się antropolożce.

– Jeśli przeszkodziłem, obiecuję, że to się nie powtórzy. Poniosło mnie, ale myślałem o tej dziewczynie NN, tej kościotrupce z lasu. Wybrałem pani numer bez zastanowienia. Wiem, że o tej godzinie jest pani już w domu. Przepraszam. Moje pytania mogą poczekać. Zadzwonię jutro rano.

– Chwileczkę – odezwała się w końcu. – To ja przepraszam. – Uznała, że chętnie zajmie myśli pracą. – Trafił pan na kiepski moment, ale już jestem skupiona. W czym mogę pomóc?

– Może jednak zadzwonię jutro?

– Nie – zaprotestowała. – Słucham, w czym mogę pomóc?

– Chciałem dopytać, skąd pani wie o tym, że szkielet należał do kobiety? Czy nie ma możliwości pomyłki? Proszę się na mnie nie złościć. Nie sugeruję braku kompetencji. Jestem zwyczajnie zafascynowany pani pracą. Bez podtekstów seksualnych.

Majewski siedział na balkonie i wyobrażał sobie, w jakiej sytuacji złapał antropolożkę. Swoje wizje popijał piwem. Każda kolejna była ciekawsza od poprzedniej. Skąd w niej takie pokłady złości? Czyżby właśnie kłóciła się z mężem?

– Panie Michale, przepraszam, wyładowałam na panu złość na kogoś innego. Przepraszam.

– Może pani to wynagrodzić, mówiąc mi po imieniu? – zaproponował. Niewiele ryzykował. Dobrze znał ludzką psychikę. Kobieta dała się podejść. Zaskoczona wykrzyczała mu swoje obawy. Podejrzenie o to, że chce ją poderwać, mile połechtало jego próżność. Oznaczało to, że nie tylko zauważyła jego starania, lecz także bała się, że to zrobi. Panikowała, bo wiedziała, że to możliwe. Uspokoił ją. Oznajmił, że nie interesuje go jako kobieta, ale jako fachowiec. Ona odpowiedziała łagodnie, co równoznaczne było z oswojeniem. Jadła mu z ręki. Musiał to wykorzystać. Oczywiście łagodnie i niepostrzeżenie.

– Postaram się. Nie ma możliwości pomyłki. Rozumiem, że według ciebie kobieta pozbawiona piersi, bioder, włosów i twarzy przestaje być osobnikiem rodzaju żeńskiego? – zakpiła i spojrzała w lustro. Rozluźniła mięśnie mimiczne, a kąciki ust bezwiednie uniosła do góry.

– No nie, ale...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Wróciła do pokoju i wygodnie rozsiadła się na fotelu. Z przyjemnością rozpoczęła opowieść dotyczącą dziedziny, która fascynowała ją niezmiennie od kilkunastu lat. Dziedziny, w której poruszała się jak ryba w wodzie.

– Gdyby była mężczyzną, miałaby wyraźniej zarysowaną zuchwę, duży wyrostek sutkowy, że o miednicy nie wspomnę. – Celowo przemilczała większy rozmiar czaszki. – Kości kobiety są subtelniejsze, a męskie przypominają kości małpy.

* * *

Skupiony na prasowaniu Majewski nie odbierał dzwoniącej komórki. Manewrował żelazkiem, uważnie rozprostowując wszelkie zagięcia. Mimo że zgodnie ze swoją filozofią żył szybko i chciał umrzeć młodo, na co dzień dużą wagę przywiązywał do kwestii stroju. „Nieważne, czy wyrzucasz śmieci, idziesz na

randkę czy do pracy – musisz wyglądać schludnie. Koszula musi być wyprasowana, a skarpetki czyste” – jak mantrę powtarzała mu matka. Wziął to sobie do serca.

Komórka zabręczczała po raz trzeci, więc spojrzął na ekran.

– Burza, no co tam?

Uruchomił tryb głośnomówiący i położył aparat na blacie oddzielającym kuchnię od pokoju. Nie zamierzał sobie przerywać.

– Mam adres tej ofiary! – oznajmił Burza, pękając z dumy.

Dzień ledwo się zaczynał, a on już siedział w pracy, nad poranną kawą. W dodatku miał nowe informacje. Oczekiwał fanfar, oznak radości, w ostateczności przynajmniej pochwały.

– Jakiej ofiary? – Młody nie kojarzył, o co chodzi.

Walczył właśnie z rękawami koszuli i czuł się jak oferma. Co przeprasował kawałek materiału i obracał go, zauważał pojawiające się kanty. Traktował je parą i taflą żelazka tak długo, aż się rozprostowały, a następnie przewracał rękaw i rozpoczynał walkę od nowa.

– Kobiety zgwałconej przez Ciemałę! Ofiario losu, nie jarzysz? Ty w ogóle obudziłeś się już? Wiem! – Głos Burzyńskiego był pełen zazdrości. – Zabalowałeś znowu, przyznaj się.

Michał nie podchwycił tematu. Wczorajszej nocy był grzeczny jak owieczka. Po rozmowie z Anitą dopił piwo, pograł chwilę (która rozciągnęła się niepostrzeżenie do dwóch godzin) w Gran Turismo i poszedł spać.

– Za chwilę wychodzę, a ty gdzie jesteś?

– W firmie.

– Dobra, to widzimy się za dwadzieścia minut.

– To czekam na ciebie i jedziemy razem do Trzciela.

– Gdzie?

– Młody, coli chyba jeszcze nie piłeś?! Otrząśnij się z otępienia umysłowego. Do zgwałconej!

– A ty co taki nabuzowany od rana jesteś? Wyluzuj.

– Czekam. – Przemysław nie chciał tracić ani minuty. –

Zaczynam odliczanie. Dziewiętnaście minut pięćdziesiąt dziewięć sekund, dziewiętnaście minut pięćdziesiąt osiem sekund...

Majewski rozłączył się i odstawił żelazko. Koszula wygląda schludnie. Narzucił ją na siebie, dopił herbatę, z lodówki wyjął butelkę coli i stanął w przedpokoju, gotowy do wyjścia.

– Żelazko! – przypomniał sobie.

Wyłączył je z prądu i odstawił na parapet. Przewód zniknął za fotelem. Michał nachylił się, by zwinąć kabel, i zauważył, że wtyczka zahaczyła o czerwone ramiączko stanika. Pociągnął za nie.

Musiał przyznać, że jego singielskie mieszkanie dalekie było od schludności. Urządził je nowocześnie, przy ogromnej pomocy rodzicielki. Dbłość o porządek wykazywał jedynie w dwóch sytuacjach. Gdy rodzice zapowiadali wizytę lub gdy wchodził do mieszkania z dziewczyną. W pierwszym przypadku sprzątał gruntownie, w drugim bałagan upychał po kątach.

Nie pamiętał czerwonego stanika. Mógłby przysiąc, że nigdy go nie widział, ani na piersiach, ani na podłodze. Musiał należeć do którejś z jego jednonocnych przygód. Żadna jednak nie upominała się o zgubę.

* * *

– Jesteś pewien, że to tu? – Majewski nie wierzył własnym oczom.

Burzyński zajrzał jeszcze raz do notesu, w którym zapisał adres, i pokiwał głową.

– Numer trzy. To tutaj.

Ta posesja znacznie różniła się od innych położonych przy tej ulicy. Na okolicznych działkach stały typowe, ubogie domki wiejskie. Na wszystkich oprócz tej jednej. Policjanci trafili przed okazały dworek z ogromnymi kolumnami, oknami ze złotymi szprosami i gankiem, na którym stały marmurowe donice z kolorowymi kwiatami.

– Czuję, że jesteśmy blisko...

– Młody, przecież to tu!

– Wiem. Chcę powiedzieć, że czuję, że jesteśmy blisko rozwiązania zagadki.

Majewski oszacował w myślach wartość domu i w mgnieniu oka potwierdził jedną z wymyślonych przez siebie hipotez. Właściwie nie potrzebował przesłuchania. Pękał z dumy na myśl o swojej intuicji i nieomylnym szóstym zmyśle.

– Spokojnie, spokojnie. – Burzyński nie byłby sobą, gdyby nie dbał o regularne sprowadzanie partnera na ziemię. – Najpierw wysłuchaj tego, co powie nam ofiara gwałtu. Potem zbierz fakty i oceń. A swoje przeczucia zostaw na razie – rozejrzał się wokoło – o, tu! – Wskazał na popielniczkę ukrytą za donicami i nie czekając na reakcję Młodego, nacisnął dzwonek.

* * *

Stanisława nie spodziewała się gości. Zwłaszcza o tak wczesnej porze. Nie miała przyjaciół. Listonosz pojawiał się dopiero koło czternastej. Ogrodnik przychodził w piątki. Zignorowała więc dzwonek i skupiła się na czyszczeniu płyty indukcyjnej.

Właściciel domu lubił, gdy wszystko lśniło czystością. Wisiała więc nad płytą i usiłowała pozbyć się brzydkiej, ciemnej plamy. Ślad pojawił się wczoraj, po smażeniu kotletów. Patelnia musiała być tłusta od spodu, tłuszcz się przypalił i na dobre przykleił do szklanej powierzchni. Próbowwała już wszystkiego, co miała pod ręką. Płynu do mycia naczyń. Spryskiwacza do mycia okien. Specyfiku przeznaczonego specjalnie do płyt indukcyjnych. Na próżno.

Brzęczenie dzwonka stało się na tyle natarczywe, że niezadowolona położyła gąbkę nasączoną środkiem czyszczącym na płomie i wytarła ręce w suchy ręcznik kuchenny. Skierowała się do drzwi, jednak zanim je otworzyła, spojrzała w wizjer. Na ganku stało dwóch mężczyzn. Jeden podnosił donice z kwiatami, czegoś pod nimi szukał. Drugi przyglądał się drzwiom.

Stanisława nie kojarzyła ich twarzy. Nie widziała ich nigdy

wcześniej. Złapała za klamkę i uchyliła drzwi na tyle, by między nimi a framugą zmieściła się para oczu.

– Panowie do kogo?

* * *

Oczy kobiety były wyblakłe, a głos przytłumiony. Jakby wymoczono ją w wybielaczu, który wypalił emocje, kolory i pozbawił energii. Przy każdym słowie jej cichy głos wędrował ku górze, co zmieniało wypowiedzi w pytania.

– Dzień dobry, podkomisarz Burzyński i posterunkowy Majewski, Komenda Wojewódzka Policji w Poznaniu – dokonał prezentacji.

– Dzień dobry? – Drzwi otworzyły się szerzej.

– Czy możemy wejść?

– A panowie do kogo?

Zniecierpliwiony Majewski omiół wzrokiem kobietę. Mogła mieć pięćdziesiąt lat, była zapuszczona, otłuszczona, a jej włosy dawno nie widziały fryzjera. Dobrego fryzjera.

– My do pani Jankowiak – odezwał się, przekonany, że drzwi otworzyła im gosposia. – Zaprowadzi nas pani?

– Coś się stało?

Zazwyczaj ludzie, do których drzwi pukają policjanci, są zdziwieni, zdenerwowani, bo mają coś do ukrycia lub boją się tego, co mogą usłyszeć. Ta kobieta działała jak robot. Zadawała właściwe pytania, jednak czyniła to całkowicie obojętnie i bezosobowo.

– Chcieliśmy porozmawiać. Czy pani Stanisława Jankowiak jest w domu?

– Ja jestem Jankowiak.

Obecność policjantów na ganku domu w Trzcielu wydawała się kobiecie równie absurdalna jak pytanie jej o to, czy jest w domu.

– Pani Stanisława Jankowiak? – dopytywał Młody.

– Tak.

- Z domu Błachowiak? – sprecyzował Burzyński.
 - Tak. – Twarz kobiety zmieniła się. Zrzuciła maskę obojętności, którą nagle zastąpiło przerażenie. – O co chodzi?
 - Czy możemy wejść? – Burzyński zrobił krok do przodu. – Musimy porozmawiać.
 - Ze mną? – Chciała się upewnić, ale odpowiedziała jej cisza.
- Mężczyźni wpatrywali się w nią natarczywie. Starszy z nich wyjął policyjną odznakę i okazał ją jak bilet wstępu.
- Proszę – ustąpiła niechętnie.

* * *

Stanisława odsunęła się od drzwi i podążyła do salonu. Co chwilę zerknęła do tyłu, by sprawdzić, czy nieproszeni goście idą za nią. Gdy dotarli do pokoju z kominkiem, wskazała im kanapę. Zrozumieli gest i zajęli miejsca. Sama usiadła na krześle.

- Piękny dom. – Burzyński westchnął z zazdrością.

Niewielki dworek nie był może domem luksusowym, ale miał niesamowity klimat. Każdy sprzęt wydawał się mieć swoją historię. Historię, która musiała dużo kosztować. Nie chciał nawet domyślać się ile.

Majewski rozglądał się zdegustowany. Nadmiar wszystkiego był przytłaczający. Krzesła o różnej stylistyce, królewskie fotele, starodawna broń na ścianach. Nie miał wątpliwości, że to wszystko kiedyś należało do kogoś innego. Czuł się niekomfortowo, jak w lumpeksie. Denerwował go zapach. Oplatał wszystkie części ciała i wnikał w świeżą koszulę.

- Dziękuję.
- Wspaniała kolekcja.
- Mój mąż uwielbiał zbierać te wszystkie rzeczy. Mrożonej herbaty?

Na myśl o przyjemnie chłodnym napoju, w którym pływają kostki lodu, obaj policjanci przytaknęli. Kobieta zniknęła w korytarzu i po chwili wróciła z tacą, na której stały trzy szklanki i dzbanek. Szkło obijało się o siebie – drżące ręce zdradzały

zdenerwowanie gospodyni. Przerazenie przejęło kontrolę nad jej ciałem.

– To może ja naleję? – Młody zerwał się z kanapy i wręcz wyrwał dzbanek z rąk Stanisławy.

Kobieta nie protestowała. Usiadła na krześle.

– Pani Stanisławo, przyjechaliśmy, żeby porozmawiać o starej sprawie.

Majewski w końcu zidentyfikował zapach, który go drażnił. Tu pachniało starością. Te wszystkie muzealne eksponaty, którymi przepełniony był dom, witały gości zapachem wilgoci zmieszanej ze środkami konserwującymi drewno i kadzidłem stojącym na kominku. Muzealnym smrodem przeszłości.

– Tego się właśnie obawiałam – przyznała cicho. Jej twarz była jeszcze bledsza niż przed chwilą.

– Wiemy, że dwadzieścia pięć lat temu spotkało panią coś przykrego.

– Nie chciałabym do tego wracać. – Spuściła wzrok.

– Rozumiem, ale niestety musimy. Została pani zgwałcona. Znała pani sprawcę?

– Jego nazwisko poznałam na procesie. Wiedzą panowie... byłam młoda i głupia. Powiedziałam matce, co się wydarzyło, ona zaprowadziła mnie na milicję. Nie jestem w stanie policzyć, ile razy tego żałowałam.

– Dobrze pani zrobiła. Przecież Józef Ciemała został skazany – przypomniał Młody. – Dzięki zeznaniom poniósł karę.

– Poniósłby karę, gdyby go zgwałcono i publicznie upokorzono, tak jak mnie. – Jankowiak wypowiadała pretensje beznamiętnie. – Oko za oko, ząb za ząb.

Burzyński posłał Młodemu ostrzegawcze spojrzenie: morda w kubek. Wiedział, że musi rozmawiać z kobietą bardzo delikatnie.

– Pani Stanisławo... – cedził słowa przez emocjonalne sitko. Chciał, by jego głos brzmiał podobnie jak głos jego rozmówczyni. Obojętnie i chłodno. Chciał sprawić wrażenie, że rozmawiają o największej traumie w jej życiu właściwie przy okazji rozmowy o

pogodzie. – Czy sprawca próbował kiedyś nawiązać z panią kontakt?

– Nie.

– A ostatnio? Nie zjawiał się?

– Nie.

– Nie przytrafiło się pani nic dziwnego? Może ktoś panią obserwował? Może dzwonił?

– Nie przypominam sobie. Dlaczego pan pyta?

– Dobrze, to ja spytam wprost i liczę na pani szczerłość. W przeciwnym razie będziemy musieli zabrać panią na przesłuchanie do Poznania. Czy Józef Ciemała szantażował panią?

– Jak szantażował? – Kobieta przeżegnała się. – Przecież wyrządził mi tyle zła... – Jej głos zaczął się załamywać. – Po co miałby jeszcze mnie szantażować?

– Nie chciał pieniędzy w zamian za milczenie o pani przeszłości? – wtrącił Młody i momentalnie ugryzł się w język. Spuścił głowę. Nie chciał widzieć karcącego spojrzenia Burzyńskiego.

– Pieniądzy? Ode mnie? – Wystraszona Jankowiak rozłożyła ręce. – Nie, to niemożliwe, przecież ja nie mam pieniędzy. – Po jej twarzy zaczęły płynąć łzy. – Czy panowie są tu dlatego, że Ciemała mnie znalazł? Wie, gdzie mieszkam?

– Proszę się uspokoić. Z jego strony nic już pani nie grozi.

Burzyński zwykle nie odpowiadał na pytania zadawane przez osoby, które przesłuchiwał, ale czuł, że Stanisława Jankowiak jest na skraju załamania nerwowego. Widać było, że ostatkiem sił trzyma nerwy na wodzy. Mimo upływu lat nie pozbyła się lęku.

Majewski w przeciwieństwie do partnera miał ochotę przycisnąć świadka. W jego ocenie kobieta tylko udawała zdziwioną. Gdyby przesłuchiwał ją w komendzie, mógłby uwierzyć w śpiewkę o tym, że jest biedna. Rzeczywiście stan jej skóry, włosów, paznokci i ciuchy, jakie miała na sobie, mogły to

potwierdzać. Jednak w tej chwili znajdowali się w domu, który wart był przynajmniej milion złotych. Same mury i dach, a gdyby doliczyć do tego wszystkie śmierzące starością sprzęty, obrazy, broń palną i kolekcję zabytkowych noży wiszącą obok kominka, można by pomnożyć cenę przez dwa, trzy, a może i pięć.

– Jak to nie ma pani pieniędzy? – zapytał. – A ten dom?

* * *

Dom – temat numer jeden dla każdej pojawiającej się w nim osoby. Nawet jeśli Stanisława zdążyła zapomnieć, dlaczego nie zaprasza gości, pytanie o dom odświeżyło jej pamięć. Stroniła od gości, bo chciała uniknąć konieczności odpowiadania na niewygodne pytania.

– Nie jest mój.

– Jak to? – Młodszy policjant nie krył zdziwienia.

– To, co mnie otacza, to tylko pozory. Tak naprawdę daleko mi do bycia bogatą. Ani dom, ani nic, co się w nim znajduje, nie należy do mnie.

Kobieta świadomie przemilczała to, że ma w tym domu własny pokój i kilka osobistych rzeczy. Pamiątek rodzinnych. Fotograficznych wspomnień. Bibelotów nieprzedstawiających sobą żadnej wartości, oprócz niemodnej w tych czasach wartości sentymentalnej.

– Gdyby była pani uprzejma wyjaśnić...

– Jeśli trzeba...

– Trzeba.

– Wszystko jest własnością mojego syna. To ja mieszkam u niego, nie on u mnie. Ja nie mam nic. Mam tylko jego.

– Syna? – Burzyński spojrział w notatnik. Przed wyjazdem z Poznania przyłożył się do researchu na temat pani Jankowiak. – Czy pani syn nie jest odrobinę za młody na posiadanie takiego kapitału?

– Piotruś ma dwadzieścia cztery lata. Dom dostał w spadku po

ojcu. Moim mężu – dodała szybko. Całe życie towarzyszył jej lęk przed tym, co mogą pomyśleć o niej inni. Tym razem przestraszyła się, że policjanci pomyślą, iż ojciec dziecka nie był jej mężem. – To długa, smutna i skomplikowana historia.

– Mamy czas. Proszę opowiedzieć. – Oczy policjanta były pełne spokoju.

– Po tym gwałcie nie mogłam dojść do siebie. Kilka osób wiedziało o tym, co się wydarzyło. Zaczęły krążyć plotki. To było okropne. Że sama byłam sobie winna. Że gdybym nie chciała... i takie tam. Nie byłam przygotowana na takie upokorzenie. Ani ja, ani moja rodzina. Jankowiaka poznałam na prywatce u koleżanki. Wpadł na tańce z jakimś kolegą. Niewiele o mnie wiedział. Był ze Zbąszynia. Podrywał mnie. Uznałam, że zmiana miejsca zamieszkania w tej sytuacji to najlepsze wyjście. Wydawało mi się, że wszystko, co złe, zostanie w Poznaniu. Wyszłam za niego za mąż i zamieszkałam u niego. To były czasy, kiedy ceniło się cnotę. Jankowiak nie naciskał na pójskie do łóżka przed ślubem. Potem niestety było coraz gorzej. On naciskał, a ja ciągle znajdowałam jakieś wymówki. Kiedy nie było innego wyjścia, robiłam to, czego ode mnie żądał... To było okropne. Zawsze wtedy miałam przed oczami Ciemałę. – Stanisława zakryła bladoniebieskie oczy spracowanymi rękoma. – Kiedy urodziłam Piotrusia, Jankowiak przestał mnie nagabywać. Zaczął się czepiać. To zupa była za słona, to ja zbyt smutna, to dziecko niezbyt czyste. On kupował tanio, sprzedawał drożej. Dorabiał się coraz większych pieniędzy. Zaczęłam mu ciążyć. Nie pasowałam do jego wizji luksusowego życia. Bankiety w garnizonach. Rozmowy o biznesach. W końcu stracił cierpliwość i wyrzucił mnie z domu. Wróciłam z Piotrusiem do Poznania. Żyliśmy sobie spokojnie aż do czasu, gdy Piotruś skończył dziesięć lat. Jankowiak przypomniał sobie o tym, że jest tatusiem. Odezwał się do mnie. Zażądał spotkania z synem i kupił jego uczucia. Omamił go pieniędzmi i zabrał do siebie.

Stanisława morderczym sprintem pokonywała historię

swojego życia. Starła się omijać najbardziej bolesne kwestie. Miała nadzieję, że policjanci nie zapytają, jaką była matką, skoro dziesięcioletni syn zostawił ją i zamieszkał z ojcem. Miała sobie wiele do zarzucenia. Z perspektywy czasu zauważała, że kilka minut seksu wymuszonego przez Ciemałę zniszczyło jej relacje z ludźmi na wiele lat. Z przyjaciółmi, rodziną, mężem... niestety także z synem. Poświęcała mu zbyt mało uwagi. Nie przytulała. Nie słuchała. Czasami traktowała jak powietrze. Była zbyt zamknięta w sobie, skupiona na przeżywaniu bólu, by zauważyć jego potrzeby. Gdy się wyprowadzał, powiedział, że jej nie kocha. Pamiętała wyraz jego twarzy w chwili, gdy wypowiadał te słowa, mimo że to było czternaście lat temu.

– Jankowiak dorobił się fortuny, kupił między innymi ten dworek. Umarł trzy lata temu. Piotruś zadzwonił. Spotkaliśmy się na pogrzebie. Postanowiliśmy, że z nim zamieszkam. Pomogę mu w prowadzeniu domu.

– Pani Stanisławo, tak jak mówiłem, ze strony Ciemały nic pani nie grozi. Został zamordowany. Dlatego tu przejechaliśmy. Chcieliśmy poznać pani alibi...

– Zamordowany?

Trudno było nie usłyszeć nadziei w jej głosie. Następnie konkretnie dopytała o datę i godzinę, a potem uprzejmie wyjaśniła, że w tym czasie pracowała u Rozmiarków, co mieszkają pod lasem. Dwa razy w tygodniu jeździ do nich wieczorami i sprząta, by sobie zarobić.

– A pani syn? – dopytywał Burzyński. – Co robił w tym czasie?

– Piotruś? Nie wiem, pewnie grał z kolegą w tenisa, zawsze to robi we wtorki. Dlaczego pyta pan o Piotrusia?

– Wiedział o tym, co spotkało panią w przeszłości?

– Tak. – Spuściła głowę. – Ojciec mu powiedział.

– A z jakim kolegą grywa w tenisa?

Podkomisarz kontynuował rozmowę i jednocześnie notował. Musiał porozmawiać z rodziną Rozmiarków i partnerem do tenisa, by potwierdzić lub podważyć alibi.

– Nie wiem. Nie przedstawia mnie swoim kolegom. Wstydzi się mnie. Pan pokazywałby kumplom matkę, którą zgwałcono? – Oczy Jankowiak przepełnione były bólem. Wydarzenie sprzed ćwierćwiecza uznała za przyczynę wszystkich swoich niepowodzeń, wrzuciła je na dno skrzynki, w której lądowały złe emocje. Czarnej skrzynki z napisem „Gwałt”.

– Gdzie znajdziemy pani syna? Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

Burzyński dopił mrożoną herbatę i ostentacyjnie odstawił pustą szklankę na tacę. Uznał, że czas opuścić Trzciel i przyłożyć się do zakończenia sprawy. Pojawiły się nowe tropy, które trzeba było sprawdzić.

Majewski obserwował zachowanie partnera i ucieszył się, gdy Burza dał sygnał do odwrotu. Siedział beczynnie od ponad dwudziestu niemożliwie ciągnących się minut. Teraz poczuł, że najbardziej chciałby biegać dookoła partnera, podskakiwać i piszczeć. Rozpierała go energia.

– Piotruś jest jeszcze na uczelni, w piątek powinien pojawić się w domu. Proszę przyjechać koło osiemnastej. Albo nie, bezpieczniej będzie o dziewiętnastej.

– Na jakiej uczelni?

– Noo, na akademii. Akademii Medycznej w Poznaniu. Mój mały Piotruś będzie lekarzem. Chirurgiem. Taka jestem z niego dumna!

* * *

W biurze prokuratora panował przyjemny chłód. Wiszniewski siedział w garniturze, a na jego twarzy nie było widać ani jednej kropli potu. Burzyński dyskretnie rozejrzał się w poszukiwaniu klimatyzatora. Przenośne urządzenie stało za biurkiem.

– Musimy mieć nakaz – oznajmił podkomisarz.

Wiszniewski jak zwykle wyglądał na znudzonego rzeczywistością. Lekceważył gości – dawał im do zrozumienia, że ma inne, ważniejsze zadania. Gdy recepcjonistka powiadomiła

go o wizycie policjantów, miał właśnie zaparzyć sobie kawę. Zaparzyć i wypić w spokoju. Odstawił czajnik i postanowił przełożyć przyjemność maksymalnie o piętnaście minut.

– Ale na jakiej podstawie? – spytał, spoglądając na zegarek.

Chciał załatwić tę sprawę w kwadrans. O tyle mógł przesunąć południową kawę. W przeciwnym razie ta południowa nałoży się na lunch, a jeśli przesunie lunch, to ten nałoży się na kawę popołudniową. Zbyt wiele zachodu, a powód wizyty policjantów nie jest wart takich manewrów. Tak myślał i zapytany gotów był wygłosić oświadczenie.

– Są twarde poszlaki, że ofiarę znaną na terenie Fortu V zabił Jankowiak. Musimy wejść do jego mieszkania. Błyskawicznie. Zanim zdąży je posprzątać.

– Czemu miałyby sprzątać?

Lekceważenie okazywane przez Wiszniewskiego podnosiło Burzyńskiemu i Majewskiemu ciśnienie krwi. Ten ostatni z trudem powstrzymywał się od głośnego komentowania. Odpowiadał prokuratorowi w myślach: „Rzeczywiście, po co morderca miałyby sprzątać mieszkanie po zabójstwie? Na pewno nie po to, by zetrzeć ślady, wywabić krew i wyrzucić rzeczy ofiary”.

– O ile jeszcze tego nie zrobił... – poczęstował wszystkich skróconą wersją swoich przemyśleń.

Prokurator spojrział na zegarek i poprawił mankiety.

– Przestań, Młody – zaprotestował Burzyński. – Chłopaki zawsze coś znajdą. Nie oszuka nas.

– Panowie, do rzeczy. – Prokurator spojrział tęsknym wzrokiem w kierunku pustej filiżanki.

Złote cudo z kolekcji Rosenthala i Versace błagało go o czarny napój. Biel wnętrza krzyczała, a złoto połyskiwało kusząco. Nie mógł pozwolić, by porcelanowa filiżanka za siedemset złotych stała bezużytecznie.

– Kurwa, muszę mieć nakaz. Podejrzany miał motyw, by zabić.

- Jaki motyw?
- Chciał zemścić się za gwałt na swojej matce.
- Kolejny nieoryginalny kretyn – prychnął Wiszniewski, wyrażając pogardę dla ludzkich spraw. Zbyt długo się babrał w takich brudach, by czymś się przejmować. – Skąd podejrzenie o zemstę?
 - Ciemała dwadzieścia pięć lat temu zgwałcił matkę podejrzanego – wyjaśnił Burzyński. – Po pierwsze: gwałt odbił się na życiu podejrzanego. Po drugie: sprawdziliśmy miejsce zamieszkania Jankowiaka i bingo, mieszkał blisko ofiary z fortu. Widywali się.
 - No i najważniejsze – wtrącił Majewski. – Ciemała został wypatroszony, nacięcia zrobiono zgodnie ze sztuką medyczną, a podejrzany studiuje na Akademii Medycznej... Ma zostać chirurgiem.

* * *

Kolekcja zdjęć Józefa Ciemały wylądowała na stole. Policjanci mogli obejrzeć ofiarę znaną na terenie Fortu V w różnych pozach i z kilku perspektyw. Józef w dresie przed klatką schodową. Józef w krótkich spodniach, z siatką foliową w ręku. Józef z piwem przed sklepem spożywczym.

- W twoim mieszkaniu znaleziono te zdjęcia. Co o nich powiesz?

Piotr Jankowiak wrzucił kościstymi ramionami.

- Co? No, ej, są dobre. Dobra perspektywa, szeroki kadr.

- Dlaczego robiłeś zdjęcia Józefowi Ciemale? – Przed rozpoczęciem przesłuchania Majewski postanowił, że to on będzie je prowadził.

Byli z Jankowiakiem w podobnym wieku, podobnie się nosili. Młody miał wykorzystać nic porozumienia, pakt pokoleniowy, by dowiedzieć się tego, co go interesowało. Burzyński przysłuchiwał się rozmowie i czekał, aż będzie mógł wkroczyć do akcji jako zły policjant.

– Kupiłem nowy aparat z długim obiektywem. Musiałem go wypróbować. Ten tu – Jankowski położył palec na twarzy Ciemały – akurat się napatoczył.

Akurat się napatoczył, w to nawet przedszkolak by nie uwierzył. Gdyby mężczyzna przypadkowo wszedł w pole widzenia, zostałby uwieczniony najwyżej na kilku zdjęciach. Na pewno na wszystkich paradowałby w jednej kreacji. Tymczasem na stole leżało kilkadziesiąt zdjęć wykonanych o różnych porach dnia.

– Ciekawe, komu się napatoczył, że został zabity – prowokował Majewski.

– Ciekawe. Na pewno nie mnie.

– Wiesz, Piotrek, ciekawi mnie to. – Młody wyjął z teczki kserokopię portretu pamięciowego sprawcy gwałtu i przykrył nim zdjęcia. – Znaleźliśmy to w twoim mieszkaniu.

– No, ej, o co ci chodzi? To nic specjalnego.

– Nic specjalnego? Przecież to jest sprzed dwudziestu pięciu lat.

– I co z tego? Jarają mnie takie sprawy.

– Takie czy tylko ta?

– Takie różne, między innymi ta.

– Aha.

Michał przesunął na jedną stronę biurka portret pamięciowy, na drugą stronę jedno ze zdjęć, na którym widać było twarz Ciemały.

– Niesamowite podobieństwo, prawda?

– Podobieństwo?

– Jesteś zbyt inteligentny, by udawać głupka. Nie łykam tego, więc się zastanów! To portret pamięciowy Józefa Ciemały naszkicowany dwadzieścia pięć lat temu, na podstawie zeznań twojej matki, a to Ciemała dziś. – Rozłożył ręce. – No, może przesadziłem, dziś wygląda inaczej.

– Inaczej?

– Zacznij gadać, chłopaku! – Burzyński uniósł głos i wstał od

stołu.

Zrobił trzy kroki w lewo. Doszedł do ściany. Zrobił cztery kroki w prawo. Doszedł do ściany. Chciał uzmysłwić chłopakowi, w jak małym pomieszczeniu się znajdują. Pokój przesłuchań miał osiem metrów kwadratowych. Cztery ściany oddzielały przesłuchiwanego od świata. Zero okien. Jedynym źródłem światła była lampa, którą w każdej chwili Burzyński mógł wyłączyć. Pokój przesłuchań miał być przedsmakiem tego, co czeka winnych, i metaforą ich aktualnego położenia.

– Jankowiak, chyba nie do końca orientujesz się w swojej sytuacji. Wytłumacz mu, Młody, bo ja nie mam cierpliwości – dokończył Burzyński i stanął za plecami przesłuchiwanego.

– Józef Ciemała zgwałcił twoją matkę. Wiedziałeś o tym. Złamał jej życie. Zniszczył psychikę. Odebrał ci szczęśliwe dzieciństwo. Zamieszkałeś w jego sąsiedztwie z premedytacją. Fotografowałeś go. Obserwowałeś. W twoim mieszkaniu znaleźliśmy zeszyt, w którym notowałeś sobie godzina po godzinie plan jego zajęć. Wiedziałeś, kiedy idzie do pracy, a kiedy wpada na piwo do osiedlowego sklepu. Miałeś motyw i sposobność, by zabić.

– No, ej, ale ja tego nie zrobiłem. Musisz mi uwierzyć. – Jankowiak nerwowo poprawiał okulary, pocierał nos i wyginał palce.

– Może nawet tego nie zrobiłeś, ale przyznaj, że chciałeś?

Policjanci sprawdzili alibi Jankowiaka i jego matki. Trudno byłoby je podważyć. Chłopak widziany był na korcie tenisowym, a później w gronie najbliższych przyjaciół. Zdjęcia publikowane na Facebooku w czasie rzeczywistym stanowiły reportaż z imprezy. Przyjaciele zeznali, że wszyscy poszli spać grubo po czwartej nad ranem i obudzili się dopiero koło dziewiątej.

Alibi było mocne, ale nie wykluczało sytuacji, w której Piotr zaplanował zabójstwo i zlecił je komuś innemu.

– Tak, kurwa, chciałem – warknął Jankowiak.

Po ostatnim słowie postawił kropkę. Zapadła cisza.

Potrzebował pauzy, by ochłonać po tym wyznaniu. Wypowiedzenie myśli na głos przeraziło go.

Burzyński i Majewski czekali cierpliwie, aż zacznie mówić. Zawsze istniało ryzyko, że podejrzany wykorzysta chwilę spokoju, by wymyślić korzystną dla siebie i w miarę wiarygodną wersję wydarzeń. Jednak jakakolwiek otwarta wypowiedź była lepsza od ciszy lub enigmatycznych odpowiedzi na pytania.

Po kilku minutach Piotr Jankowiak, zaniepokojony ciszą, zaczął mówić. Opowiadał o dzieciństwie. Beznamiętnie, starając się ukryć za maską obojętności. Zrelacjonował historię przeprowadzek. Zbąszyń, Poznań, Zbąszyń, Trzciel. Mówił ciepło o ojcu i chłodno o matce. W końcu doszedł do Ciemały.

– W pewnym momencie pomyślałem, że facet musi ponieść karę. Że matka jest, jaka jest, ale nigdy nie powinno jej spotkać coś tak upokarzającego. Pomyślałem, że jeśli coś zrobię, to zniknie ta okropna klątwa, zła karma ciągnąca się za mną przez całe życie. Gdyby nie ten gwałt, rodzice by się nie rozeszli, a ja nie byłbym zmuszony do trudnych wyborów. Przyjechałem do Poznania na studia. Jakiś rok temu udało mi się dotrzeć do akt sprawy. Zdobyłem portret pamięciowy. Wynająłem detektywa, który ustalił, gdzie obecnie mieszka Ciemała. Okazało się, że ten drań miał rodzinę, wyobrażasz to sobie? – Jankowiak mocno obejmował się ramionami, tak jakby chciał się pocieszyć. – Miał pierdoloną rodzinę. Żonę. Syna. A moja rodzina rozpadła się właśnie przez niego. I gdzie tu jest sprawiedliwość? No pytam się, gdzie? Wynająłem mieszkanie w bloku obok, z widokiem na jego klatkę schodową. Kupiłem aparat. Chciałem go osaczyć, oczywiście anonimowo. Chciałem, żeby zaczął się bać. Żeby cierpiał. Dlatego go obserwowałem.

Policjanci słuchali z uwagą. W niewielkim pokoju przesłuchań wylewały się zale zbierane przez kilkanaście lat. Fale rozpacz i poczucia niesprawiedliwości obijały się o policyjne ściany.

Tyle mówi się o dorosłych dzieciach alkoholików.

Usprawiedliwia się ich zachowanie, tłumaczy trudnymi warunkami, proponuje terapię i wsparcie psychologa. A tu przed policjantami siedział Piotruś. Dorosłe dziecko kobiety wykorzystanej najpierw seksualnie, a później przez wymiar sprawiedliwości. Gdyby nie zeznawała, mogłaby zapomnieć o wszystkim. Wyrzucić wspomnienia, uniknąć dziwnych spojrzeń znajomych. A tak kilka minut gwałtu i ciągnąca się sprawa sądowa zrujnowały życie co najmniej dwóch osób. Stanisławy i jej ukochanego Piotrusia.

– Któregoś dnia postanowiłem, że z nim pogadam. Widziałem, że idzie do sklepu. Zszedłem na dół. Siedział na krawężniku i opróżniał puszkę. Kupiłem sobie piwo i przysiadłem się. Gadaliśmy chyba godzinę. Był zajebisty. Opowiadał o panienkach, ciupciani... normalnie, ej, bez żadnych zahamowań. Czasem spotykaliśmy się przed sklepem. To głupie, ale go polubiłem. Czułem, że coś nas łączy. Nie mógłbym go zabić.

– Opowiadał o panienkach? – Młody zachował czujność.

Cały czas na liście prawdopodobnych hipotez widniała ta, że Ciemała nie wyszedł z Malibu o własnych siłach.

– Tak.

– Jakich panienkach?

– No, o dziwkach. Szczycił się tym, że jest znawcą i że dobrze wyłomotać można tylko profesjonalistkę. Że tylko to daje satysfakcję prawdziwemu facetowi. Że takie cnotki, co to robią pod kołdrą i po ciemku, są do dupy.

– Coś jeszcze mówił? – Tym razem Burza nie opanował ciekawości.

– Że powinienem przynajmniej raz spróbować seksu z profesjonalistką – przyznał speszony Jankowiak.

„Akurat tego można się było spodziewać – pomyślał rozbawiony Burzyński. – Seksualny mesjasz się, kurwa, znalazł”. Dokładnie w taki sam sposób, z użyciem podobnych argumentów, Józef zachęcał swojego syna do skorzystania z

usług dziwki.

– Dobra, spróbować, ale z kim? – Reakcja Młodego była natychmiastowa. – Polecał ci kogoś?

– No, polecał. A co? Chcesz spróbować?

– A ty próbowałeś?

– Nie. Jakoś to nie dla mnie chyba.

– Kogo polecał?

– Taką jedną. Podobno najlepszą w te klocki. Mówił, że korzystał w swoim życiu z wielu, ale od dłuższego czasu tylko ona jest w stanie go zadowolić. Ma na imię Andżela. Chodził do niej regularnie. Przyjmowała w mieszkaniu. Chwalił, że to najlepsza miejscówka, jest intymnie, nie spotkasz nikogo znajomego. Podobno pełna kulturka. Podobno, bo zaznaczam, nie próbowałem. I proszę, nie mówcie mojej mamie, że z nim rozmawiałem. Załamałaby się.

– Andżela. Jak nazwisko? Gdzie przyjmowała? – Burzyński domagał się konkretów.

– Po prostu Andżela. – Kościste ramiona znowu powędrowały ku górze, by po chwili opaść. Były nieproporcjonalnie szerokie w stosunku do reszty ciała.

– Masz jej adres? – spytał Młody po koleżeńsku.

– Chwila.

Piotr wyjął z kieszeni telefon. Chwilę w nim pogrzebał, aż w końcu wyciągnął rękę przed siebie i podetknął Majewskiemu ekran pod oczy.

– Jest. Ulica Wodna, tu masz numer.

– Wodna. Dzięki.

– Jak skorzystasz, to daj mi znać. Józek wciskał kity, że to luksusowe miejsce. Że panny traktują cię tam jak zdobywcę, wojownika, a nie zwykłego faceta, któremu nawet o wyrzucaniu śmieci trzeba przypominać. Ciekawy jestem, co i jak.

Młody mrugnął do Burzyńskiego i wskazał głową na wyjście. Policjanci zostawili chłopaka w pokoju przesłuchań i wyszli na zewnątrz.

- Kuźwa, Burza, słyszałeś? Andżela z Wodnej.
- Wodna? To tam jest jedno z mieszkań Burdel Kinga? Gościa, na którego denat szukał haków w Malibu?
- Dokładnie. Szukał i znalazł.
- Taaa, faktycznie. Oznacza to, że nadszedł najwyższy czas, by porozmawiać sobie z właścicielem tych fast seksów.

* * *

- Pławiłeś się w rozpuście i luksusie, aż pewnego dnia do twoich drzwi zapukała policja.

Mężczyźnie coraz trudniej było balansować pomiędzy prawdziwymi emocjami a tym, co chciał zaprezentować podczas wywiadu. Spotkał się z producentem programu i wiedział, że musi grać według reguł rządzących rynkiem mediów. Rozmowa miała być kontrowersyjna, miała trzymać w napięciu, a jednocześnie być pełna zagadek. Pamiętał o tym, gdy odpowiadał na pytania coraz bardziej wkurzonej dziennikarki.

- Myślę, że policja puknęła do drzwi wynajmowanych przeze mnie mieszkań wielokrotnie. Wiesz, praca policjanta jest stresująca... trzeba się umieć zresetować. A nic nie rozluźnia tak szybko jak udany seks. Poza tym prawdziwi faceci muszą zaliczyć raz na jakiś czas fajną niunię, by mieć czym pochwalić się przed kolegami. Kobiety biegają do kosmetyczek, a policjanci do burdeli. Ta grupa zawodowa ceni sobie dyskrecję i wysoki standard świadczonych usług. Moje lokale im to zapewniały.

- Nie o to pytam.

Mężczyzna wiedział, czego dotyczy pytanie, ale postanowił zabawić się nieco kosztem dziennikarki. W końcu ludzie siedzący przed telewizorami oczekiwali wielkiego show.

Coraz bardziej przeszkadzały mu lampy. Jedne rozświetlały cienie, inne rzucały ciepłe światło, jeszcze inne doświetlały postać dziennikarki.

- Wiem, o co pytasz, ale nie mam ochoty teraz o tym gadać.

Odbierał światło wszystkimi zmysłami. Drażniło go.

Podnosiło temperaturę powietrza. Śmierdziało.

– Dobrze, wrócimy do tego...

– Wrócimy, jeśli będę chciał! – Nerwy trzymane dotychczas na wodzy uwolniły się jak stado rozszalałych psów. Mężczyzna poczuł, że dopada go potworne zmęczenie. Powinien się położyć i odpocząć. – Są ważniejsze tematy!

– Czyli jakie? – Dziennikarka jak drapieżnik wykorzystała słabość rozmówcy, by zaatakować.

– Śmierć.

Akt 10

Majewski stanął przed kamienicą na ulicy Wodnej. Rozejrzał się wokoło. Burzyński rozmawiał przez telefon, zasłaniając ręką jedno ucho. Od strony Starego Rynku nadciągała gromada staruszków z przewodnikiem. Zatrzymali się przy pałacu Górków i zaczęli fotografować Muzeum Archeologii. Przemknęła mu przez głowę myśl, że mógł obejrzyć eksponaty i porozmawiać o nich z Anitą. Antropolodzy powinni lubić archeologię – stwierdził, że w wolnej chwili musi zrealizować ten pomysł.

Na parapecie jednego z okien leżał rudy kot. Był chudy, ale zadbany. Nie wyglądał na bezpańskiego. Idealnie pasował do otoczenia. Ten fragment miasta już dawno miał za sobą czasy świetności. Kamienice były zniszczone, ulice nie znały asfaltu, a mieszkańcom daleko było do klasy średniej. Z tego powodu mieszkania w budynkach przy uliczkach okalających poznański Stary Rynek nie cieszyły się zainteresowaniem kupujących.

Wycieczka zniknęła sprzed pałacu Górków. Burzyński nadal rozmawiał przez telefon.

Majewski oparł się o ścianę księgarni, a jego uwagę przykuło dziwne zachowanie mężczyzny w średnim wieku. Facet podchodził do klatki, do której za chwilę miał wejść Burza. Spoglądał na domofon. Zamierał. Odchodził szybkim krokiem, by po kilku metrach zawrócić i podejść do domofonu. Znów stawał przed przyciskami, unosił rękę, ale zamierał, by po chwili uciec w drugą stronę. Miał w oczach obłąd. Widać było, że kieruje nim jakaś żądza, że bardzo chce coś zrobić, ale jednocześnie się

tego boi.

– Młody, już skończyłem. Możemy iść?

– Koniecznie, bo ten tutaj chce wbić się do tego samego lokalu co my, ale widać jest bardzo nieśmiały.

Policjanci, śmiejąc się, minęli dziwnego osobnika, który właśnie zbliżał się do drzwi. Burzyński nacisnął przycisk oznaczony kropką.

– Musisz nam dać trochę czasu, koleś! – Majewski rzucił uwagę na tyle głośno, by usłyszeli ją przechodzący obok ludzie, zlustrował minę mężczyzny i pobiegł za Burzyńskim.

Pokonywał ostatnie schody, gdy drzwi, przed którymi stał podkomisarz, otworzyły się na oścież.

– Dzień dobry! – Na klatce rozległo się entuzjastyczne powitanie.

Dziewczyna ubrana była w seksowny komplet czarnej bielizny, ukryty pod półprzezroczystym szlafrokiem.

– Dzień dobry – odpowiedział Burzyński.

Świeżo potraktowane karminową czerwienią usta dziewczyny przymknęły się na widok policyjnej odznaki, którą podkomisarz wyjął z kieszeni. Z jej twarzy zniknęły uśmiech i zadowolenie. Dziewczyna musiała mieć doświadczenie w podobnych sytuacjach. Wiedziała, o czym świadczy błysk odznaki. Wiedziała też, że policjanci nie mogą jej nic zrobić, tracą tylko czas, dlatego bez zbędnej wymiany zdań odeszła od drzwi i poszła do pokoju. Policjanci podążyli za nią.

Trudno było nie zauważyć, że znaleźli się w jaskini rozkoszy. W przedpokoju na ścianie wisiał namalowany akt kobiety. W pokoju panował iście wymarzony nastrój. Świecek, czerwien i łóżko z atlasową pościelą.

Nie pytając o zgodę, odwiedzili jeszcze kuchnię, w której nie było widać śladów gotowania, za to na blacie stał komputer z otwartą grą. Wirtualne zboże rosło w słońcu.

W łazience unosił się duszący zapach drzewa sandałowego. Na brzegu wanny leżały ręczniki zwinięte w rulonik, na półeczce

stały czerwona pomadka, żarzące się kadzidełko i duża butelka perfum. Na wieszaku zamiast ręcznika wisiały stringi.

– Co tu robisz? – Burzyński wrócił do pokoju, w którym prostytutka czekała na policjantów.

– Mieszkam.

– Mieszkasz? – Majewski wybuchnął śmiechem.

– Mieszkam. Jestem studentką.

– Z taką panną chyba nie można uprzejmie rozmawiać – rzucił uwagę w powietrze.

– Chciałem być dżentelmenem. – Burzyński udał skruchę. – Pokaż mi swój dowód. – Wyciągnął rękę w kierunku dziewczyny.

Każdy fragment mieszkania, każdy detal wystroju wnętrza, bielizna, którą miała na sobie, pora dnia, kropka przy domofonie i spotkany na ulicy mężczyzna – wszystko świadczyło przeciw niej. Nikt nie nabrałby się na bajkę o tym, że po prostu mieszka na Wodnej.

Dziewczyna wstała z fotela i zniknęła w kuchni. Trzasnęła szafką i wróciła z torebką.

– Magdalena Ratajczak. Lat dwadzieścia. – Burzyński odczytał dane z dowodu osobistego.

– Magdaleno, jeśli nie będziesz kłamać, nie będziemy mieli do ciebie żadnych uwag.

– Nie kłamię – odpowiedziała hardo.

– Tobie to już wszystko się pomieszało, kochana – zwrócił się do niej Majewski. – Nie mieszkasz tu, tylko pracujesz. Uprawiasz seks za pieniądze. Pracujesz dla znanego w mieście Burdel Kinga. Myślisz, Burza, że matka Magdaleny wie, skąd jej córka bierze pieniądze?

– Zawsze może się dowiedzieć. – Burzyński wzruszył ramionami. – Zaraz zapakujemy ją do policyjnej suki, w takim stroju, jak stoi, i zawieziemy do mamusi. – Spojrzał na tył dowodu osobistego, by odczytać adres zamieszkania. – Truskołoń nie jest daleko. Pojedziemy razem na rodzinną kawę.

– Możecie wziąć mnie na dołek, nie będziecie wozić po

wioskach.

– Będziemy robić to, na co mamy ochotę! Zapamiętaj to sobie.
– Burzyński był kategoryczny. – No chyba że będziesz z nami współpracować, wtedy możemy zachowywać się milej.

– Czego chcecie?

– Chcemy porozmawiać z Andżelą.

Dźwięczne imię uderzyło prosto w Magdalenę. Skuliła się i przestraszyła. Jakby te słowa ją zabolały.

– Z Andżelą? Coś się stało?

– A co się miało stać? – Reakcja Majewskiego była błyskawiczna.

– No nic, pytam, bo skoro przychodzi policja... na filmach zawsze tak jest, że policja zawiadamia o śmierci. – Dziewczyna próbowała ukryć zdenerwowanie.

– Na filmach? – Podkomisarz podchwycił jej słowa. – Że też wasze pokolenie na wszystko patrzy przez pryzmat filmów. Musimy porozmawiać z Andżelą. Kiedy przyjdzie na swoją zmianę?

– Yyyy, nie wiem.

– Dobra, zabieraj się, jedziemy do Trzuskołonia. – Burzyński zagrał va banque.

Policjanci wstali niemalże jednocześnie. Wystraszona dziewczyna patrzyła na nich błagalnie.

– Ja naprawdę nie wiem. Andzi była w pracy ostatni raz chyba jakieś cztery tygodnie temu.

– Jak to?

– Nie wiem. Miała takiego stałego klienta. Zwykły facet w średnim wieku. Przychodził do niej regularnie, chyba się zakumplowali. Płacił normalnie, ale widziałam, że ona lubi jego wizyty.

– Wiesz, jak się nazywał?

– Ruchała, chyba jakoś tak.

– Czy to był ten facet? – Młody pokazał dziewczynie zdjęcie Ciemały.

Nie musiała się zastanawiać. Co prawda nigdy nie widziała go w dresie, w którym go sfotografowano, ale pamiętała twarz.

– Tak. – To odkrycie zwiększyło jej przerażenie. Wiedziała już, że nie chodzi o zwykły nalot, tylko o coś o wiele poważniejszego. – Dlaczego pokazujecie mi jego zdjęcie?

– Co stało się te cztery tygodnie temu? – Młody uczył się ignorowania pytań od najlepszych.

– Nie wiem, czy dokładnie cztery, ale wtedy miałam zmianę zaraz po Andzi. Byłam chwilę wcześniej, koleżanka podrzuciła mnie samochodem do miasta. Weszłam, a oni się kłócili.

– Oni, czyli kto?

– Andzi, ten Ruchała i Burdel King. Krzyczeli na siebie.

– Kto na kogo?

– Faceci na siebie. Andzi płakała. Gdy mnie zobaczyli, to przestali krzyczeć. Wiem, że kłócili się o pieniądze, ale nie jakieś grosze za nasze usługi, tylko o tysiące, więc musiało chodzić o poważną sprawę.

– I co dalej? – naciskał Burzyński.

– Wszyscy wyszli, ja zostałam. Potem Andzi przestała przychodzić do pracy.

– A jak na jej nieobecność zareagował szef?

– Na początku się wkurzał. Krzyczał, że jego się nie lekceważy i że jak ją dopadnie, to nogi z dupy powyrywa. Potem sprawa przycichła. Ja sama próbowałam skontaktować się z Andżelą, no tak prywatnie, ale mi się nie udało. Jej komórka była wyłączona. Chciałam pójść do niej do domu, ale nie wiedziałam, gdzie mieszka. Jakoś tak u nas w pracy nie rozmawia się o sobie.

– A Andżela to pseudonim, tak?

Przemysław wolał dopytać. Spolszczona wersja imienia wydała mu się zbyt pretensjonalna. Andżela. Kto mógłby tak skrzywdzić dziecko? Nikt, z wyjątkiem patologicznych rodziców marzących o wielkim świecie.

– Tak, pseudo. Nazywała się Kaśka. Kaśka Szafran.

– Nie miała rodziny?

- Miała rodziców, ale nie utrzymywała z nimi kontaktów.
- Jak wyglądała?
- Taka zwykła dziewczyna, ciemne włosy, normalna, w sensie nie gruba, nie chuda. Miała ładny biust.
- Może masz jej zdjęcie? – Burzyńskiego znużył opis prostytutki. Opis, który zawierał wiele słów, ale nie mówił nic.
- Nie, nie mam. Ale zaraz, przecież ona jest na fejsie.
- Pokaż!

Magdalena przeszła do kuchni. Wyłączyła wirtualną farmę i w wyszukiwarce znalazła koleżankę. Oczom policjantów ukazała się szara myszka z dużym biustem, układająca usta w rybkę. Istny zwierzęcy miszmasz.

Majewski pomyślał, że nigdy w życiu nie powiedziałby, że ta dziewczyna jest prostytutką. Owszem, widać było, że szukała poklasku. Publikowała na profilu dużo pozowanych zdjęć. Wyginała się i prężyła. Jak tysiące innych dziewczyn na serwisach społecznościowych. Dziewczyn szukających akceptacji.

- Andżela, czyli Kaśka, zaginęła jakieś cztery tygodnie temu. – Po wyjściu z mieszkania Młody pokusił się o podsumowanie. – Mogła mieć ile? Dwadzieścia kilka lat. Kuźwa, Burza, będziesz się ze mnie śmiał, ale mam przecucie. Wszystko układa mi się w jedną całość...

* * *

- Spóźniłeś się.

- Przepraszam. – Surowy głos przełożonego sprawił, że Piotr skrócił tłumaczenia do minimum.

Co miał powiedzieć? Że zanim dotarł do pracy, musiał walczyć z niespodziewanymi przeciwnościami losu? Że do jego mieszkania wpadł zastęp policjantów wymachujących mu przed nosem nakazem przeszukania? Że został zabrany do komendy i siedział kilka godzin w pomieszczeniu bez okien?

- Oj, Jankowiak, Jankowiak, uważaj! Mój oddział jest miejscem

elitarnym. Nie ma tu miejsca dla ludzi przeciętnych, bez ambicji i bez zegarka.

Ordynator opuścił pokój lekarski, a Piotr opadł na krzesło.

– Kiepsko wyglądasz – zauważyła przyglądająca się sytuacji pielęgniarka. – Impreza się udała?

– Raczej nie, jeśli to, co mnie spotkało, można nazwać imprezą.

– Wyglądasz na wczorajszego.

– Jestem wczorajszy – odpowiedział zgodnie z prawdą. Nie zdążył wziąć prysznicza ani umyć zębów. Po zakończeniu przesłuchania został poinstruowany o zakazie opuszczania Poznania, postraszony odpowiedzialnością za składanie fałszywych zeznań oraz zachęcony do kontaktu z policjantami, w razie gdyby przypomniał sobie coś ważnego. Podjechał taksówką do domu, zmienił koszulkę i udał się prosto do pracy.

– Ale jesteś trzeźwy?

– Teresa, co to za pytanie? Wyglądam na pijanego?

– No – zawahała się przez chwilę – masz przekrwione białka...

– Jestem zmęczony. Tylko zmęczony.

– To dobrze.

Spojrzał na nią pytająco.

– Ordynator jest chodzącą składnicą zasad – wyjaśniła. – Nie daje ludziom drugiej szansy. Nie rozumie problemów osobistych i takich tam. Pracował tu kiedyś świetny specjalista. Miał facet talent i sprawne ręce. Był pupilkiem ordynatora. Do niego jednego stary zwracał się po imieniu i dodatkowo je zdrabniał. „Jasiu, operujesz ze mną” – mówił.

– I co? Wyrzucił go?

– Odprawił go z dyscyplinarką. Kopnął w tyłek i Jasiu poleciał na zbity pysk z wilczym biletem.

– Z dyscyplinarką? Za spóźnienia?

– Za bycie wczorajszym. Jasiu miał problem z alkoholem. Pracował z nami kilka lat i nikt o tym nie wiedział. Dobrze się krył. Miał tak sprawne ręce, że nikt tego nie zauważył. Dopiero

ordynator nakrył go na pociąganiu z butelki w godzinach pracy. Nie dał mu żadnej szansy, mimo że gość świetnie się zapowiadał.

* * *

– Panowie, faktycznie nie mam alibi, ale raczcie zauważyć, że sam jego brak nie świadczy o mojej winie. Wręcz, powiedziałbym, świadczy na moją korzyść. Tego dnia siedziałem w domu przed telewizorem. Sam. Żona pojechała do matki. Gdybym miał coś na sumieniu, załatwiłbym sobie alibi. Głupi nie jestem. – Mariusz Kwiatkowski popisował się niczym aktor, którego obsadzono w głównej roli.

Policjanci po raz kolejny tego samego dnia siedzieli w pokoju przesłuchań. Nie zmieniło się nic poza przepytującym przez nich mężczyzną. Na miejscu, które rano zajmował Piotr Jankowiak, siedział słynny Burdel King.

Mężczyzna nie wyglądał na właściciela sieci burdeli. Miał dobrze skrojoną marynarkę, lniane spodnie, modne buty. Był spokojny i uważny. Nie epatował złotem, przepychem czy brutalnością.

– Zamiast alibi masz motyw.

– Jaki motyw? Motyw definiowany jako bodziec skłaniający do określonego działania? Przypominam, że motyw nie wystarcza do wydania przez sąd wyroku, potrzebne są dowody. Dowodów na poparcie wymyślonej tezy nie znajdziecie, nawet jeśli bardzo byście się starali.

– Kwiatkowski, minąłeś się z powołaniem – zakpił Burzyński.

– Powinieneś zarabiać jako papuga, a nie na dupach.

Wszelkiej maści właściciele interesów działających na skraju prawa lub poza nim stanowili dość specyficzną grupę przesłuchiwanym. Policjanci wiedzieli, jak z nimi rozmawiać. Spodziewali się jednak, że rozmowa z Burdel Kingiem nie będzie należała do łatwych. Nigdy wcześniej nie przesłuchiwali takiej hybrydy jak absolwent prawa czerpiący zyski z nierządu.

– Czyżby praca frustrowała pana tak dalece, że zaczął pan

przypisywać innym swoje odczucia?

– Nie pierdol! – Burzyński warknął ostrzegawczo. – Możemy wsadzić cię za handel żywym towarem, dorabiasz się na tych biednych dziewczynach.

– Jakich biednych? Mają pracę dającą im satysfakcję finansową, a czasem nawet seksualną.

Mężczyzna bawił się z policjantami w kotka i myszkę. Manipulował ich odczuciami, stawiał się i pokazywał im język. Od lat działał w sposób uniemożliwiający postawienie mu jakichkolwiek zarzutów. Prawo studiował z zamiłowania, nie wiedząc jeszcze, że po studiach wykorzysta zdobytą wiedzę przeciwko systemowi. W środowisku budził respekt, bo jako jedyny dobrze wiedział, co i jak robić, żeby działać na granicy prawa i nie przeciągać struny.

– Pójdiesz siedzieć!

– Za co? – Burdel King wyglądał na rozbawionego. – Za czerpanie korzyści majątkowych z uprawiania prostytucji przez inną osobę? Wątpię. Musielibyście udowodnić mi czerpanie korzyści. Sutenerstwo więc odpada. Co zostaje? Stręczycielstwo? – Emocjonował się, jakby właśnie wygłaszał mowę końcową na rozprawie sądowej. – Mnie nie dotyczy. Nigdy nie nakłaniałem nikogo do prostytucji. Tak czy inaczej nie popełniałem przestępstw opisanych w artykule dwieście czwartym paragraf drugi kodeksu karnego, dlatego nie czuję się zagrożony karą pozbawienia wolności do lat trzech.

Burzyński nie przerywał występów prawnika. Najpierw pozwolił mu się wygadać, dopiero wtedy zdecydował się zaatakować. Od początku przesłuchania Kwiatkowski udzielał gładkich, powierzchownych odpowiedzi i dobrze się przy tym bawił, mimo że nadal nie wiedział, z jakiego powodu znalazł się w komendzie. Gdy zakończył swoją płomienną mowę, spojrzał na policjantów, jakby cisza miała zaakcentować ostatnią kropkę. Nie pozostawało mu nic innego, jak zlustrować ich zawiedzione miny i z satysfakcją opuścić ten klaustrofobiczny pokój.

– Pójdiesz siedzieć... za zabójstwo.

– Słucham?

– Za zabójstwo – powtórzył Burzyński i skinął na Młodego, by ten rozłożył na stole zdjęcia ciała denata. – To Józef Ciemała. Znasz go. Został zamordowany. Ty nie masz alibi. Zniknęła też wasza wspólna znajoma Andżela. Mamy świadków, którzy zeznają w sądzie, że klóciłeś się z Andżelą i Ciemałą.

– Groziłeś mu śmiercią – dopowiedział Młody.

– To nie była groźba! – Kwiatkowski przeszedł do obrony.

– Kto grozi innej osobie – Młody ucieszył się, że może zacytować pełne brzmienie artykułu 190 kodeksu karnego – popełnieniem przestępstwa na jej szkodę lub szkodę osoby najbliższej, jeżeli groźba wzbudza w zagrożonym uzasadnioną obawę, że będzie spełniona, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do dwóch lat.

– W rzeczy samej. Groziłeś, że go zabijesz. Zabójstwo to przestępstwo. Facet nie żyje. Wszystkie fakty mieszczą się w definicji?

Wyraz samozadowolenia zniknął z twarzy Kwiatkowskiego. Odniósł wrażenie, że pokój przesłuchań zaczyna się zmniejszać. Ściany zbliżały się do siebie. Nie widział ich ruchu, ale inne zmysły wyraźnie informowały go o zmniejszaniu się przestrzeni. Czuł się osaczony.

– Albo zaczniesz, kurwa, mówić, albo...

– Albo co? – Burdel King starał się zachować dystans. Pamiętał o tym, że mężczyznę ocenia się nie po tym, jak zaczyna, ale po tym, jak kończy. – Jestem niewinny. Nic nie zrobiłem temu psycholowi.

* * *

Po przesłuchaniu Burdel Kinga Majewski wybiegł z firmy. Dochodziła szesnasta, a on musiał w ekspresowym tempie przedostać się do centrum. Gdy utknął w korku na moście Dworcowym, sięgnął po telefon i wybrał numer Anity.

– Wychodzisz już? – zapytał bez wstępów, gdy tylko się odezwała.

– Może tak na początek dzień dobry?

Zmroziła go. Jak zwykle. W ułamku sekundy zrozumiał, że wieczorna rozmowa może i ją rozbawiła, może nawet na chwilę otworzyła, ale najwyraźniej minął czas dobroci dla zwierząt i młodych policjantów. Poza tym była w pracy. Być może to miejsce działało na nią jak krochmal? Usztywniało. Schładzało krew. Zamrażało emocje.

– Jeśli mam być szczery, to nie wiem, czy taki dobry. – Nie zamierzał przejmować się jej nastrojem. Postanowił udać, że go nie zauważa. Jego ton daleki był od oficjalnego. – Ale jeśli oczekujesz kulturalnego i zdawkowego dzień dobry, proszę bardzo: dzień dobry.

– Od razu lepiej.

– Jesteś jeszcze w pracy, tak? – Zauważył lukę na pasie obok i ruszył z piskiem opon.

– Jestem, ale już miałam wychodzić.

– Bardzo, bardzo, bardzo proszę, jeszcze nie wychodź. Jadę do ciebie. Będę – właśnie skręcał z Bukowskiej w Grunwaldzką – za trzy minuty.

– O co chodzi?

Zaparkował samochód i wbiegł do budynku, opowiadając po drodze o przesłuchaniu prostytutki, o zaginionej Katarzynie Szafran zwanej Andżelą, o swoich przeczuciach i nagłej konieczności. Musiał wiedzieć, czy ma rację.

– Masz jej zdjęcie? – Anita skierowała pytanie do telefonu, ale dokładnie w tej samej chwili policjant pojawił się w drzwiach jej biura.

– Mam. Proszę – jęknął i zrobił błagalną minę – zrób to na cito...

– Dobra, chodź ze mną.

Pomyślał o wszystkim. W firmie przygotował się do spotkania z antropolożką. Na profilu Katarzyny Szafran znalazł dwie

fotografie przedstawiające głowę dziewczyny z różnych perspektyw – *en face* i z profilu. Wiedział, że trójwymiarowość zwiększy skuteczność superprojekcji.

Siedział w ciemnym pokoju obok stołu, na którym leżały ludzkie szczątki, i obserwował, jak antropolożka sprawnie operuje sprzętem. Maszyna wyglądała na przedpotopową. Była ogromna. Przez chwilę powątpiewał, czy wynik badania może być wystarczająco szczegółowy. W serialach kryminalnych posługiwano się zupełnie innymi technologiami. Porównanie ich z rzeczywistością wypadło groteskowo. Jakby nóż ceramiczny porównywać z nożem używanym przez człowieka pierwotnego.

– Zobacz!

Głos Anity wyrwał go z nieokreślonej czasoprzestrzeni. Nie wiedział, jak długo siedzieli w ciszy. Podszedł do kobiety i spojrzał na ekran, na którym fotografię Katarzyny Szafran wypełniała czaszka.

– Wow, niesamowite.

– Jest zgodność. Najprawdopodobniej w lesie znaleźliście szczątki tej dziewczyny.

– Najprawdopodobniej?

Spodziewał się zgodności. Kierował się szóstym zmysłem, ale też żelazną logiką. Kiedy okazało się, że prostytutka Andżela, do której chodził Ciemała, zaginęła, wiedział, że to nie może być zbieg okoliczności.

– Ludzie to nie nieszczęścia, nie giną parami – głośno dedukował. – Najpierw zabito Andżelę, później Ciemałę. Może on wiedział, kto zabił? Poszedł z nim porozmawiać i spotkał go ten sam los. Dlaczego mówisz: prawdopodobnie? Przecież widać, że zdjęcia pasują do czaszki.

– Pasują, ale to nie wystarczy do potwierdzenia tożsamości człowieka. Teraz musimy sprawdzić, czy jest zgodność odontologiczna.

– Okej, to sprawdź, poczekam.

– Michał... – odezwała się do niego po raz pierwszy tak ciepło, jakby chciała złagodzić to, co za chwilę powie. – To potrwa.

– Mam czas.

– Nie aż tyle.

– Jak to?

Był zawiedziony. W serialu kryminalnym bohaterka sprawdziłaby wszystkie możliwe dane w komputerze za pomocą zaledwie kilku ruchów dłońmi.

– Przed wydaniem jednoznacznej opinii musimy sprawdzić jej uzębienie. Trzeba ustalić, gdzie mieszkała, z usług jakiego stomatologa korzystała. O ile korzystała...

– To nie była przydrożna... no ten. – Speszył się, bo w ostatniej chwili przypomniał sobie, że rozmawia z kobietą, a nie z kumplem. Nie chciał wyrażać się przy niej zbyt dosłownie i używać nieodpowiednich słów. – No wiesz, nie pracowała w miejscu, w którym nieważne jest, czy panna ma zęby, czy nie. Musiała jakoś wyglądać.

– Wiem. – Obserwowała jego zaangażowanie ze zdziwieniem. Dotarło do niej, że podczas pierwszego spotkania zbyt pochopnie go oceniła. Praca była dla niego pasją. – Miejmy nadzieję, że korzystała z leczenia w ramach NFZ. Do sprawdzenia zgodności odontologicznej potrzebuję jej karty. Lekarze współpracujący z NFZ muszą wypełniać tony papierów, dla nas bardzo przydatnych. Jeśli jednak chodziła do gabinetu prywatnego, to może być trudno go namierzyć. A nawet jeśli znajdziemy gabinet, to może się okazać, że karta pacjenta jest niepełna.

– Nie rozumiem. Co ci da taka karta?

– W tej czaszce nie ma dolnej lewej czwórki, a górna lewa trójka jest zaplombowana. Jeśli w kartotece znajdę te same informacje, to z całą pewnością stwierdzę, że to ta twoja...

– Katarzyna Szafran – dokończył zdanie za antropolożkę. – Teraz rozumiem. Dobra, w takim razie będę się zbierał. Dasz znać, jak będziesz wiedzieć więcej?

– Dam. – Uśmiechnęła się szeroko. Odpowiedział takim

samym uśmiechem. Zrobiło się bardzo miło.

– Zadzwonisz?

– Zadzwonię. – Anita nagle uświadomiła sobie niezręczność sytuacji.

Z pomocą przyszła jej komórka. Zaczęła dzwonić. Chciała po nią sięgnąć, ale Majewski był szybszy. Podniósł aparat telefoniczny i podał go kobiecie. Zwrócił uwagę, że na ekranie wyświetliła się twarz młodej dziewczyny.

– To córka, przepraszam, muszę odebrać. – Nie czekała na jego reakcję. – Halo?

– Oczywiście. – Machnął ręką. – Jesteśmy w kontakcie!

Młody opuścił pokój i cicho zamknął za sobą drzwi. Czuł się skołowany. Miał ochotę pocałować Anitę Broll. Niewiele brakowało, by to zrobił. Właściwie już się do tego zabierał, gdy usłyszał dzwoniący telefon. Ten dźwięk przywrócił mu poczucie rzeczywistości.

Zerknął przelotnie na ekran. Dziewczyna. Na oko osiemnastka. Z pełnymi, czerwonymi ustami i seksownym pieprzykiem na policzku. Atrakcyjna. Na tyle atrakcyjna, że gdyby spotkał ją w barze, nie zastanawiałby się ani chwili. Podszedłby do niej, oczarował i zaprosił na najlepsze włoskie spaghetti...

– Kuźwa, przecież Anita wygląda zbyt młodo... na taką córkę.

Nie mieściło mu się to w głowie. Chciał pocałować dojrzałą kobietę. Kobietę będącą matką. Matką dziewczyny, z którą mógłby się przespać.

* * *

Ciemność powoli oblekała budynki majaczące na horyzoncie. Barwy traciły nasycenie. Wszystko stawało się coraz bardziej granatowe. Krystian Bączyk siedział na resztkach ławki na przystanku autobusowym i nawet nie zauważał, jak noc pożera dzień. Nie miał zegarka, więc nie wiedział, kiedy przyjedzie kolejny autobus. Dałby sobie głowę uciąć, że wychodził z domu

chwilę przed dwudziestą pierwszą. Według rozkładu jazdy autobus powinien przyjechać na przystanek o 21.20.

Czekał, bo nie chciało mu się iść. Właściwie nic mu się nie chciało. Czekać też nie. Rano spontanicznie umówił się z kolegami na piwo, ale już po kwadransie pożałował zbyt szybko podjętej decyzji. Mógłby wypić piwo, a nawet dwa przed telewizorem, a później pójść spać. Chmielowy napój zawsze smakował mu przecież tak samo, niezależnie od tego, czy jego picciu towarzyszył pubowy hałas, czy szum rozmów w telewizorze.

– No dalej! – zaczął pospieszać niewidoczny jeszcze autobus.

Ochota na spotkanie z kolegami mijała, w miarę jak ciemność zbliżała się do przystanku. Pole widoczności zmniejszało się, a on siedział o suchej gębie, czekając nie wiadomo na co. Świadomość, że mógłby siedzieć teraz przed telewizorem z puszką piwa i relaksować się po ciężkim dniu w fabryce, boleśnie go uwierała.

Zebrał w ustach zapas śliny i wypluł ją przez zęby. Powtórzył to jeszcze raz i jeszcze raz. Zabawa w płucie na odległość zawsze pomagała zabić czas.

Z lewej strony dotarł do niego głuchy dźwięk. Jakby coś spadło na wiatę autobusową. Przestał pluć i spojrzał w bok. Ściany wiaty nie były przezroczyste, niczego więc nie zobaczył. Zdał sobie jednak sprawę z tego, że zrobiło się już całkiem ciemno.

Siedział spokojnie i czekał, aż dźwięk się powtórzy. Zamiast tego usłyszał nieregularną cichą mieszankę popiskiwania, jęczenia i mrużenia.

– Halo? – odezwał się na wszelki wypadek.

Nie wiedział, czego się może spodziewać. O tej godzinie w okolicy trudno było znaleźć żywą duszę. Sam był półżywy, nie zażył przecież jeszcze zalecanej dawki napoju warzonego z dodatkiem chmielu. „Może to jakieś łobuzy” – pomyślał i rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby

posłużyć do obrony.

W odpowiedzi na swój głos usłyszał pomruk. Złowrogi, stłumiony i odpychający. Pomyślał, że to sygnał ostrzegawczy, a za wiatą czai się wściekłe zwierzę, gotowe do ataku. Jego wyobraźnia, zazwyczaj tkwiąca w alkoholowym lub poalkoholowym odrętwieniu, zaczęła pracować na wysokich obrotach, jakby w pięć minut chciała nadrobić trzydzieści straconych lat.

Słyszał zwierzę i czuł jego obecność. Bał się wychylić i zobaczyć, jak wygląda. Spodziewał się czegoś dużego, podobnego do wilkołaka. Z łobuzami mógłby walczyć, ba, nawet wygrać, ale jak bronić się przed wielkimi kłami, które zatopią się w łydkach, rozszarpia mięśnie, rozerwą krtań?

– Pójdiesz stąd! – krzyknął najgroźniej, jak tylko potrafił, i zaczął obijać się o ściany wiaty autobusowej, żeby zrobić jak największy hałas. Liczył na to, że zwierzę przestraszy się i ucieknie.

Niestety nadal dochodziły do niego przerażające odgłosy. W końcu postanowił stanąć do walki. Najchętniej uciekłby do domu, ale nie był głupi. Wiedział, że w tej dyscyplinie nie wygra nawet z jamnikiem. Złapie zadyszkę już po stu metrach.

Podszedł więc do krawędzi ściany i delikatnie się wychylił. Nie zobaczył nic oprócz ciemności. Schował się za ścianą, uspokoił oddech i podbudowany tym, że nie zobaczył żadnych czerwonych oczu, zdecydował się na atak.

– Aaaa. – Wyskoczył jak komandos, ugiął nogi i uniósł ręce na wysokość twarzy. – Spieprzaj stąd, bo cię rozpierdolę!

– Aaa...uuu.

– Wynoś się!

Odgarniał gałęzie gęstych krzaków i robił małe kroczki w stronę pomrukującej bestii, a jego serce zamarło w bezruchu. Ruszyło dopiero, gdy ustalił źródło hałasu. Na ziemi zaraz za przystankiem leżał chłopak. Nogi miał podciągnięte do brzucha, twarz skierowaną w dół, a wyciągniętą ręką dotykał ściany

wiaty.

– Ożeż kurwa!

Mężczyzna wyjął komórkę ze spodni, w katalogu z aplikacjami odnalazł latarkę, podbiegł do leżącego i poświecił mu w twarz. Chłopak był blady, półprzytomny i nie miał siły się ruszać.

– Ratunku! – szepnął jedynie, gdy kilka centymetrów przed oczami zauważył obcego mężczyznę.

– Trzymaj się, gościu! – Bączyk spanikował, gdy na białym T-shircie chłopaka zobaczył plamę krwi. – Trzymaj się, zaraz będzie tu lekarz. Uratują cię, gościu, uratują! Nie zasypiaj!

Zadzwoił po pogotowie i stał beczynnie, obserwując, jak na obrzeżach miasta, w błogiej ciemności, z nieznanego chłopaka ulatuje życie.

* * *

Kiedy Przemysław wyszedł z łazienki, dziewczynki słodko pochrapywały w swoich pokojach. Iza siedziała w łóżku zatopiona w lekturze. „Nie czytasz? Nie idę z tobą do łóżka”. Hasło kampanii społecznej promującej czytanie w takich okolicznościach nabierało dla niego zupełnie innego znaczenia. Nie tracąc czasu, wskoczył pod pościel i przytulił się do żony. Iza nie oderwała wzroku od kryminału ulubionego autora.

– Może odłożysz książkę? – Nie czekając na reakcję, zaczął całować jej ucho.

– A tak. – Książka wylądowała na stoliku. – Miałam jeszcze wyprasować sobie spódnice na jutro.

Opuściła łóżko tak szybko, jak on się w nim pojawił.

„Jeśli twoja żona – pomyślał, trawestując wypowiedź pewnego księdza – wybiera prasowanie zamiast seksu, to wiedz, że coś się święci”.

– Mhm – mruknął, udając głupiego. Pod byle pretekstem uciekała od niego.

Pozwolił jej wyjść z pokoju z poczuciem samozadowolenia. Odczekał chwilę i poszedł za nią.

– Miałaś nie podejmować decyzji. Jeszcze nie teraz – zaatakował zniecierpliwiony. – Nie tak się umawialiśmy.

– Słucham? – Zdążyła już rozstawić deskę do prasowania i wyjąć żelazko.

– Podjęłaś decyzję o rozwodzie...

– Nieprawda.

Chwilami żałował, że jest policjantem, że nie może swoich umiejętności zostawić w firmie. Widział, że żona kłamie. Tą odpowiedzią chciała przekonać jego, ale chyba najbardziej siebie.

– Cholera, Izka, przestań, nie okłamuj mnie.

– A co? Stary glina ma obsesję na punkcie prawdomówności?

– Próbowала się bronić, atakując na oślep.

– Przestań.

Praca nad małżeństwem dobra jest dla Syzyfa, a nie dwojga zwykłych ludzi, ssaków naczelnych mających na głowie dzieci, przykre obowiązki i inne problemy. Burzyński miał zamiar trzasnąć drzwiami, tak jak zwykle robił w podobnych sytuacjach, i nie odzywać się przynajmniej przez jedną dobę, ale zrezygnował. Ku zdziwieniu żony podszedł do niej, złapał za rękę i posadził na fotelu. Sam usiadł na drugim. Po chwili ciszy odezwał się.

– Dziewczynki pytały mnie o rozwód – wypowiadał słowa z trudem. Dobrze znał ich siłę rażenia. – Słyszały twoją rozmowę z matką.

– I? – Oczy Izy były całkiem obce.

– Chcę wiedzieć, czy wbrew naszym ustaleniom podjęłaś decyzję? Ja się staram jak kretyn – mówił spokojnie, specjalnie półszepem, żeby panować nad głosem – ale może to nie ma sensu?

– Jeśli chcesz wiedzieć, nie złamałam naszych zasad. Zwyczajnie rozmawiałam... Mówiłam, że jest taka opcja. Mamy kilka możliwości, jedną z nich jest rozwód, nie możesz temu zaprzeczyć.

„I to by było na tyle” – pomyślał, gdy użyła słowa „opcja”, i

wyobraził sobie samolot przebijający się przez chmury, ciągnący za sobą płachtę z napisem: „I to by było na tyle”. Dlaczego koniec związku zawsze przemyka niezauważony, dlaczego nikt nie chce go zauważać ani o nim rozmawiać? Skoro oświadczał się ukochanej napisem na niebie, napisem powinien zakończyć.

– Aha.

Wyszedł z pokoju i nawet nie dotknął drzwi. Wrócił do sypialni i usiadł na skraju łóżka. Po chwili obok niego usiadła Iza.

– Przemek... Widzę, jak się starasz. Doceniam to. Naprawdę.

– Ale i tak myślisz o rozwodzie – skwitował.

– Nieprawda.

W sypialni zaległa cisza. Ciężka, szczelnie wypełniająca przestrzeń. Bezpiecznie oddzielająca osoby, które nie kochają się już tak mocno jak kiedyś. Trwałaby w nieskończoność, gdyby Iza nie skapitulowała. Zdecydowała się zrzucić pancierz. Po jej twarzy pociekły łzy.

– Przemek... Ja... ja... Musisz mnie zrozumieć, bo... Ja po prostu boję się, że to tylko chwilowe. Widzę, że się starasz... – Cichy płacz zmienił się w lament skrzywdzonego dziecka. Dławiła się łzami, traciła oddech. – Boję się, że minie ten dobry czas, ty przestaniesz się starać i będzie po staremu.

– To przestań się bać. Izka? Żyj! Tu i teraz! Ja się staram, ale potrzebuję ciebie. Jeśli mi nie pomożesz, sam nie dam rady.

Akt 11

– Burza, jestem w szpitalu na Szwajcarskiej.

Burzyński nie odbierał telefonu, więc Majewski zostawił mu wiadomość. Chciał powiedzieć coś więcej o sprawie, która go tu przywiodła, ale zauważył, że na korytarzu pojawił się lekarz. Rozłączył się w pośpiechu i schował iPhone'a do kieszeni.

– Witam. – Podbiegł do mężczyzny w fartuchu i błysnął odznaką. – Michał Majewski, Komenda Wojewódzka Policji.

– Witam. – Wysoki mężczyzna odpowiedział, ale nie przedstawił się. Policyjna blacha nie zrobiła na nim wrażenia. Nie zważając na gościa, kierował się przed siebie. Przeglądał trzymane w ręku papiery.

– Podobno przywieziono do was w nocy chłopaka. – Majewski podążył za lekarzem. – Przypadek dla nas.

– Zgadza się.

– Co dokładnie się stało?

Pytanie policjanta sprawiło, że lekarz zatrzymał się i oderwał oczy od wyników badań.

– Pan jest z policji?

– Tak, przedstawiałem się sekundę temu...

– Przepraszam, konsultuję dość skomplikowany przypadek. – Lekarz machnął dokumentami, jakby chciał pokazać, że nie człowiek, ale kilka kartek przetworzonej celulozy to sedno przypadku.

– Pytałem o chłopaka przywiezionego w nocy z przystanku. – Majewski wyjął notatnik i spisał dane widniejące na plakietce przypiętej do fartucha lekarza: „Prof. Radosław Czarny,

ordynator”.

– Młody mężczyzna trafił na oddział przed północą. Był nieprzytomny, odwodniony, stracił dużo krwi. Zgłosiliśmy to, bo istnieje podejrzenie, że ktoś chciał usunąć mu nerkę.

– Usunąć nerkę? – Majewskiemu zapaliły się wszystkie możliwe kontrolki.

– Tak.

– Muszę z nim porozmawiać.

– Rozumiem, ale nie ma takiej możliwości.

– Panie ordynatorze, pan chyba nie rozumie powagi sytuacji. Muszę porozmawiać z ofiarą przestępstwa.

– Wiem, ale to chyba pan nie rozumie. W tej chwili nie ma takiej możliwości. Może później.

Konwersacja prowadzona na szpitalnym korytarzu idealnie pasowała do miejsca, w którym się znajdowali. Trudno byłoby ustalić, czy kolor ścian i ascetyczny wystrój obrazowały postawę kadry szpitalnej, czy odwrotnie. Być może empatyczni i sympatyczni ludzie, którzy pracowali wśród olejnych ścian o mdłym kolorze, niczym kameleony upodabniali się do otoczenia, by zniknąć w tle. Wraz z fartuchem wkładali na siebie obojętność, dystans i chłód.

– Kiedy później? – Majewski nie mógł opuścić szpitala bez konkretnej odpowiedzi.

Ordynator ruszył przed siebie i zatrzymał się dopiero przed drzwiami z napisem OIOM. Otworzył je i wskazał łóżko znajdujące się najbliżej wejścia.

– Nie wiem. Pacjent nadal jest nieprzytomny. Pytania o to, czy odzyska świadomość, a jeśli tak, to kiedy, proszę zostawić dla siebie. My, lekarze, możemy tylko czekać. Nie wiadomo, kiedy dokonano nacięcia, w ranę wdało się zakażenie. W tej chwili nic nie powie, ani wam, ani nam.

Majewski nie widział sensu w prowadzeniu dłuższej dyskusji. W końcu to nie był byle jaki lekarzyna, którego można by postraszyć skargą u przełożonego. Rozmawiał z półbogiem

oddziału. Mężczyzną, który w tym miejscu był nieomylny, wszechwiedzący i wszechmocny.

Ordynator wszedł do środka.

– Bez fartucha i ochraniaczy na buty na pewno pana nie wpuszczę! – zaprotestowała pielęgniarka na widok Młodego przekraczającego próg OIOM-u.

Chwilę potrwało, zanim zaopatrzył się w niezbędny zestaw odwiedzinowy. Conversy zakrył foliowymi woreczkami, a na T-shirt narzucił miętowy fartuch. Szeleszcząc, podszedł do łóżka, przy którym stał ordynator.

Chłopak wyglądał na śpiącego. Oczy miał zamknięte, a na ciele nie było widać żadnych śladów przemocy. Do Michała dotarło, że sytuacja wymaga od niego cierpliwości. Choć nie miał czasu, musiał poczekać na informacje.

– Kuźwa, powiedział pan – spojrzał w notatki, żeby dokładnie zacytować słowa lekarza – że ktoś chciał usunąć mu nerkę. To wyciął ją czy nie?

– Cięcie znajduje się w tak charakterystycznym miejscu, że nie mam wątpliwości, że chodziło o nerkę. Zaczyna się tutaj. – Wskazał na sobie miejsce pod łukiem żebrowym. – Przecięta została nie tylko skóra, ale też tkanka podskórna, powięź i mięśnie tworzące ścianę jamy brzusznej. Nie będę może wnikał w szczegóły – dodał, gdy zobaczył, że stojący przed nim policjant blednie. – W każdym razie takie cięcie robi się z zamiarem usunięcia nerki. Oczywiście ten dostęp typowy jest także dla większości zabiegów urologicznych na nerkach, ale myślę, że to możemy wykluczyć. Zleciłem personelowi sprawdzenie poznańskich oddziałów urologicznych i z tego, co wiem, w żadnym nie stwierdzono zaginięcia pacjenta.

– Czyli co? Możemy przyjąć, że ktoś chciał mu przeszczepić nerkę?

– Nie przeszczepić, ale pobrać.

Lakoniczność odpowiedzi udzielanych przez ordynatora była denerwująca. Majewski nie poruszał się zbyt pewnie w materii

medycznej. Brakowało mu Burzyńskiego. Żałował, że nie poczekał na niego przed wejściem do szpitala.

– A co za różnica? Wyciąć czy wstawić?

– Zasadnicza. Przeszczepienia dokonuje się zupełnie inaczej, najczęściej wewnątrztrzewnowo, do jamy brzusznej.

– Aha. – Młody kiwał głową, zastanawiając się, gdzie na ciele ulokować wyraz „wewnątrztrzewnowo”. – Czyli przy wszczepieniu nerki blizna...

– Przy przeszczepieniu – poprawił ordynator – blizny biorcy i dawcy wyglądają zupełnie inaczej. Poza tym każdy pacjent uczestniczący w przeszczepie, zarówno dawca, jak i biorca, leżałby teraz w szpitalu, a nie na jakimś odludziu. Z monitorowanymi parametrami życiowymi.

– Rozumiem. – Skupiony Majewski starał się zapamiętać każde słowo.

– Poza tym zrobiliśmy pacjentowi tomografię. Nerka, nad którą jest nacięcie, pozostała nienaruszona.

– Nie rozumiem. To po co ktoś go nacinał?

Ordynator wzruszył ramionami.

– To pytanie powinien pan skierować do kogoś innego. Nerka jest na swoim miejscu. Powiem więcej. Jest uszkodzona. Prawdę mówiąc, chłopak miał niesamowite szczęście.

– Szczęście? Nie rozumiem. Uszkodzono mu organ podczas wykonywania nacięcia?

– Nie! Nerka jest uszkodzona w takim sensie, że nie działa. Mógł o tym nie wiedzieć. Zdarzają się pacjenci, którzy od urodzenia mają tylko jedną nerkę. On miał szczęście, bo przecież mogli usunąć tę działającą, a wtedy po prostu by umarł.

* * *

– Dziękuję, że pojawiła się pani tak szybko.

Majewski celowo użył wyświechtanej formułki grzecznościowej. Chciał sprawdzić reakcję Anity. Po wyjściu z OIOM-u zadziałał spontanicznie. Postanowił wykorzystać

sytuację i pod pozorem omawiania spraw zawodowych popracować nad lodowatą panią antropolog. Wyjął iPhone'a i zadzwonił do niej z prośbą o pilną konsultację. Dotarła do szpitala w kwadrans. Obejrzelili cięcie na ciele przywiezionego chłopaka właściwie bez słowa i usiedli w szpitalnej kawiarni.

– Przeszliśmy na ty, nie pamiętasz? Możesz mówić mi po imieniu. Jeśli oczywiście je pamiętasz.

– Myślisz, że mógłbym zapomnieć, Anito?

Odsłonił wszystkie zęby i zmrużył oczy. Dała się wciągnąć w jego grę. Tym razem to ona przeszła z tonu służbowego na prywatny.

– Mieszkam niedaleko. – Próbowwała ukryć zmieszanie.

Majewski jej w tym nie pomagał. Wpatrywał się w nią zbyt długo. Wiercił dziurę przenikliwym spojrzeniem. Uznałaby, że ją podrywa, gdyby na chwilę zapomniała o tym, że jest od niego starsza.

– Gdy zadzwoniłeś, jeszcze nie zdążyłam wyjść z domu. – Trzymała się tematu.

– Tym bardziej dziękuję, że zoczyłaś z drogi do pracy. I co myślisz? W tym temacie jestem laikiem, ale coś mi tu nie gra. Chciałem, żebyś zobaczyła tę ranę.

– Z całą pewnością ktoś chciał usunąć nerkę temu chłopakowi.

Sceneria daleka była od romantycznej, choć standard lokalu nie odbiegał od normy. Sprzed jakichś trzydziestu lat. Przed policjantem i antropolożką stały plastikowe kubki z parującą, średniej jakości kawą. Przy stoliku obok kobieta w szlafroku pochłaniała naleśniki wypełnione białą masą.

– Hm, czy tylko mnie się wydaje, że nacięcie na ciele tego chłopaka podobne jest do nacięć, które miała ofiara z fortu, ta z wężem w środku?

– No nie wiem, ten z wężem został wypatroszony, więc siłą rzeczy sprawca musiał zrobić mu takie samo nacięcie, żeby usunąć nerki.

– Ale cięcie jest podobne?

– No tak, ale...

– Widzisz, czyli możliwe, że Ciemale też usunięto nerkę.

Majewski sam złapał się na tym, że używanie nazwisk ofiar zupełnie niepotrzebnie uczłowiecza je w jego oczach. Dla niego i dla policji ofiary stanowiły przecież tylko kolejną sprawę. Tylko sprawę. Podobnie jak dokumentacja i wyniki badań interesowały lekarza bardziej niż pacjent. Skupiał się na przypadku, nie na człowieku.

– Możliwe. Tylko że temu Ciemale usunięto też żołądek, wątrobę, trzustkę.

– Dziwny zbieg okoliczności. – Policjant nie dawał się zbić z tropu. Czuł, że złapał nitkę, która doprowadzi go do kłębka. – A może nie zbieg okoliczności, tylko celowe działanie? Zobacz. Temu chłopakowi ktoś chciał wyciąć nerkę. Gdyby nie okazało się, że jest uszkodzona, to pewnie teraz leżałby, tak jak nasz Ciemała, w jakimś forcie, wypatroszony, a my byśmy szukali jakiegoś świra. Początek nacięcia na ciele z fortu wygląda dokładnie tak samo jak u tego chłopaka. Ktoś mógł upozorować morderstwo na robotę świra. Wypatroszył ofiarę i wpakował do środka węża, wszystko po to, by ukryć prawdziwy motyw zbrodni – zakończył usatysfakcjonowany. Udało mu się błyskotliwie połączyć dwie ofiary. – Logiczne, nie?

Na twarzy Anity nie było jednak widać zachwytu.

– Nie wiem. – Wzruszyła obojętnie ramionami. – Nie jestem policjantem i nigdy nie chciałabym nim być.

Kobieta obserwowała Michała. Emocjonował się. Rozmawiał sam ze sobą. Był uroczy. Miał pasję i klasę, ale... wiedziała, że to złudny urok. Że pasja za chwilę zmieni się w pracoholizm, a urok w klątwę.

– Kuźwa, ale nadal coś mi nie do końca pasuje. Ten Ciemała wiedział, że go nie będzie. Uprzedził żonę o swojej nieobecności. Spodziewał się też dopływu gotówki. Nie mógł zostać porwany i zabity... – Nagle wrócił na ziemię i przypomniał sobie, w jakim

celu ściągnął antropolożkę do szpitala. – Ale wróćmy do spraw przyjemniejszych. Cieszę się, że tu jesteś. – Zawiesił głos i czekał na jej reakcję.

Uśmiechnęła się uprzejmie, ale z jej oczu zniknęło zainteresowanie. Uznał, że niepotrzebnie rozgadał się o pracy. Zaniedbał Anitę, a ona zaczęła się znowu zamykać w sobie.

– Potwierdziłaś moje domysły. Dziękuję.

– Proszę.

Kobieta w szlafroku włożyła do ust ostatni kawałek naleśnika i wstała.

– Miło było wypić z tobą kawę. – Majewski kolejno zastosował wszystkie swoje urocze uśmiechy. – Szkoda, że nie najlepszej jakości. Czuję się w obowiązku wszystko ci wynagrodzić – i pomoc, i te plastikowe kubki.

– Nie musisz.

Studiował jej twarz. Powoli się rozpogadzała. Rozkwitała i uroczo zaczynała się rumienić.

– Musimy to kiedyś powtórzyć. Kawę, nie spotkanie w szpitalu... Mam nadzieję, że pozwolisz mi się zrewanżować?

Przez chwilę wahała się, czy powinna brnąć w osobiste relacje z flirtującym Majewskim. Rozchyliła usta, by udzielić odpowiedzi. Dokładnie w tej samej chwili zadzwoniła komórka policjanta i romantyczny nastrój diabli wzięli.

– Cholera, Młody, gdzie jesteś? – zagrzemiał Burzyński.

– Jadę, już jadę.

– Za pięć minut widzę cię w komendzie!

Majewski schował telefon i zwiesił głowę.

– Przepraszam, cudownie się z tobą rozmawia, ale muszę już lecieć. Od godziny powinienem być w zupełnie innym miejscu. Burza mnie zabije.

* * *

– Śmierć? – Dziennikarka celowo powtórzyła ostatnie słowo rozmówcy, zamiast sformułować pytanie. Wiedziała, że za

chwile ich rozmowa wejdzie na zupełnie inny poziom. Taki, na którym lawirowanie między prawdą a kłamstwem zastąpią konkrety.

– Potrafisz wyobrazić sobie, co czuje człowiek, który wie, że za chwilę umrze?

– Nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– W takich chwilach okazuje się, że to nie życie wymaga odwagi. Żyjesz z przyzwyczajenia, według schematów powtarzanych każdego dnia. To świadoma śmierć wymaga odwagi. Nie znam bardziej boskiego uczucia niż balansowanie na granicy życia i śmierci. Wyobrażasz sobie życie ze świadomością, że za chwilę umrzesz? – Silny głos mężczyzny brzmiał jakoś inaczej. Jakby nagle gangster stał się kaznodzieją. – To boli. Najbardziej chyba uświadomienie sobie faktu, że przez lata się oszukiwałaś... że tak naprawdę nie panujesz nad swoim życiem. Pojawia się pełna paleta negatywnych emocji. Zaniepokojenie zmienia się w lęk. Ten lęk narasta tak długo, aż budzisz się z letargu i czujesz, że stał się paralizującym przerażeniem. Miotasz się i poszukujesz drogi do Boga. Nieważne jakiego. Wiara jest tym, co daje nadzieję na cud. Więc wierzysz i czekasz. Czekasz i wierzysz. I trzęsiesz się, bo lęk nie mija. Sikasz pod siebie, bo przeraża cię każda minuta twojej przyszłości. I nie wiesz, czy ona nadejdzie.

Mężczyzna zapomniał o gorącym powietrzu i lampach, które wcześniej go denerwowały. Dziennikarka otworzyła puszkę Pandory. Chciał wyrzucić jej zawartość na stół i pokazać całemu światu, co naprawdę liczy się w życiu.

– Gdy ktoś trzyma wycelowany w ciebie pistolet – kontynuował – to jeszcze nie oznacza, że za chwilę spotka cię śmierć. Zwiększa jedynie jej prawdopodobieństwo. Napastnik zawsze może się rozmyślić. Albo tylko cię straszyć. Albo sam wcześniej paść od kuli.

Zwiesił głowę i zamilkł. Dziennikarka nie reagowała. Czuła, że od kilkunastu sekund operator kamery filmuje jej twarz.

Domyślała się, że właśnie przed chwilą wywiad skupił na sobie uwagę wszystkich widzów. Setki tysięcy ludzi przed telewizorami przestały prasować, chrupać orzeszki czy piłować paznokcie. Wszyscy wpatrzyli się w ekran i z zapartym tchem czekali na dalszy ciąg magnetyzującego wywołu mężczyzny.

– Gdy życie trzyma cię na muszce – cedził słowa – wiesz, że nie masz szans. Nikt cię nie uratuje. Nikt nie pomoże. Nie możesz nic zrobić. Nie ma nic gorszego niż czekanie na śmierć. Wszystko traci sens, a jednocześnie go zyskuje.

* * *

Burzyński stał w otwartym oknie, a Majewski jak zwykle kręcił się na krześle. Roznosiła go energia. Uporządkowali fakty, przedyskutowali powiązania między ofiarami.

Niezaprzeczalnie ktoś chciał pozbawić nerki chłopaka leżącego w szpitalu. Nie znali jeszcze jego nazwiska, ale z niecierpliwością czekali, aż odzyska przytomność i opowie swoją wersję wydarzeń.

– To mógł wyciąć drugą, jeśli już się nastawił na nerki.

– Mógł. Ale może się przestraszył? Może coś poszło nie po jego myśli? Porzucił chłopaka pod lasem, bo myślał, że prędzej skona, niż z kimś porozmawia.

Co chwilę pojawiały się kolejne wątpliwości i pytania, na które próbowali znaleźć odpowiedzi. Majewskiemu podobała się taka burza mózgów. Swobodny przepływ informacji, odczuć i faktów.

– Słuchaj, Burza, Ciemała znał Andżelę. Oboje nie żyją. Może zabił ich ten sam człowiek? Może z niej też wyciągnął narządy?

– Wszystko jest możliwe. Nie widzieliśmy jej ciała, nie wiemy, czy była, że tak powiem... kompletna.

– Kuźwa, niech ten chłopak już się wybudzi. Rozmowa z nim wszystko wyjaśni. Może on też zna Ciemałę?

– Już prędzej Andżelę. Pomyśl, Młody. Co łączy prostytutkę i ofiarę z fortu? Burdel King.

– Dokładnie. Dam sobie rękę uciąć, że chłopak bzykał się z którąś z dziewczyn Burdel Kinga.

– Oj, Młody, Młody. Ile razy ci mówiłem? Nie podkładaj pod gilotynę potrzebnych ci kończyn. Lepiej ustal fakty. Sprawdź hipotezy.

„No cóż, ręce potrzebne są właściwie do wszystkiego. – Majewski otrząsnął się na myśl o swojej ukochanej giulietcie stojącej beczynnym na parkingu. – Szkoda byłoby je stracić tak głupio”.

– Dobra, a powiedz, kto mógł się zabierać do wycinania narządów i po co?

– Jak to po co? Na handel.

– Okej, czyli dla kasy. W takim razie ktoś porzywa ludzi i wycina im narządy. Potem sprzedaje je i zbija na tym fortunę. Tylko kto?

– Na pewno nie amator. Musi je pobrać tak, by nadawały się do sprzedaży. Na pewno się na tym zna.

– Czyli to jakiś lekarz. Chirurg na przykład?

– Na przykład.

– A gdzie możemy znaleźć lekarzy?

– W szpitalach. Trzeba sprawdzić te, w których robi się przeszczepy – zarządził Burzyński i wrócił do biurka.

Przez wyszukiwarkę odszukał listę wszystkich poznańskich szpitali. Każdą placówkę zamierzał odwiedzić wirtualnie i sprawdzić, czy zajmuje się przeszczepami.

Młody przestał obracać się na krześle. Przez chwilę wydawało mu się, że monitor stojący na biurku wiruje. Gdy tylko przestało mu się kręcić w głowie, też rozpoczął poszukiwania.

– Juraszów, Przybyszewskiego i Grunwaldzka, tam przeszczepia się nerki – raportował na bieżąco. Był szybszy niż Burzyński w przeszukiwaniu zasobów internetowych. – Trzustki ani wątroby w Poznaniu nie przeszczepisz.

– Dobra, spisz adresy, pojedziemy tam, popytamy. Musimy sprawdzić wszystkie. A jeśli nie Poznań, to gdzie?

– Białystok, Bydgoszcz, Gdańsk – Młody odczytywał nazwy miast, w których znajdowały się ośrodki zajmujące się przeszczepem nerek. – Katowice, Kraków, Lublin, Łódź, Olsztyn, Szczecin, Warszawa, Wrocław.

– A skąd masz te dane?

– Jestem na stronie Poltransplantu. To centrum organizacyjno-koordynacyjne do spraw transplantacji. Najpewniejsze źródło informacji.

– Faktycznie, nie pomyślałem o Poltransplancie. Czyli w Wielkopolsce tylko Poznań. Dobra, sprawdzimy te trzy adresy. Może w którymś szpitalu można kupić sobie coś na lewo?

– Myślisz, że w Poznaniu kwitnie czarny rynek narządów?

Łączenie pojęć ekonomicznych z kolorami denerwowało Burzyńskiego. Szara strefa, czarny rynek, biała strefa. Tak jakby można było łamać prawo delikatnie, mocniej i najmocniej. Znał więcej niż pięćdziesiąt odcieni szarości i wiedział, że niewiele mają wspólnego z kolorami. W jego rozumieniu zarówno nielegalny obrót legalnymi produktami, jak i obrót nielegalnymi produktami były świadomym łamaniem prawa i jako takie powinny być piętnowane.

– To byłaby wielka sprawa. – Majewski rozmarzył się. – Trafilibyśmy na pierwsze strony wszystkich gazet. Policjanci z Poznania zdekonspirowali czarny rynek narządów.

– Młody, ty jak zwykle myślisz o sławie. Skup się na problemie. Lekarze publicznie oburzają się na sugestie dotyczące istnienia czarnego rynku narządów, a nawet na pytania o możliwość jego działania.

– Może oburzenie bierze się z lęku? Boją się, że zostaną oskarżeni?

– Może. Kiedy będziemy mogli przesłuchać tego chłopaka ze szpitala?

– Jak odzyska przytomność.

– Ale lekarz jest pewien, że ją odzyska prędzej czy później, tak?

* * *

– Czarny rynek? To niemożliwe.

Kategoryczne i lakoniczne stwierdzenie doktora Wojciecha Czerskiego brzmiało tak, jakby miał zakończyć dyskusję z policjantami, zanim na dobre się rozpoczęła.

– Będziemy wdzięczni za bardziej rozbudowaną wypowiedź – rzucił uprzejmie Burzyński.

– Panowie, mogę z całą stanowczością stwierdzić, że w Polsce coś takiego nie istnieje. U nas nie handluje się organami.

– Na czym opiera pan swoje stanowcze twierdzenie?

– Zasady pobierania, przechowywania i przeszczepiania narządów określają przepisy ustawy z pierwszego lipca dwa tysiące piątego roku. Artykuł trzeci, ustęp pierwszy wyraźnie zakazuje żądania lub przyjmowania jakiegokolwiek zapłaty za pobrane narządy. Ustawodawca nałożył na łamiących ten zapis sankcje karne.

– Panie Czerski! Nie pytamy pana o brzmienie ustawy, ale o praktykę! – Młody przerwał lekarzowi. Był żądny konkretów, a nie wypowiedzi godnych rzecznika prasowego, który z wdziękiem łyżwiarki figurowej ślizga się między pytaniami i omija sedno problemu. – Sami doskonale znamy przepisy. Wiemy, że za zamieszczenie ogłoszenia o sprzedaży organów grozi między innymi pozbawienie wolności do roku, a za pośrednictwo przy sprzedaży cudzych organów pięć, a nawet dziesięć lat. W zależności od tego, czy to jednorazowa akcja, czy stałe źródło dochodów. Dobrze wiemy też, że sposobów na łamanie norm prawnych jest więcej niż samych norm. Dlatego pytamy pana o praktykę.

– Gdyby mi pan nie przerywał, doszedłbym również do praktyki. – Czerski wydawał się niewzruszony. – Pana kolega prosił o rozbudowaną wypowiedź, więc zacząłem od wstępu.

Gabinet, do którego lekarz zaprosił policjantów, przypominał wagon kolejowy. Był długi i wąski, ale dobrze wyposażony. Pod oknem stała wygodna kanapa – idealne miejsce zarówno na krótsze, jak i dłuższe drzemki. Czerski usiadł przy biurku, tyłem

do okna. Promienie słoneczne tworzyły poświatę wokół jego sylwetki. Policjanci zajęli plastikowe krzesła stojące przy ścianie.

– Taa, w takim razie przejdźmy do sedna problemu. Co powiedziałyby pan na nasze czysto hipotetyczne stwierdzenie, że w tym szpitalu nielegalnie przeszczepia się nerki?

– Powiedziałbym, że to jest niemożliwe.

– Wszystkie osoby związane z transplantologią powtarzają, że jest to niemożliwe, po czym nabierają wody w usta. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że taka odpowiedź pozwala podejrzewać, że coś jednak jest na rzeczy.

Burzyński przypuścił atak na doktora. Wiedział, że albo Czerski zmieni swoją postawę i podzieli się informacjami, albo wskaże im drzwi. Był na swoim terenie. W każdej chwili mógł przypomnieć sobie o niezwykle ważnej konsultacji, zabiegu czy obchodzie.

– A czy panowie zdają sobie sprawę z tego, że ciągle podnoszenie tematu czarnego rynku narządów w mediach sprawia, że ludzie boją się przeszczepów? – Ton Czerskiego zmienił się, a lakoniczność zastąpiły pretensje: długo powstrzymywane emocje wybuchły z wielką siłą. – Zgodnie z polskim prawem lekarze mogą pobierać narządy od wszystkich zmarłych, którzy za życia nie wyrazili sprzeciwu. Problem polega jednak na tym, że zazwyczaj wycofują się z planów ich pobrania tylko dlatego, że sprzeciwia się temu rodzina zmarłego. Działają zgodnie z obowiązującym zwyczajem, nie prawem. Rodzina chce mieć „całe zwłoki”. Rodzina obawia się czarnego rynku. Obawia się tego, że lekarze mogą uśmiercić kogoś celowo, z powodu organów, które chcą przeszczepić komuś innemu! Zapomina o naszej przysiędze Hipokratesa, o tym, że lekarz ma na celu ochronę życia. Życie to życie. Po co miałbym uśmiercać Nowickiego, by uratować Nowaka? Pieniądze? Proszę wybaczyć, ale żadne pieniądze nie wynagrodzą mi ewentualnych strat: braku możliwości pracy w zawodzie, pozbawienia wolności i poczucia porażki. Czemu w Polsce nie mówi się głośno o tym, że

gdyby narządy pobierano od wszystkich zmarłych, oprócz tych, którzy wyraźnie to zastrzegli, to organów starczyłoby dla wszystkich potrzebujących? Dlaczego nie ma mądrej, głośnej akcji informacyjnej!? Nie wiem. Wiem tylko, że ludzie czekają na przeszczepy latami, niektórzy z nich umierają... A setki ciał chowa się w ziemi z organami, które mogłyby uratować komuś życie. Ba, nawet kilku osobom!

– Panie doktorze, w pełni rozumiemy pana pretensje i obawy. Sprawa, którą prowadzimy, nie przedostała się jeszcze do mediów. Wiemy, że najłatwiej jest rzucać oskarżenia, dlatego też przyjechaliśmy najpierw do pana, by ustalić fakty.

– Fakty?

– Gdzieś w Poznaniu miało miejsce nielegalne pobranie narządów. Chcemy wiedzieć, czy mogło się to zdarzyć w tym szpitalu?

– Albo w innym zajmującym się przeszczepami? – odpowiedział Majewski.

– Pytacie mnie panowie, czy w moim szpitalu działa podziemie transplantacyjne?

– Dokładnie.

– Nie – odparł Czerski bez zastanowienia. – Z całą pewnością nie. My jako szpital byliśmy kontrolowani niejeden raz. Przez wszystkie możliwe służby i instytucje.

Twarze policjantów nadal wyrażały powątpiewanie, więc wyjaśnił bliżej:

– Już mówię dlaczego. Każda osoba zakwalifikowana do przeszczepu wpisywana jest na krajową listę osób oczekujących na przeszczep. Gdy dostępny jest narząd, wybiera się z tej listy osobę, która najpilniej potrzebuje pomocy. Wszystko odbywa się z zachowaniem jawnych i obiektywnych kryteriów medycznych. Ośrodki, w których dokonywane są przeszczepy, także są na bieżąco monitorowane. Muszą spełnić wiele wymagań, żeby w ogóle zostać ośrodkami transplantacyjnymi. Uzyskują zgodę ministra zdrowia na prowadzenie takich, a nie innych działań.

Każde pobranie narządu od żywego dawcy musi być zgłoszone do Poltransplantu. Oznacza to, że państwo monitoruje cały proces, właściwie z każdej strony.

– Założmy jednak, że chciałbym obejść system monitoringu. Że nie mogę doczekać się na przeszczep i chcę zrobić to poza kolejką.

Słowa Burzyńskiego nie drażniły doktora. Z triumfującym uśmiechem, ale też spokojem wyjaśniał procedury. Zrozumiał, że w kilkanaście minut obecni w jego gabinecie policjanci muszą przejść przyspieszony kurs transplantologii.

– Nie da się tego zrobić poza kolejką. Żadna koperta nie pomoże. Lista oczekujących nie ogranicza się tylko do pacjentów naszego szpitala. Obejmuje cały kraj. Kryteria są jasne, oczekujących dużo, nie ma mowy o kupowaniu sobie miejsc. Jeśli komuś się spieszy albo czas oczekiwania na przeszczep jest zbyt długi, co zagraża życiu, to może poszukać dawcy wśród najbliższej rodziny. Ustawodawca dopuszcza taką możliwość.

– A jeśli nie znajdzie nikogo z rodziny, ale kogoś obcego?

– Gdyby hipotetycznie założyć, że znajdzie obcego lub niespokrewnionego dawcę, który zgodzi się podarować narząd, przed transplantacją musi otrzymać zgodę sądu. Nieważne, czy dawcą jest kochający partner niebędący małżonkiem, czy obcy zwerbowany z ogłoszenia. Sąd rejonowy musi zbadać sprawę. Przede wszystkim musi sprawdzić, czy darowanie narządu jest faktycznie bezinteresowne, czy też stoją za tym pieniądze. Na decyzję ma siedem dni. Wysłuchuje wnioskodawcy, zapoznaje się z opinią Komisji Etycznej Krajowej Rady Transplantacyjnej i wyraża zgodę bądź jej nie wyraża.

– Taaa, faktycznie, to wydaje się przejrzyste. Ale jeśli dawca nie jest altruistą? – drążył Burzyński. – Jeśli ktoś chce sprzedać swój narząd, nigdy nie pójdzie do sądu. Będzie chciał załatwić sprawę na lewo.

– Procedury transplantacyjne wymagają zaangażowania dużych zespołów ludzkich i dużych nakładów materiałowych,

więc w kraju ze zdrowym systemem, a za taki uważam Polskę, jest to niewykonalne. Przeszczep nerki, wątroby czy serca to nie jest wycięcie migdałków. Nie ma takiej możliwości, żeby przekupiony pojedynczy lekarz pod osłoną nocy korzystał z sali operacyjnej w szpitalu i biegał między jednym a drugim stołem, z jednego pacjenta wyjmując nerkę, a drugiemu ją wkładając. To niemożliwe. Fizycznie i organizacyjnie. Poza tym nie mógłby korzystać z pomieszczeń szpitalnych dla swoich prywatnych celów w tajemnicy przed resztą naszego zespołu.

- No ale można by przekupić więcej niż jednego lekarza - zauważył Majewski.

- Teoretycznie tak. Ale trzeba byłoby przekupić wszystkich. Lekarzy, pielęgniarki, salowe. Wieść o nielegalnych przeszczepach szybko by się rozniosła. A poza tym jak biorca, którego nazwisko znajduje się na krajowej liście oczekujących na przeszczep, wytłumaczyłby, że przeszczep nie jest mu już potrzebny?

- Wydaje mi się, że wyobraźnia ludzi nie zna granic, jakoś można by to wytłumaczyć.

- Tak, być może raz. Ale drugi? Trzeci, dziesiąty? Utrzymanie takiego podziemia kosztowałoby fortunę. Jak tłumaczyłby się dawca, gdyby trafił kiedyś do lekarza? Nie mógłby powiedzieć, że sprzedał nerkę, bo za taką transakcję groziłoby mu więzienie. A jeśli nie ma nerki i jednocześnie nie figuruje w centralnym rejestrze dawców żywych, to jego wina jest oczywista. Co najważniejsze, sama operacja to dopiero początek. Biorca potrzebuje profesjonalnej opieki do końca życia. Musi brać leki zapobiegające odrzuceniu przeszczepu. Skąd miałby je brać, gdyby organ kupił na lewo? Powiem szczerze, że działanie czarnego rynku narządów w Polsce oznaczałoby, że wszyscy, którzy zajmują się transplantologią, cała kadra, nie tylko my, lekarze dokonujący przeszczepów, jesteśmy zorganizowaną grupą przestępczą. Wszyscy, bo w tej branży nie ma wyjątków. Tu nie można czegoś nie chcieć zauważać. Nie można przymykać

oczu na nieetyczne działanie kolegów. Proszę pamiętać, że to my patrzemy na śmierć ludzi oczekujących na przeszczep. Obserwujemy, jak z nadzieją czekają na telefon od koordynatora, bo może tym razem usłyszą upragniony komunikat. Może to dziś będzie ten wielki dzień. Nie jesteśmy hienami grasującymi na zwłokach. Zależy nam na tym, by śmierć, jeśli nastąpi, mogła służyć życiu.

– A gdyby ktoś zorganizował sobie taką salę operacyjną poza szpitalem?

– To nadal pozostałby problem leków dla biorcy, stanu zdrowia dawcy i widocznych śladów przestępstwa...

* * *

Marianna Byczkowska się niepokoiła. Co kilka minut podchodziła do stołu i zerknęła na swoją komórkę. Ta jednak milczała jak zaklęta. Marianna zaczynała widzieć świat w czarnych barwach. Próbowwała uspokajać samą siebie, zwalając wszystko na burzę hormonalną, ale podświadomie czuła, że coś się stało. Coś, na co nie była przygotowana psychicznie.

– Mania! – Grupka dzieci dotarła do domu z przystanku autobusowego. – Jesteśmy!

Harmider w sieni oznaczał, że minęła piętnasta. Szkolny autobus z żółwią prędkością odwiedzał okoliczne wioski i wypluwał na przystankach kolejne porcje rozwrzeszczanych dzieci.

– Co w szkole? – spytała automatycznie.

Takie pytanie padało przez wiele lat, kiedy sama chodziła jeszcze do szkoły. Powtarzała je bezwiednie, częstując dzieci porcją udawanego zainteresowania.

– Nic.

– W porzo.

– Okej.

Marianna oczekiwała właśnie takich rutynowych odpowiedzi. Ale najmłodsza siostra stała w sieni ze zmartwioną miną.

– Co tam, mała? Jak było w szkole? – Marianna zagadnęła siedmiolatkę.

– Więcej tam nie pójde!

– Dlaczego?

– Bo Julka się obraziła. – Dziewczynka ledwo powstrzymywała się od płaczu. – Przestała się do mnie odzywać i nawet poszła siedzieć z Baśką, a ja zostałam sama. Sama w ławce, sama na przerwie, sama w autobusie.

Marianna westchnęła głośno. W pełni solidaryzowała się z siostrą. Nigdy nie lubiła szkoły i też chciało jej się płakać. Problem, który zaprzętał jej głowę, był podobny. Bała się, że już na zawsze zostanie sama. Artur, jej chłopak, nie odzywał się od dwóch dni. Komórka Marianny milczała. Oczywiście mogłaby sama, kontrolnie, zadzwonić do ukochanego, ale od kilku tygodni nie miała wolnych minut na karcie SIM. Nie zasilala konta, nie mogła więc wysyłać SMS-ów ani wykonywać połączeń.

Artur odwiedzał ją codziennie. Byli w stałym kontakcie. Jeśli coś mu wypadło i nie mógł przyjechać, zawsze dzwonił. Chcieli razem zamieszkać. Miał znaleźć jakąś kawalerkę, stałą pracę... Ona miała gotować obiady, prać, prasować i troszczyć się o niego. Dziś ta piękna wizja przyszłości zaczynała trzeszczeć w szwach.

– Co na obiad? – Dzieci jak karaluchy wpełzły do kuchni w poszukiwaniu pożywienia.

– Makaron – odpowiedziała Marianna, robiąc dobrą minę do złej gry.

– Makaron?

– Znowu makaron?

– A z czym?

– Z makaronem, nie marudźcie. Jutro ojciec powinien dostać wypłatę. Kupię wtedy kiełbasę i zrobię na niedzielę przepyszny obiad.

– Jaki? Jaki? – uśmiechnęła się siedmiolatka, ozywiona

smaczną obietnicą.

– Przepyszne ziemniaczki polane tłuszczem, smażona kiełbaska i cebulka!

* * *

– Pomyślałbyś, że na nową nerkę czeka się średnio dwa i pół roku?

– Burza, na jaką nową? Na używaną.

– Nowa czy używana, ważne, żeby działała.

Niebieski kadett poruszał się w swoim tempie ulicą Grunwaldzką. Policjanci opuścili szpital i bogatsi o konkretne informacje postanowili zaoszczędzić czas, czyli podzielić między siebie wizyty w dwóch pozostałych ośrodkach transplantacyjnych. Majewski miał pojechać na Juraszów, a Burzyński na Przybyszewskiego. Wcześniej jednak musiał podrzucić Młodego na parking, na którym tkwiła samotna giulietta.

– Nie masz klimy?

– Jeśli jest ci za gorąco, otwórz okno. To tak zwana klimatyzacja naturalna. – Burzyński przykrył żartem braki w swoim aucie.

Zakupowi opla towarzyszyła tak ogromna radość, że nigdy jej nie zapomni. Duma rozpierała go przez kilka tygodni. Nabył okazjnie dwuletniego i zadbanego kadetta z małym przebiegiem. Nawet Iza była zachwycona. Dziś jednak nie chciał pamiętać, ile lat upłynęło od tamtego dnia. Dużo. Prawdopodobnie zbyt dużo. Przywiązał się do kadetta prawie jak do żony, był świadomy jego wad, ale cenił jego zalety. Tkwił więc w przyjemnym odrętwieniu do czasu, gdy na horyzoncie nie pojawił się energiczny Młody ze swoją idealną alfą romeo. Wtedy zaczął zauważać wszelkie wady swojego samochodu, a także relikty poprzedniej epoki technologicznej. Powoli docierało do niego, że musi kupić nowszy model.

– Halo?! – Majewski krzyknął do iPhone'a na tyle głośno, by

przekrzyczeć radio.

Głośna muzyka miała zagłuszyć szum naturalnej klimatyzacji, stuki w lewym nadkolu i pracujący silnik, który także nie należał do najcichszych. Burzyński wyłączył radio, by uniknąć wrzasków kolegi.

– Świetnie. To cudowna wiadomość. Gratuluję, miałas nosa. Czekałem tylko na potwierdzenie. Dziękuję.

Twarz Majewskiego promieniała, mimo że rozmowa nie trwała dłużej niż czterdzieści sekund.

– To była pani antropolog. – Młody wskazał na iPhone'a. – Mamy potwierdzenie. Kości ofiary znalezionej w lesie właśnie przestały być NN.

– Andżela?

– Dokładnie. Potwierdziły to kartoteki dentystyczne. Katarzyna Szafran, czyli prostytutka Andżela pracująca dla Burdel Kinga i obsługująca Józefa Ciemałę.

– Pięknie!

Majewski nie zdążył wrzucić telefonu do przepastnej kieszeni spodni, gdy ten znowu zaczął dzwonić. Nie spoglądając na ekran, automatycznie odebrał rozmowę i zapytał tonem gorącego kochanka:

– Już tęsknisz? Ja też. Rozmawialiśmy przecież aż trzydzieści sekund temu.

Podkomisarz jak rażony piorunem spojrział na zadowolonego partnera. Minutę wcześniej rozmawiał z Anitą Broll. „Czy to możliwe, by...”. Sam przestraszył się swoich myśli, dlatego nie zamierzał się na nich skupiać.

– Aaa, tak, przepraszam. Spodziewałem się kogoś innego.

„Czyli to nie Anita. – Burzyński odetchnął z ulgą. – To ktoś inny. Nie zmienia to jednak faktu, że Młody spodziewał się Anity i to do niej był ten tekst o tęsknocie. Flirtował z nią. Nie. To nie były już tylko zalotne rozmowy czy kokieteryjne zachowania. To był regularny podryw”.

– Z jakiego szpitala pan dzwoni? – Młody potrzebował chwili,

by skojarzyć fakty. – A tak, już wiem. Odzyskał przytomność? Świetnie. Kiedy? Teraz? Dobra, już jedziemy. Panie doktorze, dziękuję za informację.

Niebieski kadett wjechał właśnie na rondo Rataje. Kierowca udawał skupionego na drodze, ale w środku walczył sam ze sobą.

– Zawracamy! – Młody odłożył komórkę. – Dzwonili ze szpitala. Nasz prawie okradziony z nerki właśnie odzyskał przytomność.

W normalnych okolicznościach podkomisarz wszedłby w dyskusję na temat tego, który z nich ma prawo podejmować decyzje. W końcu to on był starszy stopniem i on prowadził samochód. Do niego należało podjęcie decyzji. Jednak w obliczu zdarzeń z ostatnich kilku minut świat wirował w głowie Burzyńskiego o wiele za szybko. Podkomisarz wykonał błyskawiczny manewr zmiany pasa drogowego. Samochód, któremu zjechał drogę, roztrąbił się głośno.

Majewski nie odzywał się, a Burzyński wciskał pedał gazu w wycieraczkę ukochanego auta. Chwilę później z piskiem opon wjechali w ulicę Szwajcarską.

– Mógłbyś ją sobie darować – wydusił z siebie Burzyński. Starał się, by w jego głosie zadźwięczało jak najwięcej obojętności.

– Słucham?

– Daruj ją sobie.

– Kogo?

– Panią antropolog.

– Dlaczego?

Wielokrotnie rozmawiali o kobietach. Zawsze na luzie, przy okazji, czasem dla zabicia czasu. Nigdy nie towarzyszyło tym rozmowom negatywne napięcie.

– Bo... bo tak ci radzę. Celuj w panienki w swoim wieku albo młodsze. Przecież ona jest dla ciebie za stara.

Burzyński zaparkował przed szpitalem. Obaj trzasnęli drzwiami i bez słowa udali się do budynku. Majewski nie miał

ochoty na dyskusje.

* * *

– Gdzie leży? – Burzyński odezwał się ponownie dopiero wtedy, gdy dotarli na odpowiednie piętro.

– Na OIOM-ie. – Młody wskazał drzwi, zza których wyszedł właśnie ordynator. – Panie doktorze, dzień dobry, już jesteśmy.

– Witam.

– To mój partner, podkomisarz Przemysław Burzyński – dokonał prezentacji.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni. Lekarz ponownie nie czuł się w obowiązku podać swojego nazwiska. Widocznie uznał, że plakietka przypięta do fartucha zwalnia go z przestrzegania zasad savoir vivre'u.

– Możemy do niego wejść?

– Niestety, przyjechaliście panowie za późno. – Słowa ordynatora zabrzmiały jak kiepski żart.

– Za późno? – Młody poczuł się oszukany. – Przecież przyjechaliśmy od razu po telefonie.

Policjanci nie tracili czasu. Pokonanie dystansu dzielącego ich od szpitala zajęło nie więcej niż kwadrans. Byli przekonani, że będą mieli możliwość przesłuchania chłopaka.

– Być może, ale Niestety pacjent znowu stracił przytomność.

– Zdażył coś powiedzieć?

* * *

– Musicie wiedzieć, że mimo postępów kryminalistyki i możliwości stosowania nowoczesnych metod nadal korzysta się też ze sprawdzonych i używanych od lat sposobów identyfikacji człowieka. Tematem naszych dzisiejszych zajęć jest jedna z nich.

Anita Broll opierała się o biurko stojące w sali wykładowej. Pierwsze ławki jak zwykle były wolne. W drugich siedziało kilku kujonów i dwie spóźnione blondynki. Reszta sali wypełniona była po brzegi. To zawsze bawiło Anitę. Studenci jak ognia bali się pierwszych ławek, jakby wykładowcy mieli w zwyczaju

pożeranie najbliższej siedzących.

– Opowiem wam dziś o identyfikacji stomatologicznej i antropologicznej. Jak już wiecie, w oparciu o metodę stomatologiczną można ustalić wiek danej osoby. Charakterystyczne cechy uzębienia pomagają jednak nie tylko przy identyfikacji osoby zmarłej. Ludzkie zęby spokojnie mogą służyć także do identyfikacji sprawcy przy przestępstwach kryminalnych.

Siedząca w przedostatniej ławce Renata Krzyżaniak czuła, że w tej chwili nie interesują jej ani zęby, ani sprawy kryminalne, ani stypendium. Marzyła o tym, by położyć się spać. Wieczorem wyszła na imprezę i właściwie nie zauważyła, kiedy skończyła się noc. Słońce uciekło za horyzont, przez chwilę świecił księżyc, a potem zupełnie niespodziewanie i w najgorszym momencie pojawił się świt. Uciekła z imprezy niczym Kopciuszek. Zdażyła jedynie wpaść na stancję, by zmienić ubranie, i pobiegła prosto na zajęcia.

Siedzący w drugich ławkach studenci przepisywali z tablicy zawartość slajdu, na którym zapisano indywidualne cechy ludzkiego uzębienia: brak zębów, ubytki, budowa i rozmieszczenie zębów w łuku, wzajemne ustawienie zębów, ich wysokość i nierówności, a także charakter zgryzu.

– Zdarzają się sytuacje, w których na miejscu przestępstwa znajdowane są produkty spożywcze z odciskiem zębów. Czasem sprawca je kanapkę albo jabłko. – Broll zignorowała stłumiony śmiech, który przebiegł po sali. – Wyrzuca resztki do kosza albo za siebie i zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że zostawia ślady pozwalające zidentyfikować go na późniejszym etapie.

W górze pojawiła się ręka Nowaka. Jak zwykle siedział tak, by utrzymywać kontakt wzrokowy z wykładowcą, i jak zwykle zadawał pytania.

– Słucham?

– Jabłko lub kanapkę można ugryźć i zostają w materiale widoczne ślady, ale co będzie, jeśli sprawca ugryzie coś o wiele

twardszego? Na przykład człowieka?

– Człowieka? – Anitę cieszyły wszystkie oznaki myślenia i ciekawości u studentów. – Proszę bardzo. Kolejny slajd przedstawia zdjęcie lewej piersi. – Na tablicy pojawił się fragment piersi z sutkiem w centralnym punkcie kompozycji. – Widoczne jest na nim otarcie naskórka w kształcie niepełnego okręgu o cechach śladu po ugryzieniu zębami ludzkimi. Widzicie ślady zębów? Tu – wskazała – jest łukowate otarcie naskórka wypukłością skierowane ku górze, tu kolejne dwa linijne otarcia, a tutaj dwa półokrągłe.

Na sali zapanowała cisza. Nawet Renata Krzyżaniak otworzyła szerzej oczy i próbowała wypatrzeć ślady ugryzienia. Nie były one jednak zbyt widoczne. Zaczerwienienia i otarcia znajdowały się nie tylko na jasnej skórze, ale także na różowym sutku.

– Sporządzaniem ekspertyzy dotyczącej tej sprawy zajmował się interdyscyplinarny zespół, złożony z czterech biegłych sądowych: medyka sądowego, antropologa, stomatologa i biegłego sądowego w dziedzinie fotografometrii oraz fotointerpretacji zdjęć. Ofiara, młoda dziewczyna, znaleziona została na polu uprawnym w zbożu. Dla dwóch podejrzanych stworzono odlewy gipsowe wraz z woskowymi kęsami zwarciowymi zębów szczęki i żuchwy.

– Zgwałcili ją? – z sali padło anonimowe pytanie.

– Sekcja wykazała, że przyczyną śmierci denatki było uduszenie przez zmiżdżenie krtani i zachłyśnięcie krwią.

– Było dwóch podejrzanych facetów? – Nowak jak zwykle słuchał jej uważnie.

– Dokładnie. Naszym zadaniem było ustalenie, czy zęby któregoś z podejrzanych pasują do śladów ugryzień.

Leżąca na biurku komórka zawibrowała. Anita spojrzała ukradkiem na ekran. Nowa wiadomość od Pauli. „Wyjeżdżam na dwa dni. Może trzy. Będę miała wyłączony telefon”.

– I co, pasowały?

– Słucham? – Pytanie studenta przeszkodziło jej w dokładnym zapoznaniu się z treścią SMS-a.

Przeczytała komunikat po raz kolejny. Albo coś źle zrozumiała, albo powinna umrzeć na zawał serca. Jej od niedawna pełnoletnia córka poinformowała właśnie, że nie wróci do domu na kilka nocy? „Jak to możliwe – biła się z myślami. – Przecież Paula nie wyjechałaby z domu tak bez uprzedzenia... bez rozmowy ze mną... bez wytłumaczenia, dokąd i z kim jedzie”.

– Czy zęby podejrzanych pasowały?

– Tak. – Starła się skupić na wykonywaniu obowiązków zawodowych. W tej chwili była w pracy, nie powinna więc myśleć o dziecku i życiu prywatnym. – Nie stwierdzono korelacji w zakresie analizy porównawczej uzębienia jednego z nich mimo trzykrotnych prób dopasowania. Uzębienie drugiego pasowało. Zapoznacie się – wyświetliła kolejny slajd – z metodologią analizy porównawczej, a ja na chwilę muszę was opuścić. – Życie prywatne jednak zwyciężyło. – Zaraz wracam.

Złapała komórkę i wyszła z sali. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, wybrała numer Pauli. Musiała dopytać, o co chodzi. Chciała wiedzieć, co się dzieje. Miała obowiązek wiedzieć!

– *You wrecked me!*

Zamiast oczekiwanego głosu Pauli w słuchawce odezwała się Miley Cyrus. Muzyka mająca uprzyjemnić czekanie. Anita nie chciała jednak czekać. Rozłączyła się i próbowała po raz kolejny połączyć się z córką. Bezskutecznie. Po kilku próbach usłyszała:

– Abonent jest czasowo niedostępny.

* * *

Kiedy Wiesława i Henryk Szafranowie pojawili się na policyjnym korytarzu, na ich twarzach widać było głównie złość. Towarzyszyły jej lęk, zniecierpliwienie i smutek. Kiedy po przesłuchaniu, odprowadzeni przez policjantów do wyjścia, opuszczali budynek, na ich twarzach oprócz łez widniało także

niedowierzenie.

Małżonkom zaserwowano spory zestaw złych wiadomości. Dowiedzieli się, że ich córka Katarzyna była prostytutką. Że zaginęła, a później się odnalazła. Przez chwilę była NN, ale została zidentyfikowana. I że niewiele po niej zostało.

– Powiedz mi, bo ty jesteś ojcem. Jak to jest? Rodzice naprawdę niczego nie podejrzewają? Nie widzą? Nie mogą zauważyć czy po prostu nie chcą... bo tak jest wygodniej?

Michał Majewski nie mógł zrozumieć zachowania rodziców Katarzyny Szafran. Dopiero co skończyli z nimi rozmawiać. Zmierzali w kierunku wspólnego pokoju, by napić się kawy.

– Czy ja wiem? – Podkomisarz nie zamierzał identyfikować się z rodzicami ofiary. Nie chciał zastanawiać się, czy poświęca swoim córkom na tyle dużo uwagi, by zauważyć ewentualne niepokojące symptomy. Oznaki, że w życiu dziewczynek dzieje się coś złego. Wolał mówić z perspektywy policjanta niż rodzica.

– Większości rodziców, z którymi miałem do czynienia w pracy, wygodnie było nie zauważać. Udawać, przed sobą i innymi, że wszystko jest w najlepszym porządku. Katarzyna Szafran była pełnoletnia. Słyszałeś, rodzice nie ingerowali w jej życie.

– Burza, moi też nie ingerują w moje życie, ale, kuźwa, znają mnie i zareagowałiby, gdyby działo się coś złego... Na tym chyba polega dobre wychowanie dzieci? Pozwalać im na wiele i jednocześnie asekurować z oddali.

– Młody! Nie porównuj swoich rodziców, wykształconych, dobrze sytuowanych i mieszkających w Poznaniu z matką i ojcem Andzeli. Widziałeś ich przecież. To prości ludzie. Na co dzień zajmują się uprawą ziemi i hodowlą zwierząt na Warmii. Myśleli, że córce udało się wyrwać z przeklętej wioski, że odniosła sukces. Wyjechała do Poznania i dobrze sobie radziła. Nie zauważyli niczego niepokojącego.

– Nie widzieli, bo do nich nie przyjeżdżała.

– Ani ona do nich, ani oni do niej. Prosty mechanizm, prawda? Argumentem są pieniądze. Taka podróż kosztuje. Po co

tracić kasę?

– Argument albo wymówka. Jakoś do nas dojechali w ekspresowym tempie.

Przesłuchanie Szafranów sprawiło, że z Burzyńskiego zeszło napięcie. Uśmiechał się i rozmawiał z Majewskim zupełnie normalnie. Żartował, prowokował, moralizował i czekał na szybkie riposty.

– Młody, co ja mam cię życia uczyć? Usłyszeli, że mają stawić się w komendzie w Poznaniu w sprawie córki, to się stawili. Lęk dodał im skrzydeł.

– No niby tak.

– Widzę, że nie przypadli ci do gustu.

– Nie.

– Ale czego chcesz? Ich córeczka mieszkała w Poznaniu, nie zwierzała się z problemów. Przeciwnie, sprzedawała im mocno podkolorowaną wizję rzeczywistości. Zarabiała na swoje utrzymanie, czasem dzieliła się kasą z rodzicami.

– Czym mieli się martwić, prawda? Rozgrzeszasz ich?

– Nie jestem księdzem. Nie oceniam ludzi. Przesłuchuję ich, ustalam fakty, zbieram dowody, łapię przestępców.

Katarzyna Szafran była dorosłą osobą, rodzice nie musieli roztaczać nad nią skrzydeł. Burzyński też nie ingerował w życie swoich córek. Wierzył, że jeśli będą miały problemy, przyjdą do niego i poproszą o pomoc.

– To jest zabawne i tragiczne jednocześnie. Rodzice widzą swoje dzieci tak jakoś inaczej niż społeczeństwo. Tak jakby patrzyli na nie przez zniekształcające filtry.

Policjanci weszli do swojego pokoju. Majewski natychmiast zaczął kręcić się na krześle. Odpychał się od biurka, chwilę wirował, a potem zatrzymywał krzesło. Czekał chwilę i zaczął zabawę od początku, lecz dla odmiany kręcił się w drugą stronę.

– Młody, nie filozofuj! Tak jest i już. Założę się, że twoi rodzice też nie mają pojęcia o tych wszystkich pannach, cwaniackich imprezach, wyścigach samochodowych...

Burzyński rozgadał się. Mówił jednostajnym tonem, na tyle usypiająco, że Młody szybko wyłączył funkcję słuchania. Zwłaszcza że monolog dotyczył jego nieodpowiedniego sposobu życia. Wrócił myślami do Katarzyny Szafran.

Rodzina nie miała pojęcia o podwójnym życiu córki. Nie wiedzieli o istnieniu Andżeli. Tak jakby dziewczyna podzieliła swoje życie na dwie całkiem odrębne części. Katarzyna Szafran była prawą obywatelką i skromną córką, a Andżela wyuzdaną dziwką.

Wiesława Szafran z przerażeniem przyjęła do wiadomości, że jej córka była prostytutką. Dałaby sobie głowę uciąć, że to niemożliwe, że oskarżenie musi dotyczyć innej dziewczyny. Jej córka nie była idealna, ale nigdy nie zdecydowałaby się na wykonywanie najstarszego zawodu świata. Według wiedzy matki Kasia pracowała jako kasjerka w sklepie spożywczym. Po pracy grzecznie szła do dużego dwupokojowego mieszkania, które wynajmowała na poznańskich Ratajach. Popołudniami chodziła na aerobik i oglądała telewizję. Nie myślała o mężczyznach. Skupiała się na sobie.

Rzeczywistość wyglądała zgoła inaczej. Obrona z kolorów i intymności Katarzyna zmieniała się w Andżelę, obsługującą klientów o różnych porach dnia i nocy. Po pracy wracała do małej kawalerki, którą dzieliła z koleżanką.

Na każdą z nich przypadało równo dziesięć metrów powierzchni użytkowej. Połowa pokoju, mikroskopijnej łazienki i załączka kuchni, będącego jednocześnie przedpokojem. Dziewczyny dzieliły się nie tylko pokojem i szafą, ale także opłatom i łóżkiem. Kiepsko im się wiodło. Koleżanka mimo wysokich ambicji pracowała jako tirówka. Swego czasu chciała dołączyć do załogi Burdel Kinga, ale nie przeszła przez gęste sito eliminacji.

Kawalerka, mimo że była tania, pochłaniała ogromną część zarobków dziewczyn. Andżela systematycznie wysyłała zarobione pieniądze rodzinie, czym kupowała sobie spokój i brak

zainteresowania z ich strony.

Współlokatorka, do której dotarli policjanci, przyznała, że od kilku miesięcy nie płaciły czynszu. Któregoś dnia Andżela musiała opłacić skrobankę, a na trasie, przy której pracowała jej współlokatorka, trwał właśnie remont. Zaległości rosły, a właściciel kamienicy, w której mieszkały, zaczął straszyć, że je wyrzuci. Gdy postawił sprawę na ostrzu noża, Andżela zastawiła w lombardzie biżuterię, którą ukradła z domu. Uregulowała zaległości i nadpłaciła nawet czynsz na dwa miesiące.

– Burza! Jestem przekonany, że Szafran i Ciemałę zabił ten sam sprawca.

Burzyński zdziwił się, gdy zamiast głosu oburzenia, protestu czy wściekłości, co byłoby zrozumiałą reakcją Młodego na krytykę jego prywatnego życia, usłyszał nazwiska ofiar. W zamyśleniu zamieszał herbatę.

– Że co?

Trzykrotnie uderzył łyżeczką o kant kubka, by nie uronić ani jednej kropli ulubionego płynu.

– Zobacz, zbliżał się termin wykupu biżuterii, którą Szafran zastawiła w lombardzie. Wiemy, że bardzo zależało jej na odzyskaniu pamiątek rodzinnych. Potrzebowała kasy, i to na już. Zrobiłaby wszystko, żeby ją zdobyć. Współlokatorka mówiła, że już wcześniej, żeby zarobić ekstra, zgodziła się na klienta, o którym powszechnie było wiadomo, że lubi ostrą jazdę. Podobno płacił dużo więcej za realizację swoich perwersyjnych fantazji. Umówiła się z tym zbokiem, bo liczyła na szybki dopływ kasy. Coś poszło nie tak. Nie spodobała się klientowi albo nie była w stanie sprostać jego wszystkim wymaganiom... Zamiast kasy dostała kilkanaście ostrych uderzeń. Miała małą przerwę w pracy. Ta jej kumpela mówiła, że Andżela zaczęła się bać zbliżeń z klientami i niechętnie wróciła do pracy.

– Taa, mówiła też, że szef był z tego powodu zły i zaczął się na niej odgrywać. Jaki widzisz związek z ofiarą z fortu?

– Andżela była załamana. Termin wykupu biżuterii minął,

odsetki rosły szybciej niż... Z dnia na dzień potrzebowała więcej kasy, ale wiedziała, że nie jest w stanie zarobić. Nie miała innego wyjścia. Mogła albo przyznać się rodzicom do kradzieży, skrobanki i całej tej prostytucji, albo... poprosić kogoś o pomoc. Współlokatorka mówiła, że Andżela chciała wyjść z bagna i zacząć normalne życie. Chciała zarobić na spłatę długów i zrezygnować z pracy. Kogo mogła prosić o pożyczkę?

– Na pewno nie rodziców.

– No nie.

– To kogoś, kogo znała.

– Współlokatorka odpada, bo groszem nie śmierdziała. Burza, od kogo pożyczylbyś kasę?

– Ja? Od teścia. Ale prostytutka? Nie wiem.

– Może pomyślała o jakimś kliencie? Przypadkowy facet, wiadomo, odpada. Pieniędzy nie pożyczycy, bo nic go nie wiąże z dziwką... Ale stały klient? Taki, który często przychodzi. Który ją lubi...

– Ciemą! Faktycznie, znali się. Mogła go poprosić. On chciał się przed nią pokazać. Zabłysnąć jako facet. Co prawda nie był zbyt zamożny, ale udało nam się ustalić, że potrzebował kasy. Może nie dla siebie?

* * *

Michał działał instynktownie. Pod koniec dnia pracy zadzwonił do Anity Broll i zaprosił ją na obiecaną kawę. Przez chwilę broniła się, ale przyparł ją do muru. Oczywiście sposobem, a nie siłą, by uniknąć skutku odwrotnego do zamierzonego. Skapitulowała, ale twardo trzymała się ich poprzedniej rozmowy. Zapraszał ją na kawę, a ona pijała kawę tylko do siedemnastej. Zaproponował więc kolację. Przeraziła się i podziękowała jak zwykle lodowatym tonem. Oznajmił więc, że czeka na nią w kawiarni przy Starym Rynku. SMS-em przesłał suche dane adresowe, pozbawione uśmiezków, wielokropków czy dodatkowych zachęt.

Pojawiła się spóźniona. Usiadła przy stoliku, nie bardzo wiedząc, jak powinna się zachować. On wiedział. Nie na darmo koledzy nazywali go bogiem podrywu. Potrafił ustalić, czego kobiecie brakuje, i dać jej to chwilę później. A przynajmniej pokazać, że może jej to dać, jeśli ona zrewanżuje się tym, na czym mu zależy.

– I jak? – zapytał, kiedy kelnerka postawiła przed Anitą talerz z zieleniną, na której leżała krwista poledwiczka wieprzowa. Całość skropiona była w artystyczny sposób sosem balsamicznym.

– Wygląda smakowicie.

Zanim wydusiła z siebie odpowiedź, odczytał ją z jej oczu. Była zachwycona i zdziwiona. Postanowił zagrać z nią *va banque*. Uznał, że jedynym sposobem na zniwelowanie różnicy wieku jest sprawienie, by poczuła się jak mała dziewczynka. Dopieszczona, ale jednak dziewczynka. Dlatego nie podał jej menu. Powiedział, że wymyślił sposób na rewanż, smaczny zamiennik kawy, więc powinna to zaakceptować. Próbowwała protestować, ale pokazał, że jest twardym graczem.

– Zaryzykuj, co ci szkodzi? – pytał. – Zaufaj mi. Pozwól mi pokazać ci kawałek mojego świata.

Nie wyraziła zgody. Zwyczajnie skończyły jej się argumenty przeciw. Kiwnęła więc głową, a on w tajemnicy przed nią zamówił danie, które powinno przypaść jej do gustu. Danie i lampkę wina dla każdego z nich.

– Wygląda apetycznie, smakuje rozkosznie. Spróbuj!

Udając, że nie są sobie ciekawi, pałaszowali sałatkę i rozmawiali o mało ważnych szczegółach ich pracy.

– Cieszę się, że przyszłaś – powiedział zgodnie z prawdą, gdy każde z nich opróżniło lampkę wina.

– Też się cieszę. Że się wyrwałam z domu – dopowiedziała szybko.

– A co? Córka nie pozwala ci wychodzić z domu po osiemnastej? – zażartował.

– Spróbowaliby protestować – roześmiała się. – Wiesz, ona ma osiemnaście lat.

– Jako że jestem dżentelmenem, nie zapytam, ile miałaś lat, gdy ją rodziłaś, ale powiem jedno. Mogłybyście bawić się na tych samych imprezach. I miałybyś lepsze branie niż ona.

– Dzięki, miły jesteś. Wiem, jak wyglądam.

– Wiesz? – spytał dwuznacznie.

Zamiast sałatki w kawiarni wolałyby serwować Anicie spaghetti w swoim mieszkaniu. Zamiast pić wino z kieliszka, wolałyby spijać je z jej ust.

– Wiem.

– Czyli jesteś świadoma... – Wiedział, że musi ostrożnie dobierać komplementy. Nie mógł wymienić w jednym zdaniu ponętnych bioder, intrygującego spojrzenia, naturalnie czerwonych ust i języka przemykającego po tych ustach. – Świadoma swojej kobiecości.

– Jestem kobietą. Mam mniejszą czaszkę, krótsze kości... – Żartem przykryła zakłopotanie.

– Powoli, to dopiero flirt, nie przeszedłem jeszcze do gry wstępnej, a ty już rozbierasz się do kości?

– Zabawny jesteś, wiesz?

– Tak?

Wiedział. Nie zamierzał zaprzeczać ani potwierdzać. Chciał wyciągnąć od niej więcej. Więcej uwagi, komplementów i uczucia.

– Tak. – Bawiła się kosmykiem włosów i mogłaby przysiąc, że coś dzwoni jej w uszach. Hormony buzowały w każdej komórce ciała. – Dawno się tak dobrze nie bawiłam.

– Cieszę się. Jestem do twojej dyspozycji. Anita?

Ich spojrzenia spotkały się i żadne nie zamierzało uronić z tej sytuacji ani sekundy.

– Tak?

– Mogę być szczery?

– Spróbuj – szepnęła, choć bała się trochę ciągu dalszego.

– Dawno nie bawiłaś się tak dobrze... ale myślę, że niewielka w tym moja zasługa. Wydaje mi się, że dawno nie pozwoliłaś sobie na odrobinę szaleństwa.

– Hm, nie wiem. Może masz rację... – Wpatrywała się w niego.

– Zawsze mam rację! – rozładował napięcie.

– Na takiego właśnie wyglądasz. – Roześmiała się szczerze, a potem dodała poważnie: – Wiesz, łatwo się bawić, jak człowiek nie ma problemów.

– Jeśli ty je masz, to możesz się ze mną podzielić.

– Mam córkę. Buntującą się nastolatkę.

– Mówiłaś, że jest pełnoletnia. Nie musisz więc znosić jej buntów.

– Teoretycznie nie muszę, ale mieszkamy razem. Poza tym obawiam się, że wpadła w złe towarzystwo.

– Złe? Co masz na myśli?

– Nie wiem, czy przypadkiem nie jest utrzymanką jakiegoś starego faceta. Paula przynosi do domu drogie ciuchy, drogie kosmetyki. Ktoś musi jej to kupować. Oczywiście może to być chłopak w jej wieku, dobrze sytuowany, ale czuję, że to nie to. Czuję mrowienie, które mówi, że dzieje się coś złego. Zaczęła się malować jak... – Podarowała sobie porównanie. – Zebrałam wszystko do kupy i wychodzi mi na to, że ma jakiegoś ramola.

– Martwi cię to?

– Oczywiście. Zwłaszcza że trochę czuję się winna. Pauli może brakować męczyzny. Może w ten sposób próbuje zrekompensować sobie brak ojca?

– A on? Znaczy się ojciec? – zapytał, zanim pomyślał.

– Nie rozmawiajmy o byłych. O, przepraszam – spojrzała na zegarek – muszę już wracać do domu.

– Odprowadzę cię.

– Nie, dziękuję. Zamówię taksówkę.

– Anita, nie ma dyskusji. Ja zamówię i odeskortuję cię na miejsce. O tej godzinie niebezpiecznie jest poruszać się samotnie po mieście. Wierz mi, jestem policjantem.

Nie protestowała. Dopili czwarty kieliszek wina, wsiedli do taksówki i śmiejąc się do łez, podjechali pod blok, w którym mieszkała Broll.

– To tutaj – powiedziała, gdy kierowca zatrzymał samochód.

– Pan chwilę poczeka – zarządził Majewski. – Za chwilę jedziemy dalej.

Wyskoczył z taksówki, obiegł ją energicznie i zdążył otworzyć drzwi przed Anitą. Wsiadła i uśmiechnęła się rozbrawiająco.

– Panie Michale, bardzo dziękuję za wybitnie zaskakujący wieczór. Ubawiłam się po pachy.

– Pani Anito, ja dziękuję za wybitnie szlachetne towarzystwo.

Stali pod blokiem i wpatrywali się w siebie, chcąc zatrzymać czas.

– Dziękuję. – Wyciągnęła rękę w jego stronę. Chciała zakończyć spotkanie oficjalnym uściskiem dłoni.

Złapał ją, nachylił się i pocałował.

Poczuła ciepło i zbliżyła się do niego. Nie czekał na zezwolenie. Objął ją i pocałował. Tym razem soczyście i konkretnie. W usta.

– Może wejdiesz?

Pamiętała o tym, że Paula wyjechała, a mieszkanie stoi puste. Mogłaby skorzystać z sypialni. Zapomnieć o jutrze, o wczoraj i o dzisiaj. Pozwolić buzować hormonom, namiętności i emocjom.

– Nie kuś, kobieto, nie kuś.

Prowokował i czekał na jej reakcję. Przez cały wieczór marzył o nagiej i gorącej pani antropolog. Gdy widział, jak w jej ustach giną kolejne kawałki polędwicy. Gdy sam rozgryzał pomidorki koktajlowe. Nawet gdy rozmawiali o jej córce. Tego dnia nie interesowały go żadne młode piersi. Chciał skosztować swoją niełatwą zdobycz – Anitę Broll.

– Mam wolną chatę, Paula wyjechała.

– Anitko – szepnął i objął rękami jej twarz – bardzo, bardzo chciałbym wejść do środka, ale nie mogę. Nie dzisiaj...

* * *

Zbliżała się północ. Przemysław leżał w łóżku i nasłuchiwał odgłosów dochodzących z mieszkań sąsiadów. W ciągu dnia dziewczynki robiły tyle hałasu, że łatwo było zapomnieć o ludziach za ścianą. Wieczorem klan Burzyńskich wyciszał się, a do podkomisarza dobijała się świadomość, że nie są jedyni. Tysiące rodzin takich jak jego walczy z codziennością.

– Jutro zawożę dziewczynki do koleżanki z klasy, będzie trzeba odebrać je koło siedemnastej. Kto to zrobi?

Iza krzątała się po pokoju przez chwilę. Składała ubrania i chowała je do szafy.

– Odbiorę je – zaproponował.

Miał ochotę na miły wieczór, uznał więc, że taka deklaracja z powodzeniem zastąpi grę wstępna. Czekał, aż żona położy się do łóżka.

– Świetnie.

Usiadła na kołdrze po turecku. Nie patrzyła na męża. Sięgnęła do szuflady w szafce nocnej i wyjęła trzy tubki kremu. Zaczęła od nawilżania twarzy. Biała maź wylądowała na policzkach i czole.

– Świetnie – powtórzył.

– Kupiłeś żarówki?

Mruknął twierdząco.

– Zapomniałabym! Rodzice zapraszają nas na obiad w weekend. – Iza nie przerywała kremowania. Skończyła wklepywać krem w skórę twarzy i zajęła się stopami. Masowała je dokładnie centymetr po centymetrze. – Pójdziemy?

Przemysław zamknął oczy i zatopił się w myślach. Był zły na siebie. Nawet nie wiedział, dlaczego wydawało mu się, że ten wieczór będzie inny od setek poprzednich. Dawno, dawno temu kobieta jego życia wyskakiwała z łazienki podekscytowana. Jej ciało opinała skąpa koszulka. Czarowała go, flirtowała, dawkowała napięcie, by w odpowiednim momencie doprowadzić do eksplozji uczuć i spełnienia.

Nie zauważył momentu, w którym oboje zaczęli traktować

łóżko jak zwyczajny mebel, taki jak lodówka czy szafa. Potraktowali je wyłącznie użytkowo. Służyło im do wygodnego snu. Proszę bardzo. Spotykali się w sypialni prawdopodobnie tylko dlatego, że łóżko było dwuosobowe, a oni korzystali z niego w tych samych godzinach.

Przestali ze sobą flirtować, dbać o strój, nastrój czy chociażby tajemnicze uśmiechy. Tak jakby uznali, że znają się na tyle długo, że nie są w stanie siebie zaskoczyć. A jeśli nawet... to na pewno nie pozytywnie.

– Świetny jest ten krem. Zobacz, stosuję go od dwóch tygodni i pięty mam tak delikatne jak u bobasa!

Odkąd stracił status kochanka, z niechęcią spoglądał na jej ciało.

„Czy takie jest życie? – rozważał w myślach. – Czy to my popełniliśmy błąd? Oboje goniliśmy za czymś zupełnie nieważnym i niepostrzeżenie zgubiliśmy żar i uwielbiana przez wszystkich grę damsko-męską. Czy ja w ogóle potrafiłbym jeszcze flirtować? Dostosowywać komplementy do sytuacji? Mówić i zachowywać się dwuznacznie? Owijać sobie kobiety wokół palca? Chociażby tak, jak to robi Młody?”

* * *

O tej porze szpitalny korytarz wyglądał dużo bardziej przerażająco niż w ciągu dnia. Naturalne światło zostało zastąpione przez sztuczne, o słabym natężeniu. Oznaki życia i emocji zniknęły wraz z odejściem ostatnich odwiedzających. W budynku pozostali chorzy, ich osobiste dramaty oraz personel, który według grafiku dzisiejszej nocy powinien pełnić wartę.

Z poszczególnych sal dochodziły drażniące odgłosy pochrapywania, gdzieś słychać było jęki i stłumiony płacz. Marianna Byczkowska siedziała na drewnianym krześle. Szklane drzwi dzieliły ją od OIOM-u, na którym leżał nieprzytomny Artur Zaremba. Wpatrywała się w napis: „Oddział Intensywnej Terapii”.

– Może jednak pójdzie pani do domu? Powinna się pani przespać. – Troska w głosie przechodzącej pielęgniarki była wzruszająca. Kobieta przystanęła i znacząco spojrzała na brzuch dziewczyny.

– Nie. – Marianna odpowiedziała cicho, z trudem powstrzymując łzy. – Poczekam.

Nie miała ani siły, ani pieniędzy, by wracać do domu. Kiedy od matki Artura usłyszała, że chłopak trafił do szpitala w ciężkim stanie, zrobiło jej się ciemno przed oczami. Spełnił się najczarniejszy scenariusz. Tak czarny, o jakim nie śniła nawet w najgorszych snach. Wiedziała, że brak telefonu od Artura oznacza, że stało się coś złego. Bardzo złego.

Podobno chłopak odzyskał przytomność na kilka chwil. Powiedział wtedy, jak się nazywa, i poprosił, by powiadomić jego rodziców i narzeczoną. Nazwał ją narzeczoną, mimo że nigdy jej się nie oświadczył.

Rodzice Marianny nie akceptowali jej chłopaka. Uważali, że głupia miłość niszczy dziewczynie życie. Powinna wyjść za mąż za kogoś mającego stałą pracę albo zajmować się rodzeństwem, by odciążyć zapracowanych seniorów rodu. Gdy usłyszeli o tym, że córka jest w ciąży, wpadli w panikę. „Kolejna gęba do wykarmienia! – krzyczeli. – O czym ty myślałaś? Jak się teraz pomieścimy?”. Wyśmiewali jej deklaracje, że Artur znajdzie pracę, mieszkanie i będą żyli długo i szczęśliwie.

Zupełnie inaczej zareagowała matka Artura. Kibicowała ich związkowi. Sama urodziła syna, gdy miała siedemnaście lat. Dla niej ciąża Marianny nie była niczym dziwnym. Poza tym cieszyła się, że chłopak się wyprowadzi. Już dawno powinien to zrobić. Przeszkadzał matce i jej nowemu kochankowi.

Marianna dotarła do Poznania z matką Artura. Powrót do domu oznaczałby podróż dwoma autobusami – jednym, by dotrzeć na dworzec, a potem drugim, podmiejskim. Tam spędziłaby nieprzespaną noc, a później i tak musiałaby wrócić do szpitala. Nie widziała w tym sensu. Poza tym lekarz powiedział,

że ma przygotować się na najgorsze, dlatego nie mogła pozwolić sobie na wyjście ze szpitala. Nie mogła stracić Artura. Prosił, by ją zawiadomiono. Oznaczało to, że musiała go zobaczyć.

– To przynajmniej spróbuj się zdrzemnąć, dobrze? – Pielęgniarka zniknęła za drzwiami.

Ciszę panującą na oddziale przerywały śmiechy kobiet rozmawiających w pokoju pielęgniarek. Przez uchylone drzwi na korytarz uciekała smuga ostrego światła. Jedyne objawy normalności w tym miejscu.

Marianna Byczkowska zamknęła oczy. Próbowwała wyobrazić sobie zieloną łąkę, po której biegnie z rozwianymi włosami. Za rękę trzyma Artura. Jest roześmiany i coś do niej mówi. Nie słyszy go jednak, bo jego głos zagłusza pisk. Odwraca się więc i widzi biegnące dziecko. Ich dziecko. Dziewczynka ma zamkniętą buzię, a Marianna nadal słyszy pisk.

Otworzyła oczy i zobaczyła dwie pielęgniarki biegnące na OIOM.

– Nawet nie zdążyłam spróbować twojego ciasta...

– Bo za dużo gadałaś!

– Co się dzieje? – spytała Marianna tak cicho, że nikt tego nie zauważył.

Gdy szklane drzwi zamykały się powoli, do jej uszu dotarł niepokojący sygnał.

– Biegnij po lekarza dyżurnego, mamy zatrzymanie krążenia!

Akt 12

Z samego rana policjanci stawili się w szpitalu w wyśmienitych humorach. Artur Zaremba, przywieziony z przystanku autobusowego w stanie ciężkim, na dobre odzyskał przytomność. Otworzył oczy nad ranem i chciał wypisać się do domu na własne życzenie. Na szczęście nie miał siły utrzymać się na nogach, a jego dziewczyna zareagowała ostro i kazała mu zostać w szpitalu.

– Dzień dobry.

Policjanci chórem powitali pacjentów zgromadzonych na OIOM-ie. Nikt im nie odpowiedział. Na łóżku obok Zaremby leżała kobieta, której oddychanie wspomagał respirator. Oddział Intensywnej Opieki Medycznej był wypełniony pacjentami w stanie krytycznym.

– Chcieliśmy zadać panu kilka pytań. – Burzyński przysunął krzesło do szpitalnego łóżka Zaremby.

– Tak? – Chłopak nie wyglądał dobrze.

Stan jego zdrowia ustabilizował się, ale stres robił swoje.

– Na początek proszę o przypomnienie swoich danych osobowych.

– Artur Zaremba, zamieszkały w Orzeszkowie, nie pamiętam numeru PESEL.

– Ile ma pan lat?

– Dwadzieścia dwa.

Pierwsze pytania miały oswoić przesłuchiwanego i ożywić konwersację. Otoczenie nie sprzyjało trudnym rozmowom. W sali szpitalnej czuć było zapach śmierci. Maszyny utrzymujące

pacjentów przy życiu pracowały miarowo. Co jakiś czas przez pomieszczenie przemykała pielęgniarka.

– Proszę opowiedzieć, co się stało.

– Nie wiem, nie pamiętam, zupełnie nie pamiętam.

Naprawdę.

– Proszę się skupić. Coś na pewno pan pamięta. Może jakiś ostatni obraz?

– Przystanek pamiętam i światła karetki.

– A wcześniej?

– Wcześniej to już nic. Tylko światła. Coś mnie oślepiało.

– A jeszcze wcześniej?

– Szedłem drogą. Uciekł mi autobus, więc szedłem pieszo.

Zaremba wyrzucał z siebie odpowiedzi niczym karabin maszynowy. Nie zastanawiał się, nie skupiał. Odpowiadał najszybciej, jak potrafił. Szybko milkł i czekał, aż policjanci zostawią go w spokoju.

– Którą drogą?

– No nie wiem. Byłem w Poznaniu i musiałem jakoś dostać się do domu.

Burzyński wymienił znaczące spojrzenie z Majewskim. Uznał, że przyszedł czas na zabawę w dobrego i złego policjanta. Artur Zaremba musiał wiedzieć coś więcej. Coś, co koniecznie chciał zatrzymać dla siebie. Trzeba było to z niego wydusić.

– Jak się pan teraz czuje? – Podkomisarz udał troskę. Tym razem grał dobrego glinę.

– Już lepiej, dziękuję.

– Lekarz powiedział panu, co się stało?

– Tak, tak. Podobno ktoś chciał ukraść mi nerkę. – Głos Zaremby był zupełnie wyzuty z emocji. – Okropne, prawda?

W odpowiedzi Burzyński pokiwał głową. Zapadła cisza. Artur Zaremba odwrócił twarz w stronę okna. Liczył na to, że rozmowa się skończyła.

– Lubi pan seks? – nieoczekiwanie odezwał się Majewski. Napastliwy ton prowokował do udzielenia agresywnej

odpowiedzi.

– Słucham?

Atak okazał się skuteczny. Zaremba wreszcie pozwolił sobie na okazanie emocji. Wyglądał na zdeorientowanego.

– Nie rozumiem?

Rzucił na Burzyńskiego przerażone spojrzenie ofiary mającej coś do ukrycia. „Ratuj mnie, ratuj” – zdawał się krzyczeć.

– Co robił pan w Poznaniu, zanim uciekł panu autobus? – nacierał Majewski.

– Nie pamiętam.

„Najwygodniej jest zasłaniać się brakiem pamięci – pomyślał Michał – ale ja ci ją zaraz odświeżę”.

– Może oddawał się pan czynnościom seksualnym?

– Ja? Przecież... ja... mam dziewczynę.

– Taa. – Majewski zwrócił uwagę na młodą dziewczynę siedzącą na korytarzu. Głaskała zaokrąglony brzuch i przyglądała się przechodzącym obok niej policjantom. Wyglądała na zmęczoną, a z jej oczu biła radość wymieszana ze strachem. – Widziałem, że pana dziewczyna jest w ciąży. To trudny czas dla każdego faceta. Trzeba się ograniczać i pościć, a przecież trudno dyskutować z popędem. W Poznaniu jest kilka ciekawych miejsc, które oferują obsługę seksualną full wypas. Nie musi się pan tego wstydzić.

– Panowie? O czym wy mówicie? – Zaremba poruszał głową nerwowo, patrząc to na atakującego Majewskiego, to na milczącego Burzyńskiego. – Przecież ja nigdy nie korzystałem – ściszył głos – z dziwek. Nigdy. Przenigdy. Ja kocham Manię. Nie zdradziłbym jej. Panowie?!

Burzyński wstał i przestawił stojący pod ścianą parawan tak, by oddzielić Zarembę od reszty sali. Pomyślał, że zmieszany i zdenerwowany chłopak nie potrafi się przełamać, gdy patrzy na chorych leżących na sąsiednich łózkach. Być może potrzebuje przynajmniej złudzenia intymności. Jednak sprawa była zbyt poważna. Policjanci nie mogli czekać, aż jego stan się polepszy,

by przesłuchiwać go na osobności.

– Ja to wiem – powiedział, żeby idealnie wcielić się w rolę dobrego policjanta. – Dobrze ci z oczu patrzy. Jesteś dobrym człowiekiem. – Specjalnie zrezygnował z grzecznościowego „pan”, by zmniejszyć dystans. – Mój partner uparł się, że łączy cię coś z potentatem branży erotycznej, tak zwanym Burdel Kingiem.

Dobrze wiedział, że przestrzelił z oskarżeniem. Dłonie i zęby Artura Zaremba mówiły wszystko o jego sytuacji finansowej. Były zniszczone, chociaż chłopak zaledwie przekroczył dwudziestkę. Linie papilarne, paznokcie, nawet kolor skóry. Wszystko świadczyło na korzyść mężczyzny. Był zbyt biedny, by tracić pieniądze na płatną miłość. Burzyński mógłby się założyć, że chłopak łapał się każdej pracy i bardzo dobrze znał uczucie głodu.

– Nie! To nieprawda! Proszę mu to jakoś wytłumaczyć. Przecież ja...

– Mogę się postarać, ale widzisz – podkomisarz zbliżył się jeszcze bardziej do chłopaka – jest problem. Rozmawiałem przed chwilą z twoją ciężarną dziewczyną. Wiem, co jej obiecywałeś – blefował i obserwował, jak chłopak pęka. – Jeśli nie odzyskasz pamięci, mój szalony partner opowie jej o Burdel Kingu, pracujących dla niego panienkach i o tym, jak profesjonalnie potrafią zadowolić faceta. Zwłaszcza tak młodego jak ty. – Skończył i odsunął się od chłopaka.

– Ale to przecież jest kłamstwo! – uniósł się Zaremba.

– Będziesz musiał tłumaczyć się swojej dziewczynie – wkroczył Majewski. – Jesteś pewien, że ci uwierzy?

Młody nie czekał na odpowiedź przesłuchiwanego. Wyciągnął z notesu trzy fotografie. Dwie pokazał Zarembie.

– Spójrz, może ją znasz? To jest prostytutka Andżela, a dokładniej szkielet Andżeli, a to jej klient. – Zdjęcie zwłok Józefa Ciemały znalazło się w ręce Zaremba. – Trzymaj i przyjrzyj się dobrze. Oboje nie żyją.

– Nie znam. – Dwudziestodwulatek odwrócił wzrok. Nigdy wcześniej nie widział prawdziwego trupa.

– A teraz popatrz na to! – Młody wyjął trzecią fotografię, zrobioną podczas sekcji zwłok. – Cięcie na ciele zamordowanego mężczyzny, znalezione kilka dni temu, wygląda tak samo jak twoje.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli.

– Jeśli im uciekłeś – szepnął Burzyński – to miej świadomość, że wrócą po ciebie i dokończą robotę.

– Nie, ja im nie uciekłem. Nie miałbym siły. Wyrzucili mnie. Nie wiem dlaczego. Straciłem kontrolę nad sytuacją. Nie tak to miało wyglądać. – Chłopak rozpłakał się.

– A jak?

– Potrzebowałem pieniędzy. Nie mogłem znaleźć pracy. Coś tam dorabiałem od czasu do czasu, ale dużo za mało. Panowie widzieli, że moja dziewczyna jest w ciąży. Wpadła, ale ja się potrafię jak facet zachować. Powiedziałem, że zapewnię jej co trzeba. Mieszkam na wsi z matką i jej facetem, nie mamy zwierząt, a z samej roli trudno jest wyżyć. W rodzinie Mani jest jeszcze gorzej. Siedem gęb do wykarmienia. Muszę zdobyć pieniądze, żebyśmy byli razem. Potrzebujemy własnego kąta. Nie możemy mieszkać z rodzicami. Do porodu muszę znaleźć jakieś miejsce. Coś taniego. No i musimy z czegoś żyć. Mania nie może głodować, bo będzie karmić dziecko...

Policjanci czekali na ciąg dalszy opowieści. Nie interesowała ich motywacja Zaremby. Wiedzieli, że w tej chwili chłopak będzie mnożyć argumenty na swoje usprawiedliwienie.

– Nie widziałem innego sposobu. Za dwa miesiące na świecie pojawi się dziecko. Dałem więc ogłoszenie.

– Aha, ogłoszenie o treści? – Burzyński dopytywał tak, by nie wydało się, że nie wie, o czym mowa.

Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

– Treść jest ważna? – Chłopak był tak przejęty, że policjanci nie mieli wątpliwości. Tym razem mówił prawdę. – Nie

pamiętam dokładnie. „Zdrowy, młody sprzeda nerkę pilnie”. Albo nie! „Pilnie” było na początku.

„Sprzeda, kuźwa, sprzeda?” – Majewski notował każde słowo chłopaka, ale nie wszystkie był w stanie zrozumieć. Myślał, że będzie rozpracowywać powiązania między Ciemałą, Andżelą i Burdel Kingiem, a tu nagle pojawiła się ofiara, która stała się ofiarą na własne życzenie.

– Długo czekałeś na odpowiedź? – opanowany Burzyński wypytywał o szczegóły.

– Nie. Dokładnie po trzech dniach odebrałem maila.

* * *

– „Jestem zdrowa, nie palę, nie piję, pilnie sprzedam nerkę” – Młody odczytywał na głos to, co wyświetliło się na ekranie komputera. – Ogłoszenie zamieszczono w dziale moda i zdrowie. Albo to, słuchaj: „Tylko poważne odpowiedzi, Białystok, czterdzieści trzy lata, nerka, jestem zdrowy”. „Szpik, potrzebuję pieniędzy – cytował fragmenty ogłoszeń. – Moja decyzja płynie z serca i poważnej myśli, potrzebuję gotówkę. Zdecydowany, dobrze odżywiający się”. Kuźwa! Jak na bazarze.

Wstrząsnęła nim rozmowa z Zarembą. Po przesłuchaniu sprawdzili jego zeznania. Rzeczywiście był bezrobotny, mieszkał z matką, która nie przejmowała się sytuacją finansową syna. Czekala, aż opuści dom i przestanie żerować w jej lodówce. Sama utrzymywała się dzięki temu, że wieszała się na szyi coraz to nowych mężczyzn. Ciężarna dziewczyna Zaremby pochodziła z jeszcze biedniejszej rodziny. Jej rodzice łapali się każdej pracy, ale nie byli w stanie zapracować na utrzymanie licznej gromadki dzieci. Na wieść o ciąży najstarszej córki załamali się i nawet namawiali ją, by sprzedała dziecko jakiejś bogatej paniusi z miasta. Zapewniłoby to dopływ większej gotówki oraz uchroniłoby ich przed kolejnymi problemami lokalowymi. W chwili obecnej ledwo mieścili się w zajmowanym domu. Nie wyobrażali sobie życia z kolejnym bachorem.

- Ciekawe. Mimo że samo zamieszczenie ogłoszenia o sprzedaży organów jest karalne, w sieci można znaleźć ich dość dużo. Czy ludzie są aż tak głupi? Policja zajmuje się monitorowaniem internetu, a debile i tak oferują swoje organy.

- Myślisz, że grzywna albo rok więzienia są w stanie powstrzymać kogokolwiek przed zrobieniem interesu życia? Przecież teoretycznie sprzedaje coś, co jest mu niepotrzebne. Taka druga nerka... Z jedną da się żyć.

- Taa, faktycznie. Interes życia. Strata życia raczej. Ile masz tych ogłoszeń?

- Czternaście. Większość ogłoszeniodawców to ludzie prości, w ich anonsach roi się od błędów ortograficznych.

- Za błędy ich nie zgarniemy, ale za ogłoszenia już tak. Dobra, dzielimy się – zarządził Burzyński. – Ty wykonujesz siedem telefonów, ja siedem.

- Chwila, Burza, mało kto podaje tu numer telefonu. Preferowaną formą kontaktu jest e-mail. O wiele bardziej anonimowy...

- Przynajmniej tak się niektórym wydaje. Dobra, nieważne jak, musimy się z nimi skontaktować. Pamiętaj, jeśli któryś z nich powiedziałby ci, że ogłoszenie jest nieaktualne, to masz obowiązek wypytać dlaczego. Być może ktoś umówił się już na sprzedaż, a to by znaczyło, że jesteśmy blisko sprawcy!

Przesłuchanie Artura Zaremby skierowało prowadzone przez policjantów śledztwo na zupełnie inne tory. Zredukowało tropy i sprawiło, że ruszyli ostro do przodu. Nie szukali już mordercy szaleńca, który zostawił wypatroszone zwłoki na terenie fortu. Nie tropili też szajki, która polowała na bezbronnych ludzi, wciągała ich do samochodu i kradła nerki. Z całą pewnością wiedzieli, że są na tropie dobrze zorganizowanego podziemia transplantacyjnego.

- Wydaje mi się, że brakuje nam niewielkiego szczegółu łączącego wszystkie ofiary i wątki. Czegoś, co zweryfikuje nasze domysły. Szafran i Zaremba potrzebowali kasy. Oboje mogli

chcieć sprzedać organy.

– Serca by nie sprzedali – trafnie zauważył Majewski. – Trzustki też nie, stąd te nerki.

– Taaa. Ciemała chwalił się, że będzie miał kasę, czyli też mógł dobić targu. Szafran i Ciemała nie żyją, dlaczego nie umarł Zaremba?

– Bo miał, kretyn, szczęście? Gdyby nie ten facet na przystanku, nie przeżyłby nocy.

– Czyli co? Umówili się na przekazanie organu. Na miejscu okazało się, że coś jest nie tak. Nerka nie pasowała? Wyrzucili go nieprzytomnego na obrzeżach miasta?

– A może w lesie? Może doczłapał się jakoś do obrzeży.

– Dobra, ale zapomnieliśmy o jeszcze jednej osobie.

– O kim?

– O Burdel Kingu. Są powiązania między nim i zamordowanymi osobami. Zaremba nie korzystał z jego lokali, ale przecież mógł spotkać się z Burdel Kingiem, nawet jeśli nie wiedział, że on to on.

– Faktycznie. Musimy pokazać mu zdjęcie naszego erotycznego cwaniaka. No i sprawdzić, czy Burdel King oprócz czerpania korzyści finansowych z nierządu nie zarabia także na handlu narządami.

* * *

Przez cztery godziny Burzyński podejmował próby nawiązania kontaktu z osobami oferującymi sprzedaż nerek na portalu ogłoszeniowym. Wreszcie jego twarz się rozpromieniła.

– Aha, dobrze, bardzo dziękuję za informację. – Odłożył telefon komórkowy na biurko. – Mamy coś. Trzeba tu ściągnąć faceta, z którym właśnie rozmawiałem. Ten sam sposób kontaktu, co z Zarembą. Ktoś zadzwonił do niego z nieznanego numeru. Wypytał, omówił szczegóły i co najważniejsze... przystał bez problemu na wymagania finansowe. Na mój gust dość wygórowane.

- A na ile gość wycenił część swojego układu wydalniczego?
- Na siedemdziesiąt tysięcy.
- Uuuu, nieźle. I kupiec nie negocjował?
- Podobno nie.
- Dziwne, ktoś handluje narządami i się nie targuje? Przecież jeśli za drogo kupi, to nie zarobi na sprzedaży, a zysk z takiej transakcji musi być odpowiednio duży, by rekompensował poniesione koszty, ryzyko itp.

W pokoju mimo otwartego okna nie było czuć najmniejszego powiewu. Powietrze stało. Szczelnie wypełniało gorącym miejsce pracy Burzy i Młodego.

- Młody! - Burzyński otarł pot z czoła. - Może to jest dziwne, a może i nie. Może nie rozmawiał o cenie, bo i po co? Dla kupca liczy się tylko nerka. Pewnie wiedział, że nic za nią nie zapłaci. To jest to! Nasz sprawca albo ktoś, z kim współpracuje.

- Czyli co? Sugerujesz, że kupiec nie płaci w ogóle?

- Taa, a ty byś zapłacił?

- Czy ja wiem? W sumie rzeczywiście... - Mężczyzna pomyślał przez chwilę. - Mogą umawiać się nawet na złote góry. Umowy nie podpiszą. Dawca musi liczyć na uczciwość przestępcy. Uczciwość przestępcy. Dobry żart. Oddaje nerkę. Czeka na kasę i...?

- Albo zostaje zabity, tak jak nasze ofiary...

- Albo wraca do domu. Bez nerki i bez kasy. Sytuacja bez wyjścia. Dawca nie może nic zrobić. Nerki nie odzyska. Kasy też nie. Wizyta na policji też nie ma sensu. Sam jest przestępcą, bo sprzedał własny narząd. Najpewniej będzie jedyną osobą, która zostanie ukarana. - Majewski był bystry, uderzył w sedno sprawy. - Bez nerki, bez kasy i jeszcze z wyrokiem...

- Taa. W każdym razie temu facetowi, z którym rozmawiałem przed chwilą, tajemniczy kupiec kazał zrobić jakieś badania. Zrobił je i przekazał kupcowi tak samo jak Zaremba.

Osoba kontaktująca się z potencjalnymi dawcami narządów była bardzo dobrze przygotowana do swojej pracy. Zacierała za

sobą ślady i postępowała tak, by nikt nigdy nie mógł jej zidentyfikować. Kontakt z dawcą nawiązywała przez komórkę na kartę typu prepaid. Przekazanie wyników odbywało się prawie jak przekazanie okupu.

– Czyli wyniki przekazał w kopercie w ustalonym miejscu i o określonej porze podstawionemu bezdomnemu.

– Dokładnie. Przekazał i miał czekać na telefon.

– I?

– Nie doczekał się.

– Czyli się nie spodobał! Kuźwa, jak ich złapać? Ktoś tam dobrze kombinuje.

– Młody, nie stresuj się, my też dobrze kombinujemy.

– Tak? I niby co wykombinujemy? – Michał stanął przy oknie i zaczął wachlować się tekturową teczką na dokumenty. – Kuźwa, gorąco dzisiaj.

– Mówili, że dziś ma być najgorętszy dzień sierpnia. Nie marudź. Gorąco ci się robi, bo czujesz już zapach sprawcy.

Majewski roześmiał się głośno. Miał dość męczącej burzy mózgów i mozolnego obdzwaniania potencjalnych ofiar. Chciał wsiąść do giulietty, otworzyć okna i pomknąć na superniebezpieczną akcję.

– Możemy złapać sprawcę na gorącym uczynku. – Burzyński rozumiał go bez słów. – Zrobimy prowokację.

– Chcesz pozbyć się nerki? Albo życia?

– Ja nie... My nie jesteśmy wiarygodni, łatwo można ustalić, że pracujemy w firmie.

– Skoro nie my, to kto?

– Skoro nie my, to... jedynym sposobem jest zakup kontrolowany.

* * *

– Przytul mnie – czerwona i zdyszana Marianna niemalże wtoczyła się na OIOM i usiadła na łóżku Artura.

– Co się stało?

Dopiero teraz zauważył, że z oczu dziewczyny płynęły łzy. Powoli uniósł się i rozłożył ręce na boki. Chciała przytulić się do niego, ale utrudniał jej to wielki brzuch, więc tylko objęła go w pół i przywarła twarzą do jego brzucha.

– Auć – jęknął, kiedy poczuł rękę ukochanej nad swoim lewym biodrem. Rana nie dała o sobie zapomnieć. – Spokojnie, Maniu. Co się stało? – powtórzył pytanie, jednocześnie odsuwając ją od siebie.

– Bo...ję się – wydukała.

– W tej chwili weź się w garść! Pamiętaj, że jesteś w ciąży. Opanuj się.

– Staram się. – Starła łzy z twarzy i próbowała uspokoić oddech.

Przez kilka minut siedzieli na łóżku, dalecy od szpitalnej rzeczywistości, nieświadomi obecności innych chorych i krzątających się po sali pielęgniarek. Artur głaskał dziewczynę po głowie, a ona starała się okiełznać swoje emocje.

– Dobrze, a teraz opowiedz, co cię tak przestraszyło – odezwał się w końcu.

– Pojechałam do twojego domu. – Marianna wpatrywała się w oczy narzeczonego, jakby liczyła, że zrozumie ją bez słów. Kiedy odpowiadała jej cisza, wyduszała z siebie kolejne zdanie i milkła. – Zapakowałam wszystko, co chciałeś, do siatki i miałam iść na przystanek. – Cisza. – Podszedł do mnie dobrze zbudowany facet.

– Jaki facet?

– Powiedział, że jest twoim kumplem. Jakiś Jaro albo Karo. „O” na końcu.

– Nic ci nie zrobił? – Spokojny do tej pory Zaremba spanikował. Dobrze wiedział, kim jest Karo, dlaczego obserwował dom Zarembów oraz czego od niego chciał.

– Czyli go znasz... – Marianna wpatrywała się w chłopaka, ale ten wbrew jej oczekiwaniom nie zaprzeczył. – Myślałam, że to jakaś pomyłka. – Spuściła głowę. – Kazał ci przekazać, żebyś nie próbował się ukrywać. I tak cię znajdą. Artur, o co chodzi?

– O kasę...

– Jaką kasę? Przecież ty nie masz kasy?! – Odsunęła się i podniosła głos.

– Ciszej. – Położył palec na ustach, rozglądając się dookoła. Pacjenci na łózkach obok wyglądali na nieprzytomnych, ale nie był pewien, czy przypadkiem czegoś nie słyszą. – Nie mam. W tym problem.

– Problem? Nie wspominałeś, że masz jakieś problemy.

– Nie wspomniałem, też mi afera. Nie miałem o czym. Znalazłem mieszkanie w okazyjnej cenie. Trzeba było zapłacić za rok z góry. Pięć tysięcy. Kasę pożyczyłem od Kara. Na procent. Szybka pożyczka, wysoki procent, bez upierdliwych formalności.

– I z czego chciałeś mu ją oddać?

– Pożyczyłem tylko na chwilę. Maniu, za nerkę miałem dostać dwadzieścia tysięcy. Oddałbym mu to, co pożyczyłem, wraz z odsetkami, a nam zostałoby jeszcze dużo.

– Artur, o czym ty myślałeś? Ten facet wyglądał groźnie. Powiedział, że jeśli mu nie oddasz kasy do piątku, to stracisz to, co kochasz.

– Kochanie, to była pewna sytuacja. Nagrałem sobie kupca na nerkę. Miałem umówiony termin zabiegu. Właściciel mieszkania nie mógł dłużej czekać. Miałem szansę jedną na milion. Wziąłem pożyczkę na kilka dni. Zapłaciłem za mieszkanie i wtedy wszystko się rozpieprzyło.

– I co teraz?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. – Artur Zaremba załamał się. Schował twarz pod kołdrę. Uświadomił sobie, że znajduje się w sytuacji bez wyjścia.

– Może jakoś im to wytłumaczysz? Poprosisz o dłuższy termin? Spłacimy to, co do grosza. Jeśli oboje będziemy pracować... Będzie dobrze, zobaczysz.

– Nie, Maniu. Nie będzie dobrze. Dobrze byłoby, gdyby pobrali mi tę nerkę.

– Co ty mówisz? Gdyby pobrali ci jedyną działającą nerkę,

tobyś umarł.

– Przynajmniej nie miałbym problemów. Spłaciłabyś dług. Miałabyś mieszkanie...

– Ale nie miałabym ciebie...

* * *

– Usłyszałeś wyrok...

Dziennikarka celowo cedziła słowa, a on nie wiedział, czy poci się przez lampy oświetlające plan zdjęciowy, czy z powodu tego, co nieuniknione.

– Tak – potwierdził cicho. Nie musiał mówić głośno. Do koszuli przypięty miał mikrofon. O jego obecności przypominał mikroport uwierający go w lędźwiowy odcinek kręgosłupa. – Dziesięć miesięcy. Trzysta dni. Bez zawiasów. Bez apelacji.

– Jaka była twoja reakcja?

– Momentalnie przestałem żyć. Odliczałem jedynie dni. Nie wryłem na ścianie kalendarza z kolejnymi dniami. Nie. Ale odliczałem czas, który dzielił mnie od... śmierci.

Po raz kolejny żałowała, że widzowie nie mogą zobaczyć twarzy mężczyzny. Zmieniła się całkowicie. Odkąd wspomniała o wyroku, zniknął cwaniacki uśmiech. Burdel King przestał być bogiem, spadł z nieba na ziemię i stał się zwykłym śmiertelnikiem.

– Nie wiem, czy jest coś gorszego – kontynuował opowieść. – Wolałbym umrzeć od razu, bez uprzedzenia, powalony jednym ciosem, zastrzelony lub zgnieciony przez pędzącego tira. Wyobrażałem to sobie setki razy. Jest tyle sposobów na przypadkową śmierć. Ale nie, to nie było dla mnie. Ja nie miałem tyle szczęścia. Usłyszałem wyrok. Wy-rok – podkreślił. – Rozumiesz to?

– Tak jak w więzieniu.

– Gówno prawda. W więzieniu wszyscy żyją! Owszem, w innym rytmie, w nowej grupie, na nowych zasadach. Odliczają dni i leżąc na więziennej pryczy, marzą, aż w końcu otwierają się

przed nimi te gówniane, metalowe drzwi. Wtedy wyjdą na wolność. Na mnie czekała tylko śmierć. Nie mogłem nic zrobić.

Akt 13

Dokładnie w tym samym momencie na różnych klatkach schodowych rozległo się pukanie do drzwi. Jedenaście rąk uderzyło w jedenaście drzwi z różnoraką siłą i wzbudziło niejednakowe fale dźwiękowe. Krótkie i nerwowe pukanie na Piątkowie, głośne i puste w centrum Poznania, delikatne i natarczywe na Wildzie. Obława na Burdel Kinga trwała we wszystkich mieszkaniach, w których prowadził swój biznes, oraz w jego prywatnym apartamencie.

Fale dźwiękowe dotarły do małżowin usznych umundurowanych policjantów stojących przed drzwiami. Przewodem słuchowym zewnętrznym przemieściły się do błony bębenkowej. Ta pod wpływem drgań powietrza poruszyła przylegający do niej młoteczek. Drgania młoteczka przekazane zostały na kowadełko i strzemiączko, za pośrednictwem okienka owalnego trafiły do ucha wewnętrznego, gdzie zamienione zostały na impulsy nerwowe. W końcu impulsy dotarły do ośrodków słuchowych w korze mózgowej. Policjanci byli gotowi do akcji.

Burzyński wraz z ekipą wtargnął do apartamentu Mariusza Kwiatkowskiego. Drzwi otworzyła jego żona. Była lekko zdziwiona obrotem spraw. Zawołała męża, który wyszedł z łazienki w samych slipkach z napisem SUPERMAN.

– Dzień dobry. Proszę sobie nie przeszkadzać, my tylko się rozejrzemy. – Podkomisarz wręczył mu nakaz przeszukania.

Mieszkanie Kwiatkowskich znajdowało się na ostatnim piętrze apartamentowca położonego bezpośrednio przy Warcie.

Z ogromnego salonu roztaczał się piękny widok na rzekę oraz katedrę stojącą na drugim brzegu.

Policjanci nie czekali na reakcję właściciela mieszkania. Zajęli się przetrząsaniem wszystkich pomieszczeń. Jak robactwo rozpierzchli się po całym domu. Kwiatkowski z żoną zajęli miejsca przy kuchennej wyspie. Kobieta była zdenerwowana. Wpatrywała się w męża znacząco, jakby oczekiwała wyjaśnień. Burdel King panował nad sytuacją. Przyglądał się policjantom i popijał kawę, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego.

Burzyński nadzorował akcję i ukradkiem spoglądał na Kwiatkowskiego. Imponowało mu jego opanowanie. Burdel King był przeciwnikiem, o jakim marzył każdy filmowy detektyw: inteligentnym, ostrożnym, cwany, ale i spokojnym.

* * *

Michał Majewski, wielbiciel filmowej rzeczywistości, nie mógł obserwować zachowania szefa burdeli, ponieważ wchodził właśnie z policyjną ekipą do niewielkiej kawalerki na ulicy Królowej Jadwigi w centrum Poznania.

Drzwi otworzyła im młoda dziewczyna, na której twarzy pod tonami makijażu malowało się ogromne zaskoczenie, wymieszane z lękiem. „Mogłaby zostać modelką Edvarda Muncha – pomyślał Młody. – Pięknie wyglądałaby na ekspresjonistycznym obrazie”.

– Policja, poproszę dokumenty.

– Ale zaraz, chwileczkę! – Dziewczyna próbowała protestować, ale wchodzący do środka policjanci odepchnęli ją na bok.

Majewski zamknął drzwi i powtórzył:

– Dokumenty proszę.

Kawalerka była mikroskopijnych rozmiarów. Nie było w niej kuchni, jedynie niewielki pokój i WC, w którym oprócz toalety znajdował się zlew o rozmiarach niewiele większych od przeciętnego smartfona. Urządzona była podobnie do mieszkania, które odwiedził z Burzyńskim na ulicy Wodnej.

Na łóżku przykrytym atłasową pościelą siedziała druga dziewczyna. Na pierwszy rzut oka wydała mu się znajoma. Majewski z przerażeniem zaczął przeszukiwać szuflady swojej pamięci. „Czy to możliwe, że z nią spałem? Do kogo jest podobna? Do Marilyn Monroe?”.

– A ty na co czekasz? Daj mi swój dowód osobisty.

– Ale ja jestem tu przez przypadek. – Dziewczyna próbowała się wykręcić.

– Oczywiście. – Majewski roześmiał się głośno. Miał uwierzyć w to, że wymalowana nastolatka w obcisłych ciuchach, z biustem na wierzchu, znalazła się przez przypadek w domu publicznym. – Dowód osobisty masz?

– To moja koleżanka, przyszła mnie odwiedzić. Naprawdę. Zostawcie ją – protestowała starsza prostytutka.

– Michał, jesteśmy gotowi! – krzyknął z przedpokoju dowódca grupy osłonowej, zapewniającej Majewskiemu bezpieczne wejście do mieszkania. Pod ręką trzymał laptopa.

– Komputer zabezpieczony, szafa sprawdzona?

– Tak jest.

Przeszukanie piętnastometrowej klitki, wyposażonej jedynie w łóżko, stół i jedną szafę, nie zajęło więcej niż pięć minut.

– Dobra. Zabieramy ze sobą panią Ewelinę Zielonkę – Młody wskazał na kobietę, która otworzyła im drzwi. – I panią...

Wyciągnął rękę po dowód osobisty dziewczyny siedzącej na łóżku. Patrzyła na niego błagalnie. Wiedział, że zrobiłaby wszystko, byle tylko nie zabrał jej do komendy. Podała mu plastikowy prostokąt.

– Panią...

Spojrzał na zdjęcie i jeszcze raz na dziewczynę. Pieprzyk na policzku, który początkowo uznał za domalowany kredką, widniał również na zdjęciu. Bez wulgarnego makijażu wyglądała dużo lepiej. Nawet była atrakcyjna. Mógłby ją poderwać na dyskotecę albo w pubie. Nagle go oświeciło. Widział już wcześniej nie tyle tę dziewczynę, co jej zdjęcie.

– A panią sam się zajmę. Możecie już iść – zdecydował.
„Kuźwa – przeklął w myślach – to się nie dzieje naprawdę”.

* * *

Anita Broll właśnie miała wyjść do pracy, jednak po telefonie od Michała zmieniła plany. Prosił, by poczekała w domu. Chciał przyjechać i porozmawiać o czymś ważnym. Pilnie. Usiadła więc na krześle, a czas oczekiwania wykorzystała na zastanawianie się, czy chłopakowi rzeczywiście chodzi o rozmowę, czy raczej o kontynuację gorącego pocałunku. Wszystko wskazywało na to, że bardziej prawdopodobny jest wariant numer dwa. Na wszelki wypadek uporządkowała sypialnię.

Kiedy usłyszała dzwonek do drzwi, podbiegła do lustra, by poprawić fryzurę.

– Cześć! – Otworzyła drzwi bez spoglądania w wizjer. Jednym ze skutków obcowania ze spontanicznym, młodym policjantem była zmiana utrwalonych zachowań. Nudne bezpieczeństwo ustępowało miejsca impulsywności. Dzięki temu zaczynała otwierać się na nowe doznania.

– Dzień dobry.

Za drzwiami stali Michał i Paula. Oboje mocno zdenerwowani.

– Co się... Co ty... – Anita nie mogła z siebie wydusić ani jednego zdania. Natłok myśli wartkim strumieniem zalał aparat mowy. – Co WY... tu robicie?

– Musimy porozmawiać – bąknął Majewski.

Anita wpuściła ich do mieszkania. Policjant szedł pierwszy, a za nim ze spuszczoną głową ciągnęła się Paula.

– Córeczko?!

Anita zauważyła, że jej dziecko ma rozmazany makijaż. Płakało, tego była pewna. Michał wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy podczas kolacji w lokalu. Był spięty, zmieszany i nie wiedział, co powiedzieć. Zupełnie jakby miał jej obwieścić złą nowinę.

„Do pracy! – pomyślała kobieta. – Muszę biec do pracy. Za

chwilę będę spóźniona. Nie chcę brać udziału w tym, co za chwilę nastąpi. Nie. Boże, jaka ja byłam głupia. Pomyślałam, jak idiotka, że ten młodziak i ja...”

– Mamo, wróciłam wcześniej, kolega mnie tylko odprowadził do domu. – Córka próbowała ratować sytuację i udawać niewinną.

– Kolega?

Nagle świat przed oczyma Anity pociemniał. Złapała się oparcia krzesła i usiadła. Wydarzenia ostatnich kilkunastu dni połączyły się w jej umyśle w nowy ciąg przyczynowo-skutkowy. Drogie perfumy przynoszone przez córkę do domu. Nowe ciuchy. Luksusowe kosmetyki. No i Majewski. Niby policjant, ale jednak podejrzenie dobrze ustawiony. Rozbijający się wypasioną bryką, pachnący drogimi perfumami, ubrany zgodnie z najnowszymi trendami mody.

Kobieta chciała zapaść się pod ziemię. Dotarło do niej, że tajemniczym sponsorem Pauli jest Majewski. Ten sam uroczy chłopak, którego namiętnie całowała i nalegała, by wszedł do jej mieszkania w wiadomym celu.

Mogła się tego wcześniej domyślić. Odmówił jej, a ona przez pół nocy zastanawiała się dlaczego. Nigdy nie wpadłaby na to, że spotykał się z jej córką. Dopiero na widok tej pary zrozumiała wszystko. Michał musiał już wcześniej odprowadzać Paulę do domu. Wysłuchał jej opowieści o córce podczas kolacji, a potem rozpoznał blok. Dlatego odmówił. Nie chciał sypiać z matką i córką.

– Paula! – zaprotestował Majewski. – Umawialiśmy się przecież.

Dziewczyna rozplakała się. Anita walczyła ze sobą, by tego nie zrobić. Nie wiedziała, czy powinna być zła na siebie, na Michała, na córkę czy na życie.

Policjant usiadł na sofie.

– Anito – jego głos zabrzmiał bardzo oficjalnie. – Przepraszam, że nachodzę cię w domu, ale to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Kiedy w mieszkaniu Burdel Kinga Michał uświadomił sobie, że twarz dziewczyny widział na ekranie telefonu komórkowego Anity, zdenerwował się. Nie wiedział, co zrobić. Musiał jednak działać szybko. Zapakował Paulę do samochodu i zadzwonił do Anity. Gdy odłożył słuchawkę, zwątpił, czy dobrze postępuje. Może powinien wypuścić dziewczynę i nie stawiać się w tak głupiej sytuacji? Gdyby nie znał jej matki, zabrałby ją do komendy i przesłuchał.

Jego wątpliwości rozwiały się w kilka minut, gdy zobaczył, jak zachowuje się Paula. Nie wiedziała, dokąd jadą i dlaczego, postanowiła więc sama zadbać o swoje interesy. Próbowwała przekonać policjanta, że w mieszkaniu, do którego wtargnęła policja, znalazła się przypadkiem. Używała przy tym wszystkich możliwych argumentów. Podciągnęła sukienkę i zaczęła uwodzicielsko przygryzać usta.

– Wy się znacie? – Paula przestraszyła się i zawstydzila na myśl o tym, jak bezskutecznie próbowała poderwać policjanta. – To ja już pójdę do pokoju. – Uznała, że najlepszym sposobem na ukrycie emocji będzie zejście z oczu matki. – Zmęczona jestem. A ty – zwróciła się do Michała i położyła rękę na jego ramieniu – chyba też się spieszysz?

– Nigdzie nie pójdziesz. – Policjant warknął tak, że w matce niespodziewanie obudził się instynkt obronny. Za wszelką cenę powinna chronić swoje dziecko. – I nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na ty. Siadaj!

Dziewczyna go posłuchała.

– Ty opowiadasz czy ja? – spytał.

– Wiecie co? Jestem już spóźniona. – Anita podniosła się z krzesła. – Może opowiecie mi wszystko innym razem? – zaproponowała z nadzieją, że uniknie żalosnych tłumaczeń kochanków.

– Proszę cię, ty też usiądź. – Majewski zachowywał pozory grzeczności, ale w jego głosie słyhać było żądanie. – I słuchaj!

– Nie mam nic do powiedzenia. – Paula szła w zaparte.

– Paula, nie szarżuj tak, bo przegniesz. Powinnaś siedzieć teraz na dołku...

Bezczelność dziewczyny drażniła policjanta. Najchętniej przełożyłby ją przez kolano i dał jej solidne lanie. Nie mógł usiedzieć w miejscu.

– Na dołku? Michał, o czym ty mówisz? – Absurdalność sytuacji przerosła Anitę.

Córka milczała, a policjant spacerował jak lew w klatce.

– O aresztowaniu. Niewiele brakowało i Paula znalazłaby się dziś na dołku, razem z koleżankami... – wyrzucił z siebie. Skoro przyłapaną na gorącym uczynku córka nie potrafiła przyznać się do winy, musiał grać w otwarte karty. – Koleżankami, uważaj... prostytutkami.

Do Anity docierały jakieś słowa. Odbijały się od pancerza obaw i uciekały. Rozumiała poszczególne wyrazy, ale nie pojmowała ich sensu.

– Jesteś tu tylko dlatego, że znam i cenię twoją matkę.

Po ostatnich słowach policjanta, skierowanych do Pauli, zapadła cisza. Kilka minut spokoju, potrzebnych na analizę faktów.

– Mamo, przepraszam, ja, ja... – Córka upadła na podłogę i rozplakała się jak małe dziecko.

– Czekam na wyjaśnienia – oznajmiła lodowato Anita, ukradkiem ocierając łzy.

– Mamo...

Osiemnastolatka między atakami płaczu próbowała opowiedzieć matce o wydarzeniach z ostatnich miesięcy. Opowiadała o koleżance, która jej zaimponowała, o łatwym źródle dochodów, o swoim pierwszym sponsorze i propozycji, by zarabiać więcej, a jednocześnie zachować większą niezależność.

Majewski odwrócił się do okna, by nie zakłócać tej chwili szczerości. Kątem oka obserwował Anitę. Była wstrząśnięta i opanowana jednocześnie. Podziwiał ją.

– Idź do swojego pokoju – zdecydowała, gdy córka skończyła

opowieść.

– Ale mamo!

– Wyjdź! Porozmawiamy później. Muszę ochłonać.

– Mamo? Ale nie powiesz nic tacie? Błagam!

Anita spojrzała na córkę takim wzrokiem, że ta bez słowa opuściła pokój. Gdy za dziewczyną zamknęły się drzwi, kobieta uniosła się z krzesła i podeszła do okna.

– Przepraszam, że to na mnie trafiło – szepnął, gdy znalazła się blisko niego.

Czuł się niezręcznie. Chcąc nie chcąc, wtargnął z buciarami w życie antropolożki. Czym innym było słuchanie opowieści o Pauli podczas romantycznej kolacji, a czym innym uczestniczenie w tak smutnych momentach. Wysłuchiwanie takich historii. Obserwowanie bólu. Pomyślał, że to nie wiek dzieli go od tej kobiety. Nie chodziło o te pieprzone dziesięć lat, ale o fakt bycia rodzicem. Odpowiedzialność za to, jaką drogą kroczy dziecko, jest największym brzemieniem. Ona dźwigała je sama. On biegł przez życie w podskokach, bez żadnych obciążeń.

– Dziękuję – odpowiedziała szeptem.

Opuścił ręce, dotychczas założone na piersiach. Stała metr od niego i wpatrywała się jak oswojona sarna.

– Pójdę już – zdecydował i nie czekając na reakcję, skierował się do przedpokoju.

Poszła za nim. Wyglądała na zmęczoną, jakby właśnie pokonała maraton.

– Michał – odezwała się, gdy złapał za klamkę.

– Tak?

– Wiem, że złamałeś procedury. Dziękuję. Będę ci dozgonnie wdzięczna. Wiem, że to zabrzmiało głupio... ale muszę cię o coś prosić.

Nie wiedział, czego może się spodziewać.

– Nie mów o tym Przemkowi, dobrze? – poprosiła.

– Przemkowi? – zdziwił się.

– Podkomisarzowi Burzyńskiemu.

- Dlaczego?
- Bo Paula jest jego córką.

* * *

Mariusz Kwiatkowski, zwany Burdel Kingiem, po raz kolejny znajdował się w poznańskiej komendzie. Częstotliwość, z jaką w ostatnich dniach bywał w pokoju przesłuchań, mogła być niepokojąca. Mogła, ale mężczyzna nie przejawiał żadnego niepokoju.

- Przypatrz się!

Burzyński celowo unosił głos. Za punkt honoru postawił sobie wyprowadzenie przesłuchiwanego z równowagi. Majewski rozkładał na stole zdjęcia, teatralnie stopniując napięcie.

- Patrzą.

Fotografie pojawiające się przed Kwiatkowskim nie robiły na nim wrażenia. Nie ułatwiał przesłuchania, nie wchodził w dyskusje, odpowiadał rzeczowo, panował nad emocjami.

- Ofiara numer jeden. Katarzyna Szafran, pseudonim Andżela, lat dwadzieścia sześć. Pracowała dla ciebie. - Burzyński na bieżąco komentował zdjęcia. - Ofiara numer dwa. Józef Ciemała, lat czterdzieści pięć. Korzystał z twojego przybytku rozkoszy. Obojgu wycięto nerki. Oboje zabito.

- Przykre. Po co mi to mówicie? Mam przekazać kondolencje dla rodzin? - Z wypowiedzi wręcz kapał sarkazm.

- Dlaczego? Dobrze, Młody, prawda?

- Noo, ma facet poczucie humoru.

Policjanci przez chwilę śmiali się głośno. Zachowywali się tak, jakby przesłuchiwany na chwilę zniknął. Lekceważyli go i czekali na reakcję. Musieli go złamać i w tym celu gotowi byli użyć wszelkich metod zgodnych z prawem.

- Obie ofiary były z tobą związane. Obie zostały zamordowane.

- Chyba, panowie policjanci, nie podejrzewacie, że przeze mnie? - Pewność siebie przesłuchiwanego kłuła w oczy.

Przeciętny człowiek niesłusznie oskarżony miota się jak mucha, która niespodziewanie wpadła w sieć pająka. Gimnastykuje się, by przekonać policjantów o swojej niewinności. Kwiatkowski nie należał jednak do przeciętnych. – Nic na mnie nie macie – dodał ze stoickim spokojem.

– Tu się mylisz, cwaniaczku. – Tym razem zaatakował Majewski. – Jesteś prawnikiem, więc wiesz, jak to działa. Prokurator, który prowadzi sprawę, za chwilę wybiera się na emeryturę. Ma mnóstwo kontaktów oraz pała przemożną chęcią uwieńczenia sukcesem ostatniej prowadzonej sprawy. Wiemy o wszystkim.

– Czyli wiecie więcej niż ja. – Kwiatkowski wyglądał na rozbawionego.

– Wiemy, że na naszym terenie kwitnie handel organami. Wiemy, że istnieje cała struktura, że werbowani są ludzie, a organy są pobierane. Nie wiemy jeszcze, dokąd trafiają, ale to tylko kwestia czasu. Nieźle to sobie wymyśliłeś, masz łeb, chłopie.

– Przeceniacie mnie. Nic nie wiem o handlu organami.

Burdel King poczuł nagle, że maleje zawartość tlenu w powietrzu. Rozejrzał się po ośmiometrowym pokoju w poszukiwaniu okna lub klimatyzatora.

– Chcesz nam wmówić, że to zbieg okoliczności? Obie ofiary powiązane są właśnie tobą. Michale Kwiatkowski, twoje dni są policzone. Pójdiesz siedzieć. Za podwójne zabójstwo i handel organami.

– Nic na mnie nie macie – powtórzył przesłuchiwany.

– Faktycznie, nic. – Tym razem głos Burzyńskiego zabrzmiał sarkastycznie. – Oprócz zabezpieczonych podczas przeszukania twojego apartamentu dysków komputerowych i historii twoich internetowych poczynań. Sprzedam nerkę. Pamiętasz, ile razy wpisałeś to hasło w wyszukiwarkę w ciągu ostatnich tygodni? Ha, możemy to policzyć. Wiemy, ile razy i co przeglądałeś.

* * *

W słuchawce ukrytej w uchu dziennikarki rozbrzmiewał głos producenta, domagający się przejścia do kolejnego etapu wywiadu. Czas trwania programu był z góry ustalony, a rozmowa podzielona na bloki tematyczne. Nad ich kolejnością pracował cały sztab ludzi. Zespołowi zależało na jak największej oglądalności, więc punkt kulminacyjny rozmowy zaplanowano na moment, w którym wszyscy oglądający zdążą już ocenić mężczyznę.

– Śmierć... Rozumiem, że nie mówisz teraz alegorycznie o więzieniu, ale o wyroku śmierci, jaki usłyszałeś od lekarza. Nie dał ci żadnych szans na przeżycie?

Pytanie, które wybrzmiało w domach setek tysięcy widzów, miało wywrócić ich osąd o sto osiemdziesiąt stopni i sprawić, że nie oderwą się od telewizora przez następne kilkanaście minut.

– Diagnoza zabrzmiała jak nazwa dania w menu. Obco. Nic z niej nie zrozumiałem. Dopiero gdy lekarz w dwóch zdaniach wytłumaczył mi, co z czym się je, zacząłem uświadamiać sobie powagę sytuacji. Facet w białym fartuchu zaczął wymieniać czynności, których miałem unikać. Mówił długo, a ja w ogóle go nie słuchałem. Gdy skończył, zapytałem tylko, jak długo będę żył. Migał się od odpowiedzi. Lawirował między różnymi definicjami życia, definicją szczęścia i innymi bzdetami. W końcu przyparty do muru powiedział, że maksymalnie dziesięć miesięcy.

– Trzysta dni.

– W porywach trzysta trzy. – Mężczyzna uśmiechnął się do siebie. – Kiedyś myślałem, że jestem twardzielem. Nie zabiły mnie mafia, alkohol ani narkotyki. W tamtej chwili okazało się, że zabić mogła mnie kreatynina, końcowy produkt metabolizmu mięśni, którego nie wydaląłem z organizmu. Gdy opuszczałem gabinet, lekarz dodał, jakby na osłodę, że uratować może mnie jedynie przeszczep, że istnieje specjalna lista oczekujących na przeszczep, a ja mogę zostać na nią wpisany. Pojawiła się iskierka nadziei.

- Zacząłeś żyć nadzieją?
- Nie słuchasz mnie. - Denerwowała go. Była młoda, zdrowa i brakowało jej subtelności. - Przestałem żyć. Szybko dowiedziałem się, że lista oczekujących na przeszczep nerki liczy prawie tysiąc osób. Taka kolejka oznacza czekanie... tracenie czasu, którego się nie ma.
- Nie mogłeś czekać. Byłeś obrotny. Nie wierzę, że nie próbowałeś zorganizować potrzebnego narządu w inny sposób.
- Spytałem filozoficznie: czy sposób ma jakieś znaczenie, gdy gra się o najwyższą stawkę?

Akt 14

Telewizor – urządzenie elektroniczne przeznaczone do zdalnego odbioru ruchomego obrazu. Sprzęt, który może dać złudzenie bliskości. Iza i Przemek spędzali przed nim kolejny wieczór. Siedzieli blisko siebie, na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie każde z nich przebywało w swoim świecie. Nie musieli ze sobą rozmawiać. Łączyła ich niezobowiązująca, bezpieczna bliskość.

Właśnie kończył się film. Czarne litery niczym stado mrówek maszerowały w równym rzędku przez ekran. Z dołu do góry.

– Ojej, wzruszyłaś się.

Kątem oka Burzyński zauważył, że żona pociera policzki i pociąga nosem.

– Nie śmieję się ze mnie.

Nie miał takiego zamiaru. Zawsze wzruszały ją romantyczne historie. Pamiętał ich pierwsze wspólne wyjście do kina. Płakała jak bóbr.

– Przecież wszystko dobrze się skończyło. Będą żyć długo i szczęśliwie.

– Wiem, wiem. – Gdyby jej nie zagadnął, wygrałaby ze wzruszeniem, a tak łzy popłynęły ciurkiem. – Głupi ten film, to wszystko przez muzykę, ona była tak przejmująca, podkrecała emocje... Jakoś tak wpłynęła na mnie. Już się ogarniam. – Wytarła mokre policzki.

Przemek przytulił żonę do piersi. Jej włosy pachniały rumiankiem. Przyzwyczał się do takich reakcji, ale nadal ich nie rozumiał. Jak obrazy, wyświetlane jeden po drugim z

odpowiednią częstotliwością, jedynie imitujące prawdziwe życie, mogły tak sterować emocjami?

– Tak dawno tego nie robiłeś – powiedziała w końcu przez łzy i wtuliła się w niego jak małe dziecko. – Tak dawno mnie nie przytulałeś. Nie opiekowałeś się mną.

– Kochanie, nie chciałem naruszać twojej przestrzeni. Nie chciałem, żebyś czuła się... sam nie wiem... Niezadowolona?

Iza uwolniła się z objęć, by całą uwagę poświęcić mężowi. Miał zmęczoną twarz i smutne oczy. Telewizor nadal emitował obraz i dźwięk, ale nagle stracił dla Burzyńskich znaczenie.

– Stawałem na rzęsach, by cię zadowolić – kontynuował. – Staralem się.

– Wiem. Być może za bardzo? – W końcu wypowiedziała na głos coś, o czym bała się nawet myśleć. – Gdzieś po drodze zgubiłeś siebie. Stałeś się zupełnie obcym człowiekiem.

– Stałem się takim, jakim wydawało mi się, że chcesz mnie widzieć.

– Ja?

– Wy, kobiety, macie ambicję zmieniać nas, mężczyzn...

– A co ty wiesz o innych kobietach? – Przytuliła się do niego.

– Masz rację, niewiele. Wiem, że kocham ciebie i z tobą chcę się zestarzeć.

Iza czuła zapach i ciepło jego ciała. Spłynął na nią spokój, jakiego dawno nie zaznała. Po tygodniach starań robota Przemysława, po latach spędzonych z podkomisarzem Burzyńskim nagle poczuła, że wrócił jej ukochany Przemek. Pocałowała go tak jak kiedyś. Figlarnie i zachęcająco.

– Wiesz, pamiętam, jak się w tobie zakochałam. Sprawiałeś, że czułam się jak mała dziewczynka. Imponowałeś mi zdecydowaniem, decyzywnością, męskością.

– Przecież nadal taki jestem...

Przerwał zdanie w połowie. W pierwszej chwili chciał dodać: „...szkoda, że tego nie widzisz”, ale na szczęście pomyślał, zanim cokolwiek powiedział. Takie zakończenie zepsułoby

romantyczny klimat. Byłoby wstępem do dyskusji, a każda dyskusja mogła zakończyć się kłótnią.

„Przecież nadal taki jestem – powtórzył w myślach. – Tak mi się wydaje”. Szybko jednak uzmysłowił sobie, że zwrot „wydaje się” w tej myśli jest kluczowy. Wydawało mu się, że gdy dostosuje się do zasad Izy, straci swobodę działania i męskość. Tak naprawdę stracił szacunek dla siebie. Jedynie... i aż.

– Jesteś jak Superman, zbawiasz cały świat...

– A ty jesteś moją Lois Lane.

Przemek wstał z kanapy, nachylił się nad żoną i podniósł jej kruche ciało. Przeniósł ją do sypialni, położył na łóżku i szepnął:

– Kocham cię.

* * *

– O czym marzy Anita Broll?

– Teraz?

– Mhm.

– O powtórce?

Kawalerskie mieszkanie Majewskiego przeżyło przed momentem trzęsienie ziemi. Napięcie gromadzące się w osobnikach płci przeciwnej zostało gwałtownie rozładowane. Energia, którą w ten sposób uwolnili, rozchodziła się w postaci niezauważalnych fal sejsmicznych. Wydawało im się, że wszystko wiruje. Sufit, ściany i szafa, w której w ostatniej chwili poupychał ubrania wiszące wcześniej na krzesłach.

– A w ujęciu bardziej ogólnym? – dopytywał.

Gdy pojawiła się w drzwiach jego mieszkania, widział, że jest spięta. Weszła bez słowa. Nie pytał o nic. Nie chciał wiedzieć, jak ustaliła jego adres i co ją tu przywiało. Jedyne, o czym myślał, to jak zatrzymać czas.

Zazwyczaj to on brylował w takich sytuacjach. Osaczał dziewczyny, które zapraszał na spaghetti. Peszył je, komplementował i prowadził do łóżka. Był mężczyzną, zdobywcą i panem domu.

Anita nie przyszła na włoski makaron. Pojawiła się bez zaproszenia i szybko przeszła do rzeczy.

– O czym marzysz? – Chciał, żeby się otworzyła.

Leżała w jego łóżku naga, ale nadal osłonięta ochronnym pancerzem. Posiadł ją, ale nawet się nie nasycił. Intrygowała go. Zupełnie inaczej niż dziewczyny, które zwykle bywały w jego mieszkaniu. Młode, beztroskie, niemyślące o jutrze. Atrakcyjne, z obfitymi biustami, pełnymi ustami lub długimi nogami.

– Chciałabym wyjechać na trupią farmę.

– Chyba musiało być ci ze mną bardzo źle, no wiesz, przed chwilą – pozwolił sobie na żart – skoro myślisz o śmierci?

Zignorowała go i usiadła na łóżku po turecku, przykrywając się prześcieradłem.

– Rozumiem śmierć zupełnie inaczej niż ty. Śmierć i parę innych pojęć.

Zabrzmiało to tak, jakby była matką zwracającą się do syna. Nie zamierzała karać go za to, że nie zaprotestował, gdy pojawiła się w jego mieszkaniu. Że podszedł do niej na tyle blisko, by trudno było ustalić, kto kogo pocałował. Że wylądowali w łóżku, zanim zaproponował jej coś do picia.

Była dorosła. O wiele bardziej doświadczona od niego. Powinna wiedzieć, że tak będzie. Nie powinna zapominać o dzielącej ich różnicy wieku, ale sytuacja z Paulą zupełnie wyprowadziła ją z równowagi. Przestała nad sobą panować.

– Tak? – Czekał na ciąg dalszy.

Anita sięgnęła po koszulkę, która kilka uniesień wcześniej okazała się zupełnie niepotrzebna. Zarzuciła ją na siebie i już wychodziła z łóżka.

– Czeka! – Złapał kobietę za rękę. – Nie wypuszczę cię, dopóki nie opowiesz mi o tych farmach.

– W Stanach są takie miejsca, gdzie antropolodzy i medycy sądowi prowadzą badania nad procesami zmian pośmiertnych zwłok w różnych warunkach środowiskowych. Takich miejsc nie ma nigdzie indziej. To ewenement. Teren jest mocno

zróżnicowany. Na przykład jedne ciała są zakopane w ziemi, inne pozostawione na powierzchni, jeszcze inne w wodzie albo we wrakach samochodów. Dzięki temu można obserwować, jak się rozkłada ciało w różnych warunkach zewnętrznych, no wiesz, temperatura, wilgotność...

Michał przyglądał się kobiecie z przyjemnością. Opowiadała o makabrycznych rzeczach w taki sposób, jakby opisywała podróż życia. Pobyt w pięciogwiazdkowym hotelu na Bali. Żywo gestykulowała, a piersi przykryte skąpą koszulką podskakiwały radośnie.

* * *

– Podsumowując, akcję uważam za udaną.

Zadowoleni policjanci siedzieli w samochodzie Majewskiego. Każdy cieszył się z czegoś innego, ale obaj myśleli, że partner czuje się usatysfakcjonowany galopującym śledztwem.

– Wiadomo, jak już się do czegoś zabieramy, to zawsze wychodzi super. – Młody wypiął z dumą pierś do przodu. – Jedna z dziwek Burdel Kinga przyduszona na przesłuchaniu zeznała, że Andżela spodziewała się przyływu gotówki. Okrągłych i łatwo zarobionych dwudziestu tysięcy złotych. Podobno miała coś sprzedać.

– Coś, czyli nerkę. Wszystko inne, co posiadało jakąś wartość, sprzedała lub zastawiła wcześniej. Ciemała też spodziewał się gotówki.

– No właśnie. Andżela i Ciemała kłócili się z Burdel Kingiem, pamiętasz, Burza? Wspominała o tym panna, którą przesłuchiwaaliśmy w mieszkaniu na Wodnej. Ustaliłem, że Andżela chciała zrezygnować z pracy. Burdel King był mocno niezadowolony. Podobno postawił warunek. Miał zgodzić się na jej odejście, jeśli dziewczyna zwróci mu koszty przyuczenia jej do zawodu oraz równowartość potencjalnych zysków z kilku najbliższych miesięcy. Wyszło ponad dziesięć tysięcy. Ciemała próbował podobno bronić dziewczyny. Burdel King naśmiewał

się, że staruch się zakochał i staje w obronie dziwki jak błędny rycerz.

– Chciał jej pomóc. Pewnie dlatego szukał haków na Burdel Kinga. Myślisz, że próbował go szantażować?

– Nie wiem. Ustaliliśmy, że Andżela chciała wydać kasę na wykupienie rzeczy z lombardu oraz siebie spod kurateli Burdel Kinga. Ciemała na pewno też miał jakiś cel. Oboje, jeśli wziąć pod uwagę efekt końcowy, mogli korzystać z tego samego źródła, że tak powiem, finansowania.

Samochód zaparkowany był zaraz za przejściem dla pieszych na ulicy Marcinkowskiego. Siedzący w nim mężczyźni mieli na oku chińską restaurację mieszczącą się zaraz za skrzyżowaniem z ulicą 23 Lutego.

– Zgadzam się z tobą, ale na razie nie mamy dowodu. W sieci nie ma śladu po ich ogłoszeniach. Albo jako nieaktualne zostały usunięte, albo nigdy się nie pojawiły.

– Są tylko dwie możliwości. – Majewski wystawił kciuk, by zaakcentować pierwszą. – Albo dotarli do podziemia transplantacyjnego przez ogłoszenie, albo – wyprostował palec wskazujący – bezpośrednio lub pośrednio przez znajomego. Ogłoszenie, w przypadku dwojga znających się ludzi, wydaje się mało prawdopodobne. Co? Przypadkiem oboje dali ogłoszenia? Założę się, że informacja o możliwości sprzedaży nerki wyszła od któregoś z nich. Drugie skorzystało tylko z tej oferty.

Majewski zbierał hipotezy, podsumowywał i szukał związków przyczynowo-skutkowych. Burzyński wpatrywał się w tandetny zielony daszek i kolumny ozdobione chińskimi smokami. Nie podobał mu się taki jarmarczny klimat Chin. Mimo że restauracja prosperowała w tym miejscu od lat, jeszcze nigdy jej nie odwiedził. Nie nosił się nawet z takim zamiarem. „Jeśli w środku jest równie strasznie jak na zewnątrz – tłumaczył wielokrotnie – to nie przełknę tam nawet herbaty”.

– Kto komu powiedział? – Oderwał wzrok od obrzydliwych kolumn.

– Nie wiem. Andżela umarła wcześniej, może wcześniej dobiła targu? Obracała się w takim, a nie innym środowisku, może znała pośrednika, może kogoś z „kadry menedżerskiej”?

– Faktycznie, mogła znać odpowiednią osobę, dlatego poleciła ją Ciemale. Nie wiem, czy trzymałbym się twojej chronologii, Młody. Równie dobrze to on mógł powiedzieć jej. Akurat to, że umarła wcześniej, znaczy jedynie tyle, że szybciej znalazł się chętny na kupno nerki. Przecież wiesz, że pobrana nerka nie może leżeć i czekać na biorcę. Pewne jest jedynie to, że oboje nie żyją. Nie dojdziemy, kto komu powiedział. Dla nas najważniejsze jest, kto to robi.

– Kto? – Majewski myślał intensywnie. Dobrze mu to szło, zwłaszcza wtedy, gdy siedział w swojej ukochanej giulietcie z jedną ręką na kierownicy, a drugą na dźwigni zmiany biegów. – Kwiatkowski pasuje, wręcz idealnie. Ma kontakty, doświadczenie, dostęp do wielu ludzi. Ochronę, szacunek, co jeszcze?

– Ale nie jest tak głupi, żeby zabijać... Jest prawnikiem, wyleciał z palestry z powodu śmierdzącej sprawy, oficjalnie mówiono, że z powodu alkoholizmu i nieobyczajnego zachowania. Otworzył sieć fast foodów, a raczej fast seksów. Pomyśl, Młody, facet żyje jak pączek w maśle, po co mu dodatkowe ryzyko?

– Masz rację.

– Pracujemy razem na tyle długo, żebyś zapamiętał: Burza zawsze ma rację.

– Nie zapominaj jednak, że podziemie tworzy więcej niż jedna osoba. Kwiatkowski może być mózgiem i mieć ludzi od czarnej roboty.

– Nie! W to nie uwierzę, to zbyt mały kolo. Burdel King mózgiem międzynarodowej organizacji?

– Dlaczego międzynarodowej? – spytał Młody i jednocześnie kątem oka zauważył, że ktoś wychodzi z chińskiej restauracji.

Starsza, dystygowana kobieta trzasnęła drzwiami i pobiegła

do parkomatu. Wrzuciła do niego kilka monet, odeszła z wydrukowanym biletem parkingowym. Przeszła przez ulicę, zostawiła bilet w samochodzie i wróciła do restauracji.

– Przecież wiemy, że organy pobrane nielegalnie nie mogą trafić do polskich szpitali. Żeby trafiły do biorcy, muszą wyjechać za granicę, a skoro tak, to tam na miejscu też musi istnieć odpowiednia struktura.

– Dobra, przyjmijmy, że Burdel King jest tylko polskim nadzorcą interesu. No wiesz, takim dyrektorem generalnym na Polskę.

– Już szybciej.

– Dawców łapią z ogłoszeń i z mafijnych odpadów, no wiesz, niegrzecznych prostytutek, ludzi niewygodnych albo takich, którzy nie mogą spłacić zaciągniętych pożyczek. Łatwy target. Pobierają narządy i wysyłają. Gdzieś.

– Młody, ale gdzie? I co? Gdzie są ci ludzie, którym pobierają narządy? Nie wierzę, żeby pobrali tylko Andżeli i Ciemale. To zbyt mała skala. Nie opłaca się. Zbyt duże ryzyko, za mała kasa.

– Andżela i Ciemala umarli na stole albo później. Sprawcy musieli się ich pozbyć, ale nie chcieli, by ciała budziły skojarzenia z pobieraniem narządów. Wymyślili te nacięcia, węża jako symboliczne gównno. I dobrze to sobie zaplanowali, bo prawie daliśmy się nabrać na psychola zabójcę.

– A reszta dawców żyje?

– Kuźwa, skąd mam wiedzieć? Dostali kasę i milczą?

– To możliwe. Co mają mówić? I komu? Sprzedając narząd, sami popełnili przestępstwo. Nie mają się czym chwalić.

Policjanci mogliby długo debatować na temat podziemia transplantacyjnego, ale zauważyli ruch przy chińskiej restauracji. Ktoś znajdujący się w środku lokalu otworzył drzwi.

Majewski skorzystał z chwili, w której żaden z nich nie mógł oderwać oczu od obserwowanego obiektu, i zadał niezręczne pytanie.

– Nie mówiłeś, że znasz Anitę Broll?

– Anitę? A co?

Zapanowała niezręczna cisza. Majewski modlił się, by z restauracji ktoś wyszedł. Nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Jest! – ucieszył się, gdy w drzwiach zobaczył znajomą postać.
– Wychodzi.

Eleganckie buty Kwiatkowskiego stukały o płyty chodnikowe. Wraz z nogami podążały prosto przed siebie. Tułów skręcał się w bok. Chwilę później wyszedł drugi mężczyzna. Kwiatkowski coś do niego powiedział i obydwaj wybuchnęli śmiechem. Podali sobie ręce i rozeszli się z uśmiechem na twarzy.

– O kurwa, wiedziałeś, że się znają? – W Burzyńskim kipiały emocje.

– Jedziemy za nim? Czy za tym drugim?

* * *

– Jak do nich dotarłeś?

– Policjant podczas przesłuchania powiedział, że istnieje podziemie transplantacyjne. Nie mogłem przegapić takiej szansy. Popytałem tu i tam.

– Kto pomógł ci do nich dotrzeć?

Dziennikarka zdawała sobie sprawę z tego, że rozmówca nie może operować nazwiskami, nie znaczyło to jednak, że ona nie może o to pytać. Widzowie przed telewizorami mieli odnieść wrażenie, że spotkała się z tym człowiekiem po raz pierwszy i wyciąga z niego tajemnice, o których nie powiedziała nikomu innemu. Wiedziała, że dzięki temu wykonana przez nią praca zostanie doceniona. Zarówno przez widzów przed telewizorami, jak i szefa analizującego słupki oglądalności.

– Kto? Jakie to ma znaczenie? – Mężczyzna zachował spokój, mimo że umawiali się, iż takie pytania nie padną. Był jak hinduski jogin. Zdystansowany i skupiony. – Wiesz, mój świat jest inny. Niemen zaśpiewałyby: inny jest mój świat, inny niż twój. Ty chwalisz się na fejsie tym, kogo znasz. Dzięki temu

zyskujesz nowych znajomych. Ja pozycję i kontakty zawdzięczam temu, że potrafię dochować tajemnicy. Nie musisz wiedzieć, kogo znam. Mam swoje kontakty, także takie, które chcą pozostać anonimowe. Gdybym ich nie miał, nie mógłbym prowadzić w mieście tak dużego biznesu.

– Dobrze, zostawmy ten świat. Ile czasu potrzebowałeś, żeby dotrzeć do ludzi handlujących organami?

– To oni dotarli do mnie. Pytałem tu i ówdzie, a jednocześnie rozsyłałem wici, że potrzebuję nerki. I jestem gotowy zapłacić każdą cenę. Sprawdzili mnie. Kurwa, sprawdzili dokładnie, a potem zaprosili na spotkanie do chińskiej restauracji.

Akt 15

– Panie prokuratorze, sprawa przyspieszyła, szykujemy się do zatrzymań. Nie możemy zrobić tego jednak zbyt szybko – tłumaczył Burzyński. – Nie chcemy ich przepłoszyć.

Policjanci ponownie wpatrywali się w porcelanową filiżankę Tadeusza Wiszniewskiego. Obserwowali jego lodowatą reakcję i zazdrościli mu klimatyzatora. Przy tak ciepłym lecie był to luksus, o jakim marzyli. Majewski potrafił nawet zrozumieć prokuratora. Gdyby w jego miejscu pracy utrzymywała się temperatura dwiętnastu stopni Celsjusza, krew krążyłaby w ciele wolniej, a on sam niechętnie opuszczałby biuro.

– Gdybyśmy mogli zorganizować zakup kontrolowany. – Młody, zamiast trzymać język za zębami, zgodnie z wcześniejszymi dyspozycjami Burzyńskiego, odezwał się agresywnym, roszczeniowym tonem. – Byłoby szybciej, a tak...

– Przestańcie, kurwa, kozaczyć. – Bezcelność młodego policjanta podniosła Wiszniewskiemu ciśnienie. Zrobił się czerwony i uderzył pięścią w biurko. – Nie ma zgody na zakup kontrolowany, zrozumieliście, kurwa? Odchodzę w stan spoczynku, nie podłożę głowy za...

– Ma się rozumieć, panie prokuratorze. – Burzyński musiał ostudzić emocje i uspokoić sytuację.

Michał Majewski miał specyficzny sposób bycia, odpowiednie zasoby finansowe i plecy w Komendzie Głównej. Tymczasem Wiszniewski oczekiwał szacunku, szacunku i jeszcze raz szacunku.

– Wie pan, młoda krew zawsze się niecierpliwi. – Tu wskazał

Michała. – A nas starych hamują procedury, zgody sądu...

– Może niech pan mówi za siebie. Stary, phi! – Sześćdziesięcioczworoletni prokurator oburzył się, po czym roześmiał się głośno: – Ja czuję się jak młody bóg. Mam już bilet na Hawaje!

Policjantów zaskoczyła absurdalność tej sytuacji. Podczas rozmowy o podziemiu transplantacyjnym, osobach mogących nim kierować i zakupie kontrolowanym prokurator wspomniał o Hawajach i nagle wszystko inne przestało dla niego istnieć.

– W każdym razie znamy już powiązania. – Burzyński postanowił krótko zreferować osiągnięcia. Zastanawiał się, czy jego rewelacje wygrają ze słońcem, oceanem i tańcem hula, o których myślał Wiszniewski. – Niejaki Kwiatkowski spotkał się z Gerardem Beckiem. W restauracji. Spotkanie nie trwało dłużej niż dwa kwadransy. Na pewno dotyczyło interesów.

* * *

– Zostań i pilnuj!

Komenda Burzyńskiego, który wchodził właśnie do męskiej szpitalnej toalety, nie była skierowana do psa, lecz do partnera. Majewski rozstawił nogi na szerokość bioder, splótł ręce na brzuchu i przybrał wyraz twarzy zastępujący tabliczkę: „Uwaga, zły pies, wejście na własną odpowiedzialność!”

– Wiem, co planujesz. – Pozornie skierowana w przestrzeń zaczepka Burzyńskiego szukała adresata.

Mariusz Kwiatkowski zdążył już wyjść z kabiny i zamierzał właśnie opuścić toaletę bez mycia rąk. Głos policjanta sprawił, że zmienił plany.

– Ja? – Rozejrzał się wokoło.

Byli sami. Musiał zachować spokój. Podeszedł do umywalki i zmoczył ręce, by zyskać na czasie. Nie spodziewał się takiego spotkania w szpitalnej toalecie. Podczas ostatnich przesłuchań uważnie wpatrywał się w twarz policjanta, więc nie musiał teraz szukać w otchłani pamięci jego nazwiska.

– Kwiatkowski, możesz zgrywać cwaniaka i udawać, że nie wiesz, o co chodzi. – Burzyński podszedł na tyle blisko, by rozmówca czuł powiew wydychanego przez niego powietrza. – Ale ja na twoim miejscu zastanowiłbym się...

Zachowanie policjanta zaskoczyło Mariusza Kwiatkowskiego.

– Odpierdol się ode mnie – warknął.

Nie mógł udawać, że nie wie, o co chodzi. Nadszedł czas konfrontacji.

– Jak chcesz. – Burzyński udał, że odchodzi, ale w mgnieniu oka odwrócił się i z zaskoczenia przyparł Kwiatkowskiego do ściany. – Obawiam się jednak, że w tej sytuacji tylko mnie możesz zaufać.

Kwiatkowski poczuł, że w plecy wdusza mu się włącznik światła. Nie zamierzał jednak pokazać prawdziwych emocji.

– Zaufać? Policji? Potrafisz mnie rozbawić – świadomie prowokował. Wiedział, że przegra ten z nich, któremu puszcza nerwy.

– Słuchaj mnie, Kwiatkowski! Słuchaj uważnie, bo, kurwa, nie będę powtarzał. To, co teraz powiem, jest moim prywatnym zdaniem, nie zdaniem policji. Wszystkie poszlaki w sprawie zabójstw prowadzą do ciebie. Mówię „prowadzą”, bo wiem z pewnych zaufanych źródeł, że ten, kto zabił tych ludzi, napracował się, by podejrzenia padły na ciebie.

Oficjalne przesłuchania Burdel Kinga nic nie wносиły do śledztwa. Podkomisarz postanowił zadziałać nieoficjalnie. Zmobilizował informatorów i zdobył informacje, którymi chciał podzielić się z Kwiatkowskim. Oczywiście w granicach rozsądku.

Właściciel dziesięciu punktów usługowych oferujących szybki seks najwyraźniej nie miał odpowiedniej perspektywy. Burzyński postanowił mu ją poszerzyć. Uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie przeprowadzenie prywatnej rozmowy, w której da Kwiatkowskiemu do zrozumienia, ile wiedzą o nim policjanci.

– Mówiłem, że tego nie zrobiłem. Nie zabiłem ich.

– Taaa, tylko że swoje zapewnienia o kant dupy możesz roztrzaskać. – Podkomisarz odsunął się od Kwiatkowskiego, pozwalając mu odetchnąć. – Na tę chwilę mamy wystarczające dowody, by przedstawić ci zarzuty. Mamy świadków, którzy zeznają, że groziłeś obu ofiarom. Zabezpieczone dyski komputerowe pamiętające twoje poszukiwania ogłoszeń o sprzedaży nerki. A na deser niezbity dowód na to, że – roześmiał się – jak by to powiedzieć? Nerka jest dla ciebie towarem najwyższej potrzeby. – Burzyński wypuścił przynętę i czekał na reakcję.

Wysoko oceniał inteligencję przeciwnika. „Gdyby Burdel King rzeczywiście stał na czele podziemia transplantacyjnego – dedukował – nie pozwoliby sobie na przeglądanie na komputerze domowym ogłoszeń dotyczących sprzedaży narządów. Jest zbyt ostrożny. Dbą o higienę pracy”.

Podczas poszukiwań drugiego dna Burzyński odnowił dawne, nie do końca wygodne znajomości. Udało mu się ustalić, że Mariuszowi Kwiatkowskiemu potrzebna jest nerka. Do Poltransplantu wpłynęło odpowiednie zgłoszenie, z podkreśleniem pilności zabiegu. Zostało ono jednak odesłane do uzupełnienia, co potencjalny biorca przyjął z ogromną złością. Trudno się temu dziwić, bo dopóki biorca nie zostanie umieszczony na Krajowej Liście Oczekujących na Przeszczepienie, dopóty nie ma szans na przeszczep.

– Możesz więc wszystkiemu zaprzeczać – Burzyński kontynuował, a temperatura ciała Kwiatkowskiego rosła z minuty na minutę. – Wtedy pójdiesz siedzieć. Sam. Sąd uzna, że potrzebowałeś nerki dla siebie i dlatego zabijałeś innych. Nikt nie będzie miał wątpliwości co do twojej motywacji. Czy oni są tego warci? Zastanów się.

Wystarczył szybki rachunek zysków i strat oraz instynkt samozachowawczy. Na to liczył Burzyński.

– Skąd wiesz? O nerce?

– Wiem więcej, niż ci się wydaje, dlatego z tobą rozmawiam.

Ty pomożesz mnie, a ja tobie.

Kwiatkowski oddychał głęboko, by ostudzić emocje. Pot spływał mu po czole.

Podkomisarz nie zamierzał ujawniać źródeł swoich informacji. Działał zgodnie z planem. Przestraszyć. Zasiać ziarno niepewności. Zaskoczyć informacjami. Dać do myślenia.

Skoro nie mógł liczyć na pozwolenie na zakup kontrolowany, musiał zrobić wszystko, by całą akcję zorganizować nieoficjalnie. Kwiatkowski był jedyną osobą, która mogła mu w tym pomóc. Trzeba było tylko przekonać go, że naprawdę na tym skorzysta.

– Wiem też, że ktoś z twojego świata bardzo źle ci życzy. Szykuje się już do przejęcia twojego burdelowego interesu. To będzie wrogie przejęcie. Przyznaję, świetnie zaplanowane. Ty pójdziesz siedzieć, wrobiony w handel organami, a twój wróg zgarnie wszystkie mieszkania, panny i zapewne twoją żonę też.

Burzyński pozbył się w tym momencie ostatniego naboju. Stał w śmierdzącej szpitalnej toalecie i docierało do niego, że nie może zrobić nic więcej. Liczył się z tym, że mężczyzna może odmówić współpracy. „Odmowa jest działaniem intencjonalnym – pocieszał się w myślach. – Jeśli odmówi, to znaczy, że jest umoczone o wiele mocniej, niż myślałem. Może rzeczywiście jest mózgiem całej operacji?”.

– Co ty pierdolisz?! – Reakcja Kwiatkowskiego nie pozostawiała złudzeń. – Nie złamiesz mnie, kutasie. Nie będziesz napuszczał mnie na swoich!

* * *

– Wspomniałeś o grze o najwyższą stawkę. Czy to dlatego myślałeś tylko o sobie? Przecież jeśli skontaktowałeś się z podziemiem transplantacyjnym, musiałeś zdawać sobie sprawę, że przez ciebie ktoś może umrzeć?

– Męczy mnie twoja pogoń za sensacją. Traktowanie społeczeństwa jak głupiej masy. Liczysz na to, że ludzie przed telewizorami masowo mnie potępiają? Bo jestem egoistą?

Wzrośnie ci od tego oglądalność? Dostaniesz premię? Proszę bardzo. Wiedziałem, że moje nerki nie pracują. Nikt, kto tego nie przeżył, nie jest w stanie wyobrazić sobie tego napięcia, niewiadomej i zapachu zbliżającej się śmierci. Był jakiś problem z wpisaniem mnie na listę oczekujących na przeszczep. Co z tego, że miałem status „pilny”? Dni uciekały.

– A dializy?

– Co dializy?

– One zastępują nerki, prawda?

– Dializy utrzymują przy życiu. I niekoniecznie robią to najlepiej. Ja straciłem dwie nerki. Zwyczajnie przestały działać. Nie wydalały moczu. Mój organizm systematycznie zatrzymywał produkty przemiany materii, które powinienem z siebie wysikać. Wypełniały mnie toksyny i woda. Cokolwiek wypilem, zostawało w środku. Czułem się tragicznie fizycznie i psychicznie. Puchłem. Wzrastało ciśnienie krwi i pojawiały się kłopoty z oddychaniem. Dializowano mnie trzy razy w tygodniu. Podłączano do maszyny, która miała usuwać nadmiar płynu. Bez szkody dla pacjenta nie można jednorazowo odciągnąć zbyt dużo wody, co oznacza, że trzeba ograniczyć przyjmowanie płynów. Ile wody wypijasz dziennie?

Przyglądała mu się uważnie. Nie był spuchnięty. Raczej wychudzony i wzburzony. Widać nic nie budzi w człowieku takich emocji jak jego własna tragedia.

Nie rozumiała jego przejęcia ani sytuacji, w której się znalazł. Nie chciała rozumieć. Łatwiej było jej utożsamić się z kobietami, które wykorzystywał.

– Dwa litry – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Świetnie. Ja mogłem wypić w sumie jedną szklanekę dziennie. Szał, prawda?

– Rzeczywiście uciążliwe, ale jednak dializy utrzymywały cię przy życiu.

– O uciążliwości możesz mówić, jeśli doliczysz do tego specjalną dietę, psujące się zęby, którym przez gromadzące się w

moim ciele fosforany brakowało wapnia, suchą i podatną na urazy skórę i konieczność zmiany trybu życia. Spędzałem dwanaście godzin tygodniowo podłączony do maszyny, która w tempie trzystu mililitrów na minutę przepompowywała moją krew przez specjalny filtr. Podczas dializy mdlałem. Moje serce wariowało. Po każdej kolejnej dializie byłem coraz słabszy. Czułem, jak uchodzi ze mnie życie. Zastanawiałem się, na ile jeszcze dializ będę w stanie pojechać sam, bez pomocy osób trzecich. Na sześć? Cztery? Dwie? Wiedziałem, że jeśli mam podjąć jakiegokolwiek działania, to musi być teraz... już! Za tydzień, dwa mogłoby być za późno.

– Rozumiem. – Powoli docierała do niej motywacja rozmówcy.

Żałowała, że kamera nie może pokazać jego zębów i skóry, która nadal była dziwnie sucha.

– Gównu rozumiesz!

Akt 16

Kiedy zadzwonił telefon, Mariusz leżał w łóżku. Z niechęcią spojrzął na wyświetlacz. Zamiast dzwoniącego numeru odczytał napis: „Nieznany”. Poderwał się na równe nogi, złapał komórkę i pobiegł do łazienki. Zanim odebrał telefon, na który czekał od kilku dni, zamknął drzwi na klucz i włączył wodę, która miała zagłuszyć jego głos. Zawsze tak robił, gdy prowadził rozmowy biznesowe.

– Tak?

– Jest dawca.

– Sprawdzony? Jest zgodność?

Wyśnił sobie tę chwilę. Zapisał nawet pytanie o zgodność w kalendarzu, by w przyпіływie radości nie zapomnieć go zadać.

– Jest.

– Rozumiem. Kiedy pobranie?

– W swoim czasie.

– Czyli kiedy? – Lakoniczność odpowiedzi go zdenerwowała. – Przypominam! Muszę mieć pewność, że to organ pobrany od żywego, inaczej nie zapłacę!

Gdy przekopywał się przez zasoby internetowe, dotarł do informacji, że nerka od żywego dawcy działa lepiej niż ta pobrana pośmiertnie. Uznał, że skoro płaci, może też wymagać. Dotarł nawet do statystyk mówiących, że po pięciu latach od przeszczepu pracuje osiemdziesiąt procent nerek pobranych od żywych dawców i tylko sześćdziesiąt pięć procent nerek pobranych od dawców zmarłych. Kiedy decydował się na zakup, trzy dni zajęło mu poszukiwanie w internecie informacji, które

pomogłyby mu wybrać najlepszy i najlepiej rokujący narząd.

Badania światowe pokazywały, że największe przeżycie wieloletnie mają nerki pobrane od dawców żywych, o podobnych profilach genetycznych. Kwiatkowski nie miał jednak nikogo, kto zechciałby mu podarować fragment siebie. Matka umarła przed laty, ojciec zapił się na śmierć, gdy syn kończył studia prawnicze. Miał jeszcze brata, Piotra, z którym bardzo dobrze wychodził na zdjęciach, zwłaszcza tych z przeszłości. Nie spotykali się, nie rozmawiali, nie spędzali wspólnie świąt. Jeśli jednak potrzebowali pomocy w sprawach ostatecznych, zwracali się do siebie. Wtedy na chwilę zapominali o nieporozumieniach i stawali się jednomyślnymi braćmi Kwiatkowskimi.

Mariusz nie zamierzał prosić brata o nerkę. Zadał mu to pytanie bardziej dla porządku niż z chęci załatwienia sprawy. Piotr nie zastanawiał się długo. Stanowczo odmówił i dodał: „Sam rozumiesz”. Mariusz rozumiał.

– Może dziś, może jutro... Dam znać później.

– Nie pierdol! Dawaj konkrety. Kasa czeka. Muszę być obecny przy pobraniu! Muszę mieć stuprocentową pewność, że nerka, którą kupię, będzie nadawała się do przeszczepienia i będzie pochodziła od młodego, nieobciążonego dawcy.

Kwiatkowski nie miał problemów z wyobraźnią. Od lat obracał się w tym środowisku. Jego lekarz powiedział, że taki dar z krótkim czasem zimnego niedokrwienia, dobrym dobozem immunologicznym i świetną opieką po zabiegu będzie żyć ponad trzydzieści lat.

– Zdecydowałem się zapłacić ekstra dziesięć tysięcy tylko za to, by transakcja została dopięta na moich warunkach – przypomniał.

– Dobra, dobra. Rezerwuj sobie miejsce w klinice, potwierdź ci pobranie na godzinę przed akcją. Którą klinikę wybrałeś? Niemcy? Czechy?

– Chuj ci do tego! Czekam na telefon.

* * *

Giulietta Majewskiego stała zaparkowana przed apartamentowcem, w którym mieszkał Mariusz Kwiatkowski. Młody siedział w luksusowym aucie i słuchał kolejnej piosenki. Zastanawiał się, dlaczego radio nadaje więcej polskich utworów jedynie nocą. Jakby właściciele stacji radiowych sądzili, że mamy się czego wstydzić, a polskie przeboje można wrzucać w eter jedynie po zmroku, gdy ludzie śpią albo są zbyt odurzeni alkoholem, by zauważyć różnicę.

– „Nie odnajdzie więcej nas ta sama chwila” – głos Beaty Kozidrak sączył się z samochodowych głośników.

Nagle wewnątrz garażu znajdującego się pod budynkiem pojaśniało. Policjant wyteżył wzrok. Zbliżające się światła informowały o nadjeżdżającym pojeździe. Po chwili w polu widzenia pojawił się samochód. Kierowca zatrzymał się przed barierką i poczekał, aż uniesie się na tyle, by mógł przejechać. Trudno było o tej porze dostrzec kolor karoserii, ale Majewski sprawdził numer rejestracyjny i momentalnie zadzwonił do Burzyńskiego.

Po trzydziestu sekundach oczekiwania usłyszał zaspany głos partnera:

– Co tam?

– Coś się dzieje. Samochód Kwiatkowskiego właśnie opuścił garaż.

– Już jadę. – Burzyński momentalnie otrzeźwiał. – Nie spłosz go. Trzymaj dystans.

Zanim wyskoczył z łóżka, spojrzął na zegarek. Skok adrenaliny gwałtownie przepędził sen. O wpół do czwartej nad ranem nikt o zdrowych zmysłach nie wybiera się na przejażdżki samochodowe. Nikt, poza gangsterami chcącymi załatwić swoje sprawy bez świadków.

– Kochanie? – Iza z zamkniętymi oczami poszukiwała męża, uderzając ręką w miejsce, w którym powinien leżeć.

Niezależnie od tego, jak mocno spała, była wrażliwa jak sejsmograf i rejestrowała najmniejsze drgania na małżeńskim

łożu. Budziła się, gdy z niego wychodził. Budziła, gdy do niego wracał.

– Ciii, śpij, nic się nie dzieje. Muszę tylko coś sprawdzić.

* * *

Samochód, do którego na rondzie Śródka przesiadł się Kwiatkowski, mknął przez śpiący Poznań. Reflektory jak ostrza noża przecinały ciemność, dzieląc nicość na części.

– Mamy ogon!

Gerard Beck zdecydowanym ruchem przesunął dźwignię, by zredukować biegi. Silnik zawył, a kierowca nie odrywał oczu od lusterka wstecznego. Jadąca za nim alfa romeo również przyspieszyła. Co prawda zachowywała dystans, ale to nie mógł być zbieg okoliczności.

– Pierdolisz?!

Trzy skrzyżowania temu Gerard zauważył, że obcy samochód jedzie za nimi zbyt długo, by można było uznać to za przypadek. Owszem, w ciągu dnia, gdy na drodze panuje duży ruch, można przyjąć, że przypadkowo w tym samym kierunku podąża kilka samochodów, ale nie w nocy, gdy ulice są puste. W chwili kiedy noc powoli przechodziła w dzień, a ciemność nabierała mlecznego odcienia, nawet taksówki znikwały z ulic na kilka kwadransów. Imprezowicze zdążyli już wrócić do domów. Rozpoczynający pracę o świcie jeszcze z nich nie wyszli.

Gerard pamiętał, do kogo należy jadący za nim samochód. Kilka dni wcześniej stał zaparkowany przed jego klubem. Lśnił czystością i kusił kolorem. Zapamiętał też jego właściciela, bezczelnego młodego policjanta. Po policyjnym przeszukaniu Malibu palił papierosa oparty o maskę auta. Na jego twarzy malowała się satysfakcja, zupełnie jakby właśnie skorzystał z usług oferowanych przez dziewczyny Gerarda.

– Kurwa, to psiarnia się ciągnie. Ta bryka jedzie za nami od jakiegoś czasu.

Kwiatkowski odwrócił się, ale nie zobaczył nic poza dalekim

światłem reflektorów.

– Zgub go!

– Się wie.

Auto gwałtownie skręciło w prawo i zmusiło do takiego samego manewru śledzącego ich policjanta.

– I co teraz? – zdenerwował się Kwiatkowski. – Nie możemy zrezygnować, czekają na mnie w klinice. Kurwa, nawet jeśli nie przyjadę, skasują mnie za samą gotowość do zabiegu na grube tysiące euro.

– Ty się, Mariusz, wyluzuj. – Gerard Beck, widząc, że alfa romeo nadal za nim jedzie, zmienił strategię. Zwolnił, wyjął komórkę, wybrał numer i po chwili rzucił w słuchawkę: – Uruchamiamy plan B.

* * *

– Jestem. – Głos Burzyńskiego zabrzmiał w uchu Majewskiego.

– No nareszcie. Jestem spalony. Zauważyli mnie. Robimy kolejną spacerową rundkę po mieście.

– Widzę cię.

Dwa samochody jechały z przepisową prędkością ulicą Bukowską w kierunku skrzyżowania z Szylinga. Bmw prowadzone przez Geparda przygotowywało się do skrętu w lewo, o czym informował pomarańczowy kierunkowskaz.

– Jedź prosto – zdecydował Burzyński – i zniknij z pola widzenia, ja ich przejmę.

– Tak jest.

Bmw skręciło w ulicę Szylinga, a giulietta pojechała prosto. Kilkaset metrów dalej minęła się z wysłużonym kadettem, jadącym z przeciwnego kierunku.

– Bądź w gotowości.

– Jesteśmy w kontakcie.

Majewski rozłączył się, przejechał jeszcze kawałek i zaparkował przed budynkiem Enei na Polnej. Wyłączył światła i czekał na sygnał od Burzyńskiego.

W tym czasie podkomisarz wpatrywał się w ledwo widoczne czerwone światła bmw zmierzającego Grunwaldzką w stronę Grochowskiej. Minął rondo Przybyszewskiego. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się piąta. Za dziesięć minut miało wstać słońce. Na drodze powoli przybywało samochodów. Niektórzy zmierzali już do pracy.

Nagle światła bmw zabłyśły intensywną czerwienią. Kierowca musiał nacisnąć hamulec.

– Szykuj się. Będzie zjeżdżał z Grunwaldzkiej – zameldował Burzyński Młodemu. – Albo w Ostroroga, albo w Rycerską.

Obserwowany samochód zjechał z głównej ulicy, by po chwili ponownie skręcić w prawo.

– Ulica Skarbka, cholera, jednokierunkowa.

Bmw zatrzymało się przed bramą domu jednorodzinnego. Burzyński przejechał obok posesji i kątem oka zauważył, że Gerard Beck wychodzi z auta.

– Młody! Skarbka dwanaście, taki szary klocek z lat osiemdziesiątych. Proś centralę o wsparcie. Nie wiem, ilu jest w środku.

– Widziałeś więcej aut? Mają ochronę?

– Nie wiem, cholera, na ulicy stał tylko jeden samochód, ale to nic nie znaczy. W garażu mogą mieć dwa pozostałe.

* * *

Gerard szedł pierwszy. Trzy kroki za nim podążał Kwiatkowski. W ciszy pokonali schody prowadzące do wejścia. Beck wystukał umówiony sygnał i drzwi się otworzyły.

W środku było ciemno. Kwiatkowski starał się trzymać blisko kolegi. Chwilę po tym, jak weszli do środka, usłyszał, że ktoś zamyka za nimi drzwi na klucz. Chciał się odwrócić, ale nie zdążył. Na jego głowie wylądował worek.

– Co ty, kurwa, robisz? – zaprotestował.

Nie miał ochoty siedzieć cicho, gdy ktoś traktował go w taki sposób.

– Chronionego Budda strzeże.

– Jakie, kurwa, strzeże?! – Kwiatkowski czuł się zdezorientowany.

Nie spodziewał się co prawda ciepłego przyjęcia, ale mimo wszystko rozwój wypadków zaskoczył go. Silne ręce złapały go pod pachy i zaczęły prowadzić. Gdy wszedł do budynku, poczuł, że stąpa po gładkiej podłodze. Wystawiał jednak nogi tak ostrożnie, jakby leżały na niej kłody.

Z zakrytymi oczami i na nieznanym terenie nie mógł zorientować się, w którą stronę zacierają. Nie wiedział też, czy worek na jego głowie to tylko nadzwyczajne środki ostrożności, czy zaplanowana i niebezpieczna gra Becka, który bądź co bądź był jego konkurentem biznesowym. Momentalnie stracił pewność siebie.

Życie przeleciało mu przed oczami. Starał się ocenić sytuację za pomocą pozostałych zmysłów. Teren, po którym stąpał, przestał być idealnie równy. Wobec tego musiał opuścić dom, ale zupełnie inną drogą, niż do niego wszedł. Tym razem nie pokonywał schodów.

Prowadzący go mężczyźni szli bez słowa. Po kilku minutach usłyszał odgłos zamykanych drzwi. Dałby sobie głowę uciąć, że były to inne drzwi niż te w szarym domu.

– Siadaj! – Beck popchnął go i Kwiatkowski opadł na coś miękkiego.

Chciał zbadać dotykiem przestrzeń wokół siebie, ale w tej samej chwili odzyskał wzrok.

– Wybacz niedogodności. – Beck zwinął czarny worek i rzucił go na ławę.

Kwiatkowski pogubił się. Stres zawładnął jego organizmem. Serce waliło, a krew jak fala powodziowa uderzała w ścianki żył i tętnic, by je rozerwać. Nie umiał odczytać intencji Becka.

„Dobrze, że jestem przezorny i nie mam przy sobie reszty pieniędzy” – pomyślał i rozejrzał się wokół dyskretnie. Wnętrze wyjęte z lat dziewięćdziesiątych, z ażurowymi firanami i

ciemnobrązową meblościanką, wydawało się zupełnie obojętne na jego rozterki.

– Co to, kurwa, miało być? – spytał, starając się zachować resztki męskości.

* * *

Poznań powoli budził się do życia, ale ulica Skarbka jeszcze spała. Słońce nieśmiało wyglądało zza zabudowań, jakby dawało sygnał do rozpoczęcia akcji.

– Jesteś gotowy?

Szara elewacja, kojarząca się raczej ze schronem niż budynkiem mieszkalnym, nagle stała się obiektem zainteresowania kilkunastu mężczyzn. Dwóch z nich siedziało w samochodzie Burzyńskiego w oczekiwaniu na komendę.

– Zawsze!

Entuzjastyczna odpowiedź Młodego sprawiła, że Burzyński uznał swoje pytanie za niepotrzebne. Partner z ledwością był w stanie usiedzieć na miejscu pasażera. Roznosiła go energia, czuł podniecenie związane z tym, co za chwilę miało nastąpić.

– Dobrze. W takim razie wchodzimy. – Burza wydał komendę skierowaną do wszystkich zespołów.

Czas zatrzymał się i przyspieszył jednocześnie. Szczegóły zaczęły się zacierać, a kroki oddziału antyterrorystycznego wydawały się odmierzać upływające sekundy. Postaci w czarnych mundurach błyskawicznie znalazły się na schodach budynku, wyważyły drzwi i weszły do środka.

Poziom adrenaliny u wszystkich uczestników akcji ciągle rósł, a Majewski czuł, że niosą go niewidzialne skrzydła.

– Czysto.

– Czysto.

Kolejne meldunki potwierdziły, że dom jest pusty.

– Jak czysto?! – grzmiał Majewski. – To gdzie oni są?

– Skąd mam wiedzieć? – Burzyński opuścił broń i poczuł się w obowiązku udzielić odpowiedzi. – Samochód stoi przed posesją.

Nie było żadnego ruchu. Obserwowałem teren uważnie. Cholera!!! Zwiali?

* * *

– I jak? – Gerard Beck zamknął za sobą drzwi, tuż przed nosem Kwiatkowskiego zagląającego do prowizorycznej sali operacyjnej.

– Gra.

– Oby. Dzisiaj musi być bez niespodzianek. – Gerard znacząco spojrział na nieprzytomnego młodego mężczyznę. Pacjent miał nie więcej niż trzydzieści lat i leżał na wznak na stole. Pod jego lewym bokiem umieszczono wałek, by lepiej wyeksponować pole operacyjne.

– O co ci chodzi? – Jan Kowalski wkładał właśnie fartuch.

– Wiesz, o co.

– Jestem skupiony na pracy, nie będę się domyślał. Jeśli coś do mnie masz, to wal.

– Skupiony? – Gerard podszedł do Kowalskiego i powąchał go.

– Weź mnie nie rozśmieszaj. Znowu śmierdzisz alkoholem. Mówiłem, żebyś przed robotą nie pił.

– Nie piłem przecież. Tylko łyknąłem lekarstwo, według wskazań lekarskich, aby opanować drżenie rąk.

– Chyba według swoich wskazań, lekarza bez uprawnień.

– Jakoś nigdy ci to nie przeszkadzało.

– Bo mówiłeś, że jesteś dobry.

– Jestem.

– Ciekawe. A ci, którzy zeszli na stole? To co, wypadek?

– Ryzyko zawodowe. Procent, który statystycznie zawsze umrze. Zatrzymanie krążenia. Niezależne ani ode mnie, ani od ciebie. Mam ci przypomnieć, ilu przeżyło?

– Nieważne. Ten gość jest sprawdzony?

– Jak zwykle.

– Nie uspokoiłeś mnie.

– To może się napij. Alkohol ma działanie relaksujące...

– Jasiu, kurwa, nie pierdol. Mam za drzwiami gościa, który jaja ci urwie, jeśli za chwilę nie dasz mu sprawnej nerki.

– To co? Ciąć już?

– Czekaj, żeby tym razem obyło się bez takich szopek jak ostatnio!

– Gerard, czepiasz się. Gościu miał małą i marską nerkę, nie nadawała się do pobrania...

– Mogłeś ustalić to wcześniej! – Gerard nie dał skończyć Kowalskiemu. Miał do niego wiele pretensji. Nie lubił z nim współpracować. Nie znalazł jednak nikogo lepszego.

Jan Kowalski był kiedyś bardzo dobrze zapowiadającym się chirurgiem. Zgubiła go miłość do alkoholu. Dzięki niej znalazł się w ekipie Becka. Gdyby przestał być przydatny, mógłby zapieć się na śmierć, nie budząc żadnych podejrzeń.

– Mógłbym, gdybyś wymagał od tych głupków pełnych badań. Nie ma pełnej diagnostyki, zwiększa się ryzyko, logiczne, prawda?

– Pełna diagnostyka? Rozmawialiśmy o tym. Policja doszłaby do nas jak po nitce do kłębka. To jest nie do przejścia. Logistycznie, organizacyjnie i finansowo. Ryzyko jest wliczone w ten biznes.

– Odstawiliście tego głupka z uszkodzoną nerką do domu?

– Jasiu, nie wpierdzielaj się w moją działkę. Mówiłem ci ostatnio, pobierz drugą nerkę. Nawet nie wiesz, jak musiałem świecić za ciebie oczami.

– Drugą nerkę?! Nie jestem cudotwórcą. Lewa nerka jest lepsza, ma dłuższe przewody, łatwiej się ją wszczepia. Facet miał uszkodzoną lewą, gdybym wyciął mu prawą, toby umarł.

– Nie on pierwszy i pewnie nie ostatni...

– Zatrzymanie krążenia podczas operacji a usunięcie jedyne działającego narządu to ogromna różnica. Pech kontra działanie celowe. Przypadek kontra zabójstwo. Nie jestem mordercą! – Kowalski podniósł głos.

– Ciszej – warknął Beck.

– Bo?

– Bo mamy wizytację. Zaraz wprowadzę tu gościa. Musi zobaczyć, że dawca żyje, inaczej nie zapłaci za nerkę.

* * *

Gerard wychylił się zza drzwi i zaprosił Kwiatkowskiego do środka. Mariusz wszedł, uważnie się rozglądając. To, co zobaczył, zaskoczyło go.

– Zaczynamy? – spytał mężczyzna, który stał przy stole.

Wyglądał, jakby przebrał się za lekarza. Zielonkawy fartuch, rękawiczki i inne rekwizyty medyczne miały nadać mu wygląd profesjonalisty, ale przekrwione oczy, mętny wzrok i popękane naczynia krwionośne pozwalały nieomylnie rozpoznać w nim alkoholika.

Mężczyzna niecierpliwił się. Co chwilę spoglądał na taboret, na którym stały otwarta butelka whisky i brązowa szklanka z uszkiem. Szklanka nie była idealnie czysta. Lekarz odszedł od stołu, nalał do szklanki nieco brązowego płynu, a następnie zwilżył sobie nim usta.

– Im szybciej zaczniemy, tym szybciej ugaszę pragnienie.

Nie ukrywał, że przedmiotem jego zainteresowania była zawartość butelki, a nie pacjent.

– Najpierw robota – chłodno przypomniał Beck.

„Robota? – Kwiatkowski, słuchający tej wymiany zdań, starał się w myślach ogarnąć otaczającą go rzeczywistość. – Gerard nazwał robotą to ciało, leżące na stole bynajmniej nie operacyjnym”.

Wygląd „sali operacyjnej” wzbudził w nim przerażenie. Pokój był prawie pusty. Na środku stał stół, pod ścianą komoda. Oba sprzęty i podłoga nakryte były folią. Na komodzie leżały podręczne narzędzia, wyglądające bardziej na zestaw małego chirurga niż profesjonalne wyposażenie sali operacyjnej, a blat stołu oświetlała zużyta lampa, zapewne wypożyczona z firmy budowlanej.

Okno zasłaniała roleta, szczelnie chroniąca wnętrze przed wścibskimi spojrzzeniami znudzonych sąsiadów.

– Czy on jest lekarzem? – Kwiatkowski spytał Gerarda po cichu, wskazując mężczyznę w fartuchu.

– Mariusz, wyluzuj. To nie pierwsza nerka, którą robimy. Będzie ci służyć, zobaczysz.

– On pije w pracy?

– Nie pije. Jasiu tylko zmoczył usta. Pić będzie po robocie. To spoko gość, ma ogromne doświadczenie. Wypierdolili go z pracy za alkohol. Szkoda, żeby taki talent się marnował.

– Jeśli z nerką będzie coś nie tak, jeśli nie da się jej wszczepić...
– zaczął Kwiatkowski.

– Spoko, masz moje słowo i gwarancję. – Beck był całkowicie spokojny.

– Zobaczymy. Ten Jasiu jest sam? A gdzie zespół transplantacyjny?

Podczas legalnego pobrania nerki współpracuje ze sobą kilkanaście osób. Chirurg, asysta i instrumentariuszka skupiają się na pobraniu narządu. Anestezjolog wraz z pielęgniarką czuwają nad stanem dawcy. Na bloku operacyjnym jest jeszcze koordynator, salowa i tak zwana brudna pielęgniarka. Poza blokiem czeka dodatkowy sztab ludzi. Ich obecności wymagają procedury transplantacyjne.

– Po chuj nam zespół? – Szczerość Becka była rozbijająca. Podziemie transplantacyjne maksymalnie uprościło procedury, by skupić się na produkcie, który mogą sprzedać. – Przecież, do kurwy nędzy, im mniej ludzi wie, co tu się dzieje, tym jesteśmy bezpieczniejsi. Jasiu wycina organy, przy stole pomaga mu Andrew, taki nasz anestezjolog od wszystkiego. Usypia dawcę i podaje co trzeba. Później troszczy się o temperaturę w lodówce. Tak działa ten biznes. Chłopaki mają kasę za skuteczne pobranie i posprzątanie domu. Ja za dostarczenie dawcy i nadzór. Materiał wraz z badaniami przekazujemy Władowi, to on jest mózgiem i bankomatem. To on organizuje miejscówki. Masz szczęście. To

ostatnia akcja w Poznaniu, przenosimy się do Krakowa.

Kowalski zabrał się w końcu do pracy. Skóra anonimowego dawcy została przecięta. Do oczu Kwiatkowskiego, który początkowo chciał przyglądać się pracy chirurga, dotarł obraz w jakości HD, uwydatniający nawet najmniejsze szczegóły. Mariusz szybko stracił ochotę na obserwację.

– Wyjdziemy? – Kiwnął głową w stronę kuchni. – Świetnie to sobie wymyśliliście. – W ciele Kwiatkowskiego walczyły ze sobą dwa wcielenia. Burdel King, biznesmen kochający łatwe pieniądze i działanie na granicy prawa, i Mariusz, człowiek czekający na przeszczep. – A co, jeśli dawca źle się poczuje? Albo są jakieś komplikacje?

– Co mnie dawca obchodzi? Jak wykituje, to jego problem. Nikt mnie z tymi ludźmi nie powiąże.

– Czyli ryzyko jest po stronie dawcy. – Kwiatkowski roześmiał się nerwowo. – Ryzyko wliczone w biznes. No właśnie, a ile taki dawca może zarobić?

Beck oparł się o kuchenny blat i odchylił głowę do tyłu, jakby chciał spojrzeć na kolegę z dalszej perspektywy.

– A ty co tyle pytań produkujesz? Książkę piszesz? Gówno dostaje!

* * *

W domu numer dwanaście policjanci musieli podjąć jakąś decyzję.

– Wycofujemy się? – Nadzieja w głosie Majewskiego zdawała się zaprzeczać faktom.

– Nie mamy wyjścia.

– Kuźwa! – Majewski spojrzał na pozostałość po drzwiach wejściowych. – Wyobrażasz sobie, jakie piekło zrobi nam prokurator?

Policjanci wraz z oddziałem antyterrorystycznym wtargnęli do prywatnego domu. Wyważyli drzwi, splądrowali wszystkie pomieszczenia. Nie tylko prokurator mógł zrobić im piekło. Za

oknami było już jasno. Sąsiedzi budzili się do życia. Za chwilę któryś z nich mógł zrobić zdjęcie, które obiegnie Facebooka i wszelkie internetowe media z prędkością światła. Nie zdążą nawet wrócić do firmy, a ich przełożeni będą czytać artykuły zatytułowane: kolejna nieudana akcja policji, wtargnięto do domu Bogu ducha winnego człowieka, kto za to zapłaci?

– Ołać szanownego pana Wiszniewskiego. – Burzyński zdawał sobie sprawę z tego, że ich jedyną szansą jest odniesienie sukcesu. – Młody, myśl! Myśl intensywnie. Wiedzieli, że ich śledzisz. Ja jechałem za nimi zbyt krótko, więc nie sądzę, żeby mnie widzieli. No, ale ich zestresowałeś i co?

– Zrezygnowali?

– Nie wierzę! Widziałem, jak wychodzili z samochodu właśnie przed dwunastką. Weszli do budynku?

– Chyba weszli.

– Czyli weszli i wyszli?

– Kuźwa, nie wiem. Weszli i wyszli, skoro ich nie ma. Może nie weszli do dwunastki, tylko do dziesiątki albo trzynastki?

– To widziałeś, jak wchodzili, czy nie? Przecież nie rozpierdolimy drzwi we wszystkich okolicznych domach. Wiszniewski by nas zajebał, a media ukrzyżowały...

Wskazówki na tarczy zegarka Burzyńskiego przesuwają się w szybkim tempie.

Czas płynął, a on stał w miejscu, choć wiedział, że gdzieś w pobliżu dzieje się coś złego. Czuł zapach krwi, miał Becka i Kwiatkowskiego na wyciągnięcie ręki, ale ich nie widział. Chroniły ich mury pobliskich posesji.

– Nie rozpierdolimy wszystkich – zdecydował – ale musimy działać! Kogoś właśnie tną!

* * *

Kuchenne okno wychodziło na ulicę. Kwiatkowski nie potrafił jednak powiedzieć, gdzie jest. Domy jednorodzinne przypominały klocki, ale z wyglądu otoczenia wnioskował, że

nadal znajduje się na poznańskim Grunwaldzie.

Kuchenne meble musiały stać tu od bardzo dawna, zapewne od czasów, gdy zasadzono drzewa rosnące za oknem. Kiedyś mogły wyglądać okazale. Meble, nie drzewa. Dziś te drugie nabrały świetności, a pierwsze całkowicie straciły formę. Drewniane szafki różniły się między sobą kolorem i fakturą. Przykrywający je blat w kilku miejscach był nabrzmiały jak wrzód. Całe wnętrze domu było mocno zużyte. Nawet nie tęskniło już za remontem, jakby dawno zapomniało, że można wyglądać lepiej.

– Muszę zadzwonić. – Kwiatkowski wstał i wyciągnął rękę w stronę Becka.

Chciał odzyskać komórkę, którą zabrano mu zaraz po wejściu do samochodu.

– Tęsknisz za psami?

– Weź mnie nie wkurwiał! Przecież nie poddam się wszczepieniu nerki po kilku godzinach prowadzenia samochodu. Po kierowcę muszę zadzwonić.

Nerka była na wyciągnięcie jego ręki. Narząd przypominający kształtem ziarno fasoli. Szansa na życie. Życie jak człowiek. Na świecie nie ma nic cenniejszego od życia. Swojego życia.

– Muszę być na stole operacyjnym – Kwiatkowski spojrzął na zegarek – za sześć godzin. Chyba nie myślałeś, że wysadysz mnie w centrum, wsiądę za kierownicę i położę się na stole po kilkugodzinnym prowadzeniu auta. Jadę z bratem. Muszę się przespać.

– Chcesz go tu ściągnąć? Ocipiałeś? A jeśli policja cię podsłuchuje?

– Nie podsłuchuje. Kartę do telefonu kupiłem wczoraj. Jeszcze jej nie namierzyli. Ktoś musi po mnie przyjechać. Nie będę paradował po mieście z lodówką wypełnioną lodem i nerką. Poza tym to on ma resztę kasy dla was.

– Ktoś cię do niego zawiezie.

– Ale...

– Skorzystaj z dobroci mojego serca.

– A masz swoje czy ci przeszczepili? – Kwiatkowski poklepał właściciela klubu Malibu po plecach.

Ten dowcip rozbawił ich obu. Rechotali przez dłuższy czas, nie mogąc się uspokoić. Zupełnie jakby siedzieli w pubie, przy czwartym kuflu piwa, a nie w obrzydliwie zużytej kuchni, w oczekiwaniu na nerkę wycinaną po drugiej stronie ściany.

– Oo, Andrew, jak idzie?

Przemykający korytarzem anorektycznie chudy człowiek cień zatrzymał się. Jego twarz była przezroczysta, niemalże zlewająca się z otoczeniem.

– Kończymy już – odpowiedział niejasno. Na widok niezadowolonej miny Becka dodał: – Jeszcze maksymalnie piętnaście minut i będzie można ją zabrać.

– To za kwadrans podrzucisz tego pana do miasta.

– Nie wiem, czy dam radę. Mamy jeszcze jedną sztukę do obrobienia.

– To sprawdź! Dwadzieścia minut cię nie zbawi.

Człowiek cień skinął głową i zniknął z pola widzenia. Po chwili wrócił i oznajmił:

– Nie da rady. Panna czekająca na zabieg zaczyna się budzić, muszę się nią zająć.

– Kurwa! – Idealny plan Becka legł w gruzach.

Chciał zachować wszelkie środki ostrożności. Kwiatkowski powinien jak najszybciej znaleźć się z dala od tego miejsca. Sam nie mógł tego zrobić. Liczył się z możliwością zatrzymania. Nie dałby się przyłapać w jednym samochodzie z organem niewiadomego pochodzenia.

– Za kwadrans będziesz miał towar – zwrócił się ostro do Kwiatkowskiego. – Wtedy też chcę widzieć kasę. Miałeś mieć ją ze sobą.

– Tak? Żebyś zabrał mi ją wtedy, gdy narzucałeś mi na łeb czarny worek?

– Dobra, za kwadrans widzę kasę na stole. – Beck podjął

decyzję. Wyjął z kieszeni swój telefon komórkowy, wybrał numer i oddał aparat Kwiatkowskiemu. – Niech tylko Piotruś się nie spóźni.

Młodszy brat Mariusza był dobrze znanym w półświatku człowiekiem do wynajęcia. Zaczynał jako nastolatek od drobnych kradzieży. Szybko trafił na ludzi, którzy potrafili wykorzystać jego talent. Był obrotny, bystry i nie czuł strachu. Zarabiał coraz większe pieniądze. Mówiło się, że nie trafił do więzienia tylko dzięki inteligencji starszego brata. Mariusz był wtedy młodym prawnikiem i chcąc nie chcąc, został adwokatem brata. Wybronił Piotra przed odsiadką i wykazał uchybienia w działaniu policji... Po tych wydarzeniach młodszy z braci stał się jeszcze bardziej pewny siebie... a do starszego zaczęli ustawiać się w kolejce ludzie ze świata przestępczego. Mariusz szybko zrezygnował z wyuczonego zawodu, a niektórzy powtarzali, że to palestra zrezygnowała z Kwiatkowskiego. W końcu z pomocą brata postanowił rozkręcić prywatny biznes.

– Cześć, to ja, wszystko okej. Weź kasę, wsiadaj do auta, czekam na ciebie. Gdzie? Dobre pytanie, Gerard, jaki tu jest adres?

* * *

Osiemnaście minut później Piotr Kwiatkowski wszedł do kuchni z nieodgadnioną miną.

– Wszystko gra? – Pytanie zabrzmiało lodowato i nie zawierało w sobie ani grama troski.

– Gra. – Burdel King wskazał na przenośną lodówkę leżącą na blacie.

Ciemnoszara bryła skrywała nerkę. Fragment ciała mężczyzny, który z tylko sobie wiadomego powodu postanowił ją sprzedać. Skuszony możliwością zarobku oddał się w ręce szemranych lekarzy i liczył na to, że wróci do domu z wypchanym portfelem.

– Okej. – Piotr rzucił na blat brązową kopertę wypchaną

banknotami.

„Koperta za nerkę – pomyślał Mariusz Kwiatkowski. – Jakie to wszystko banalne”. Pokażna ilość papierowych środków płatniczych wystarczyła, by kupić kawałek łatwo psującego się mięsa. Przydatność nerki gwałtownie malała. Teoretycznie powinna być wszczepiona w ciągu doby, jednak przy sprzyjających warunkach i odpowiednich płynach prezerwacyjnych ten czas można było wydłużyć do czterdziestu ośmiu godzin od pobrania.

Gerard z prędkością godną noszonego pseudonimu doskoczył do koperty wypełnionej po brzegi pieniędzmi i zaczął je liczyć.

– Zgadza się. – Po dłuższej chwili schował pieniądze do walizki, sięgnął po lodówkę i podał ją starszemu Kwiatkowskiemu. – Oby ci dobrze służyła!

Chciał uścisnąć na pożegnanie dłonie braci i polecić się na przyszłość, ale jego uwagę zwrócił grymas na twarzy Mariusza.

Obejrzał się, by sprawdzić, co wywołało ten grymas. W tej samej chwili usłyszał niezidentyfikowany hałas, a potem obce głosy.

– Gleba! Gleba!

Korytarzem przesuwali się antyterrorysty, zajmujący po kolei wszystkie pomieszczenia.

– Gleba, gleba, mówię!

Gerard Beck nie zamierzał czekać, aż zakują go w kajdanki. Rozejrzał się. Wszystkie drogi ucieczki zostały odcięte. Cofnął się w kierunku ściany i sięgnął po broń. Nosił ją zawsze przy sobie. Miała służyć do odstraszenia ewentualnych wrogów. Tym razem musiał jej użyć. Wyciągnął rękę przed siebie. Celował w wejście.

– Ani kroku, bo będę strzelał.

Antyterrorysty wtargnęli do kuchni, nie przejmując się groźbami.

– Rzuć broń! Rzuć to! – przekrzykiwali się.

Przed podjęciem decyzji Beck spojrzał jeszcze na twarz Burdel Kinga. Grymas zniknął, a jego miejsce zajęła ulga.

– Ty skurwielu!

Słowa Becka zawisły w powietrzu, a kula wystrzelona z pistoletu zmierzała prosto w klatkę piersiową Piotra. Gepard domyślił się, że któryś z braci zdradził. Możliwe, że obaj. Mariusz stał na prawo od wejścia do kuchni, Piotr na lewo. Wycelowanie w Mariusza trwałoby dłużej niż niewielki ruch ręką, który musiał wykonać, by ułokować kulę w ciele młodszego brata.

Pierwszy strzał pociągnął za sobą całą serię. Głuche dźwięki przecięły powietrze i odbiły się echem od śmierzących ścian. Pierwszy na ziemię padł Burdel King, a następnie jego brat. Beck, trafiony w rękę, wypuścił broń.

– Czysto! – Jeden z policjantów podniósł Becka i zakuł go w kajdanki.

Dopiero wtedy do pomieszczenia weszli Burzyński i podekscytowany Majewski.

– Wezwijcie karetki dla nich – Burza wskazał dwóch krwawiących mężczyzn – a resztę wyprowadźcie.

– W pokoju obok mamy lekarza i dziewczynę na stole – zameldował funkcjonariusz w czarnym mundurze. – Jeszcze nie zdążył jej naciąć.

– Sprawdzę. – Młody opuścił kuchnię.

Podkomisarz uniósł pokrywę przenośnej lodówki. Zabezpieczona nerka czekała na przeszczepienie. Pomyślał, że się zmarnuje.

– Macie właściciela tej nerki?

– Tak. Żyje. Jest nieprzytomny – raportował policjant. – Karetki są w drodze.

– Karetkę, dajcie jeszcze jedną karetkę. – Młody wybiegł z pokoju. – Karetkę, migiem, kuźwa!

– Co jest, Młody?

Burzyński nie widział nigdy tak przerażonego partnera. Chłopak nie potrafił się opanować. Przebierał palcami i wpatrywał się w podkomisarza, jakby chciał się przyznać, że właśnie zniszczył mu samochód.

– Burza... – wydusił z siebie i pobiegł do pokoju.

Przemysław podążył za partnerem. W pokoju wyłożonym folią nie było już nikogo poza leżącą na stole nieprzytomną dziewczyną. Leżała na wznak gotowa do operacji. Na lewym boku czarnym markerem miała wyrysowane cięcie, które zamierzano zrobić, by dostać się do nerki.

– Żyje! – Młody zmierzył jej puls i zaczął bić ją po twarzy. – Chyba jeszcze żyje.

– Znasz ją? – Burzyński podszedł bliżej i zamilkł. Oczy nie mogły go mylić.

– Paula! Obudź się, Paula! – powtarzał w kółko Młody. – Paula! Żyje, na pewno żyje. Musi żyć...

– Paula? Paula! O, kurwa!

Burzyński złapał się za głowę. Znał dziewczynę leżącą na stole, choć ledwo ją rozpoznał. Anita raz do roku przesyłała mu zdjęcie ich córki. „Na ostatniej fotografii wyglądała jak dziewczynka, a teraz... – przemknęło mu przez myśl – teraz jest już kobietą. Ona tylko śpi, tylko śpi...” – mówił sobie, wybiegając z budynku.

– Gdzie jest ten rzeźnik? – spytał pierwszego lepszego antyterrorystę.

– Tam!

Podbiegł do wskazanego Jana Kowalskiego i zaczął okładać go pięściami. Mężczyzna miał skute ręce, nie mógł się bronić. Szybko upadł na ziemię. Burzyński opuścił ręce i zaczął go kopać.

– Co jej podałeś? Co podałeś mojej córce?!

* * *

– Rozmawialiśmy już dziś o śmierci, ale w miejscu, w którym jesteśmy, nabiera ona zupełnie innego znaczenia.

Operator kamery zgodnie z dyspozycjami producenta w końcu mógł rozszerzyć kadr.

– Trudno się z tobą nie zgodzić. – Mężczyzna był zmęczony rozmową.

Wcześniejszy wąski kadr, obejmujący dziennikarkę i plecy rozmówcy, rozszerzył się nagle. Wokół obojga rozmówców pojawiła się przestrzeń, którą widzowie mogli łatwo rozpoznać. Wbrew ich oczekiwaniom wywiad nie był nagrywany ani w studiu, ani w więzieniu.

– Opowiedz, proszę, jak trafiłeś tu... do szpitala. Podjąłeś decyzję, że kupisz nerkę na czarnym rynku i...

– I tak chciałem zrobić. Uzgodniłem cenę. Znalazłem klinikę w Turcji, w której nikt nie pytał, skąd wezmę nerkę. Miałem wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić sobie życie.

– Ale?

– Zawsze jest jakieś ale. Moim był pewien policjant. Zamknął się ze mną w szpitalnym kiblu i otworzył oczy na kilka spraw.

– Przekonał cię do współpracy z policją?

Twarz Burdel Kinga pojawiła się po raz pierwszy na ekranie. Niewyraźna, odrobinę rozmyta. Na pierwszym planie widniał metalowy uchwyt szpitalnego łóżka.

– Żartujesz? Po prostu uświadomił mi, w którym kierunku powinienem patrzeć. Zaślepiiony zbliżającą się datą realizacji zamówienia zapomniałem, że ludźmi mogą kierować różne motywy. Nie tylko finansowe. Myślałem, że Gepard robi ze mną interes dla kasy. Policjant ostrzegł mnie, że facetem kieruje chęć przejęcia mojego biznesu.

– Uwierzyłeś?

– Nie. Poszedłem do domu, ale ziarno niepewności kiełkowało. Sprawdziłem kilka źródeł i okazało się, że policjant może mieć rację. Uświadomiłem sobie, że kupno nerki niesie ze sobą nie tylko ryzyko straty dużych pieniędzy, ale także życia. Byłem zdecydowany wszczepić sobie nerkę niewiadomego pochodzenia, w niewiadomym stanie... Same niewiadome, których przez chwilę nie zauważałem, oślepiony nadzieją.

– Ryzyko jednak cię nie przestraszyło.

– Myślisz, że coś mogłoby mnie przestraszyć? Podjąłem decyzję. Oszacowałem ryzyko i postanowiłem wykończyć

Geparda jego własną bronią. Dowiedziałem się od policjanta, że ktoś napracował się, by rzucić na mnie podejrzenia w sprawie denatów, którym wycięto nerki. Wtedy przestałem mieć wątpliwości. Konkurencja chciała się mnie pozbyć. Skoro Gepard był tak zdeterminowany, by zrobić mnie w te morderstwa, nie zawahałby się sprzedać mi uszkodzonej nerki. Umarłbym, a on miałby czyste ręce. Wtedy ponownie spotkałem się z policjantem. Dawno z nikim nie rozmawiałem tak długo i szczerze. To bardzo mądry facet. Rozważyliśmy wszystkie za i przeciw. Połączyliśmy siły i uzgodniliśmy plan działania.

– Przeprowadziliście zakup kontrolowany?

– Jedynym kontrolującym byłem ja. Policjant zaufał mi, a ja jemu. Nie było czasu na oficjalne zgody, papierki... On wiedział, że w swoim czasie dam mu znać, gdzie jestem. W zamian miał poluzować mi smycz. Odwołać patrole sprzed mojego domu. Miałem pewność, że jeśli dzięki mnie policja rozbije podziemie transplantacyjne, moje niewielkie przewinienia pójdą w niepamięć. W tym miejscu muszę podkreślić, że układ między mną a tym człowiekiem był w pełni prywatny. Tam nie było rozmów przestępcy z policją. Gdyby wmieszać w to instytucje, wszystko by runęło. Gdy podjąłem decyzję o zdradzeniu Geparda, rozmowy w sprawie nerki były już tak zaawansowane, że łatwo było je kontynuować. Wiedziałem, że Gepard jest ostrożny. Spodziewałem się, że informację o miejscu operacji i odbioru nerki otrzymam w ostatniej chwili. Zapłaciłem za możliwość przekonania się na własne oczy, że nerka będzie pobrana od żywego dawcy, właśnie po to, by policja mogła wejść, zgarnąć wszystkich i odzyskać moją kasę.

– Kto zawiadomił policjanta? Ty?

– Nie. Spodziewałem się, że Gepard będzie ostrożny, że będziemy się przemieszczać. W takiej sytuacji mogłem zaufać tylko jednej osobie. Bratu. Co prawda wiele nas różniło, ale w poważnych kłopotach zawsze sobie pomagaliśmy. Kiedy odmówił mi swojej nerki, powiedziałem mu, że kupuję nerkę od

Geparda i musi zabezpieczyć mi tyły. Dałem mu kasę, którą w odpowiedniej chwili miał przywieźć. Zgodził się. Wiedziałem, że się zgodzi. Piotrek też miał na pieńku z policją i dzięki naszej akcji chciał wyprostować kilka spraw. To on miał zadzwonić na podany przeze mnie numer i przekazać adres, pod który wiezie pieniądze.

– A nerka? Przecież zależało ci na niej.

– Nerka pobrana od tamtego mężczyzny zmarnowała się, ale on sam żyje. Co prawda w więzieniu, gdzie musi odsiedzieć dwa lata za handel narządami.

– Tak jak reszta siatki. Dzięki tobie udało się zlikwidować podziemie transplantacyjne. Zatrzymano trzy osoby, a na podstawie ich zeznań jeszcze cztery, w tym kierującego podziemiem Władymira Kravchenko. A ty? Jak się czujesz? Przepraszam za szczerość, ale nie wyglądasz najlepiej.

– Męczysz mnie pytaniami. Męczy mnie siedzenie, a lampy emitują za dużo ciepła. Ale dziękuję, czuję się coraz lepiej. Tydzień temu wszczepiono mi nerkę. W dniu akcji w końcu wpisano mnie na listę oczekujących na przeszczep. To było trzy miesiące temu.

– Dziękuję za to, że zechciałeś opowiedzieć naszym widzom swoją historię. Życzę ci dużo zdrowia. Na koniec przyjmij proszę kondolencje z powodu śmierci brata.

– Piotr zginął. – Burdel King wzruszył ramionami. – Nie ma się nad czym rozwodzić. Zawsze są jakieś ofiary. Padło na niego. Miał pecha. Cóż? Szczęście mieli jednak ci, do których trafiły jego narządy. Serce, płuca i nerki. Mnie nie chciał oddać nerki, skurwieli, ale obcemu, po śmierci...

Epilog

– Niezłe medialne przedstawienie – Burzyński skomentował telewizyjny wywiad.

– Niezłe, mój ty policjancie, jestem z ciebie taka dumna! Powiedział, że otworzyłeś mu oczy. – Iza tuliła się do niego. – To z tobą powinni przeprowadzić ten wywiad.

Dziewczynki śmiały się w pokoju obok. Szczęście dopisywało podkomisarzowi w każdej dziedzinie. Czuł się prawdziwym mężczyzną. Zadowolony z siebie siedział w domu i nie miał zamiaru uciekać w pracę.

– Mamo? Tato? – Bliźniaczki znieńacka wskoczyły na sofę.

– Tak? – spytali równocześnie.

– Zagramy w chińczyka?

– Zawsze.

* * *

– Ale szopka!

Paula wyłączyła mały telewizor stojący w jej pokoju. Mogła oglądać wywiad w salonie, razem z matką i jej znajomym, ale się wstydziła.

O mało co nie straciła życia. W najlepszym razie mogła obudzić się bez nerki. Nie chciała jednak o tym rozmawiać. Zamknęła się w sobie. Musiała to przetrwać. Odnaleźć się w dorosłym świecie. Wydawało jej się, że jest mądra i potrafi podejmować trafne decyzje. Sama siebie rozczarowała.

Wszystko potoczyło się zbyt szybko. Podejmowała decyzje bez zastanawiania się nad konsekwencjami. Chciała udowodnić

sobie, że jest dorosła. Najpierw zgodziła się na związek ze starszym partnerem. Jego wiek wynagradzały luksusowe prezenty. Nie podobał jej się, ale dobrze się czuła, gdy widziała podziw w jego oczach.

Później koleżanka podpowiedziała jej, że zamiast prezentów lepiej dostawać gotówkę. Poznała ją z odpowiednimi mężczyznami. Paula nie chciała jednak zostać prostytutką. Marzyła o podróżach po świecie i całkowitej niezależności, opowiadała o tym głośno.

Dobrze pamiętała twarz Geparda. Widziała go w miejscu, w którym pracowała jej koleżanka. Podszedł do niej i obiecywał łatwy zarobek. Wiedział o niej dużo. O wymarzonej podróży, o niezależności. Odpowiedziała, że nie interesuje jej płatny seks. Uśmiechnął się i powiedział, że nie o to chodzi. Nie chciał zdradzić konkretów. Wziął od niej numer telefonu i kazał czekać na instrukcje.

* * *

Jan Kowalski siedział w celi i zastanawiał się, dlaczego na ustach całej Polski jest Burdel King, pogromca przestępców handlujących organami.

– Zobaczysz – zagadnął współosadzonego – kiedyś będziesz dumny, że ze mną siedziałeś. Wszyscy będą mówić tylko o mnie. Może nie byłem mózgiem organizacji, może nie miałem wielkich kontaktów, ale byłem najważniejszy. Bez moich rąk gównem by zrobili. Usuwałem nerki taśmowo... zdarzały się nawet trzy za jednym razem. Dawałem życie temu, kto go potrzebował.

* * *

Marianna wróciła ze spaceru zapłakana. Odłożyła śpiącego niemowlaka do łóżeczka i usiadła przy Arturze. Odpoczywał przed wyjściem do pracy.

– Dlaczego płaczesz? – od razu zauważył jej łzy.

– Widziałeś dzisiejszą gazetę?

Chciał tylko rzucić okiem, by nie sprawiać ukochanej

przykrości, ale tytuł mówił sam za siebie. Łakomie zaczął pożerać oczami treść artykułu.

Trwa proces w sprawie nielegalnego handlu narządami. Na ławie oskarżonych zasiedli członkowie zorganizowanej grupy przestępczej. Nielegalny proceder był świetnie zorganizowany. Ofiary właściwie zgłaszały się same. Gerard B., pseudonim „Gepard”, przeglądał internet i odzywał się do osób oferujących sprzedaż nerek. Zlecał im wykonanie podstawowych badań, po czym z zachowaniem szczególnej ostrożności odbierał wyniki. W taki sposób budował sobie swoistą bazę potencjalnych dawców. Informacje wychodziły za granicę, gdzie nerki znajdowały kupców. Wówczas do dawców trafiała informacja o zaakceptowaniu warunków transakcji. Potencjalny dawca miał stawić się w wyznaczonym miejscu, zawsze na przystanku autobusowym, późnym wieczorem. Podjeżdżał samochód. Dawca wsiadał do środka i tracił przytomność. Jeśli miał szczęście i przeżył zabieg, budził się bez nerki i bez pieniędzy w tym samym miejscu, z którego go odbierano. Jeśli miał pecha, umierał w trakcie zabiegu. Warunki na „sali operacyjnej” urągały wszelkim standardom. Cały „zespół lekarski” składał się z byłego lekarza, który kilka lat wcześniej stracił uprawnienia do wykonywania zawodu, oraz z jednego pomocnika bez żadnego wykształcenia medycznego.

Ustalono, że „Gepard” znajdował ofiary również w miejscu pracy. Wielkodusznie podsuwał wybranym (czytaj: odpowiednio zdesperowanym) ludziom adres strony internetowej z ogłoszeniami o szybkiej gotówce. Oczywiście, jak się potem okazało, były to strony z ogłoszeniami o sprzedaży organów.

Policja podaje, że w wyniku działania grupy przestępczej życie straciły dwie osoby, a kilkanaście straciło nerki. Nie wiadomo, czy liczba ofiar jest ostateczna.

– Nie płacz. – Artur odłożył gazetę i przytulił Mariannę. – Ciiii, wszystko dobrze się skończyło.

– Wiem, Arturku, wiem. Ale jak sobie pomyślę, że... że dla tego

mieszkania trafiłeś w ręce tych przestępców, to...

– Cichutko, jestem przecież z tobą...

– Ale mogło cię nie być, mogli cię zabić, nawet przypadkiem podczas zabiegu... Artur, obiecaj, że już nigdy nic takiego nie zrobisz...

– Obiecuję.

– Pieniądze nie są ważne. Ważniejszy jesteś ty. Ja. I nasze dziecko.

– Kochanie... Wszystko się ułożyło. Dostałem nauczkę. Zeznawałem w sądzie przeciwko Karo. Odpracowuję te roboty społeczne. Mamy zdrowe dziecko. Zaczynamy nowy rozdział.

* * *

– Nieźle to sobie wymyślili.

Gdy tylko wywiad z Burdel Kingiem się skończył, Młody wyłączył głos. Na ekranie migały obrazy, ale on całą uwagę skupiał na Anicie. Siedziała skulona na fotelu. Mimo że od wstrząsających wydarzeń minęło kilkanaście tygodni, widać było, że nie może uwolnić się od traumy. Niby żyje normalnie, ale w głębi duszy czeka na katharsis. Na szczerą rozmowę z córką.

– Nieźle. – Wzruszyła ramionami. – Zrobili z tego widowisko medialne. Tylko tak można skupić uwagę społeczeństwa na problemie.

Podziękowania

Drogi Czytelniku,
dziękuję, że sięgnąłeś po *Konesera*. Mam nadzieję, że miło spędziłeś czas.

Podczas przygotowań do pisania tej książki udało mi się zebrać znakomity zespół konsultantów z różnych dziedzin. Ich obecność sprawiła, że praca nad książką była dla mnie ogromną przyjemnością. Dzięki nim zapalałam miłością (o miłości za chwilę), wiele się nauczyłam i mogłam zbudować realne fabularne filary, z których bez obaw rzucałam się w wir literackiej fikcji.

Każdy konsultant miał zupełnie inną osobowość. Każdy posługiwał się innym językiem, miał swój styl pracy i energię, którą z radością chłonełam. Każdy był dla mnie tak samo ważny. W tym miejscu chciałabym im wszystkim podziękować za cierpliwość, wyczerpujące odpowiedzi i czas, który mi poświęcili. Pozwólcie, że zrobię to po swojemu, analitycznie, od myślników.

Dziękuję:

- pani Agacie Thannhauser, antropolog sądowej – za inspirację i fascynację (dzięki której powstała postać Anity Broll) oraz rozmowę na temat ofiary numer jeden;
- precudownej pani Dorocie Lorkiewicz-Muszyńskiej, antropolog sądowej z poznańskiego Zakładu Medycyny Sądowej – za pasję, która sprawiła, że moja fascynacja antropologią sądową zmieniła się w miłość; za opowieści, prezentacje, oprowadzenie po ZMS-ie i

mnóstwo detali, którymi mogłam wypełnić zawodowe życie Anity; podziękowania należą się też panu dr. hab. n. med. Czesławowi Żabie, kierownikowi Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej, który na powyższe wyraził zgodę;

- policjantowi Krzysztofowi Gicowi – za opowieści o świecie prostytucji oraz o policyjnych procedurach;
- Robertowi Ziółkowskiemu za uświadomienie mnie, że zakończenie, które planuję, nie mogłoby mieć miejsca w rzeczywistości (dzięki czemu zostało zmienione);
- panu prokuratorowi Jackowi – za wyobraźnię, umiejętność wyjścia poza schematy i traktowanie moich literackich wymysłów jak casusów prawnych;
- panu Wojciechowi, specjaliście w dziedzinie transplantologii – przede wszystkim za rozmowy, a ponadto za wprowadzenie w dziedzinę zupełnie dla mnie obcą, za otwarty umysł i zaufanie;
- panu Arkadiuszowi Bojarunowi (ze Stowarzyszenia „Życie po Przeszczepie”) – za informacje o przeszczepach nerki, dializach i tym wszystkim, o czym może wiedzieć tylko osoba, która to przeżyła;
- Krzysztofowi Kłoskowskiemu (ze Stowarzyszenia Miłośników Fortyfikacji „Kernwerk”) – za informacje o poznańskich fortyfikacjach.

Dziękuję również mojej redaktorce Milenie Schefs za pracowity i bardzo motywujący wrzesień 2014.

Mojemu mężowi i córce dziękuję przede wszystkim za cierpliwość i wsparcie.